

ZESZYT STO PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

ZESZYT STO PIERWSZY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1992

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 475

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0143-6

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

Tomasz KIZNY

MARTWA DROGA

...w dzikiej, dziewiczej tundrze, więźniowie-mrówki na własnym grzbiecie wynoszą na brzeg tysiące przywiezionych kłoców, budują przystanie, układają tory, wtaczają na nie parowozy i wagony, którym przeznaczone jest nigdy i nigdzie już się stąd nie ruszyć. Ludzie śpią po pięć godzin na dobę, na gołej ziemi, w zakolu tabliczek z napisem „zona”.

Aleksander Solżenicyn, *Archipelag Gulag*¹

Kiedy się leci nad Niziną Zachodnio-Syberyjską w rejonie koła podbiegunowego, to na przestrzeni setek kilometrów nie widać nawet najmniejszej osady ludzkiej. Cień śmigłowca przesuwa się z prędkością 200 km/godz. po zielonej powierzchni karłowatych północnosyberyjskich lasów, poprzecinanej meandrami dziesiątków strumieni i rzek, przemyka się po rozległych torfowiskach, które w ostrym lipcowym słońcu tworzą arabeskę brązowych i zielono żółtych deseni z ciemnoniebieskimi okami jezior. Dziewicze, syberyjskie pustkowia ciągnące się po horyzont. Wielki Jenisiej z łachami żółtego piasku i pchanymi przez holowniki tratwami spławianego drewna pozostał już dawno za nami. W pewnym momencie mapę nieregularnych form i kolorów ukształtowanego przez naturę pejzażu przecina — jak smagnięcie — regularna kreska, ginąca w niebieskawej mgielce na horyzoncie. Pilot helikoptera, wskazując ręką przed siebie, odwraca głowę i poprzez szum silników krzyczy: *wot ona — stalinka.*

1. T.III. str. 513. Na podstawie opowiadania „*Miortwaja Doroga*”, Aleksander Pobożij, *Nowyj Mir*, 1964, nr 8, str. 152-154.

Pod nami w otwartych drzwiach helikoptera przesuwa się wstążka starej linii kolejowej. Śmigłowiec schodzi niżej i redukuje prędkość, już można rozpoznać pojedyncze podkłady kolejowe. Po chwili w polu widzenia, nieco na uboczu od trasy kolei, pojawia się kilka dachów zanurzonych w zieleni koron drzew. Trochę dalej widać charakterystyczny kształt, który może rozwiać wszystkie ewentualne wątpliwości co do przeznaczenia tego miejsca — *wyszka* — wieżyczka straży obozowej. Przed nami łagier — pojedyncza wyspa „archipelagu”, zatopiona w bezkresnym morzu zieleni lasotundry. Pierwsza myśl jaka się pojawia, to że z tego miejsca nie było dokąd uciekać. I pytanie: po co budowano kolej żelazną na tym odludziu?

„Wielka Północna Magistrała Kolejowa”, „Transpolarna Magistrała Kolejowa Salechard-Igarka”, „Wielikaja Stalinskaja”, albo po prostu „transpolarka”, czy „stalinka” to różne, dzisiaj już przeważnie zapomniane, nazwy stalinowskiej „budowy nr 501-503” — jednej z ostatnich „wielkich budów komunizmu”. Później, już po śmierci Stalina, przyjęła się na stałe inna nazwa — „Martwa droga”. Jej historia zaczyna się 4 lutego 1947 roku, kiedy to Rada Ministrów ZSSR poleciła Ministerstwu Spraw Wewnętrznych przystąpić do prac badawczych i rozpoznania terenu w celu znalezienia miejsca lokalizacji portu morskiego między ujściem Obi a Przylądkiem Kamiennym w Zatoce Obskiej (u wybrzeży Oceanu Lodowatego) oraz wytyczenie trasy linii kolejowej, łączącej przyszły port z Peczorską Magistralą Kolejową².

Od tego momentu wydarzenia następują po sobie w oszołamiającym tempie, które było zapewne zgodne z duchem stachanowskiej propagandy tamtych czasów, ale niekoniecznie z zasadami zdrowego rozsądku. Już 17 lutego 1947, w dwa tygodnie po decyzji Rady Ministrów, rozpoczyna prace ekspedycja rozpoznawczo-projektowa pod kierownictwem dyrektora-pułkownika A.A. Farafontiewa. Rejony działania ekspedycji, tj. Polarny Ural, południowa część półwyspu Jamał i brzegi Zatoki Obskiej, należały wówczas do jednych z najstabilniej poznanych terenów ZSSR. Po zaledwie dwóch miesiącach prac rozpoznawczych, w maju 1947 roku, MWD³ na polecenie Rady Ministrów

2. Peczorska Magistrała Kolejowa — linia kolejowa: Kotłas-Peczora-Workuta, budowana w czasie II wojny św., pochłonęła szczególnie dużo ofiar. To właśnie w czasie budowy tej kolei powstało krążące wśród więźniów Gułagu powiedzenie, że pod każdym podkładem kolejowym leży jeden człowiek, które cytuje także A. Sołżenicyn w „Archipelagu Gułag”. Przy budowie PMK zginęło wielu Polaków aresztowanych w 1939 i 1940 roku.

3. MWD — *Ministerstwo Wnutriennych Dieł* — Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

ZSSR rozpoczyna budowę kolei. Poczynając od małej stacji kolejowej Czum (dzisiaj Seida), leżącej pomiędzy Intą a Workutą, jeden za drugim, wśród podbiegunowej tundry, pojawiają się kolejne „łagropunkty”, ciągnące się łańcuszkiem coraz dalej na wschód w stronę pasma gór polarnego Uralu. Po przekroczeniu górskiego grzbietu budowana kolej opuszcza Europę i wkracza do Azji, schodząc doliną rzeki Sob' do położonej na zachodnim brzegu Obi rybackiej osady, o miękko brzmiącej nazwie Łabytnangi, co w języku żyjącego tu od stuleci plemienia Nenców oznacza „pięć drzew”.

Przywiezione w bydlęcych wagonach i ładowniach barek „plemię zeków”, nieprzywykłe do polarnego klimatu, musiało się dopiero przystosować do warunków, w jakich przyszło mu budować tę kolej. Latem polarny dzień, ze słońcem, które krąży nieustannie po nieboskłonie, nie zachodząc. Bezdroża, błotnista tundra z rojami komarów i plagą syberyjskiej muszki. Zimą noc polarna, skrywająca w mroku bezkresną, śnieżną równinę. Ponad dwa miesiące bez jednego promyka słońca. Temperatury spadające do 50° C poniżej zera. Więźniowie w maskach chroniących twarz przed odmrożeniami. Huraganowe wiatry polarne przenoszące ogromne masy śniegu, które w czasie kilku godzin tworzą zaspę dwu-trzymetrowej wysokości.

3 grudnia 1948 r. pierwsza część budowy kolei została ukończona. Otwarto dla ruchu pociągów liczący 192 km odcinek Czum-Łabytnangi. W tym samym czasie (1948 r.) trwały przygotowania do budowy następnego odcinka kolei, który miał prowadzić w kierunku północnym, wzdłuż zachodniego brzegu Obi, do miejsca budowy przyszłego portu na Przylądku Kamiennym. Kutry i barki, a także samoloty przez całe lato transportowały materiały budowlane, żywność, zapasy opału i oczywiście kolejne etapy „zeków” do małej osady rybackiej na przylądku, gdzie rozpoczęto już prace przygotowawcze do budowy portu morskiego. Wybudowano już pierwsze łagry, zarówno przy Przylądku Kamiennym jak i wzdłuż trasy przyszłej kolei. To, co nastąpiło później, trudno jest zrozumieć z punktu widzenia normalnej logiki. W trakcie największej gorączki prac przygotowawczych nagle okazało się (?!), że rejon Przylądka Kamiennego zupełnie nie nadaje się do budowy portu morskiego. Płycizny Zatoki Obskiej nie pozwalałyby na zbliżenie się morskich statków wystarczająco blisko do brzegu, a zatem konieczna byłaby budowa gigantycznego mola. Warunki geologiczne przylądka także okazały się (!) niekorzystne i budowa dużych obiektów na brzegu wymagałaby umocnienia podłoża. Na odległą „zapalarną

4. „Łagropunkt” — pojedynczy łagier.

strojkę” trzeba by przetransportować miliony kubometrów kamienia, ponieważ wbrew mylącej nazwie, na Przylądku Kamiennym tego podstawowego budulca nie było nawet na lekarstwo. Władze w Moskwie zdecydowały, że z budowy portu na Przylądku Kamiennym trzeba zrezygnować. Molo na Oceanie Lodowatym wyznaczyło granicę szaleństwa systemu?

Linia kolejowa, którą budowano przez dwa lata, została doprowadzona do małej osady rybackiej Łabytnangi, czyli donikąd. W styczniu 1949 roku Stalin zwołał zebranie, na którym byli obecni: Ławrentij Beria, wiceminister spraw wewnętrznych — Czernyszew, pełniący wówczas funkcję naczelnika GUŁŻDS⁵ — Naftali Frenkel i główny inżynier GUŁŻDS — Roźdiestwienski. Na spotkaniu zapadła decyzja o kontynuacji budowy kolei żelaznej dalej na Wschód, poczynając od miejscowości Salechard, leżącej na prawym brzegu Obi naprzeciwko Łabytnangi. Linia kolejowa miała prowadzić do nowego miejsca lokalizacji portu — odległej o 1300 km miejscowości Igarka, położonej na prawym brzegu Jenisieju. Podjęto również decyzję o równoczesnym prowadzeniu prac budowlanych z dwóch kierunków — od wschodu i od zachodu, z zamiarem połączenia kolei pośrodku Niziny Zachodnio-Syberyjskiej w rejonie rzeki Pur. Utworzono dwa zarządy budowy: obski — „*strojka* nr 501” z siedzibą w Salechardzie i jeniejski — „*strojka* nr 503” z siedzibą w Igarce, a później w Jermakowie. Przy *Siewiernom Uprawlenii* GUŁŻDS⁶ utworzono dwa zarządy łagrów: obski i jeniejski *Isprawitielno-Trudowej Łagier*⁷. Naczelnikiem „*strojki* nr 501-503” został pułkownik NKWD Wasilij Arsieniewicz Barbanow, nazywany przez więźniów „Diadia Basia”⁸.

Linia kolejowa Salechard-Igarka miała przeciąć Nizinę Zachodnio-Syberyjską na wysokości kręgu polarnego, biegnąc przez dziewicze i słabo poznane rejony Syberii. Na dystans 1300 km

5. GUŁŻDS — skrót od: *Głownoje Uprawlenie Łagieriej Żieliezno — Dorożnogo Stroitielstwa* — Główny Zarząd Łagrów do Budowy Kolei Żelaznych.

6. *Siewiernoje Uprawlenie* GUŁŻDS — Zarząd Północny GUŁŻDS.

7. *Isprawitielno-Trudowej Łagier* — Jeniejski Obóz Pracy Poprawczej. W terminologii sowieckiej „łagier” oznaczał zarówno pojedynczy obóz — „łag-punkt”, jak również kompleks obozów znajdujących się na pewnym terytorium, objętych wspólnym zarządem, np. *Workutinskij Łagier* w skrócie *Workutlag*, *Karagandiskij Łagier* — *Karlag* itp.

8. Wasilij Arsieniewicz Barbanow, pułkownik NKWD, naczelnik szeregu tego typu budów: w latach 40-tych naczelnik na różnych odcinkach budowy Peczorskiej Magistrali Kolejowej, później naczelnik *Siewiernego Uprawlenia* GUŁŻDS, naczelnik Cimliańskiej hydroelektrowni; posłużył jako prototyp Batmanowa — bohatera powieści Wasilia Ażajewa „Daleko od Moskwy”. Przed śmiercią mieszkał w Moskwie i pracował w redakcji *Izwestii*.

pomiędzy Salechardem a Igarką na trasie planowanej linii kolejowej były wszystkie cztery osady ludzkie, liczące po pięćdziesiąt domostw każda: Jangi-Jugan, Nadym, Uriengoj i Janow Stan. Wydawałoby się oczywiste, że przed rozpoczęciem tak trudnego przedsięwzięcia trzeba przeprowadzić gruntowne badania, które pozwoliłyby ocenić szanse powodzenia realizacji, oszacować opłacalność, określić jakie technologie budowy trzeba będzie zastosować, czy choćby wytyczyć trasę przyszłej kolei. Nic podobnego nie miało miejsca. Do budowy przystąpiono z niezrozumiałym pośpiechem. 29 stycznia 1949 roku Rada Ministrów ZSSR ogłosiła oficjalne postanowienie o budowie Transpolarnej Magistrali Kolejowej Salechard-Igarka, a już w lutym wiceminister MWD Czernyszew zapowiedział swój przyjazd do Salechardu, by osobiście zapoznać się z postępem robót! Zima w pełni, śniegi po pas. Za miastem, w tundrze, w miejscu wskazanym przez inżyniera Aleksandra Żygina⁹, więźniowie rozmiotli śnieg, a na środku „placu” umieścili na słupie tablicę: „Miejsce budowy przyszłej stacji kolejowej Salechard”. W zimową noc polarną, jedna za drugą, wyruszyły z Salechardu kolumny ciężkich spychaczy na gąsienicach, tzw. „stalińców”, kierując się na Wschód. W ślad za nimi po utorowanych w głębokim śniegu traktach tzw. „zimnikach” wyjechały konwoje ciężarówek z ładunkiem i pierwszymi etapami „zeków”. Wczesną wiosną *strojka* ruszyła na dobre. Tysiące więźniów trzeba było przerzucić nad Jenisiej. Przewożono ich etapami koleją do Kotłasu, a następnie magistralą transsyberyjską do Krasnojarska, i dalej barkami ok. 1500 km w dół po Jenisieju do Jermakowa i Igarki. Organizował się front robót na „*strojce* nr 503” — wschodnim odcinku budowy. Kolejne etapy więźniów z różnych zakątków Gułagu zasilały rozwijającą się *strojkę*. A kto dostarczał kamień i żwir dla potrzeb budowy? Oczywiście więźniowie w kamieniołomach północnego Uralu. A drewno budowlane? Brygady zeków-lesorubów w setkach łagrów rozsianych w dorzeczach Obi i Jenisieju. A węgiel na opał? Rzecz jasna, więźniowie kopalni Workutłagu.

Przy budowie linii kolejowej Salechard-Igarka w szczytowym okresie pracowało 70-100 tys. więźniów. Najlicniejszą grupę stanowili Ukraińcy i Litwini, ale wśród więźniów byli przedstawiciele właściwie wszystkich narodów, które znalazły się pod dominacją sowiecką, w tym również Polacy. Prawdopodobnie około 50 % stanowili więźniowie polityczni skazani na podstawie osławionego § 58 na wyroki od 10 do 25 lat za rzekome przestępstwa wobec władzy sowieckiej. Około 15 % stanowili skazani za naruszenie rozporządzenia z dnia 4.06.1947 „O

9. Żygin Dimitriewicz — główny inżynier, późniejszy naczelnik „*strojki* nr 501”.

ochronie własności socjalistycznej”. Na podstawie tego rozporządzenia skazywano na wieloletnie wyroki za kilka kilogramów ziarna wyniesionego z kolchozu lub kradzież w fabryce szpulki nici. Pozostałe 35 % stanowili więźniowie skazani z paragrafów kryminalnych¹⁰.

Już w pierwszym roku budowy, kosztem nieludzkiego wysiłku więźniów, została ukończona linia telegraficzna łącząca Salechard z Igarką. Aleksander Sołżenicyn w „Archipelagu Gułag” opisuje ten pierwszy etap budowy Martwej Drogi:

„... ludzie mieszkają w szalasach utkanych mchem, komary żrą ich żywcem, płynne błoto nigdy nie zasycha na ich ubraniach, tym bardziej obuwie jest zawsze mokre. Trasa ich robót jest wytyczona byle jak i prowadzona na łapu capu (a tym samym z góry wiadomo, że trzeba ją będzie przerabiać), nie ma w pobliżu odpowiednich drzew na słupy i dlatego posyła się ludzi na dwu-trzydniowe wyprawy (!) po pnie, które muszą sami dźwigać¹¹”.

Linia kolejowa pociągnęła się na wschód od Salechardu wzdłuż rzeki Połuj, a od Igarki w górę Jenisieju do Jermakowa i dalej w kierunku zachodnim wzdłuż rzeki Turuchan. Po rzekach tam i z powrotem pływały kutry i barki obsługujące budowę. Co kilka kilometrów można było napotkać łagrowe wieżyczki strażnicze z reflektorami. Rzecz jasna, łagry budowali sami więźniowie. Brygada więźniów pod konwojem, po doprowadzeniu w miejsce lokalizacji nowego łagru, rozpoczynała pracę od postawienia ogrodzenia z drutu kolczastego i wieżyczek strażniczych, a następnie, już za drutami, budowała obóz. Łagry przeznaczone dla 400-500 więźniów były budowane wzdłuż trasy kolei w odległości co 5-7 km. Większe łagry budowano w pobliżu budowy dużych mostów, parowozowni lub warsztatów. W sumie na całej „strojce nr 501-503” wybudowano nie mniej niż 150 łagrów, ale wydaje się, że cyfra 200 jest bliższa prawdzie (do dzisiaj zachowało się ponad 100 obozów). Więźniowie każdego łagru musieli wybudować określony odcinek nasypu. Na przygotowanym nasypie tory kolejowe układały specjalne brygady, mieszkające w wagonach i przemieszczające się w miarę budowy trasy. Więźniowie tych brygad byli lepiej odżywiani i pracowali w systemie *zacciotów* (zaliczeń) tj. według zasady: 125 % normy wykonanej w ciągu dnia równa się dwa dni wyroku mniej, 150 % normy — trzy dni wyroku. Kiedy terminy

10. Dane opracowane przez Aleksandra Wołogodzkiego na podstawie kompletnej kartoteki łagrowej obejmującej 473 osoby, znalezionej w jednym z obozów Martwej Drogi w czasie ekspedycji w 1988 r.

11. T. III, str 513. Na podstawie opowiadania „Miortwaja Doroga”, Aleksander Pobożij, *Nowyj Mir*, 1964, nr 8, str 152-154.

szczególnie nagliły, wtedy często zdarzało się, że na końcu wyznaczonego przez naczalstwo odcinka (1200-1300 m torów do ułożenia dla jednej brygady w ciągu dnia) stawiano stoły z obfitym jedzeniem, tytoniem i spirytusem — „zdążycie wykonać — wszystko dla was”. Żeby przyspieszyć tempo robót, budowano kolej typu pionierskiego: z niewysokim nasypem i przeważnie drewnianymi mostami. W przyszłości, już po otwarciu ruchu pociągów na trasie, planowano systematycznie linię poprawiać: podsypywać nasyp, wymieniać mosty, przebudowywać. Ale na razie najważniejsze było to, że do Moskwy mogły iść raporty: otwarto ruch pociągów wzdłuż rzeki Połuj..., wybudowano 560-metrowy most przez rzekę Nadym..., ruszyły pociągi na zachód od Jermakowa nad Jenisiejem... Oczywiście *Osbkij koliektiw* — „strojka 501”, wezwał do socjalistycznego współzawodnictwa pracy oddział wschodni — „strojka 503”, zwracając się o arbitraż do GULŽDS, *politotdiela* Gułagu i CK związków zawodowych.

Budowa kolei żelaznej, biegnącej przez dziewicze pustkowia Syberii, wymagała stworzenia niezbędnego zaplecza. Między Obià i Jenisiejem na całej trasie przyszłej kolei więźniarskie ręce budują przystanie rzeczne, parowozownie, stacje kolejowe, warsztaty mechaniczne, magazyny, nawet zakłady krawieckie, szyjące odzież dla więźniów. W Salechardzie więźniowie wybudowali *posiòtok stroitielej*, w którym mieściła się siedziba zarządu „strojki nr 503”, zarząd obskiego ITŁ i kwatery wolnonajemnych: kadry inżynierskiej i technicznej, geologów, buchalterów, pilotów, lekarzy, itp. Podobnie nad Jenisiejem, w miejscu planowanej przyszłej przeprawy promowej, więźniowie wybudowali miasto Jermakowo, w którym mieściła się siedziba zarządu „strojki nr 503” i Jenisiejskiego ITŁ. Została uruchomiona przeprawa pociągów przez Ob pomiędzy Salechardem i Łabytnangà. Latem przeprawa odbywała się przy pomocy barek, a później specjalnie zamówionych na Zachodzie promów do przewozu pociągów. Zimą układano 26-kilometrowà przeprawę po lodzie. Na wtopionych w lód długich drewnianych pniach więźniowie układali kratownicę z belek, a na wierzchu montowali tory. Na początku zimy, nieokrzeplý lód Obi trzeszczał i falował pod ciężarem parowozów. Legenda więźniarska głosi, że „zek-maszynista”, który pierwszy przeprowadził po lodzie parowóz na drugà stronę rzeki, od razu został wypuszczony na wolność.

Na początku robót budowlanych był wyznaczony tylko ogólny kierunek trasy. Nie przeprowadzono rozpoznania terenu, nie było projektu technicznego budowy (ukończono go dopiero

w 1952 r., kiedy ponad połowa linii była już wybudowana), brakowało nawet wystarczająco dokładnych map geograficznych rejonów, przez które miała przebiegać kolej. Było polecenie — prace zaczynać natychmiast, budowa jest „osobistą inicjatywą samego Józefa Stalina”. Tymczasem warunki klimatyczne i geologiczne północnych rejonów Niziny Zachodnio-Syberyjskiej wybitnie nie sprzyjały tego typu przedsięwzięciom. Zima królująca przez siedem — osiem miesięcy z temperaturami spadającymi do 50° C poniżej zera i polarnymi burzami śnieżnymi, pozostawiała tylko cztery miesiące w roku na przeprowadzenie prac budowlanych. Pokrywa śnieżna zalegająca od września do czerwca i sięgająca dwóch metrów, topniejąc w czasie krótkiego polarnego lata, zmieniała nizinne tereny w mokradła, rojące się od syberyjskiej „muszki”. I wreszcie okoliczność, która stawiała pod znakiem zapytania realizację całego przedsięwzięcia od strony technicznej — kolej budowano na wiecznej zmarzlinie, która wymaga stosowania specjalnych technik budowy. W przeciwnym razie następuje wytapianie się podłoża pod wybudowanymi obiektami, na skutek czego tracą one stabilność. To, co w normalnych warunkach jest bardzo trudne, przy takim sposobie prowadzenia budowy było niemożliwe. Syberyjska wieczna zmarzlina wytapiała się pod budowaną koleją, wykręcała tory, latem nasyp „zatapiał się”, to znów zimą wypiętrzał, waliły się pośpiesznie wybudowane mosty. Wiosenne powodzie zatykały błotem przepusty wodne, rozmywały nasyp. Oddane do użytku odcinki torów wymagały niemal natychmiastowych remontów, które trwały bez końca. Tysiące ludzi budowały linię kolejową i w tym samym czasie tysiące nieustannie pracowały nad utrzymaniem użyteczności tego, co już wybudowano. Pociągi jeżdżące z maksymalną prędkością 15-20 km/godz. regularnie wypadały z szyn.

W taki sposób wybudowano ponad połowę planowanego dystansu — łącznie 700 km jednotorowej linii kolejowej z rozjazdami co 9-14 km i stacjami kolejowymi co 40-60 km, w sumie 106 rozjazdów i 28 stacji. W 1953 roku ruch pociągów odbywał się na odcinkach: Salechard-Nadym-rzeka Chetta (403 km) oraz Jermakowo-Janow Stan (140 km). Budowa „nr 501-503” była finansowana według zasady *po faktyczeskim zatratam*, tzn. bez preliminarzy budżetowych i projektów rozchodów. Budżet państwa pokrywał realne koszty wykonanych prac. W rezultacie w syberyjskim błocie utopiono miliardy rubli. Liczba ofiar, które pochłonęła budowa Martwej Drogi, nie jest dokładnie znana. Według szacunków stowarzyszenia „Memoriał”, kilka tysięcy więźniów zmarło z wycieńczenia na skutek morderczej pracy w polarnym klimacie, głodu i chorób.

Obok tragedii dziesiątków tysięcy ludzi zmuszonych do niewolniczej pracy w polarnym klimacie, w historii Martwej Drogi najbardziej przerażające, a zarazem zdumiewające jest to, że na dobrą sprawę nie wiadomo, po co w ogóle tę kolej budowano. Nawet gdyby udało się połączyć Salechard i Igarkę i utrzymać tory w stanie użyteczności, to nie bardzo wiadomo, co chciano po tej trasie przewozić. Belki i tarcice z tartaków w Igarce? Nawet zakładając, że kolej została poprowadzona do położonego 200 km na północ od Igarki Norylska, to i tak budowa linii Salechard-Igarka byłaby zupełnie nieopłacalna. Dla wywieżenia produkcji tego kombinatu wydobywco-metalurgicznego wystarcza transport drogą morską do Murmańska lub barkami w górę Jenisieju do transsyberyjskiej magistrali kolejowej w Krasnojarsku. Poza Norylskiem i Igarką w tym rejonie nie ma żadnego ośrodka przemysłowego. Budowa linii kolejowej Salechard-Igarka, mającej połączyć dolny bieg Jenisieju z europejską siecią linii kolejowych, z punktu widzenia potrzeb gospodarki nie miała racjonalnego uzasadnienia. „*Strojka* nr 501-503” była związana z planowaną przez Stalina budową portu morskiego u wybrzeży Oceanu Lodowatego. Istnieją hipotezy, że miał to być port marynarki wojennej. Militarny cel przedsięwzięcia może pośrednio potwierdzić fakt, że *strojka* była finansowana, przynajmniej w pierwszym okresie, bez ograniczeń. Baza marynarki wojennej czy port przeładunkowy, to dla syberyjskiej przyrody nie ma żadnego znaczenia, tak czy inaczej, przez siedem miesięcy w roku port byłby skuty lodem. W tym czasie nie było jeszcze lodołamaczy o napędzie atomowym, które dzisiaj zapewniają żeglugę na Północnej Drodze Morskiej przez cały rok. Po co zatem połączenie kolejowe z portem, który zimą nie funkcjonuje, a latem wszystko co potrzeba można bez zbędnych nakładów przywieźć lub wywieźć barkami po Jenisieju lub Obi. Tak było za czasów carskich i tak jest do dzisiaj.

Więc dlaczego budowano tę kolej? Być może lektura dokumentów z archiwów KPZS i MWD ułatwi zrozumienie motywacji, jakie towarzyszyły podejmowaniu decyzji o budowie linii kolejowej Salechard-Igarka, ale wątpliwe, ażeby mogły one dać odpowiedź na pytanie, czemu miała ona służyć. Zdaje się, że takiej odpowiedzi w ogóle nie ma. „*Strojka* nr 501-503” była niepotrzebna. Linia kolejowa Salechard-Igarka okazała się bezużyteczna. Wszystko na to wskazuje, że inicjatywa budowy transpolarnej linii kolejowej, która w przyszłości miała ponoć prowadzić dalej, aż na Kołymę i do Morza Ochockiego, wyszła od Stalina. Z pewnością nikt nie odważył się uświadomić *gensekowi* bezsensowności tego przedsięwzięcia. Budowę przerwano niemal

od razu po jego śmierci, już w marcu 1953 r. Początkowo wydano rozporządzenie nakazujące konserwację już wybudowanych odcinków kolei. Potem, kiedy obliczono ile to by miało kosztować, dano sobie spokój. Po linii MWD było wydane rozporządzenie o konserwacji *gorodkow stroitieliej*, czyli łagrów. Wrota obozów zostały opieczetowane, a pieczęcie zapobiegliwie zabezpieczono nieprzemakalnymi woreczkami. Opustoszała *strojka* została oddana niepodzielnie we władanie syberyjskiej przyrody. Na rozległych obszarach Niziny Zachodnio-Syberyjskiej pozostał kilkusetkilometrowy tor kolejowy prowadzący donikąd.

O Martwej Drodze dowiedziałem się w maju 1990 roku. Wróciłem właśnie do Moskwy z nieudanego wyjazdu do Workuty. Organy odpowiedzialne za bezpieczeństwo w tym mieście, bardzo grzecznie, ale równie stanowczo, odesłały moją osobę z powrotem do Moskwy. Do dawnej stolicy *Workutlugu* wybrałem się nieposłusznie, wbrew temu, że odmówiono mi prawa wjazdu do tego miasta, wówczas jeszcze zamkniętego dla cudzoziemców. Tak więc siedziałem przy herbacie w mieszkaniu Susanny Sałomonowny Peczuro z moskiewskiego „Memoriału” i rozpamiętywałem wszystkie swoje błędy popełnione w Workucie, które spowodowały mój rychły powrót do Moskwy, kiedy Susanna opowiedziała mi o Martwej Drodze i ekspedycji „Memoriału”, która pod kierownictwem Aleksandra Wadimowicza Wołogodzkiego odwiedziła starą stalinowską *strojkę*. Na moją prośbę Susanna skontaktowała mnie z Wołogodzkiem. Aleksander Wadimowicz przyjął mnie późno wieczorem w swoim mieszkaniu, w bloku na peryferiach Moskwy. Wcześniej, w rozmowie telefonicznej zastrzegł się, że będzie mi mógł poświęcić najwyżej pół godziny. Trwała właśnie kampania wyborcza. Aleksander opowiedział pokrótce o Martwej Drodze i ekspedycji, pokazał mapy i fotografie, po czym razem poszliśmy *na raz-klejkę*, tzn. plakatowanie miasta afiszami wyborczymi. Aleksander Wadimowicz Wołogodzki, doktor nauk matematyczno-fizycznych, pracownik Instytutu Genetyki Molekularnej w Moskwie, członek moskiewskiego „Memoriału”, jest współczesnym „odkrywcą” Martwej Drogi. W latach siedemdziesiątych, w czasie studenckiej „praktyki robotniczej”, Aleksander pracował przy spławie drewna na Jenisieju. Pewnego dnia zobaczył na brzegu wymarłe miasto — Jermakowo. Wspomina, że zrobiło to na nim duże wrażenie. Od tego czasu datuje się jego zainteresowanie linią Salechard-Igarka. W latach 1988 i 1989 zorganizował i prowadził dwie ekspedycje „Memoriału” na Martwą Drogę. Wcześniej był w Jermakowie prywatnie, w czasie urlopu.

Wspólną ekspedycję na Martwą Drogę zorganizowaliśmy z

Aleksandrem w niespełna dwa miesiące od naszego pierwszego spotkania, w pierwszych dniach lipca 1990 roku. Trzecim uczestnikiem wyprawy był Eryk Iwanow, pracownik Państwowego Muzeum Historycznego w Moskwie, jeden z członków ekspedycji Wołogodzkiego w 1989 r. Naszym celem był wschodni odcinek Martwej Drogi — „strojka nr 503”. W Norylsku wylądowaliśmy o drugiej w nocy. Powitał nas polarny dzień ze słońcem rzucającym długie cienie na płycie lotniska. Wiał chłodny wiatr. Po dwóch dniach oczekiwania mały Antonow, straszliwie trzęsąc się na powietrznych wybojach, przewiózł nas do Igarki. Zamieszkaliśmy w hotelu koło lotniska. Za miastem, w miejscu które nam wskazał przypadkowy taksówkarz, znaleźliśmy stary cmentarz zesłańców z Litwy. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zobaczyliśmy niezwykle widok. Cmentarz zarośnięty lasem wydawał się być bardzo rozległy. Wśród grobów skrytych w zieleni poszycia płonęło kilka ognisk, snuł się zapach siwego dymu. W wielu miejscach ludzie, w dziwnych białych kapeluszach z woalkami na twarzach (moskitiery), stoją w głębokich dołach z łopatami w rękach i rozkopują groby. Przyjechali tutaj z odległej o tysiące kilometrów Litwy, aby ekshumować i przewieźć do ojczyzny prochy swoich bliskich, wywiezionych ponad 40 lat temu i zmarłych na zesłaniu. Na cmentarzu znajdują dwa polskie groby, mogiłę śp. Jadwigi Zalewskiej zmarłej w 1951 roku i śp. Feliksa Kosińskiego zmarłego w 1950 roku.

Następnego dnia wcześniej rano, wynajętym śmigłowcem (prawie do ostatniej chwili nie było pewne, czy to będzie możliwe), lecimy nad Martwą Drogę. Zasięg naszego Mi-8 z dodatkowym bakiem paliwa pozwala na penetrację liczącego 140 km odcinka, od nieistniejącej już osady Janow Stan do wymarłego miasta Jermakowo i pokonanie drogi powrotnej do Igarki. W tym dniu fotografujemy ze śmigłowca i наносimy na mapie lokalizację łągrów. W ciekawszych miejscach, jeśli to jest możliwe, lądujemy na kilka minut, żeby zrobić zdjęcia. Wieczorem wracamy do hotelu. Nazajutrz ładujemy na pokład helikoptera plecaki ze sprzętem biwakowym i żywnością i znowu lecimy w górę Jenisieju. Kiedy na brzegu rzeki widać już ruiny domów Jermakowa, śmigłowiec skręca w prawo, na wschód. Pod nami ponownie rozpościera się bezkresna lasotundra, przecięta bliźną starej linii kolejowej. Po około godzinie lotu helikopter przysiadł na chwilę przy ziemi nie wyłączając śmigła. Wyrzucamy plecaki i wyskakujemy na zewnątrz. Machamy rękami na pożegnanie *wiertalioctzikam*, czyli załodze śmigłowca. Stoimy na starym nasypie kolejowym.

Helikopter wysadził nas ok. 200 km na południowy zachód od Igarki, w pobliżu dziewiątego łagpunktu oddalonego ok. 50 kilometrów od Jenisieju. Ten dystans mamy przebyć pieszo. Idąc po torach kolejowych Martwej Drogi, co krok napotykalismy na przykłady potężnej siły drzemiącej w tej ziemi, którą 40 lat temu tak pochopnie próbowano ujarzmić. Wieczna zmarzlina, marznąc i rozmarzając, powyginała stalowe szyny, wypchnęła wbite w nią filary i naruszyła zręby budowli, połamala drewniane konstrukcje mostów. W niektórych miejscach przypomina to obrazy jak po trzęsieniu ziemi. Gdzie indziej tory kolejowe wraz z nasypem zanikają w porośniętym kępami turzycy bagnie albo pokrytym rzęsą wodną mokradle. Porzucone lokomotywy stoją na szynach obrosnięte karłowatym lasem. Pokryte warstwą czerwonej rdzy i zanurzone w powodzi zielonych liści, wyglądają jak nierealne zjawy. Pamięć przynosi obraz jednej z fotografii dokumentalnych z czasów *strojki*, na której widnieje taka sama lokomotywa, jadąca prosto w obiektyw aparatu fotograficznego, z wypisanym na przodzie hasłem *Siewier pobiedim* — „Północ zwyciężymy”.

Łagry, chociaż usytuowane w bezpośrednim sąsiedztwie trasy kolei, ukryte wśród niewysokich, ale gęstych drzew, są trudne do odnalezienia. Nigdy nie wiemy, czy już nie mineliśmy następnego łagpunktu. Z pomocą przychodzą notatki naniesione na mapie w czasie przelotu helikopterem i fenomenalna orientacja w terenie Aleksandra Wadimowicza. Natura jakby chciała zatrzeć ślady ludzkiego szaleństwa. Las pochłania obozy. Północnosyberyjskie brzozy i cedry otoczyły wieżyczki strażników, zasłoniły baraki więźniów. W trawie leżą butwiejące słupy ogrodzeń. Rdzewieje drut kolczasty. Podkłady kolejowe i zmurszałe drewniane chodniki w łagrach pokrył gęsty kobierzec mchów i porostów o osobliwym seledynowo-srebrzystym kolorze. Cmentarze więźniów usytuowane na ogół w pewnej odległości od obozu są praktycznie prawie nie do odnalezienia wśród gęstej roślinności. W miejscu pochówku więźnia wbijano słupek z drewnianą tabliczką, na której wypisywano numer *licznego diela*¹² zmarłego. Deszcze i topniejące śniegi zmyły do szczętu wypisane farbą numery, skazując zmarłych na nieodwracalną bezimiennosc. Pozarastane drogi, rozpadające się budowle, których pierwotnego przeznaczenia trudno się dzisiaj domyślić. Zaborcza roślinność wciskająca się we wszystkie szczeliny. Obrazy jakby z archeologicznej wyprawy w świat zaginionej cywilizacji.

Łagry rozlokowane wzdłuż trasy są do siebie podobne. Były

12. *Licznaje dielo* —teczka osobowa z dokumentami sprawy skazanego.

budowane na terenie zbliżonym do kwadratu o wymiarach w przybliżeniu 200 m x 200 m otoczonym ogrodzeniem z drutu kolczastego z wieżyczkami strażniczymi na rogach, na których były zamontowane reflektory. Dopływ energii elektrycznej do łagrów zapewniała linia telegraficzna, a zarazem elektryczna, wybudowana przez więźniów już w pierwszym roku budowy kolei. Po obu stronach właściwego ogrodzenia, od wewnątrz i na zewnątrz obozu biegły dodatkowo dwa niższe płoty z drutu kolczastego, wyznaczające „zonę śmierci”¹³. Na terenie typowego obozu znajdowało się 5-6 baraków, każdy długości ok. 40-50 m, podzielony pośrodku na dwie części z oddzielnymi wejściami. Po ilości prych ustalamy, że w jednym baraku normalnie przetrzymywano ok. 80 więźniów, chociaż w razie potrzeby z pewnością można było w nim stłoczyć dwa razy tyle „zeków”. Baraki były bardzo solidnie budowane. Drewniana konstrukcja oparta na palach podniesiona kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią ziemi, aby barak nie ogrzewał gruntu pod sobą i nie „wtapiał się” w zmarzlinę. Ściany z podwójnej warstwy desek, wewnątrz i na zewnątrz tynkowane gliną, bielone. Skośne dachy starannie pokryte gontem, poddasza, murowane piece. Władze GUŁZDS zapewne zakładały, że baraki będą w użyciu przez długie lata. Gdyby linia została ukończona, ktoś przecież musiałby ją na tym odludziu remontować i odśnieżać. Oprócz baraków w każdym łagrze znajduje się jadalnia, łaznia, magazyn depozytów osobistych więźniów, budynek KWCZ¹⁴, *miedpunkt*¹⁵, latryna, stróżówka przy bramie obozu i karcer, tzw. *szizo*¹⁶, usytuowany w narożniku obozu i oddzielony od niego dodatkowym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Jest to mały, murowany budynek mieszczący na ogół trzy cele, dwie mniejsze — pojedynki i jedną większą. W małych okienkach zżarte przez rdzę grube kraty. Masywne, drewniane drzwi celi z okiem „judasza” są pokryte grubą stalową blachą z obu stron. Po zewnętrznej stronie ogrodzenia obozu odnajdujemy w zaroślach kolejne zabudowania. W swej konstrukcji są bardzo podobne do łagrowych baraków. Budynek piekarni, magazyn na narzędzia, magazyny materiałów budowlanych, budynek *wochry*¹⁷, a na nim szafa ze stojakami na

13. „Zona śmierci” — wydzielony pas ziemi, biegnący wzdłuż ogrodzenia obozu; wg regulaminu strażnicy na wieżyczkach mieli prawo strzelać bez ostrzeżenia do więźnia, który znalazł się w tej strefie.

14. KWCZ, skrót od *Kulturno-Wospitatelnaja Czast* — Oddział Kulturalno-Wychowawczy, zajmujący się agitacją i propagandą, a także cenzurą korespondencji więźniów, miejsce gdzie mieściła się biblioteka obozowa.

15. *Miedpunkt* — skrót od *miedicinskij punkt* — punkt sanitarny.

16. *Szizo* — skrót od *szaftnoj izolator* — izolator karny.

17. *Wochr* — *wojeniziruwannaja ochrana* — „zmilitaryzowana ochrona” — straż obozowa, pełniona przez wojska NKWD.

broń i walające się po podłodze zaśniedziałe łuski karabinowe, do *wochry* przytyka *sobacznik* — ciąg solidnych i dobrze ocieplonych pomieszczeń dla psów. Budynek mieszkalny „naczalstwa” obozu, gdzie Eryk znajduje połamaną płytę gramofonową, którą rozpoczyna pieśń pod tytułem „Śmierć tyranom”¹⁸.

Największe wrażenie pozostawiły jednak wnętrza baraków. Mroczne pomieszczenie rozświetlone smugami ostrego słońca wpadającego przez okna i szczeliny w dachu. Cisza, chociaż z zewnątrz dochodzi intensywny śpiew ptaków. Pod ścianami rzędy drewnianych, dwupiętrowych prycz. Pośrodku piec. Na podłodze i na pryczach ślady bytności więźniów — porzucone rękawice, filcowe buty „walonki”, aluminiowe miski, jakaś łyżka, puste pudełko zapalek. Myśl, że przez 40 lat zapewne nikt przed nami tutaj nie zaglądał. Z jednej strony uczucie zdziwienia, jakie to wszystko jest zwyczajne. Brudna czapka „uszanka”, przysypana kawałkami pokruszonego tynku, tak po prostu leżąca w kącie baraku. A jednocześnie świadomość, że to właśnie tutaj, w tej scenerii, rozgrywały się dramaty ludzkich losów, które znamy z książek Aleksandra Sołżenicyna, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy Warłama Szalamowa. Myśl, w którą aż trudno samemu uwierzyć, że oto jestem na „niehumanitarnej ziemi”, opisywanej przez Józefa Czapskiego.

W budynku administracji obozowej jednego z łagrów, za masywnymi drzwiami obitymi grubą, stalową blachą, w pomieszczeniach tzw. *spec-czasti* (oddział specjalny), gdzie przechowywano łagrową dokumentację znaleźliśmy rozrzucone na podłodze połówki formularze księgowości łagrowej (niewypełnione). Wynika z nich, że w obozach bardzo skrupulatnie księgowano każdy gram chleba, każdą miskę zupy, każdą parę rękawic czy butów wydanych dla więźniów. Uwagę zwraca formularz codziennego wydania chleba dla więźniów z rubrykami na 300, 400, 500 itd., aż do 900 g chleba na osobę, w zależności od wykonanej normy pracy. Formalizm i biurokracja rozdzielania tych nędznych racji żywnościowych wywołują zdumienie. Na przykład formularz na codzienne wydanie zupy dla więźniów, osławionej wodnistej „bałandy”, podpisywało aż sześć osób: dwóch naczelników, dwóch księgowych, kierownik stołówki i dyżurny kuchni. W innym łagrze w budynku KWCZ znaleźliśmy wiszące na ścianach, świetnie zachowane hasła zapewniające, że „Wypełnienie piątego planu pięcioletniego to wielki

18. Polska, dziewiętnastowieczna pieśń rewolucyjna nieznanego autora, której refren w wersji sowieckiej brzmi: *I śmierć, i śmierć i śmierć, wam tirany*.

krok naprzód na drodze rozwoju od socjalizmu do komunizmu”. Oczywiście jest powszechnie wiadome, że system nie rezygnował z propagandowej fasady nawet w obozach Gułagu, ale to jednak robi duże wrażenie, kiedy w łagrze, zagubionym wśród syberyjskich pustkowi, ponad cztery tysiące kilometrów od Moskwy, na samym dnie niewolniczego imperium, zobaczy się na własne oczy hasło obwieszczające, że „Praca w ZSSR jest sprawą honoru i chwały, sprawą ofiarności i bohaterstwa”, czy „Niech żyje nasza wielka socjalistyczna ojczyzna — ZSSR”. Co musieli czuć wycieńczeni morderczą pracą więźniowie, kiedy patrzyli na te slogany? Z pewnością były dla nich zupełnie bez znaczenia. Zapewne patrzyli na nie obojętnie, nie zwracając nawet uwagi na monstrualną, w tym miejscu, wymowę ich treści. Ale czy wszyscy? O czym na przykład myślał Mieczysław Lisewicz¹⁹, Polak, nauczyciel z Baru na Podolu, skazany 3.08.1948 r. przez Trybunał Wojenny Północnej Grupy Wojsk na 10 lat, z § KK 58.1b (propaganda antysowiecka), kiedy wchodząc do KWCZ, aby nadać list lub odebrać paczkę od rodziny napotykał wiszące na ścianie hasło: „Kochajcie książkę — źródło poznania, bo tylko poznanie wyzwala, tylko ono może nas zmienić w silnych duchowo, godnych i mądrych ludzi”.

Dzień po dniu mozolnie posuwamy się w kierunku Jenisieju. Czasami przychodzi przedzierać się przez gęste zarośla porastające nasyp kolejowy, czasami brniemy w grząskim mokradle albo szerokim łukiem obchodzimy bagno, aby po jakimś czasie znowu odnaleźć nasyp Martwej Drogi. Ta kraina, która tak pięknie wyglądała z helikoptera, przy bliższym poznaniu okazuje się surowa i nieprzyjazna dla człowieka. Przede wszystkim ani na chwilę nie daje wytchnienia plaga insektów: komary, gzy i mała syberyjska „muszka”, która wciska się w każdy zakamarek odzieży. Trudno to opisać. Sylwetka człowieka jest nieustannie otoczona chmurą owadów. Nie można normalnie zjeść posiłku, wypić kubka herbaty czy wypalić papierosa. Wystarczy małe rozdarcie nogawki spodni, aby po kilku godzinach w tym miejscu na skórze była otwarta rana. Pomimo tego, że ręce i twarz pokrywamy środkiem chemicznym odstraszającym owady, nogawki i rękawy obwiązujemy w przegubach i

19. W 1989 r. ekspedycja stowarzyszenia „Memorial” zorganizowana i kierowana przez Aleksandra Wołogodzkiego znalazła w jednym z łagrów Martwej Drogi kompletną kartotekę więźniów. Wśród znalezionych 473 kart osobowych, 6 dotyczyło Polaków. Było ich w tym łagrze zapewne więcej (w kartotece jest wiele nazwisk o polskim brzmieniu), ale rubryka „narodowość” na większości kart nie została wypełniona. Dane dotyczące Mieczysława Lisewicza pochodzą z tej kartoteki.

kostkach i nie rozstajemy się z moskitierami, to jesteśmy mocno pokąsani. Eryk opuchł na twarzy tak bardzo, że patrzy na świat przez dwie wąziutkie szparki, ja mam bóle głowy i powiększone węzły chłonne na skutek zatrucia organizmu od ukąszeń. Nie darmo żyjące tutaj od stuleci plemiona Nenców latem migrowały na północ w chłodne rejony wybrzeża Oceanu Lodowatego, aby uciec przed tą plagą²⁰.

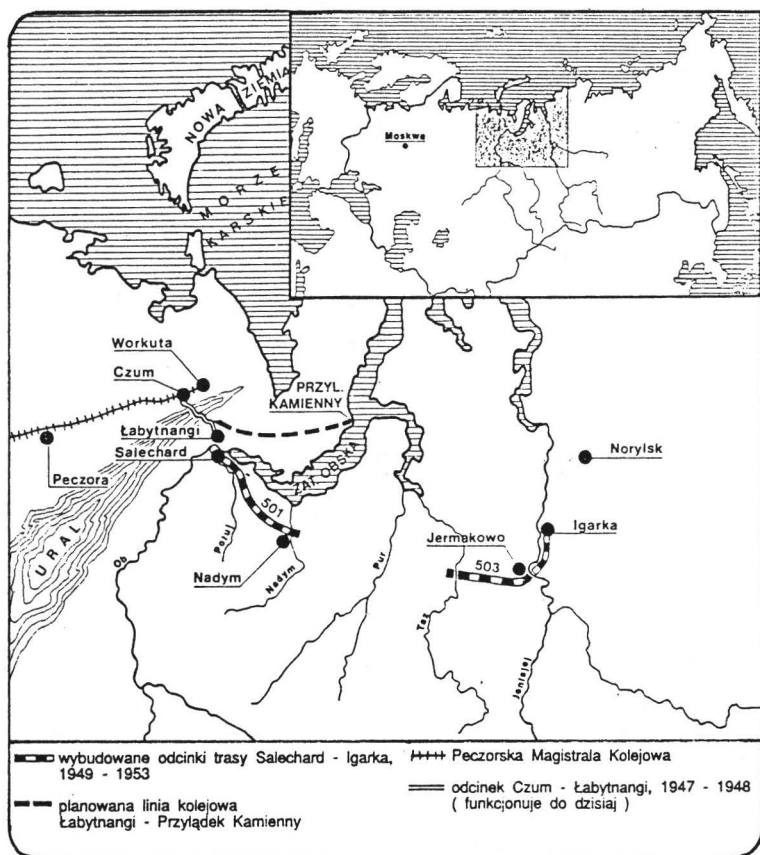
Na domiar złego bardzo daje się we znaki upał. Nigdy bym nie przypuszczał, że latem na kręgu polarnym może być tak gorąco. Codziennie temperatury powyżej 30° C. Duszne, wilgotne powietrze nie daje oddychać. Idziemy przez trzydzieści, czterdzieści minut, po czym leżymy w cieniu i „stygniemy” przez kwadrans. Inaczej się nie da, chociaż jesteśmy w dobrej kondycji fizycznej i normalnie się odżywiamy. Po kilku dniach wszyscy trzej jesteśmy bardzo zmęczeni, a przecież tylko maszerujemy z plecakami, przeszukujemy napotkane obozy albo wykonujemy proste, biwakowe czynności. Pewnego razu, kiedy siedzieliśmy przy ognisku, przed snem, zgadło się, że każdy z nas próbował wyobrazić sobie, że w tych warunkach musiałby pchać taczki wypełnione ziemią, dźwigać na plecach belki albo układać szyny kolejowe. Trudno sobie wyobrazić, jak więźniowie, którzy dla ochrony przed „muszką” mogli co najwyżej smarować się dziegciem, wytrzymywali pracę w takich warunkach. Poza wszystkim innym, ekspedycja na Martwą Drogę uzmysłowiła mi, jakim piekłem musiał być zwykły dzień pracy na „strojce 501-503”.

W końcu dotarliśmy do Jermakowa. Miasto wybudowane dla potrzeb *strojki*, usytuowane na lewym brzegu Jenisieju, miało kluczowe znaczenie dla wschodniego odcinka Martwej Drogi. Tutaj mieścił się zarząd łagrów i kierownictwo „budowy nr 503”. Latem w czasie sezonu nawigacyjnego na Jenisieju, miasto tętniło intensywnym życiem. Regularnie przyływały barki z kolejnymi transportami materiałów budowlanych, żywności i więźniów. Dzisiaj jedynym mieszkańcem opustoszałego Jermakowa jest samotny rybak — Borys Choczujew. Raz na dwa tygodnie przyływa kuter by zabrać od niego zasolony połów. Zimą wyłowioną spod lodu rybę co jakiś czas odbiera helikop-

20. Są znane relacje byłych więźniów, mówiące o tym, że latem, w niektórych łagrach, więźniów, którzy naruszali regulamin obozowy torturowano karą stójki pod *wyszką*. Polegała ona na tym, że skazany musiał stać w bezruchu pod okiem strażnika na wieżycze. Nieszczęśnik, oblepiony rojem muszek, komarów i gzów, które zżerały mu twarz, wiedział, że przy najmniejszym poruszeniu może zostać regulaminowo zastrzelony przez strażnika jako więzień znajdujący się w „zonie śmierci”.

ter. Poza tym prawie nikt tutaj nie zagląda. W chacie Borysa, na wysokim brzegu z widokiem na rzekę, spędziliśmy miłe chwile, odpoczywając i czekając na helikopter, który przyleciał w umówionym dniu i zabrał nas do Igarki. W Jermakowie pozostał samotny rybak Borys, który wydał mi się mimowolnym kustoszem tego wielkiego muzeum terroru, okrucieństwa i absurdu, które zaczyna się za drzwiami jego chaty i ciągnie na przestrzeni dziesiątków i setek kilometrów wśród trudno dostępnych, północnosyberyjskich pustkowi.

Tomasz KIZNY



Taki jest epilog budowy Martwej Drogi, stalinowskiej „strojki nr 501-503”, której historia może posłużyć za alegorię historii systemu sowieckiego od 1917 r. do dzisiaj.

Serdecznie dziękuję tym wszystkim, którzy pomogli mi w realizacji projektu „Martwa Droga”.

Bardzo dziękuję Panu Jerzemu Giedroyciowi za życzliwość i pomoc w realizacji projektu od momentu jego powstania oraz Panu Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu za napisanie słowa wstępnego do wystawy.

Ekspedycje w rejon Martwej Drogi nie byłyby możliwe bez pomocy i osobistego udziału Aleksandra Wadimowicza Wołogodzkiego, pracownika naukowego Instytutu Genetyki Molekularnej w Moskwie i członka Towarzystwa „Memorial”, który Martwą Drogą zajmuje się od kilku lat.

Niezastąpionym towarzyszem naszych wypraw był Eryk Iwanow, pracownik Państwowego Muzeum Historycznego w Moskwie. Większość eksponowanych fotografii dokumentalnych z lat 1949-1953 mogła znaleźć się na wystawie dzięki jego staraniom.

Ekspedycje w rejon Martwej Drogi zostały zorganizowane z pomocą Towarzystwa Historyczno-Oświatowego „Memorial”.

W finansowaniu i zabezpieczeniu środków materialnych ekspedycji wielką rolę odegrała Fondation Littéraire et Culturelle Polonaise z siedzibą we Fryburgu (Szwajcaria).

Bardzo dziękuję Komitetowi Kultury Niezależnej i Instytutowi na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej, a także Niezależnemu Centrum Studiów Międzynarodowych za pomoc finansową, która umożliwiła realizację wystawy.

Specjalne podziękowania składam Panu Menno van de Koppel za współpracę i wszechstronną pomoc przy opracowaniu wystawy.

Tomasz KIZNY

Wystawa fotograficzna pt. „Martwa Droga” składa się ze zdjęć wykonanych w czasie ekspedycji w lipcu 1990 i następnej ekspedycji w maju 1991 r. oraz fotografii dokumentalnych wykonanych w czasie budowy kolei w latach 1949-1953, pochodzących z archiwów: Centralnego Muzeum Kolejnictwa w Sankt Petersburgu, Muzeum Regionalnego w Salechardzie, Muzeum Regionalnego

w Syktywkar, Muzeum Regionalnego w Workucie i ze zbiorów prywatnych. Wystawa była prezentowana:

Warszawa, Galeria Zachęta, grudzień-styczeń 1991/1992, Bielesko Biała, Galeria BWA, luty 1992, Łódź, Galeria BWA, luty-marzec 1992.

Planowane dalsze ekspozycje: Słupsk, BWA, Bałtycka Galeria Sztuki w Ustce, lipiec 1992, Kraków, Pałac Sztuki, sierpień 1992.

Opracowane na podstawie:

1. Materiałów i informacji zebranych i opracowanych przez A.W. Wołogodzkiego z moskiewskiego „Memoriału”.

2. Sprawozdań inżyniera Ł.K. Tatarincewa — kierownika ekspedycji rozpoznawczej i szefa zespołu projektowego budowy nr 501-503 odnalezionych i opracowanych przez A.W. Wołogodzkiego.

3. Relacji Łazarza Szeryszewskiego, byłego więźnia łagrów budowy nr 501, nagranej w maju 1991 r.

4. Materiałów dotyczących wschodniego odcinka linii Salechard-Igarka (budowa nr 501) zgromadzonych w Regionalnym Muzeum w Salechardzie

oraz

5. N. Sawieliow, „Tuda wozwrata niet”, *Komsomolskaja Prawda*, 17.05.1988.

6. R. Goldberg, W. Szewieliow, „Miortwaja doroga bez wymysła”, *Tiumienskaja Prawda*, 19.08.1988.

7. R. Goldberg, W. Szewieliow, „501-ja. Legendy i fakty”, *Tiumienskaja Prawda*, 15.09.1988.

8. A. Dobrowolskij, „Miortwaja Doroga”, *Stroitielnaja Gazieta*, 1.03.1989.

Z. S. SIEMASZKO

PROBLEMY PODZIEMIA POD OKUPACJĄ SOWIECKĄ (1939-41)

Wkroczenie Armii Czerwonej do Polski o świcie 17 września 1939 r. było całkowitym zaskoczeniem. Władze polskie — zarówno wojskowe, jak i cywilne — wcale nie były do tego przygotowane i nie było żadnych tajnych (tym bardziej jawnych) instrukcji, jak należy postępować w wypadku agresji sowieckiej. Dlatego reakcje z polskiej strony były różne w poszczególnych ośrodkach decyzji. O ile chodzi o dwa największe miasta, zajmowane przez wojska sowieckie — Wilno i Lwów — to w Wilnie wojsko polskie wyszło z miasta bez walki na teren Litwy, gdzie zostało internowane, a we Lwowie złożyło broń przed Czerwoną Armią 22 września 1939 r.

Podział Polski pomiędzy Niemcy i Sowiety został przeprowadzony zgodnie z umowami niemiecko-sowieckimi z 23 sierpnia i 28 września 1939 r. Sowietom przypadło w udziale około 52 % terytorium i około 37 % ludności, czyli nieco ponad 13 milionów ludzi. Linia podziału przebiegała z grubsza wzdłuż obecnej wschodniej granicy państwa polskiego, z tym, że Białostockie było po stronie sowieckiej. Skład narodowościowy ludności zagarniętej przez Sowiety był następujący: Polacy 40 %, Ukraińcy i Rusini 34 %, Białorusini 9 %, tzw. tutejsi 6 %, Żydzi 8 %, Rosjanie, Niemcy, Litwini, Czesi — razem 3 %. Były to tereny mieszane narodowościowo i wyznaniowo, przypominające sytuację w dawnej przedrozbiorowej Rzeczypospolitej¹.

1. Podane tu dane liczbowe zostały wzięte z *Concise Statistical Year-Book*

Zgodnie z umową z Niemcami i na skutek ich żądania, Sowiety odstąpiły 10 października 1939 r. Wilno oraz wąski pas terenu wzdłuż granicy litewskiej — Litwie, która była jeszcze formalnie państwem niezależnym.

W dniach 1 i 2 listopada 1939 r. decyzją *Wierchownogo Sowietu SSSR* tzw. Zachodnia Ukraina, czyli południowa część okupacji sowieckiej, została włączona do Ukraińskiej SSR, a północna część (wyłączając Wilno i okolice) do Białoruskiej SSR.

W przeciwieństwie do tego, co działo się pod okupacją niemiecką, wkroczenie Armii Czerwonej zburzyło całkowicie istniejący przed wojną system społeczny i gospodarczy. Majątki, folwarki, przedsiębiorstwa, większe sklepy, magazyny zostały rozgrabione lub skonfiskowane przez nowe władze. W ten sposób z miejsca zniszczono bazę materialną (a w szczególności majątki ziemskie), na której mogłaby oprzeć się i opierała się pod okupacją niemiecką konspiracja polska.

Poza tym pewien procent mieszkańców, zresztą niewielki, stanął po stronie władz sowieckich. Wśród nich byli komuniści i ich sympatycy, jak również inni ludzie, np. kryminaliści, którzy mieli pretensje do władz polskich. Do tej grupy należeli nie tylko niektórzy Ukraińcy, Żydzi i Białorusini, ale również i Polacy, w pierwszym rządzie członkowie niedawno rozwiązanej Komunistycznej Partii Polski lub członkowie Partii Zachodniej Ukrainy, czy też Zachodniej Białorusi, a wśród nich (bardziej znani) komuniści wileńscy: Jędrzychowski, Putrament, Sztachelski i inni².

Jednocześnie z miejsca po wkroczeniu wojsk sowieckich rozpoczęły się areszty, początkowo ludzi bardziej znanych lub eksponowanych, a potem również ludzi przeciętnych, w pierwszym rządzie Polaków, ale również Żydów, Ukraińców i Białorusinów.

Pomimo tych niesprzyjających warunków zaczęły mnożyć się wszelkiego rodzaju tajne organizacje, w oparciu o powiązania wojskowe, harcerskie, szkolne, a rzadziej niż pod okupacją niemiecką — polityczne. Nieraz były to poczynania naiwne i ryzykowne i powodowały dalsze aresztowania. Wiele spośród tych

of Poland (September 1939-June 1941), The Polish Ministry of Information, London December 1941. Jako „tutejsi” występowali głównie ci, którzy nie chcieli podawać się ani jako Białorusini, ani też jako Polacy, bo byli związani z obu narodami.

2. Warto zwrócić uwagę na to, że wileńscy komuniści nie należeli ani do Komunistycznej Partii Polski, ani też do Litewskiej Partii Komunistycznej, a do Partii Zachodniej Białorusi, co sugeruje, że przed rozmowami z Niemcami w sierpniu 1939 r. Sowiety uważały, że Wilno powinno należeć do Białoruskiej Republiki.

organizacji usiłowało nawiązać kontakt z Warszawą albo też z Paryżem, przez Węgry lub Rumunię, czy też przez Wilno i Szwecję. Warszawa i Paryż również starały się skontaktować z okupacją sowiecką.

Już w listopadzie 1939 r. gen. Karaszewicz-Tokarzewski, jako komendant główny Służby Zwycięstwu Polski, wysłał do Wilna delegację składającą się z następujących oficerów: płk dypl. Janusz Gaładyk, ppłk Nikodem Sulik i mjr Aleksander Krzyżanowski³. Gaładyk dostał się w ręce litewskie. Dołączono go do oficerów internowanych na Litwie. Służył potem w armii gen. Andersa, ale poważnej roli nie odegrał.

Sulik nawiązał w Wilnie kontakty z najważniejszymi organizatorami tamtejszej konspiracji — ks. Kazimierzem Kucharskim, jezuitą i mjr. Władysławem Kamińskim, który został zastępcą Sulika. Natomiast mjr Krzyżanowski objął funkcję szefa sztabu wileńskiej komendy. Przy tym dowództwie powstała również Rada Wojewódzka o charakterze politycznym, w której byli reprezentowani endecy, sanatorzy i pepeesowcy. Należał również do niej przedstawiciel abp. Jalbzykowskiego.

Jednocześnie w listopadzie 1939 r. płk dypl. Stefan Rowecki (późniejszy „Grot”), zastępca Karaszewicza-Tokarzewskiego, wysłał do Lwowa mjr. dypl. Alfonsa Klotza⁴. Nawiązał on tam kontakt z istniejącą organizacją zapoczątkowaną przez gen. Januszajtisa (już aresztowanego), na czele której stał płk Władysław Żebrowski. Wkrótce przybył również do Lwowa emisariusz z Paryża, mjr Tadeusz Strowski⁵. To nieskoordynowane przyby-

3. Późniejszy „Gen. Wilk” dowódca Okręgu Wileńskiego AK. Zmarł po wojnie w więzieniu UB.

4. Mjr Klotz lub Kloc występował pod różnymi imionami: Alfons, Aleksander, Alfred, Alutek.

5. Strowski („Turzyma”), który u prof. Kota (*Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*, str. 149) występuje jako *b. mjr. S.*, to postać tajemnicza. Gen. Rowecki w „meldunku organizacyjnym nr 79” z 1 października 1941 r. na podstawie ustaleń mjr. Dobrowolskiego i mjr. Klotza (*A.K. w dokumentach*, t. 2, str. 114) pisze, iż Strowski był legionistą w stopniu plutonowego. Zameldował się w 1939 r. we Lwowie w mundurze majora. Był dowódcą odcinka w obronie Lwowa, został ranny i w szpitalu nawiązał kontakt z gen. Andersem. W tym względzie nie zgadza się ta relacja z tym co pisze Kot, mianowicie, że *b. mjr. S.* jako komendant milicji we Lwowie w dniu 3 października 1939 r. groził mu aresztowaniem. Dalej meldunek Roweckiego mówi, że Strowski przez Węgry przedostał się do Paryża i tam przy pomocy swego krewnego Fortunata Strowskiego, mieszkającego stale w Paryżu, uzyskał stopień podpułkownika. W grudniu 1939 r. przybył przez Bukareszt do Lwowa i przedstawił instrukcję gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego, dotyczącą utworzenia organizacji wojskowej. Wówczas Dobrowolski i Klotz ustalili jego przeszłość. Wiosną wraz z żoną został Strowski aresztowany przy przechodzeniu granicy. W więzieniu wszystko wydał. Kot

cie dwóch delegatów doprowadziło do rozbitcia organizacji lwowskiej na dwa, a potem trzy odłamy, oskarżające się później wzajemnie o współpracę z NKWD. Na czele najliczniejszego odłamu, który miał powiązania ze Stronnictwem Narodowym, stał mjr Emil Macieliński. Na czele drugiego mjr Zygmunt Dobrowolski, a na czele trzeciego, który miał powiązania legionowe, stał ppłk dypl. Jan Sokołowski i przybyły z Warszawy mjr Klotz.

W grudniu 1939 r. dowództwo naczelne w Paryżu ustaliło organizację podziemną w kraju, nadając jej nazwę Związek Walki Zbrojnej (ZWZ). Okupację sowiecką dzieliła ona na dwa Obszary — nr 2, obejmujący tereny przydzielone do Białoruskiej SSR, z dowództwem w Białymstoku i nr 3, obejmujący tereny przydzielone do Ukraińskiej SSR, oraz osobny, niezależny Okręg Wileński, obejmujący samo miasto i pas terenu przydzielony do Litwy; każde z tych dowództw miało podlegać bezpośrednio naczelnemu dowództwu w Paryżu. Komendantem w Białymstoku został mianowany ppłk Adam Obtulowicz, we Lwowie mjr Emil Macieliński i w Wilnie ppłk Sulik.

Dowództwo w Paryżu było zdania, że Wilno ma spełniać jedynie rolę bazy przekątnikowej w komunikowaniu się z okupacją sowiecką i nie życzyło sobie rozbudowywania wileńskiej organizacji podziemnej, żeby nie zrażać sobie władz litewskich. Dlatego niezbyt łaskawie przyjęto w Paryżu pierwszego emisariusza z Wilna, por. dypl. Aleksandra Bluma, który przybył do Francji w styczniu 1940 r. i meldował szeroki zakres podziemia wileńskiego.

W styczniu 1940 r. gen. Sikorski mianował gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego komendantem nadrzędnym obu Obszarów pod okupacją sowiecką, jak również Okręgu Wileńskiego. Jako szefa sztabu dobrał sobie Karaszewicz-Tokarzewski ppłk. dypl. Klemensa Rudnickiego, którego sprowadził do Warszawy z Krakowa. Rudnicki przekroczył granicę sowiecką pod koniec lutego 1942 r., a Karaszewicz-Tokarzewski na początku marca 1942 r. Obaj, niezależnie jeden od drugiego, już na granicy

pisze do Tokarzewskiego 6 listopada 1941 r. o obciążających Strowskiego zeznaniach współwięźniów, ale sądzi, że nie należy tego traktować jako bezwzględного potępienia i sugeruje, że po wyjaśnieniu sprawy stopnia wojkowego, mógłby użyć Strowskiego do nadzoru transportów Czerwonego Krzyża z Indii do Aszchabadu, gdyż granica ta znana jest Strowskiemu z przeszłości (o jaką przeszłość chodzi, nie wiadomo). Autorka wspomnień *The Unsettled Account*, Eugenia Huntington, pamięta mjr. Strowskiego ze sztabu w Buzułuku jako dobrze ułożonego i przyjemnego oficera (relacja ustna z 1991 r.), który po pewnym czasie znikł z Buzułuku. Dalsze jego losy nie są znane.

wpadli w ręce NKWD, ale żadnego z nich nie rozpoznano. Karaszewicz-Tokarzewski jako rzekomy „dr Mirowy” został wysłany do łagru i tam spełniał funkcje lekarskie⁶. Natomiast Rudnicki, jako „Rumiński”, miał szczęście i wyjątkowo nie został wysłany do łagru, a na tzw. *wolnoje posielenije*, gdzie był przydzielony do pracy w cegielni i nie mógł stamtąd oddalać się. Obaj wyjechali później z armią gen. Andersa. Karaszewicz-Tokarzewski dowodził 3 Korpusem, organizującym się na Środkowym Wschodzie, a Rudnicki, już jako generał, zakończył wojnę dowodząc 1 Dywizją Pancerną w Niemczech.

Aresztowania pod okupacją sowiecką trwały nadal i schodziły coraz bardziej „pod strzechy”. W sumie podczas tej okupacji aresztowano około 250 tysięcy głównie mężczyzn, ale też częściowo kobiety. Na początku 1940 r. rozpoczęła się nowa forma prześladowań.

Nad ranem 11 lutego 1940 r. zabrano z domów, załadowano do towarowych wagonów i wywieziono całymi rodzinami dwie kategorie ludzi — obsługę lasów i osadników zarówno wojskowych, jak i cywilnych, czyli tych, którzy objęli w posiadanie rozparcelowane w okresie niepodległości majątki. W lutym 1940 r. wywieziono około 220 tysięcy ludzi, przeważnie całe rodziny.

Wywózka ta zadała poważny cios podziemnemu działaniu, bo po pierwsze zniknęła z terenu grupa osadników wojskowych i ich rodzin, na których podziemie mogło polegać. Po drugie lasy, które dotychczas zarówno w powstaniu 1863 r. (co widać na obrazach Grottgera), jak i w czasie odwrotu Armii Polskiej

6. Mjr Klotz razem ze swą łączniczką, która prawdopodobnie nazywała się Wanda Stankowska (zginęła później jeszcze w czasie wojny) wyruszył w głąb Sowietów na poszukiwanie gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego, ale nie zdołał go znaleźć. Zresztą odnalezienie kogoś w łagrze było niemożliwością. Po wojnie Klotz znalazł się na Zachodzie i pozostawił po sobie nieco fantazyjne wspomnienia („Maks Leon”, *Russia by the Back Door*, Sheed and Ward, London 1954). Zmarł w Australii. Tymczasem NKWD zdało sobie sprawę z tego, że Karaszewicz-Tokarzewski musi być nierozpoznany w ich rękach. Zaczęli więc poszukiwać go i już w 1941 r. sprowadzili z powrotem z łagrów do Moskwy szereg więźniów, których podejrzewali o to, że mogą być Karaszewiczem-Tokarzewskim, a między innymi „dr Mirowego”. W tej sytuacji Karaszewicz-Tokarzewski przyznał się do tego, kim był. Miało to miejsce wkrótce przed niemieckim atakiem na Sowiety. Po wyjściu na wolność zgłaszał się gen. Karaszewicz-Tokarzewski do kraju dwukrotnie. Po raz pierwszy w grudniu 1941 r. w Tockoje, wobec gen. Sikorskiego, a po raz drugi w czerwcu 1943 r. wobec gen. Sosnkowskiego, kiedy gen. Rowecki został aresztowany przez Niemców. Można by zastanawiać się, jak potoczyłyby się wypadki w kraju, a w szczególności, czy doszłoby do Powstania Warszawskiego, gdyby gen. Karaszewicz-Tokarzewski objął dowództwo AK latem 1943 r.

w 1920 r. były zdecydowanie polskim schronieniem, teraz, po usunięciu całej polskiej lub propolskiej obsługi leśnej, stały się, w późniejszym okresie wojny, schronieniem partyzantki sowieckiej.

Nad ranem 13 kwietnia 1940 r. miała miejsce druga wielka wywózka. Wywieziono wówczas około 320 tys. ludzi. Tym razem zabrano rodziny wszystkich tych, których nie było w domu, a więc tych, których władze sowieckie trzymały w więzieniach i łagrach, tych, którzy byli w sowieckiej lub niemieckiej niewoli jako jeńcy wojenni, tych, którzy polegli we wrześniu 1939 r., tych, którzy uciekli pod okupację niemiecką lub za granicę, jak również tych, którzy zginęli w zawierusze wojennej i okupacyjnej. Znowu ta wywózka zredukowała poważnie bazę, na której miało opierać się działanie podziemne, bo władze wyeliminowały z tych terenów wszystkie rodziny oficerskie, podoficerskie, ziemiańskie, inteligenckie, policyjne itp.

Wiosną 1940 r. został wysłany z Paryża przez Warszawę do Lwowa ppłk dypl. Stanisław Pstrokoński, w celu uregulowania stosunków w ZWZ pod okupacją sowiecką. Przekroczył on granicę sowiecką 8 maja 1940 r. Po przybyciu do Lwowa, pomimo ostrzeżeń otrzymanych w Warszawie, kontaktował się z Macielińskim. Już 21 czerwca 1940 r. został aresztowany. Zawieziono go do Moskwy, tam udowodniono mu, iż organizacja ZWZ we Lwowie jest spenetrowana przez NKWD. Rozmawiał z nim nawet Beria, który stał na czele NKWD. Przywieziono go do Lwowa, żeby objął pod nadzorem NKWD kierownictwo tamtejszej organizacji, ale zauważono, że Pstrokoński uprzedzał zaufanych ludzi o tym, że ZWZ jest spenetrowane przez NKWD. Więc po dziesięciu dniach zabrano go z powrotem do Moskwy. Pstrokoński wyszedł na wolność po „amnestii” w sierpniu 1941 r. Wstąpił do armii gen. Andersa i złożył sprawozdanie z tego, co się stało we Lwowie. Nie był sądzony, ale żadnych odpowiedzialnych funkcji aż do końca wojny nie otrzymał. Zmarł w W. Brytanii.

W tym czasie kiedy Pstrokoński był we Lwowie, 15 czerwca 1940 r., Armia Czerwona wkroczyła do Wilna i zajęła całą Litwę, jak również Łotwę i Estonię. Działo się to w tym czasie, kiedy Niemcy zajmowali Francję.

Z powodu upadku Francji, 18 czerwca 1940 r. płk dypl. Rowecki został mianowany komendantem ZWZ na obie okupacje i wkrótce otrzymał awans na generała.

W końcu czerwca 1940 r. wywieziono w głąb Sowietów tych, którzy we wrześniu 1939 r. uciekli przed Niemcami do Wschodniej Polski. Objęło to w sumie około 240 tysięcy ludzi, w tym około 60 % Żydów.

W październiku 1940 r. wysłał Rowecki do Białegostoku (w

którym po zaginięciu płk. Obtułowicza sytuacja była niejasna) delegację w następującym składzie: mjr Józef Spychalski⁷, kpt. Janusz Szlaski i kpt. Władysław Liniarski. Spychalski został aresztowany już 17 listopada 1940 r., a Szlaski 21 lutego 1941 r. Spychalskiego zwolniono z więzienia po „amnestii” w 1941 r.; wstąpił do armii gen. Andersa, zgłosił się do kraju, został zrzucony w marcu 1942 r. i był komendantem Okręgu Krakowskiego AK. Aresztowany dwa lata później, zginął w Sachsenhausen w sierpniu 1944 r. Szlaski został skazany przez NKWD na śmierć, ale w czasie ewakuacji więźniów przed nacierającą armią niemiecką w czerwcu 1941 r. zdołał uratować się. Powrócił do Warszawy i został wyznaczony komendantem Okręgu Nowogródzkiego AK. Funkcję tę spełniał do czerwca 1944 r. Zmarł w Londynie w 1983 r. Natomiast Liniarski był przez cały okres wojny komendantem Okręgu Białostockiego. Zmarł po wojnie w kraju.

Paryż, a potem Londyn miał do komendanta Obszaru Lwowskiego mjr. Macielińskiego zaufanie i nawet mianował go podpułkownikiem. Mogło się przyczynić to do tego, że pomimo, iż był on kilkakrotnie aresztowany przez NKWD i każdorazowo zwalniany, kierował swoją organizacją względnie skutecznie i jego ośrodek był pierwszym z całego kraju, który nawiązał łączność radiową ze światem zewnętrznym. Pomimo formalnego podporządkowania Lwowa Warszawie w czerwcu 1940 r., starał się Macieliński w dalszym ciągu utrzymywać bezpośrednie kontakty z Centralą w Londynie. Jednocześnie Rowecki stawał się coraz bardziej podejrzliwy w stosunku do Macielińskiego i we wrześniu 1940 r. otrzymał dzięki wysłannikowi Włodzimierzowi Kordeckiemu (oficer policji) dowody na to, że środowisko Macielińskiego współpracuje z NKWD.

W listopadzie 1940 r. gen. Rowecki wysłał do Lwowa płk. dypl. Leopolda Okulickiego z zadaniem uporządkowania spraw we Lwowie i objęcia komendy nad całą okupacją sowiecką. Jednak już 22 stycznia 1941 r. Okulicki został we Lwowie aresztowany. Późniejsze jego losy są względnie dobrze znane. Został zwolniony na skutek „amnestii”, był początkowo szefem sztabu gen. Andersa, potem został zrzucony do kraju w maju 1944 r. Był ostatnim komendantem głównym AK, ujawnił się przed władzami sowieckimi w marcu 1945 r. Był sądzony w procesie publicznym w Moskwie. Zmarł w więzieniu sowieckim w grudniu 1946 r.

Z powyższego zestawienia wynika, że zarówno we Lwowie, jak i w Białymstoku na początku 1941 r. sytuacja nie była naj-

7. Józef Spychalski był starszym bratem (ściślej bratem przyrodnim) późniejszego marszałka PRL Mariana Spychalskiego.

lepszą. Jedynie w Wilnie organizacja działała sprawnie. Po zajęciu Litwy przez Sowiety, całe województwo wileńskie zostało podporządkowane dowództwu wileńskiemu, a jednocześnie Okręg Wileński zorganizował podokręg na terenie Litwy z centrum w Kownie. I właśnie przez Kowno usiłowało NKWD spenetrować organizację wileńskiego ZWZ. Zwróciło się ono do znanego w Kownie działacza polskiego Konstantego Butlera z propozycją nawiązania kontaktu z dowództwem ZWZ w Wilnie, w celu rzekomego omówienia wspólnej walki z Niemcami, w zamian za dostarczenie radiostacji i umożliwienie kontaktów z gen. Sikorskim. Z propozycją tą zgłosił się Butler do ks. Kucharskiego, który zdołał doprowadzić do tego, że Butlera przetrzymał do Generalnego Gubernatorstwa konsul niemiecki w Kownie, co uratowało zarówno Butlera, jak również wileński ZWZ, przynajmniej do czasu.

NKWD w dalszym ciągu rozpracowywało podokręg kowieński i w marcu 1941 r. został aresztowany komendant tego podokręgu, por. Zbigniew Jentys. Potem aresztowania przeniosły się do Wilna, gdzie na początku kwietnia 1941 r. aresztowano szereg członków ZWZ, między innymi znanego w Londynie polonistę, ówczesnego ppor. Józefa Bujnowskiego, mjr. Kamińskiego i komendanta Okręgu ppłk. Sulika. Potem w maju 1941 r. aresztowano również ks. Kucharskiego. Mjr Kamiński zginął pod Monte Cassino jako dowódca 13 Batalionu Wileńskiego. Sulik został generałem i dowodził we Włoszech 5 Kresową Dywizją Piechoty. Zmarł w Londynie w 1954 r. Ks. Kucharski był kapłanem w 2 Korpusie i zmarł we Włoszech w 1956 r.

Z powyższego zestawienia wynika, że w przededniu ataku niemieckiego na Sowiety odgórna organizacja polskiego podziemia pod okupacją sowiecką była w rozsypce.

Należy tu zwrócić uwagę na to, że w przeciwieństwie do okupacji niemieckiej, nie było tu praktycznie rzecz biorąc partyjnych organizacji wojskowych: ani Batalionów Chłopskich — Stronnictwa Ludowego, ani Narodowej Organizacji Wojskowej — Stronnictwa Narodowego, ani też Związku Jaszczurczego, czy też później Narodowych Sił Zbrojnych — Obozu Narodowo-Radykalnego.

Nie było też pod okupacją sowiecką regularnej prasy podziemnej, ukazywały się jedynie krótkotrwałe periodyki. Natomiast istniała prasa sowiecka w języku polskim. Mianowicie *Czerwony Sztandar* — dziennik wydawany we Lwowie, *Prawda Wileńska* — wychodząca trzy razy na tydzień w Wilnie, czy też *Nowe Widnokręgi* — miesięcznik literacko-społeczny wydawany we Lwowie pod redakcją Wandy Wasilewskiej. Jednak trzeba

pamiętać, że w prasie tej określenie „ojczyzna” odnosiło się do Sowietów, natomiast Polska była określana jako „pańska”, albo „była”.

W listopadzie 1940 r. obchodzono we Lwowie uroczystości 85-tą rocznicę śmierci Adama Mickiewicza. Jednym z głównych mówców był Tadeusz Boy-Żeleński.

W przeciwieństwie do okupacji niemieckiej szkoły średnie były czynne, ale przekształcano je na sowieckie *diesiatiletki* i nadawano im programy sowieckie. Na terenach przyłączonych do Ukrainy i Białorusi szkoły te, z polskim językiem wykładowym, były rzadkością, natomiast w Wilnie, po zajęciu go przez Sowiety, w większości *diesiatiletek* nauka odbywała się po polsku, a jedynie w kilku po litewsku.

Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie został przez Litwinów zamknięty w grudniu 1939 r. Natomiast we Lwowie zarówno Politechnika jak i Uniwersytet, przemieniony na im. Iwana Franko, działały w dalszym ciągu. Programy ich przystosowano stopniowo do programów sowieckich. Mianowano nawet dwóch nowych profesorów — Boya-Żeleńskiego na wydziale romanistyki i przybyłego z Politechniki Warszawskiej Janusza Groszkowskiego, któremu otworzono na Politechnice Lwowskiej wydział prądów słabych (przedtem we Lwowie takiego wydziału nie było).

W czerwcu 1941 r. z Wilna i z terenów przydzielonych do Białoruskiej SSR wywieziono około 180 tysięcy ludzi w głąb Sowietów.

Sytuacja zmieniła się na terenie okupacji sowieckiej radykalnie, kiedy o świcie w niedzielę 22 czerwca 1941 r. armia niemiecka ruszyła na wschód. Ogromna większość mieszkańców tych terenów, z wyjątkiem sowieckich sympatyków i Żydów (co można zrozumieć) była zadowolona. Niemcy pozostawili na tych terenach dość dobre wspomnienia z okresu pierwszej wojny światowej, kiedy byli stróżami porządku i osłoną przed zalewem bolszewickim przez pewien okres czasu, więc nic dziwnego, że w 1941 r. w niektórych wsiach wkraczające oddziały niemieckie witano chlebem i solą. Ale nastroje te nie trwały długo, bo władze hitlerowskie szybko udowodniły, że inne narody traktują jak niewolników, a Żydów i Cyganów mordują. Mimo to Ukraińcy i Litwini w znacznej większości pozostali po stronie niemieckiej, co doprowadziło do przelewu krwi między nimi i Polakami. Jedynie Białorusini, którzy zawiedli się zarówno na Sowietach, jak i na Niemcach — jeżeli uprzednio wiązali z nimi jakieś nadzieje — zaczęli coraz bardziej orientować się „na Polskę” i licznie zasilali oddziały partyzanckie AK Okręgu Wilno i Nowogródek, które niekiedy miały charakter regularnego wojska.

Dopiero teraz, po zajęciu Lwowa przez Niemców, zdołał Grot-Rowecki opanować tamtejszą sytuację. Ppłk. Macielińskiego i dwóch oficerów jego sztabu oddano pod sąd⁸. Wszyscy trzej zostali skazani na śmierć. Wyroki wykonano w Warszawie w grudniu 1941 r.

Jesienią 1941 r. wywiązała się ciekawa wymiana telegramów na temat penetracji ZWZ przez NKWD pomiędzy płk. Okulickim w Buzułuku, gen. Sikorskim w Londynie i gen. Roweckim w Warszawie. Z korespondencji tej można wnioskować, że NKWD nie tylko dążyło do opanowania lwowskiej organizacji, ale przez nią starało się spenetrować dowództwo ZWZ w Warszawie i że celem tej penetracji było nie tylko odgórne opanowanie polskiej organizacji wojskowej, ale również otrzymywanie przez nią wiadomości o działaniu niemieckim⁹.

Londyn, marzec 1992 r.

Z.S. SIEMASZKO

8. Tymi oficerami byli kpt. pilot Edward Metzger i por. Edward Gola.

9. Dalsze dane o zabiegach sowieckich w celu otrzymywania informacji o Niemcach poprzez ZWZ/AK już po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej znajdują się w książce Z.S. Siemaszki „W sowieckim osaczeniu 1939-1943”, którą można nabyć w polskich księgarniach oraz u autora (64 Twyford Ave. London W3 9QB) — cena wraz z przesyłką: 10 funtów GB lub 18 dolarów US.

Tadeusz WYRWA

STOSUNKI RZĄDU GENERAŁA SIKORSKIEGO Z RZĄDEM PETAINA

Działalność rządu polskiego we Francji, po kampanii wrześniowej 1939 roku, z siedzibą najpierw w Paryżu a później w Angers, jest w ogólnych zarysach znana. Mniej natomiast są znane, a często celowo przemilczane, stosunki rządu polskiego w Londynie, po klęsce Francji w czerwcu 1940 roku, z rządem w Vichy. Powszechnie, zgodnie z rzeczywistością, walczącą Francję utożsamia się z generałem de Gaullem, a z marszałkiem Pétainem Francję pokonaną i kolaborującą z hitlerowskimi Niemcami. Wychodząc więc z logicznego założenia należałoby wnioskować, że rząd polski winien był dołożyć wszelkich starań do zacieśnienia stosunków z gen. de Gaullem przy jednoczesnym wrogim ustosunkowaniu się do rządu w Vichy. Tak jednak nie było, co stanowiło jeden z paradoksów w naszej historii z okresu drugiej wojny światowej.

Dla lepszego zrozumienia sytuacji trzeba przytoczyć kilka podstawowych faktów. Po zajęciu przez Niemców Paryża w dniu 14 czerwca 1940 następuje chaotyczna ewakuacja rządu polskiego z Angers do Libourne, miasta w pobliżu Bordeaux. W nie mniejszym chaosie do Bordeaux wycofał się rząd francuski. Mowa jest o rozejmie. August Zaleski, minister spraw zagranicznych polskiego rządu, udaje się do premiera Paul Reynaud z zapytaniem, czy według niego należałoby, żeby „rząd polski szedł śladami rządu francuskiego, czy też winien przedostać się na terytorium brytyjskie? Paul Reynaud wypowiedział się za wy-

jazdem rządu polskiego do Anglii¹". Jak wiadomo tak się też stało. Dnia 16 czerwca premier Reynaud podaje się do dymisji. Szefem rządu zostaje marszałek Pétain, który 17 czerwca wygłasza słynne przemówienie radiowe, gdzie oświadcza, że „trzeba zaniechać dalszej walki” i następnie, jako szef rządu, kapituluje.

W tym samym dniu gen. Sikorski rozmawia z marsz. Pétainem i nazajutrz wysłał do niego list, w którym m.in. pisze, że „nieszczęście, jakie spada dziś na Francję, czyni cięższym i straszniejszym nieszczęście Polski. Jeszcze jeden raz więcej widzimy do jakiego stopnia losy naszych krajów są związane i połączone²". Następnie gen. Sikorski prosi o pomoc w zaokręgowaniu oddziałów armii polskiej, którą trzeba uratować, nie zdając sobie jednak chyba dokładnie sprawy, że na Francuzów nie można już było liczyć. W dalszym ciągu swojego listu gen. Sikorski nadmienia, że we Francji, oprócz zdomowionej od lat emigracji, znajduje się około dziesięciu tysięcy uchodźców, dla których prosi również o zapewnienie transportu i w związku z tym Feliks Frankowski, *chargé d'affaires*, nawiąże kontakt z odpowiednim resortem władzy francuskiej.

Tutaj trzeba cofnąć się wstecz odnośnie stanowiska, jakie zajmował Feliks Frankowski. Przed wojną ambasadorem Polski w Paryżu był Juliusz Łukasiewicz, mianowany na to stanowisko w lipcu 1936 roku. Po wybuchu wojny w 1939 roku amb. Łukasiewicz energicznie domagał się wypowiedzenia przez Francję wojny Niemcom i pomocy dla walczącej Polski³, czym sympatii u Francuzów nie zyskał, ale co ważniejsze — wywiązał się najlepiej jak mógł z obowiązków wobec własnego kraju. Następnie odegrał czołową rolę w przekazaniu władzy prezydentowi Władysławowi Raczkiewiczowi, co było zasadniczym warunkiem do zapewnienia ciągłości państwa polskiego.

Amb. Łukasiewicz, piłsudczyk z przekonania, nie był dobrze widziany przez rząd Sikorskiego i został zwolniony z zajmowanego stanowiska z dniem 7 listopada 1939. Skutek tego był taki, że ambasady R.P. w Paryżu nie obsadzono i do końca kierownictwo jej spoczywało w rękach *chargé d'affaires*, Feliksa Frankowskiego, ministra pełnomocnego. W ten sposób usunięto ambasadora, który przed wojną uczestniczył w zaciąganiu przez

1. Zob. *Archives du ministère des Affaires étrangères* (AMAE) w Paryżu, Série: *Guerre 1939-1945, Z Vichy-Europe, Pologne, Dossier nr 910*, str. 16.

2. AMAE, *supra*, str. 19-22. Przekład tego listu z francuskiego znajduje się w książce: Henryk Batowski, *Polska dyplomacja na obczyźnie 1939-1941*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1991, str. 396-398.

3. Zob. Juliusz Łukasiewicz, *Dyplomacja w Paryżu 1936-1939*, Wydanie rozszerzone opracowali Wacław Jędrzejewicz i Henryk Bułhak, PFK, Londyn 1989, str. 327 i nast.

Francję zobowiązań wobec Polski i zastąpiono go osobą, która niezupełnie odpowiadała potrzebom chwili.

Powracając do ewakuacji w czerwcu 1940 roku, to personel ambasady R.P. znalazł się w Biarritz, skąd — za radą P. Charveriat, dyrektora politycznego francuskiego MSZ, — jak pisze Frankowski w swoim raporcie⁴ — udał się do Hiszpanii, gdzie miał poczekać do wyjaśnienia sytuacji we Francji. Odminną wersję od wersji Frankowskiego podaje gen. Sosnkowski w swoim sprawozdaniu, z datą 5 lipca 1940, o ewakuacji z Francji, gdzie stwierdza, że „wiadomości od min. Frankowskiego były mętne i niedokładne... Pragnąc uściślić współpracę z min. Frankowskim, wysłałem do niego mjr. Fudakowskiego jako oficera łącznikowego. Mjr Fudakowski szukał min. Frankowskiego bezskutecznie przez cały dzień (19 czerwca) a wieczorem dowiedziałem się o jego wyjeździe z całym personelem ku granicy hiszpańskiej. O zezwolenie na wyjazd min. Frankowski nie zwracał się ani do mnie ani też (o ile mi wiadomo) do min. Kota⁵”.

Po przybyciu do Madrytu dnia 26 czerwca min. Frankowski nawiązał telegraficzny kontakt z min. Zaleskim i — jak wynika z tego, co później napisze — sugerował min. Zaleskiemu powrót do ambasady do Francji. Stanowisko swoje min. Frankowski umotywował, we wspomnianym już raporcie z 19 października 1940, po definitywnym wyjeździe z Francji, o czym będzie oczywiście mowa. Z punktu widzenia czysto politycznego, wyjaśniał wówczas Frankowski, powrót z Madrytu do Francji mógłby być niewskazany i „uważany za sprzeczny z prestiżem rządu polskiego i zajęty przez niego stanowiskiem w dalszej akcji przy boku rządu angielskiego”. Trzeba bowiem pamiętać, kontynuuje min. Frankowski, że tak w okresie końcowej kampanii francuskiej, jak i negocjacji o zawieszenie broni, rząd francuski „nie tylko nie wykazał w stosunku do nas najmniejszej troskliwości, lecz wprost ignorował nasze interesy i bez najmniejszego wahania poszedł na zerwanie wszelkich zobowiązań, jakie w stosunku do nas był powiżął”. Zawieszenie broni było bowiem sprzeczne z układem polsko-francuskim z września 1939 roku.

W tych warunkach, przyznaje min. Frankowski, powrót

4. Min. Frankowski wyjaśnia swój wyjazd do Hiszpanii w raporcie z 19 października 1940. Jest to obszerny raport, liczący 73 strony, napisany w Lizbonie i skierowany do ministra A. Zaleskiego. W raporcie tym autor wniósł różne poprawki, ręcznie dopisane i nie wiadomo czy raport ten był doręczony min. Zaleskiemu. Zob. Archiwa Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, Sygnatura: Kol. 26,teczka 1.

5. Archiwum generała Sosnkowskiego,teczka nr 223/84, Biblioteka Ossolineum we Wrocławiu.

naszej reprezentacji do Francji „mógł więc wzbudzić ze względów politycznych wielkie zastrzeżenia, zarówno jako nieusprawiedliwione rozgrzeszenie dla Francuzów, jak i, być może, postawienie się w trudnej i dwuznacznej sytuacji w stosunku do Anglików”. Ale w grę wchodziła, podkreśla Frankowski, troska o ludność polską we Francji, którą skuteczniej mogły się zaopiekować normalnie ustanowione urzędy, niż zrobiłyby to organizacje społeczne. Nadto Frankowski łudził się, że pewną rolę polityczną ambasada mogłaby odegrać „jako łącznik pomiędzy rządem angielskim i francuskim”⁶.

Do Hiszpanii wyjechali nie tylko pracownicy ambasady R.P., lecz również konsulatów z Marsylii, Tuluzy i Tulonu. W sprawie powrotu konsulów na swoje stanowiska ambasador Francji w Madrycie, de La Baume, depeszą z 28 czerwca 1940, zapytywał swój rząd: „Frankowski, który przed powrotem do Francji czeka w Madrycie na dyspozycję swojego rządu, prosił mnie o zapytanie czy konsulowie polscy z Tuluzy, Marsylii i Tulonu, którzy znaleźli się w Hiszpanii, mogą powrócić na swoje stanowiska. Oni gorąco tego pragną, gdyż we Francji zostali jeszcze liczni Polacy potrzebujący opieki”⁷.



Wkrótce personel ambasady i konsulatów powrócił do Francji. Min. Frankowski, po otrzymaniu zlecenia od min. Zaleskiego, przekroczył granicę francuską dnia 15 lipca 1940 i do Vichy przyjechał 18 lipca, gdzie spotkał się, jak sam pisze, „z bardzo serdecznym i życzliwym przyjęciem”. Dnia 19 lipca Frankowski był przyjęty przez Paula Baudouina, francuskiego ministra spraw zagranicznych. Dobrze przyjęcie przez min. Baudouina tłumaczył Frankowski zwłaszcza tym, iż według niego rząd francuski chciał nawiązać i utrzymać żywszy kontakt z Londynem⁸.

Powrót Frankowskiego do Vichy miał się łączyć z wysłaniem do rządu polskiego w Londynie Henri Gauquié, *chargé d'affaires* Francji przy rządzie w Angers, a dawniej w Warszawie w latach 1935-1939. Jest o tym mowa w krótkim sprawozdaniu z dnia 21 lipca, z rozmowy, jaką miał min. Frankowski z sekretarzem generalnym MSZ (Charles Rochat) w Vichy, którego

6. Zob. Raport Frankowskiego z 19 października 1940, *op. cit.* str. 13-15.

7. AMAE, *Série: Guerre 1939-1945, Z Vichy-Europe, Pologne, Dossier nr 903, „Corps diplomatique et consulaire polonais juin 1940-septembre 1944*, str. 1.

8. Zob. Raport Frankowskiego z 19 października 1940, *op. cit.*, str. 16 i nast.

Frankowski poinformował, że „rząd polski pragnie, żeby rząd francuski miał w dalszym ciągu swojego reprezentanta w Londynie. Rząd brytyjski zobowiązał się do wszelkiego rodzaju ułatwień związanych z przyjazdem członków korpusu dyplomatycznego, akredytowanych przy Polakach. W tej sytuacji należałoby wziąć pod uwagę wysłanie do rządu polskiego w Londynie p. Gauquié, radcę ambasady francuskiej”⁹. Tak się jednak nie stało, do czego przyczyniła się bitwa morska pod Mers el-Kébir i w jej następstwie zerwanie stosunków francusko-brytyjskich.

Warto tutaj jeszcze odnotować, że w audycjach polskich B.B.C., a za nimi w radiach kontynentalnych, podano do wiadomości komunikat naszego rządu polecający powrót ambasady i konsulatów polskich do Francji. Następnie poinformowano słuchaczy o przyjeździe min. Frankowskiego do Vichy i jego wizycie u ministra Baudouina, oraz o projektowanym wysłaniu do Londynu Henri Gauquié w charakterze *chargé d'affaires* przy rządzie polskim. Zapoczątkowało to zainteresowanie się Niemców placówkami polskimi, co w następnym miesiącu doprowadziło do ostrych z ich strony protestów. Najbardziej drażliwa i jednocześnie pilna była sprawa demobilizacji naszych żołnierzy. Chodziło przede wszystkim o danie możliwości żołnierzom polskim wyjazdu z Francji, czyli po prostu o zorganizowanie legalnej ewakuacji. W rozejmie francusko-niemieckim nie było mowy o formacjach armii polskiej, do których Niemcy nie chcieli stosować innych przepisów demobilizacyjnych niż te, jakie odnosiły się do wojska francuskiego.

Dnia 23 lipca 1940 roku, z polecenia gen. Sikorskiego, przyjechał ze Szwajcarii do Vichy minister pełnomocny, Sylwin Strakacz, delegat R.P. przy Lidze Narodów. Min. Strakacz przybył z misją, odwołaną po kilku dniach z niewiadomych mi powodów, zorganizowania demobilizacji żołnierzy z armii polskiej utworzonej we Francji. O misji Strakacza min. Frankowski zawiadomił Paul Baudouina pismem z dnia 27 lipca, w którym informuje ministra francuskiego, że rząd polski przysłał delegację, mającą na celu ustalenie, w tym co dotyczy czynników polskich, zasady — do uzgodnienia następnie z rządem francuskim — na jakiej miała być przeprowadzona demobilizacja żołnierzy i pomoc byłym kombatanom oraz ich rodzinom. Na kierownika tej delegacji został wyznaczony min. Strakacz, na jego zastępcę Wacław Bitner, a na sekretarza pułkownik Stefan Danysz. Było przewidziane, że delegacja będzie ściśle współpracować z amba-

9. AMAE, Série: Guerre 1939-1945, Z Vichy-Europe, Pologne, Dossier nr 903, str. 5.

sadą polską w Vichy¹⁰, ale — jak już wspomniałem — delegacja została odwołana przez rząd polski zanim zaczęła funkcjonować.

Z pobytu swojego w Vichy min. Strakacz sporządził sprawozdanie z datą 6 sierpnia 1940, zachowane obecnie w archiwach. W sprawozdaniu tym Strakacz pisze, że po naradzie z Frankowskim, Bitnerem, Danyszem i generałami Szyszkó-Bohuszem i Duchem, złożono władzom francuskim *aide-mémoire*, określające stanowisko polskie i postulaty związane z demobilizacją, gdzie akcent położono na przyznanie prawa naszym żołnierzom udania się do innych krajów, albo do kolonii francuskich, co zostało przez rząd w Vichy kategorycznie odrzucone. Min. Strakacz przywiózł listy od Ignacego Paderewskiego dla marsz. Pétaina i gen. Weyganda, ówczesnego ministra obrony narodowej. Marsz. Pétain przyjął Strakacza i miał go zapewnić „o jak najdalej idących sympatiach dla naszej sprawy”. List do gen. Weyganda odebrał dyrektor jego gabinetu i do spotkania ze Strakaczem nie doszło, ani też nie otrzymał odpowiedzi na *aide-mémoire*, a w międzyczasie Francuzi wydali jednostronnie rozkaz o demobilizacji naszych oddziałów.

Jeśli chodzi o ogólną atmosferę we Francji, to min. Strakacz pisze, że „nasza tutaj sytuacja wygląda dość mizernie i to zarówno od strony rządu, jak i własnego społeczeństwa. Od strony rządu dlatego, że właściwie dziwią się oni, że Niemcy jeszcze naszą obecność tolerują. W tym kierunku nie możemy mieć żadnych złudzeń — na pierwsze żądanie Niemców Francuzi naszą ambasadę zlikwidują. Zrobią to z żalem, z wyrazami sympatii, ale niewątpliwie zrobią”. Min. Strakacz podkreśla raz jeszcze, że przysłanie do Vichy gen. Juliusza Kleeberga — którego gen. Sikorski mianował „dowódcą wojska polskiego we Francji” — w charakterze *attaché* wojskowego przy ambasadzie polskiej uważa za błąd. „W ogóle, jak pisze, sytuacja *attaché* militarnego w obecnych warunkach Francji trudna jest do usprawiedliwienia... Może to dać doskonały pretekst Niemcom do interwencji¹¹”.

W następnym miesiącu min. Frankowski wysłał z Vichy do rządu polskiego w Londynie telegram, z datą 18 sierpnia, tej treści: „Gen. Weygand oświadczył mi, że nie może upraszczać nam pożądanym warunków demobilizacji. Niemcy żądają internowania wojskowych polskich, a w każdym razie ścisłego nadzoru... Sprawa naszych placówek (konsularnych) w zawieszeniu.

10. Zob. AMAE, *Série: Guerre 1939-1945, Z Vichy-Europe, Pologne, Dossier nr 906, „Armée. Avril 1940-mai 1942”*, str. 60-61.

11. Archiwa Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (IPMS). Sygnatura: Prezydium Rady Ministrów (PRM) 28, „Polacy na kontynencie”.

Niemcy żądają ich skasowania, choć nie ultimatywnie. Broni nas jeszcze trochę Quai d'Orsay (siedziba francuskiego MSZ). Wszelki najmniejszy incydent może wywołać przekreślenie całej naszej aktywności, wobec czego ponawiam prośbę o podporządkowanie mi tutejszych naszych czynników wojskowych, które działają bez uzgodnienia ze mną”.

Pod tym tekstem gen. Sikorski napisał odręcznie: „Szef Sztabu odwrotnie. Stanowisko gen. Weyganda jest dla mnie niezrozumiałe. Jest ono sprzeczne z poczuciem żołnierskiej koleżeńskości, na które mieliśmy prawo liczyć po stronie Francuzów. Ta depesza, jak i depesza w sprawie złota (depeszy tej nie znalazłem, ale o złocie będzie jeszcze mowa — T.W.) stwierdzają, że p. Frankowski nie dorasta do trudnej sytuacji. Łudzi się on, że utrzyma placówkę kosztem tak daleko sięgających ustępstw, że przekreślają one całkowicie jej użyteczność¹²”.

Odnosnie min. Frankowskiego można mieć takie czy inne zastrzeżenia, ale przytoczona notatka gen. Sikorskiego świadczy, że naszemu rządowi w Londynie brak było właściwego rozeznania sytuacji. Potwierdzają to m.in. wypowiedzi członków tego rządu na posiedzeniu ministrów, jakie odbyło się dnia 17 sierpnia 1940 roku u prezydenta R.P. w Londynie i miało na celu przedyskutowanie „wytycznych polskiej polityki zagranicznej”, ogłoszonych później jako „tezy” tej polityki, zalecające „dobre stosunki z rządem francuskim (marsz. Pétaina) na zasadzie wzajemnej lojalności”.

Na posiedzeniu tym min. Strasburger zwraca uwagę, że „należy unikać wszystkiego, co mogłoby dotknąć rząd francuski” (w Vichy). Premier Sikorski wyjaśnia, że „sprawa de Gaulle’a nie jest traktowana serio i przez rząd Wielkiej Brytanii. Jedyne sprawa marynarki francuskiej jest poważna. Już obecnie szef sztabu de Gaulle’a jest pod kluczem”. Nie wiem, o jakim szefie sztabu mówił tutaj gen. Sikorski. Jakże słusznie zapytywał z kolei min. Stroński: „Czy nie można by mianować p. Łukasiewicza jako ambasadora dla niego” (tzn. do gen. de Gaulle’a). Oczywiście, że można było i należało tak zrobić, ale tego nie uczyniono. Zabierając ponownie głos min. Strasburger dziwi się, że w stosunkach dyplomatycznych „nie działa klawisz francuski. Szturmuje się bezskutecznie do p. Frankowskiego o załatwienie sprawy przyjazdu delegata. Daje instrukcje w sprawie naszego złota i nie otrzymuje się żadnej odpowiedzi”. Min. Stroński podkreśla jeszcze, że nie można „pomijać stosunku do rządu francuskiego. Musimy dążyć do utrzymania stosunków z tym

12. *Dziennik czynności Naczelnego Wodza*, Wrzesień 1940, Załączniki, Część pierwsza.

czy innym rządem francuskim. Jeśli min. Stańczyk tak mocno podkreśla uznanie Benesa, to Pétaina nie można przecież stawiać niżej od Benesa¹³”.

Załatwienie sprawy złota, o którym wyżej jest mowa, wlokło się kilka lat. Chodziło o transport złota, jaki wywieziono z Polski 14 września 1939 roku. Transportem od Kut kierował płk Ignacy Matuszewski, b. minister skarbu¹⁴, który przez Rumunię i Turcję dowiózł złoto do Francji, gdzie zostało zdeponowane w Banque de France. W 1940 roku, przed kapitulacją Francji, złoto wywieziono na statku francuskim do Dakaru, ale nie dotarło już do Ameryki, jak było przewidziane, gdy z polecenia rządu Vichy transport zatrzymano. Frankowski interweniował bezskutecznie u rządu Pétaina o przekazanie złota do Kanady. Pomimo nacisków Niemców, złota im nie wydano i zdeponowane w Sudanie przetrwało tam do inwazji aliantów w Afryce Północnej w listopadzie 1942.

Ambasada nasza była w sytuacji trudnej do zrozumienia. Jak napisze później min. Frankowski „obecność przy rządzie francuskim w Vichy dyplomatycznej misji polskiej była prawdziwym paradoksem politycznym¹⁵. Formalnie uznawano istnienie ambasady, ale „stale kontestowano możliwość jej legalnego działania”, traktowano nas „jako dawnych przyjaciół i ekspertów od spraw polskich” i nadto nic więcej¹⁶. Po pierwszych tygodniach chaosu, braku koordynacji między francuskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych, premierem Lavałem i Niemcami, ci ostatni zaczęli coraz bardziej naciskać na zlikwidowanie przedstawicielstwa polskiego w Vichy. Początkowo Francuzi sądzili, że Niemcy zadowolą się ogólnymi warunkami rozejmu i rząd w Vichy będzie mógł samodzielnie ustalać swoje stosunki dyplomatyczne z przedstawicielstwami poszczególnych krajów. Wkrótce jednak przekonali się, że były to jedynie iluzje.

Iluzje te przez jakiś czas podzielał zdaje się i min. Frankowski, sugerując rządowi polskiemu ugodowe stanowisko wobec rządu w Vichy. Tak to również wynika z listu-raportu, jaki Frankowski wysłał do ministra spraw zagranicznych w Londynie za pośrednictwem ks. Zygmunta Kaczyńskiego, który jechał do

13. Zob. Protokół z posiedzenia ministrów z dnia 17 sierpnia 1940 roku w: P.R.M.-K,teczka nr 2.

14. Zob. Stanisław Kirkor, „Ewakuacja Ministerstwa Skarbu w 1939 roku” w: *Zeszytach Historycznych* Nr 20, str. 111-116 i w tym samym numerze: Ludomir Rayski, „Złoto polskie”, str. 116-117.

15. Feliks Frankowski, „Kryzysowy okres w stosunkach polsko-francuskich” w *Zeszytach Historycznych* nr 4, str. 65.

16. Zob. Raport Frankowskiego z 19 października 1940 roku, *op. cit.*, str. 24-27.

Anglii. Raport ten, z datą 3 września 1940 roku, liczący 5 stron maszynopisu, zawierał dość mętną argumentację, na co zwracał uwagę, prawdopodobnie gen. Sikorski — tak to wynika z treści — w komentarzu bez podpisu, jaki znajduje się w archiwach razem z raportem Frankowskiego. Zamiast raportu przytaczam komentarz, w którym jest kilka cytat charakteryzujących sposób myślenia Frankowskiego, ale jednocześnie myślenia, dwuznacznego właściwie, gen. Sikorskiego.

Komentarz, na jednej stronie maszynopisu, zaczyna się od stwierdzenia, że raport min. Frankowskiego „nie może pozostać bez stanowczej odpowiedzi”, ale nie trafiłem na żaden jej ślad i chyba nie została wysłana. Następnie w komentarzu czytamy: „Rządowi polskiemu obce są i pozostaną 'współmyślenia kontyentalne', 'tęsknoty do jakichś innych kompromisowych rozwiązań', 'fala nastrojów irracjonalnych', 'cicha zgoda na granie na niektórych klawiszach politycznych'. Już te same formuły nasuwają przypuszczenie, że pochodzą one od otaczających p. Frankowskiego polityków defetystycznych, którzy chcą poddać siebie i sprawę polską zwycięskiemu hitleryzmowi. U niektórych wychodzą na jaw stare sympatie pro-niemieckie”.

„Min. Frankowski, pisze dalej gen. Sikorski, zamiast poddawać się tym nastrojom i przekazywać je Rządowi, powinien być z całych sił organizować oddziaływanie przeciwko próbom defetyzmu i podnosić masy uchodźcze z przygnębienia i zniechęcenia. Min. Frankowski w czerwcu przedwcześnie opuścił rząd francuski, w lipcu za późno do niego wrócił, przy jego boku żadnej z naszych ważnych potrzeb nie załatwił, niechżeby przynajmniej nie stawał się narzędziem małodusznej polityki, której Rząd mój nigdy aprobować nie będzie. Co do wystąpień zewnętrznych członków Rządu i Rady Narodowej, to jak wiadomo od lipca obowiązuje zasada nieobrażania i nieatakowania Francji nawet w osobach obecnego rządu Marsz. Pétaina¹⁷”.

Czy jednak „zasada nieobrażania” rządu Pétaina nie była już sama w sobie swoistym defetyzmem? Następnie trudno nie wyrazić zdziwienia, że mimo ujemnej wtedy oceny działalności min. Frankowskiego, po jego późniejszym wyjeździe z Vichy, reprezentował on w Londynie, w charakterze *chargé d'affaires*, rząd polski przy Komitecie Wolnej Francji gen. de Gaulle'a.

W tym samym czasie min. Strakacz, powołując się na swoje sprawozdanie z 6 sierpnia, o którym była już mowa, ponownie zwracał się z poselstwa w Bernie do gen. Sikorskiego w sprawie niebezpieczeństwa, jakie może spowodować działalność gen. J. Kleeberga, *attaché* wojskowego w Vichy. „Działalność ta, twier-

17. IPMS. P.R.M. 37/B, str. 158-164.

dził Strakacz, może narazić ambasadę, wojskowych i ogół Polaków we Francji. W dzisiejszej wyjątkowej sytuacji uważam za konieczne upoważnienie min. Frankowskiego do decydowania o wszystkich zamierzonych sprawach wchodzących w zakres misji *attaché* wojskowego¹⁸”.

Gen. Sikorski, w odpowiedzi, wysłał min. Strakaczowi telegram z dnia 7 września następującej treści: „Doceniam niebezpieczeństwo sygnalizowane przez Pana Ministra. Równocześnie jednak obawiam się jeszcze więcej słabości naszego reprezentanta (Frankowskiego) w Vichy... Jeśliby ewakuacja wojsk i sprawa złota miały być rozstrzygnięte negatywnie, przewiduję wtedy demonstracyjne odwołanie naszego przedstawiciela z Vichy. Odwołanie generała Kleeberga w chwili najcięższej uważam za niemożliwe. Nakazuję mu równocześnie jak największą ostrożność¹⁹”. Jeśli chodzi o odwołanie polskiego przedstawicielstwa z Vichy, to dwa tygodnie później przedstawicielstwo to zostało odwołane nie przez gen. Sikorskiego, lecz przez rząd marsz. Pétaina i min. Frankowski musiał opuścić Francję.

Jakieś luźne kontakty miał zdaje się gen. Sikorski bezpośrednio z niektórymi członkami w Vichy. Tak by to wynikało z noty (półtorej strony maszynopisu), z datą 23 września 1940, bez podpisu, jaka znajduje się w archiwach francuskich. W nocie tej mowa jest o tym, że Henri Gauquière (wspomniany już wcześniej francuski *chargé d'affaires* przy rządzie w Angers, a jesienią 1940 roku pracownik francuskiego MSZ), odebrał wizytę emisariusza, bez podania nazwiska, gen. Sikorskiego, który 14 września wyjechał z Londynu. Emisariusz ten miał za zadanie przekazanie zapewnienia o niezmiennych uczuciach, mimo zmiany sytuacji, rządu polskiego wobec Francji. Następnie autor noty pisze m.in., powołując się na oświadczenie emisariusza, że gen. Sikorski „bardzo by sobie cenił nawiązanie kontaktu, chociażby tymczasowego i oczywiście nieoficjalnego, pod jakimkolwiek byłoby to pretekstem, między Francją i rządem polskim w Londynie. Rząd polski byłby w stanie zapewnić wizę, przejazd i kontakty w Londynie, które mogłyby okazać się bardzo pożyteczne²⁰”. Trzeba jednocześnie pamiętać, że w Londynie był już od trzech miesięcy gen. de Gaulle, organizując „Wolną Francję”, z którą w pierwszym rządzie należało zacieśnić kontakty i współpracę, dużo bardziej pożyteczną od szukania kontaktów z rządem w Vichy.

18. IPMS, *Dziennik czynności Naczelnego Wodza*, wrzesień 1940, Załączniki, część 1, str. 61.

19. *Supra*.

20. AMAE. *Série: Guerre 1939-1945. Z Vichy-Europe. Pologne, Dossier nr 910*. str. 37.

Niezbyt długo zresztą utrzymała się ambasada polska w Vichy. Jej przeszło dwumiesięczna działalność przy rządzie marsz. Pétaina była w ogóle skutkiem chaosu, jaki panował po zawieszeniu broni, a nie konsekwentną postawą Francuzów, czy też kierunkiem ustalonej przez nich polityki. Trzeba przyznać, że likwidacja polskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego w Vichy nastąpiła pod naciskiem Niemców, którym początkowo Francuzi usiłowali się nieco przeciwstawić, ale wkrótce ulegli im, podobnie jak i w sprawach własnego kraju. „Należy pamiętać — o czym pisze francuski historyk — że Niemcy absolutnie nie narzucili przywódcom z Vichy sposobu zachowania się wobec nich; przywódcy ci mieli swobodę w wyborze swojej drogi i to tak przed, jak i po zawieszeniu broni²¹”.

W danym wypadku chodziło nie tylko o przedstawicielstwo polskie, lecz również dyplomatyczne misje innych krajów okupowanych: Belgii, Holandii, Luksemburgu i Norwegii, z tym że odnośnie Polski nacisk Niemców był zdaje się silniejszy z uwagi na to, że nasza ambasada reprezentowała rząd gen. Sikorskiego, który był przecież w stanie wojny z Niemcami i nadto, oprócz ambasady, funkcjonowały jeszcze wówczas na terenie Francji nieokupowanej konsulaty polskie w Lyonie, Marsylii i Tuluzie.



Min. Frankowski pisał później w raporcie, że nie udało mu się „dokładnie stwierdzić, jakiego rodzaju presja była wywierana przez Niemców na rząd francuski w sprawie zerwania stosunków z nami²²”. W archiwach francuskich znajduje się trochę materiału na ten temat. W kopii pisma z dnia 12 sierpnia 1940 (nie ma adresata i nie wiadomo dokładnie do kogo było skierowane, przypuszczalnie chodziło o notę informacyjną dla ministra), bez podpisu, z nagłówkiem: Republika Francuska, Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Vichy, Departament polityczny, widnieje wyjaśnienie stanowiska, jakie zajęli wówczas Francuzi wobec żądań niemieckich. „Niemcy, czytamy tam, wezwali Francję do zerwania stosunków dyplomatycznych i konsularnych, jakie utrzymuje z rządem gen. Sikorskiego. Jako powód podają, że stosunki te mają być niezgodne z artykułem 10 konwencji podpisanej 22 czerwca w Rethondes²³”.

Rząd francuski, informuje dalej ta nota, nie podziela tego

21. Henri Michel, *Pétain et le régime de Vichy*, PUF, Paryż 1978, str. 115.

22. Zob. Raport F. Frankowskiego z 19 października 1939, op. cit., str. 34.

23. Chodzi o miejsce w kompleksie leśnym Compiègne, niedaleko Rethondes, gdzie były podpisane rozejmy 11 listopada 1918 i 22 czerwca 1940 roku.

punktu widzenia, gdyż według wyżej wspomnianego artykułu 10, chodzi jedynie o powstrzymanie się od wszelkich szkodliwych poczynañ wobec Niemiec. „Otóż każde poczynanie wymaga nowej inicjatywy. Zachowanie stosunków z rządem, o którym jest mowa, nie wydaje się podlegać tej klauzuli ponieważ, nie zapoczątkowując inicjatywy, ma jedynie na celu utrzymanie istniejącego już wcześniej stanu rzeczy. Francja nie poczuwa się przeto do obowiązku zastosowania dyspozycji, która przez sam już swój charakter, wykraczałaby w sposób oczywisty poza zasięg zobowiązań, jakie zaciągnęła”.

Jednocześnie podkreślono w nocie, że Francja z własnej woli ogranicza stosunki z rządem polskim wszędzie tam, gdzie jest to zgodne z jej interesami. „W tym przeto duchu, wyciągając konsekwencje z wydarzeń, Francja nie jest już reprezentowana przy gen. Sikorskim i ograniczyła rolę, tak *chargé d'affaires* Polski, jak i konsulatów Polski w Lyonie, Marsylii i Tuluzie do definitywnego sprawdzenia rachunków spornych spraw, jakie pozostały w zawieszeniu między Francją i Polską. Likwidacja tych operacji jest już zresztą zaawansowana do tego stopnia, że Francja może liczyć, że w krótkim czasie będzie nawet w stanie zakończyć istnienie obecnego przedstawicielstwa rządu gen. Sikorskiego na jej terytorium. Co dotyczy resztek armii polskiej, to rząd francuski przystępuje teraz do ulokowania oficerów w nadzorowanych miejscach pobytu i do utworzenia zgrupowań pracy dla innych²⁴”.

W archiwach francuskich jest jeszcze kilka not, w tym trzy z Wiesbaden, gdzie znajdowała się siedziba komisji rozejmowej francusko-niemieckiej, która została ustalona celem załatwienia spraw związanych z rozejmem. W nocie delegacji francuskiej, przy wyżej wspomnianej komisji rozejmowej, z datą 19 sierpnia 1940, bez podpisu, figuruje odpowiedź na niemiecką notę z 14 sierpnia, której nie znalazłem i gdzie miało być żądanie niemieckie — z powołaniem się na artykuł 10 konwencji z 22 czerwca 1940 — żeby reprezentacja polska zakończyła swoją działalność z dniem 1 października 1940. W odpowiedzi tej reprezentant francuskiego MSZ przy komisji rozejmowej, J. Saint-Hardouin, wyjaśniał, że jeżeli nawet Francja zaakceptuje datę 1 października dla zakończenia działalności reprezentacji polskiej, to nie może to być skutkiem odwołania się do art. 10; byłoby to zresztą błędną interpretacją tego artykułu przez rząd Rzeszy. „W wyniku rozejmu, podkreśla Saint-Hardouin, Francja stała się państwem neutralnym i w żadnym wypadku nie może być wrogo

24. AMAE. *Série: Guerre 1939-1945. Z Vichy-Europe, Pologne, Dossier nr 903*, str. 9-10.

nastawiona do Niemiec, ale nie jesteśmy zobowiązani do niczego więcej²⁵”.

Szef delegacji niemieckiej komisji rozejmowej, generał Karl H. von Stülpnagel, zakwestionował prawną argumentację Francji i — jak pisał Saint-Hardouin z Wiesbaden w nocy bez daty — „znowu nalega na to, aby działalność rzekomego polskiego *chargé d'affaires* i domniemanych polskich konsulów zakończyła się bez żadnej już zwłoki²⁶”. Gen. Stülpnagel wystosował dnia 9 września pismo od gen. Charles Huntzingera, szefa delegacji francuskiej przy niemieckiej komisji rozejmowej, w którym powraca do interpretacji art. 10, o czym była już mowa, i nadto przytacza argumenty w rodzaju, że rząd polski gen. Sikorskiego nigdy nie mógł pretendować do rangi rządu legalnego, bo powstał „wtedy, gdy państwo polskie już nie istniało”, no i oczywiście, że dalsze uznawanie przez Francję jego przedstawicielstwa jest aktem wrogim wobec Niemców²⁷.

Dnia 18 lub 19 (data różnie podawana) września 1940 roku min. Frankowski został wezwany do Paul Baudouina, ministra spraw zagranicznych, który mu zakomunikował, że decyzją rządu francuskiego działalność ambasady i konsulatów polskich we Francji kończy się z dniem 23 września. W związku z tym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Vichy odbyła się dnia 20 września konferencja, w której ze strony polskiej uczestniczyli *chargé d'affaires* Feliks Frankowski i radca ambasady Aleksander Kawalkowski, a ze strony francuskiej dyrektor spraw politycznych w MSZ Charles-Antoine Rochat, dyrektor Bressy, minister pełnomocny La Garde i radca prawny prof. Basdevet (lub Basdevant).

Z konferencji tej sporządzono protokół, trzy strony maszynopisu, który znajduje się w kolekcji Kawalkowskiego w Instytucie Sikorskiego w Londynie. Na konferencji przyjęto do wiadomości istnienie Polskiego Czerwonego Krzyża, ukonstytuowanego w końcu czerwca 1940 roku i który przejął większość funduszy państwowych, oraz ustalono „utworzenie w dotychczasowych siedzibach okręgów konsularnych Biur Polskich (*Office Polonais*), upoważnionych do opieki nad obywatelami polskimi wobec francuskich władz administracyjnych, a w szczególności do wydawania dokumentów tożsamości, zastępujących paszporty, oraz innych zaświadczeń zapewniających obywatelom polskim regulowanie spraw osobistych”.

Przedstawiciele francuscy zażądali wyjazdu kierowników pla-

25. *Supra*, str. 20.

26. *Supra*, str. 38.

27. *Supra*, str. 40-41.

cówek i unikania wszystkiego, co sprawiałoby wrażenie kontynuacji urzędów konsularnych. Jednocześnie ubolewali, że „zmuszeni są działać pod naciskiem warunków zewnętrznych, zapewniając, że stosunki pomiędzy przedstawicielami dyplomatycznymi Francji i Polski za granicą utrzymane zostaną nadal na stopie tradycyjnej serdeczności”. Z kolei min. Frankowski poinformował Francuzów, że pozostawi osobę, która będzie koordynowała działalność Biur Polskich i reprezentowała wobec władz francuskich całokształt spraw ludności polskiej we Francji²⁸.



Dnia 2 października 1940 roku min. Frankowski opuścił Francję. Dyrektorem Biur Polskich we Francji nieokupowanej — czyli osobą koordynującą ich działalność, o czym wyżej jest mowa — i nieoficjalnym przedstawicielem rządu polskiego w Vichy został Stanisław Zabiello, w latach 1929-1934 sekretarz poselstwa w Moskwie, później w MSZ. Jak wynika z raportu Frankowskiego, Zabiello był wyznaczony na to stanowisko przez ministra Augusta Zaleskiego²⁹. Na czele poszczególnych Biur Polskich stanęli świeżo mianowani dyrektorzy i Zabiello był ich bezpośrednim przełożonym.

W dniach 13-15 października 1940 odbył się w Nicei zjazd dyrektorów, na którym byli obecni: Zabiello, Kawalkowski, Dąbrowski, Sośnicki, Domański, Fuksiewicz, Małczyński, Szubert, Nagórny i Obrębski. Według protokołu, jaki wówczas spisano, Zabiello przedstawił genezę, charakterystykę oraz zadania Biur, których stanowisko było delikatne, gdyż — w odróżnieniu od konsulatów — istnienie ich i działalność nie były oparte na podstawie prawnej, lecz na dobrej woli Francuzów. Zabiello zwracał szczególnie uwagę na zrozumienie, w pracy Biur, położenia Polaków i potrzebę „społecznego ustosunkowania się do nich”. Z kolei Kawalkowski poinformował zebranych, że Zabiello, koordynując działalność Biur, jest „notyfikowany w charakterze poufnym i półoficjalnym”, stąd konieczność zachowania daleko idącej ostrożności we wzajemnych kontaktach³⁰.

Jak powie po latach płk Józef Jaklicz, zastępca a później następcą gen. Juliusza Kleeberga — na stanowisku, jakie zajmował we Francji — „rząd polski w Londynie mianuje Stanisława

28. Zob. IPMS, Kol. 95, Kolekcja Aleksandra Kawalkowskiego, teczką 3, dokument nr 8.

29. Zob. Raport F. Frankowskiego z 19 października 1940, *op. cit.*, str. 31.

30. Zob. IPMS, Kol. 270, teczką 53.

Zabiellę swoim nieoficjalnym przedstawicielem we Francji wolnej... Zabielló jest konsultowany we wszystkich ważniejszych przejawach życia polskiego. Posiada możliwości walizy dyplomatycznej i przez niego płyną z Londynu fundusze na akcję opiekuńczą nad uchodźcami cywilnymi i żołnierzami. W stosunku do polskich organizacji sprawuje jako delegat rządu władzę zwierzchnią, harmonizując ich wzajemną działalność³¹”.

Działalność ta nie była jednak odpowiednio skoordynowana. W sprawozdaniu jakie złożył później gen. J. Kleeberg gen. Sikorskiemu, wyraźnie jest mowa o tym, że „po wyjeździe ambasady nastąpiło zupełne rozproszkowanie władzy na kilka odcinków, słabo tylko powiązanych ze sobą³²”. Panowała właściwie ogólna dezorientacja i brak konkretnych dyrektyw ze strony rządu polskiego.

Zabielló pisał z Vichy do min. Zaleskiego, w raporcie z 5 listopada 1940, że spora grupa b. wojskowych i prawie półmilionowa emigracja zarobkowa, a nadto skomplikowana sytuacja prawna instytucji polskich oraz ograniczone środki materialne „wysunęły potrzebę ustalenia wytycznych kierunkowych dla pozostałego we Francji surogatu naszej aparatury państwowej w postaci Biur Polskich oraz Polskiego Czerwonego Krzyża”. Następnie Zabielló podkreśla, iż koniecznym jest „wskazanie grupie polskiej przebywającej we Francji jej własnych celów orientacyjnych”. Punktem wyjścia winno być założenie, że „ludność polska we Francji jest częścią narodu, będącego w wojnie, że mimo unieruchomienia Francji wojna dla nas się nie skończyła, że obowiązkiem grupy polskiej jest dalszy udział w toczących się walkach... i z tych przesłanek wynikać powinien cały program działalności naszej we Francji...³³”.

Do skonkretyzowania programu, o którym wyżej, winien przyczynić się przede wszystkim min. Feliks Frankowski, który po wyjeździe z Francji przyjechał do Londynu w listopadzie 1940 roku. Niestety jak świadczą jego raporty, nie miał on wyraźnego rozeznania sytuacji. W raporcie z 15 listopada, napisanym w Londynie dla min. Augusta Zaleskiego, Frankowski, po różnych niewiele mówiących i wzajemnie się wykluczających hipotezach, mniema, że „próby nawiązania kontaktu z rządem w Vichy wydają się być w obecnej chwili dość racjonalne, jednak

31. Fragment odczytu, jaki płk/gen. Józef Jaklicz wygłosił 3 lutego 1973 roku w Paryżu w gmachu SPK. Treść tego odczytu znajduje się w kolekcji gen. J. Kleeberga. Zob. IPMS, Kol. 163, „Dziennik gen. J. Kleeberga”, załącznik na końcu książki.

32. IPMS, A.IV.37,teczka 1.

33. IPMS, PRM-K,teczka 6.

nie należałoby zbyt symplifikować zagadnienia³⁴ — czyli robić tego właśnie, co charakteryzowało postawę Frankowskiego.

W archiwach francuskich znajduje się telegram, wysłany z Madrytu do Paryża dnia 14 października 1940 roku, gdzie ambasador Francji de La Baume donosił: „Minister polski w Madrycie (Marian Szumlakowski) przyszedł mi powiedzieć, iż oczekuje kuriera z Londynu, który przywiezie zlecenie (*message*) od gen. Sikorskiego przeznaczone dla marsz. Pétaina. Treści tego zlecenia nie zna. Mój kolega chciałby bezzwłocznie wiedzieć, czy mógłby udać się jako osoba prywatna do Vichy, żeby doręczyć marsz. Pétainowi — którego miał zaszczyt poznać w Hiszpanii — zlecenie o którym jest mowa. Nie zostałby dłużej w Vichy niż jeden dzień”. Następnego dnia amb. Francji w Madrycie otrzymał od swojego Ministerstwa Spraw Zagranicznych telegram: „Nie jest pożądane aby pański kolega przyjechał osobiście do Vichy. Proszę mu więc podziękować za jego zabiegi i przysłać mi w walizie (dyplomatycznej) zlecenie, o które chodzi³⁵”.

Nie znalazłem na ten temat żadnego już śladu i nie wiadomo, czy rzeczywiście chodziło o jakiegoś kuriera gen. Sikorskiego. W archiwach Instytutu Sikorskiego znajduje się natomiast odpis depeszy wysłanej z Marsylii 18 grudnia 1940 przez płk. Stefana Danysza, który był już we Francji w lipcu 1940. W depeszy tej płk Danysz składał sprawozdanie z wizyty u marsz. Pétaina, w której m.in. donosił: „Marszałek uważa za złe popieranie ruchu 'Tyczki'” — w odnośniku jest wyjaśnienie, że chodzi o gen. de Gaulle'a.

Następnie płk Danysz raportował, że „popieranie ruchu 'Tyczki' rozumiane jest (nie podaje jednak przez kogo — T.W.) jako antyfrancuska dywersyjna akcja zasilająca zwolenników współpracy z Niemcami”. W końcowym paragrafie Danysz sugeruje: „Moim zdaniem w interesie Polski, Anglii i Francji należy popierać zdrowy, silny ruch odrodzenia Francji. Natomiast nie utożsamiać ruchu 'Tyczki' z powszechnym antyniemieckim nastrojem, z którego 'Tyczka' chwilowo ciągnie korzyści³⁶”. Tutaj trzeba przypomnieć, że „ruch odrodzenia Francji” był hasłem lansowanym przez Pétaina i rząd w Vichy z ich sloganem „praca, rodzina, ojczyzna” i zalecenie przez Danysza popierania tego rodzaju ruchu chwalebne nie było, dezorientując jeszcze bardziej, wraz z raportami Frankowskiego, politykę rządu Sikorskiego.

34. IPMS, PRM-28, dokument nr 19.

35. AMAE, *Série: Guerre 1939-1945, Z Vichy-Europe, Pologne, Dossier nr 910*, str. 45 i 46.

36. IPMS, PRM-28, dokument nr 23.

Biura Polskie tak, jak zostały zorganizowane jesienią 1940 roku, przetrwały do grudnia 1941. W listopadzie 1941 przedstawiciele niemieccy przy komisji rozejmowej w Wiesbaden zażądali kategorycznie od Francuzów zlikwidowania Biur Polskich oraz przekształcenia Biur innych narodowości, twierdząc, że są kontynuacją Konsulatów, co było sprzeczne z zawartymi umowami. W wyniku rokowań Zabielly z kierownikiem wydziału kontroli cudzoziemców francuskiego MSZ, konsulem Abel Verdier, nastąpiła reorganizacja Biur Polskich i Polskiego Czerwonego Krzyża. Ten ostatni działał odtąd jako Towarzystwo Opieki nad Polakami we Francji (TOPF). Biura Polskie zostały zaś przekształcone w Biura Administracji Polaków (*Bureaux d'Administration des Polonais*), zależne od francuskiego MSZ z siedzibą w Vichy. Nominalnie dyrektorami tych Biur byli Francuzi, mając do pomocy doradców polskich, tzw. *conseillers techniques*, uposażonych przez rząd polski za pośrednictwem Zabielly, który ich mianował. Doradcy ci byli w praktyce faktycznymi kierownikami. Na czele tych Biur stanął w Vichy, z dniem 16 grudnia 1941, Paul Chastand, b. konsul francuski we Lwowie³⁷.

Formalnie zasadniczej zmianie uległa pozycja Zabielly; nie był on już bowiem dyrektorem generalnym koordynującym działalność Biur, które mieściły się w Marsylii, Nicei, Tuluzie i Lyonie. W rzeczywistości jednak Zabiello, z poprzednio pełnionej funkcji, zachował autorytet i co najważniejsze — był w dalszym ciągu dystrybutorem pieniędzy rządu polskiego. Następnie, jak pisze Zabiello w jednym ze swych raportów do Londynu: „Francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych podkreślało fakt, iż uznaje mnie jako nieoficjalnego przedstawiciela Rządu polskiego³⁸”. Tak też to rozumiano w Londynie, gdzie nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych informowało, dla wewnętrznego użytku, że „Zabiello pozostanie w Vichy jako nieoficjalny przedstawiciel Rządu polskiego³⁹”.

Po przekształceniu przez władze francuskie Biur Polskich i PCK, działalność organizacji polskich, jak napisał Zabiello w raporcie z dnia 8 lipca 1942, nie napotykała większych trudności. Pobłażliwość administracji francuskiej umożliwiła samodzielną i niekontrolowaną w praktyce pracę pomimo narzucenia różnych teoretycznych ograniczeń. Biura Polskie, przekształcone na

37. Zob. AMAE. Série: Guerre 1939-1945. Z Vichy-Europe, Dossier nr 904, „*Officiers polonais et Bureaux d'Administration des Polonais. Janvier 1942-Août 1944*”. Wbrew dacie, jaka jest zaznaczona na tej teczce, zawiera ona również dokumentację z lat 1940-1941.

38. IPMS. A.9.VI. 9/17. Raport z 14 grudnia 1941 roku, str. 2.

39. *Supra*, pismo MSZ z 2 stycznia 1942 roku.

urzędy z szyldem francuskiego MSZ i z francuskimi dyrektorami na czele, były w gruncie rzeczy nadal kierowane przez polskich doradców, *conseillers techniques*, o których już była mowa. Ten stan rzeczy nie zmienił się nawet po dojściu do władzy w kwietniu 1942 roku⁴⁰ Laval, całkowicie oddanego Niemcom.

Sytuacja uległa jednak pogorszeniu m.in. wskutek kilku incydentów, jak wykrycie przez Francuzów ucieczek, drogą morską i przez Pireneje, grup polskich wojskowych, oraz zrzuconych z samolotów do ośrodków polskich materiałów wybuchowych z instrukcjami w języku polskim. Francuskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych coraz bardziej zaczęło się interesować niepożądaną dla Francuzów działalnością Polaków przy pomocy legalnych organizacji, zwłaszcza TOPF.

Policję intrygowało pochodzenie funduszy na opłacanie czteromilionowego budżetu TOPF. Zabięłło wyjaśniał w MSZ, że były to „pieniądze rządu polskiego, mobilizowane na tutejszym terenie z *avoir*ów (mienia) naszych oraz sprowadzane z zewnątrz różnymi dostępnymi drogami”. Francuskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych podejrzewało jednak, że pieniądze te pochodzą „od Anglików i że na pewno są ponadto używane również na cele inne, jak na akcję pomocy charytatywnej”. W sumie, podczas gdy MSZ nie kwestionowało pochodzenia pieniędzy od rządu polskiego i nie utożsamiało ich z sumami otrzymanymi bezpośrednio od Anglików na inne przedsięwzięcia, to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uważało „wszystko co ma swe źródło w Londynie za akcję czysto angielską, która w myśl dyspozycji ma być zwalczana”⁴¹.

Wywiad francuski zainteresował się też bardziej rolą, jaką odgrywał Zabięłło. Zebrał na temat Zabięłły i jego działalności różne dane — szczególnie odnośnie środków finansowych, jakimi dysponował i jakie miały rzekomo służyć również na akcje szpiegowskie i dywersyjne — i w formie raportu przekazał francuskiemu MSZ⁴². W nocy przygotowanej w MSZ przez Biuro dla cudzoziemców dla Pierre’a Bressy, dyrektora departamentu politycznego, podane są argumenty, jakich należy użyć w odpowiedzi na raport wywiadu dotyczący Zabięłły. Na wstępie figuruje wyjaśnienie, że nie odpowiada rzeczywistości fakt, iż Zabięłło pełni funkcję doradcy w centralnym Biurze Administracji Polaków,

40. W grudniu 1941 marsz. Pétain zwolnił Laval ze stanowiska wicepremiera, a w kwietniu 1942, pod naciskiem Niemców, powierzył Lavalowi utworzenie rządu.

41. Zob. Raport S. Zabięłły z 8 lipca 1942. IPMS, Sygnatura: A.9.VI.9/17.

42. Zob. AMAE. Série: Guerre 1939-1945. Z Vichy-Europe. Pologne. Dossier nr 905, Direction des Renseignements Généraux, Vichy 11 września 1942, str. 240-254.

ale podkreślono, że Zabiellę „należy uważać za uznanego szefa Polaków zamieszkających we Francji, wśród których posiada duży wpływ. Trzeba jednak podkreślić, że wpływ ten wywiera zawsze umiarkowanie i w zgodzie z nami”. Później jest jeszcze mowa o tym, iż czynności Polaków we Francji, jak zaznacza raport (wywiadu) są czasem godne pożałowania, ale nie można czynić za nie odpowiedzialnym Zabiellę lub jego przyjaciół⁴³”.



Oprócz placówek w „wolnej strefie” nieokupowanej Francji, działały również oficjalne placówki polskie w posiadłościach Afryki francuskiej, które uznawały rząd Pétaina. Po ustanowieniu jesienią 1940 roku Biur Polskich we Francji, Stanisław Zabiellę, urzędujący wówczas w Vichy, powiadomił Emeryka Hutten-Czapskiego, że w związku z powstaniem w Afryce, na miejsce konsulatów, Biur Polskich, „powierzam Panu funkcję delegata Centralnego Biura Polskiego we Francji. Siedzibą Pana będzie Algier⁴⁴”. Jednocześnie E. Hutten-Czapski został delegatem PCK na teren Afryki Północnej.

Hutten-Czapskiemu sprawy polskie we Francji, po jej kapitulacji, nie były obce. W Vichy był jednym z pierwszych po usadowieniu się tam rządu francuskiego i jak pisał do prezydenta Raczkiewicza w liście z 4 sierpnia 1940, pojechał tam z J. Zdziechowskim, K. Morawskim i T. Bieleckim „by kołatać o pomoc dla naszych wojskowych... Przed nami byli w Vichy dyr. Danysz i p. Hempel. Trzeba było się porozumieć, by nie działano na własną rękę, by akcje uzgodnić, wyjaśnić możliwości. Dowiedzieliśmy się, iż oczekiwany jest przyjazd p. Frankowskiego, co nas bardzo ucieszyło. Przyjazd ten, który nastąpił po paru tygodniach, uprościł znakomicie stan rzeczy⁴⁵”. Świadczy to również o zupełnym braku inicjatywy i dyrektyw ze strony rządu polskiego, który był już wówczas zainstalowany w Londynie i mógł dość swobodnie działać.

Do Algieru Hutten-Czapski przyjechał w końcu stycznia 1941 i w raporcie z 13 lutego do min. Augusta Zaleskiego pisał o nastrojach we Francji, gdzie stanowisko marsz. Pétaina „jest coraz bardziej cenione, a stosunek do niego pełny coraz większego szacunku w społeczeństwie”. Kilka tygodni później, w liście do min. Zaleskiego z dnia 22 marca raportował, że w Afryce „szacunek do osoby marszałka Pétaina jest powszechny, jakiegol-

43. Zob. AMAE. *Série: Guerre 1939-1945. Z Vichy-Europe. Pologne. Dossier nr 904*, str. 191.

44. IPMS. Kol. 270. Kolekcja Emeryka Hutten-Czapskiego,teczka 41.

45. IPMS. Kol. 270,teczka 51.

wiek ataki pod jego adresem są moim zdaniem bardzo niewskazane... Wszelkie kontakty z ruchem de Gaulle'a są tu tępione". Następnie Hutten-Czapski informuje, że Biura Polskie zastępujące konsulatory, które mu podlegają, znajdują się w Algierze, Oranie, Tunisie, Casablance i w Dakarze⁴⁶.

W numerze czasopisma *Free Europe* z 10 kwietnia 1942 roku, na pierwszej stronie ukazał się artykuł pt. *The Problem of France*, który wywołał komentarze Hutten-Czapskiego i dał mu asumpt do wyłożenia swojego punktu widzenia na niektóre problemy Francji, jakie przedstawił w swoim raporcie, wysłanym do Londynu dnia 18 czerwca 1942. Przede wszystkim Hutten-Czapski uważa za niesprawiedliwy w tym artykule stosunek do marsz. Pétaina. Według Hutten-Czapskiego Pétain „uczynił ofiarę ze swojej osoby na ołtarzu ojczyzny”, a pozostanie we Francji i jego odmowa tworzenia rządu poza granicami metropolii opierały się głównie na „przesłankach natury moralnej”. Pétain jest człowiekiem „najbardziej we Francji szanowanym”, a „jedna z jasnych stron Francji dzisiejszej, to utworzenie się jednego autorytetu”. Hutten-Czapski nie zgadzał się następnie z autorem tego artykułu odnośnie potrzeby uznania rządu gen. de Gaulle'a (wówczas chodziło jeszcze o Komitet Wolnej Francji, a nie rząd), twierdząc że fakt taki „bardzo by nadwerężył, jeśli nie całkowicie zerwał, stosunki francusko-amerykańskie”. Hutten-Czapski zaznacza na końcu, że brak niezależnej prasy i trudności komunikacyjne uniemożliwiają dokładne rozeznanie się w sytuacji Francji, stąd i łatwo o pomyłki w ocenie nastrojów tam panujących⁴⁷.

Jak wynika z powyższego, Hutten-Czapski nie miał też dokładniejszych informacji z Londynu, gdzie znajomość tego, co działo się na kontynencie Europy, winna być punktem wyjścia ustalania dyrektyw dla polskich placówek, a było to możliwe tym bardziej, że wywiad zorganizowany przez Polaków we Francji wysyłał obszerne raporty do naszego rządu w Londynie, który przekazywał je Anglikom⁴⁸. Nadto, o czym również trzeba pamiętać, kontakt między Wielką Brytanią i Afryką Północną nie napotykał na przeszkody nie do pokonania, a w każdym razie był łatwiejszy do utrzymania niż kontakty z krajami europejskimi.

Ambasador Edward Raczyński, ówczesny kierownik MSZ, pisał w swoich wspomnieniach pod datą 13 grudnia 1942: „W tych dniach wysyłam do Afryki radcę ambasady Antoniego

46. IPMS. Kol. 270,teczka 88.

47. *Supra*.

48. Zob. „Losy wywiadu polskiego we Francji” w *Zeszytach Historycznych* nr 97, str. 193-202.

Balińskiego dla nawiązania kontaktu z Emerykiem Czapskim, naszym delegatem w Afryce północnej i z kilkoma naszymi urzędnikami⁴⁹”. Tutaj należy przypomnieć, że w pierwszych dniach listopada Alianci wylądowali w Afryce Północnej i jak można wnioskować z tego, co odnotował amb. Raczyński, bezpośredni kontakt rządu polskiego z naszymi tam placówkami był nawiązany dopiero po zajęciu tych terenów przez Anglosasów.

Po wylądowaniu Aliantów w Afryce Północnej, Niemcy, pod pretekstem zabezpieczenia się z tamtej strony, zajmują wolną strefę Francji i rozciągają okupację na cały kraj. Jest to oczywiście sprzeczne z warunkami rozejmu. Miesiąc później, dnia 10 grudnia 1942 roku, zostaje aresztowany Stanisław Zabiello, co kładzie kres półoficjalnym stosunkom rządu polskiego w Londynie z rządem Pétaina w Vichy.

Zabiello przeżył obóz koncentracyjny i po wojnie rozstał się z naszym rządem w Londynie, wrócił do Polski, gdzie był jednym z „ludowych” historyków oddanych reżimowi komunistycznemu, produkując się w wydawnictwie „Paxu”. Tam też ogłosił swoje wspomnienia w książce pt. „Na posterunku we Francji”. Z tego co opublikował jest to stosunkowo najlepsza pozycja w porównaniu z innymi jego książkami, zbyt tendencyjnymi, żeby przetrwały panowanie reżimu komunistycznego⁵⁰.

Zabiello pisze, że początkowo rząd polski w Londynie nie uznawał „Wolnej Francji” gen. de Gaulle’a za faktyczny rząd Francji — co wymagałoby obszerniejszego wyjaśnienia — i że otrzymał polecenie „uroczystego złożenia takiej deklaracji rządowi francuskiemu w Vichy”, o czym będzie jeszcze mowa. Następnie potwierdza, że jego „nieoficjalne akredytowanie przy centralnych władzach reżimu pétainowskiego było specjalną formą kontynuowania *de facto* stosunków dyplomatycznych z Francją jako taką”. Przedstawicielem rządu polskiego wobec „Wolnej Francji” w Londynie był, jak wiadomo, min. Feliks Frankowski, który — według twierdzenia Zabielly — „unikął wyraźnie obciążania siebie i ministerstwa odpowiedzialnością za to, co robię we Francji i za moje kontakty z rządem Pétaina”.

49. Edward Raczyński, *W sojusznicy Londynie*, Wyd. II. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Londyn 1974, str. 156.

50. Mam na myśli dwie książki Stanisława Zabielly: *W kręgu historii* (1970) i *O rząd i granice* (1964). Recenzję o tej ostatniej trafnie autor zatytułował: „Polska droga do niepodległości”. Zob. *Kultura* nr 4/222, Paryż 1966, str. 83-99.

Z kolei Zabiello zakazał Biurom Politycznym, jako ich dyrektor generalny do grudnia 1941 roku, „utrzymywania wszelkich stosunków z gaullizmem”, a to dlatego, że „gaullizm był ruchem konspiracyjnym” i wchodzenie z nim w kontakt „nastawiloby przeciwko nam miejscowych przedstawicieli władz francuskich”, podkreślając — w tym wypadku nie bez słuszności — iż „rozmowy polityczne z gaullistami mogły mieć miejsce wyłącznie na szczeblu najwyższym w Londynie”. Nie powinno to jednak było utrudniać współpracy min. Frankowskiego z Zabiellą, który z pewnym sarkazmem pisał: „Nie przejmowałem się zbyt brakiem rzeczowej współpracy z Frankowskim, ponieważ jedyną rzeczą, której naprawdę potrzebowałem od rządu w Londynie były pieniądze, a z tym kłopotu nie miałem⁵¹”. Jak już z tego można wnioskować, rząd polski też nie zatroszczył się o inną formę współpracy, niż ta ograniczona do wysyłania pieniędzy.

W archiwach francuskich znajduje się dokument potwierdzający dwutorowość polityki rządu polskiego. Jest to nota — jedna strona maszynopisu, w nagłówku *Sous-Direction d'Europe*, Vichy 13 listopada 1941 roku — tej treści: „Dyrektor generalny Biur Polskich p. Zabiello zakomunikował nam ustnie w imieniu swojego Rządu: Generał Sikorski zachował się z rezerwą w stosunku do generała de Gaulle'a, którego spotykał dotychczas na różnych zebraniach międzysojuszniczych. Uznanie ostatnio Komitetu de Gaulle'a przez rządy Wielkiej Brytanii i Stany Zjednoczone zmusiło również rząd Polski do zajęcia stanowiska. Rząd polski uznał przeto Komitet Wolnych Francuzów. Ale pragnie poinformować rząd marsz. Pétaina, że uważa go za jedyny legalny⁵² rząd Francji. To jest do tego stopnia zgodne z prawdą, że p. Frankowski, *chargé d'affaires* Polski we Francji, który wskutek nakazu rządu niemieckiego opuścił Vichy w 1940 roku, pozostał symbolicznie na swoim stanowisku mimo zamieszkania w Londynie⁵³”.

W nocie tej pomieszane są fakty i nie wiadomo, czy zrobił to Zabiello, żeby jego oświadczenie lepiej brzmiało, czy też

51. Stanisław Zabiello, *Na posterunku we Francji*, Pax, Warszawa 1967, str. 141, 142, 156, 157.

52. Na temat legalności rządu Pétaina z jednej strony i z drugiej „Wolnej Francji” gen. de Gaulle'a, toczyły się przez wiele lat burzliwe dyskusje, który z nich i od kiedy był *légal* i *légitime*, dwa pojęcia nie zawsze ze sobą się pokrywające, jak były tego przykładem rządy państw na uchodźstwie. Zob. Tadeusz Wyrwa, *La Résistance polonaise et la politique en Europe*, Paryż, Editions France-Empire 1983, str. 159 i nast.

53. AMAE. *Série: Guerre 1939-1945. Z Vichy-Europe, Pologne, Dossier nr 910*, str. 123.

zniekształcenie należy przypisać autorowi noty. Przede wszystkim nie jest zgodne z rzeczywistością, że rząd polski w Londynie uznał dopiero „Komitet Wolnych Francuzów” po uznaniu takowego przez rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, gdyż było właśnie odwrotnie: po utworzeniu dnia 24 września 1941 roku „Komitetu Narodowego Wolnej Francji” (C.N.F.L.), rząd polski natychmiast Komitet ten uznał, a po nim uznały go rządy ZSSR, Wielkiej Brytanii i przedstawicielstwa i państwa na uchodźstwie w Londynie. Amerykanie długo jeszcze odnosili się z rezerwą do „Wolnej Francji” gen. de Gaulle’a. Formuła uznania C.N.F.L., jakiej użył rząd polski a za nim inne rządy na uchodźstwie była dość ogólna — co odpowiadało polityce naszego rządu — gdyż nie wymieniała Komitetu w roli rządu francuskiego, lecz mówiła o uznaniu „generała de Gaulle’a jako szefa wszystkich wolnych Francuzów, którzy przyłączyli do niego, żeby kontynuować walkę przy boku Aliantów⁵⁴”.

Następnie mylna jest w nocie informacja o min. Frankowskim, który przecież reprezentował wówczas rząd polski przy „Wolnej Francji” w Londynie, co nie mogło być utożsamiane z funkcją, jaką sprawował uprzednio w Vichy, gdyż w tym wypadku siedziałby na przysłowiowych dwóch stołkach: marsz. Pétaina i gen. de Gaulle’a, a tak daleko, oficjalnie, rząd polski nie mógł już pójść.



Politykę rządu polskiego w Londynie wobec Francji charakteryzowała przede wszystkim chwiejność, postawa wyczekująca i to zarówno w stosunku do marsz. Pétaina, jak i gen. de Gaulle’a. Z początku zainstalowanie naszej ambasady w Vichy tłumaczono doraźnym celem, o którym mówił gen. Sikorski w depe-szy, nadanej z Londynu dnia 21 sierpnia 1940 do Feliksa Frankowskiego w Vichy: „Cały wysiłek Pana Ministra musi być obecnie skierowany na ewakuację wojska do Anglii oraz na wydobycie złota polskiego. Wszystkie inne sprawy nie mają istotnego znaczenia. W związku z tym jak najenergiczniej popierać i ułatwiać akcję gen. Kleeberga. Pośpiech w wykonaniu tych zadań jest niezmiernie ważny. Jest to celem istnienia naszej Ambasady we Francji⁵⁵”.

54.. Według: Maurice Flory, *Le Statut international des gouvernements réfugiés et le cas de la France Libre, entre 1939 et 1945*. Préface de René Cassin, Ed. A. Pedone, Paryż 1952, str. 64.

55. IPMS. *Dziennik czynności Naczelnego Wodza*, Wrzesień 1940, załączniki, część pierwsza, str. 150.

Co do ewakuacji, to nigdy nie została odpowiednio zorganizowana, co stanowi odrębny temat, podobnie jak kwestia złota, o której była już mowa. Tutaj można jeszcze tylko przytoczyć paragraf z notatek René Cassin, jednego z filarów „Wolnej Francji”, który pod datą 22 stycznia 1941 roku pisał w swoim dzienniku: „Zdałem gen. de Gaulle’owi sprawozdanie z dopiero co złożonej wizyty Żaleskiemu (Augustowi Żaleskiemu, ministrowi spraw zagranicznych — T.W.), który nie chce poróżnić się z Vichy z powodu 600.000 Polaków (we Francji), a Generał dodał: — i złota polskiego, jakie znajduje się w Afryce⁵⁶”.

W grę wchodziły przeto różne czynniki: ewakuacja, ludność polska, złoto, ale brak było w tym wszystkim jednej zwłaszcza rzeczy: zdecydowanej postawy rządu polskiego. Nie tłumaczy tego sytuacja i potrzeba opieki nad Polakami we Francji, bo przecież opiekę i pomoc można było zapewnić bez tej dyplomatycznej dwutorowości, na czym bardzo ucierpiały stosunki z „Wolną Francją” gen. de Gaulle’a.

W świetle walczącego i cierpiącego społeczeństwa pod okupacją hitlerowską w Polsce, paktowanie i utrzymywanie stosunków przez rząd polski z rządem Pétaina w Vichy, w jakiegokolwiek formie, wywołać musi dzisiaj gorzkie refleksje, a w czasie wojny musiało zwiększyć jeszcze bardziej dezorientację naszych rodaków w Kraju, jak świadczą o tym niektóre np. artykuły na łamach prasy podziemnej⁵⁷.

Tadeusz WYRWA

56. Archives de France (Nationales). Archives René Cassin. Sygnatura: 382 A.P.27.

57. Zob. „Francja w podziemnej prasie polskiej 1940-1944” w *Zeszytach Historycznych* nr 98, str. 71-76.

Hanna ŚWIDERSKA

Z DZIEJÓW POLSKIEJ PRASY OPOZYCYJNEJ W LONDYNIE 1941-45

Prasa polska nie przestanie upominać się ani o zmarłych, a raczej o pomordowanych, ani o jeszcze żywych, ani o granice Rzeczypospolitej. Przeciwnie, utrzyma swe stanowisko bez względu, jakie konsekwencje mogą ją spotkać. Jesteśmy w gościnie, ale jesteśmy sprzymierzeńcami prawdziwymi o hipotece wyjątkowo czystej. Mamy pewne prawa nabyte.

Zygmunt Nowakowski: „Montagnes russes”,
Wiadomości Polskie, nr 21, 23 V 1943

„Różnice poglądów między Polakami i ich sprzymierzeńcami były rzeczą naturalną; skoro Polska ma pod bokiem dżunglę zamieszkałą przez goryle i grzechotniki, Polacy więc sądzili, że wiedzą o wiele więcej o charakterze i zachowaniu tych zwierząt niż pp. Churchill i Roosevelt... Mogli zrozumieć, że należy podejść z taktem do brytyjskiej opinii publicznej, w którą przez wiele lat wmawiano pobożne życzenia, że Stalin and Co, choć nieco szorstcy w działaniu, są jednak całkiem przyzwoici i w końcu ustąpią i wynagrodzą cierpliwość, tolerancję i przyjazne podejście. Nie mogli jednak wierzyć, że rząd brytyjski, zazwyczaj podchodzący sceptycznie do zapewnień cudzoziemców, może być tak naiwny. Czuli się zgubieni i zażenowani na widok brytyjskich ministrów, którzy nie tylko umizgali się kosztownie do Stalina w Teheranie i Jalcie, ale też na wszelkie sposoby propagowali te właśnie złudzenia co do polityki sowieckiej, które zmuszały brytyjski Gabinet do udawania, że niebezpieczeństwo wynikające z ustępstw wobec sowieckich pretensji jest minimalne. Że jednak wszystkie znane fakty przekreślały sens za-

ufania sowieckim oświadczeniom, Polacy zachodzili w głowę, dlaczego wszystkie komórki brytyjskiego rządu, prawie cała prasa, BBC, Wojskowe Biuro Spraw Bieżących, Dział Oświatowy Armii, Egzekutywa dla Spraw Wojny Politycznej¹ i wszystkie inne organa formowania opinii publicznej podległe wpływom rządu udają, że biorą je serio. Rzeczywiście — dlaczego? Dlaczego w tych wszystkich instytucjach zasiadają indywidua o dziwnych cudzoziemskich nazwiskach i osoby, które zmieniły nazwiska, ludzie mieszanego pochodzenia lub słuchający naraz różnych panów, samomianowani zbawcy społeczeństwa, zgorzkniali kieszonkowi mesjasze, dobrogłupki, zwariowani profesorowie, rzucający się w oczy *fellow-travellers* i ich nieprzeliczona świta pochodząca ze sfrustrowanego a ambitnego intelektualnego proletariatu — i to wszystko ryje jak korniki, zatruwa i rozkłada swą śliną i ekskrementami mocne serce Anglii. Nie wiedzieli jak daleko zaszła polityczna demoralizacja Anglii w latach 1920ych i 30ych²”.

Tak pisał w swych wspomnieniach Owen O'Malley, brytyjski ambasador przy rządzie polskim w okresie od lutego 1943 do lipca 1945, uwięziony na tym stanowisku między obowiązkami wobec swego rządu a sympatią dla sprawy polskiej, której w miarę możliwości starał się bronić wobec swych władz. Warto dodać, że władze mu tego nie zapomniały i w sierpniu 1945 został zesłany przez rząd labourzystowski do Lizbony — jak sam to określa: do trzeciorzędnej ambasady, co degradowało go z II rangi (Polska) do III (Portugalia).

Ten przydługi cytat autorstwa brytyjskiego dyplomaty naświetla tło, na którym rozgrywały się sprawy stanowiące temat tego opracowania. Były to czasy, gdy orkiestra Brygady Gwardii wygrywała fanfary na cześć Marszałka Stalina, wybitny aktor John Gielgud występował w londyńskim Albert Hallu jako Głos Moskiewskiego Radia, a nagroda przyznawana w Cambridge za wiersz o tematyce religijnej przypadła utworowi na cześć Świętej Rosji. Warto jeszcze dodać, że w tych krytycznych latach Foreign Office nie miało wśród swych dyplomatów specjalisty od spraw sowieckich albo choć władającego rosyjskim i znajomość przedmiotu czerpało ze sprawozdań swego działu badań (Foreign Office Research Department — FORD), przytuliska

Materiał archiwalny tutaj cytowany pochodzi z Public Record Office (sygnatury FO, PREM i CAB) oraz Instytutu i Muzeum im. gen. Sikorskiego (syg. PRM).

1. Army Bureau of Current Affairs, Army Education Department, Political Warfare Executive.

2. O. O'Malley: *The Phantom caravan*. London, 1954, str. 230-231.

jawnych i dyskretnych komunistów i *fellow-travellers*. Głową tego działu był rusofil, brygadier Skaife, który dobrze znał carską Rosję i podziwiał osiągnięcia³ sowieckie, a intelektualną gwiazdą FORD był młody historyk-marksista Christopher Hill, który zrećznie przerabiał sowiecką propagandę na materiał dostarczany przez FORD północnemu Departamentowi FO, w którego gestii leżały stosunki angielsko-sowieckie³.



Po upadku Francji Polacy i ich prasa w Anglii przeżywali okres miódowy, błogo nieświadomi, co nurtuje pod powierzchnią. A nurtowało nader niepokojąco. Z jednej strony już od jesieni 1939 Anglia rozważała możliwość zbombardowania azerbejdżańskich pól naftowych, co zamknęłoby Niemcom dostawy sowieckiej ropy, z drugiej zaś w FO nurtował pomysł zjednania sobie ZSSR za cenę uznania przez rząd JKM nowej sowieckiej granicy zachodniej włącznie z pożarciem państw bałtyckich. Druga możliwość zaczęła przeważać, gdy 23 XII 1940 Eden, który od dawna marzył o zbliżeniu z ZSSR, został ministrem spraw zagranicznych.

Po przybyciu do Anglii prasa polska zaczęła odradzać się jak grzyby po deszczu, zwłaszcza że w tym wczesnym okresie założenie gazety nie wymagało zgody gospodarzy. Najwybitniejszy tygodnik wrześniowego uchodźstwa, *Wiadomości Polskie* (przed wojną *Literackie*), którego ostatni numer paryski nosi datę 23 VI 1940, 14 VII ukazał się w Londynie, pod formalną (jak w Paryżu) redakcją Zygmunta Nowakowskiego, cieszącego się przyjaźnią Sikorskiego i Kota, dzięki czemu pismo uzyskało rządową subwencję £ 113 miesięcznie. Prawdziwym redaktorem pozostał Mieczysław Grydzewski. W Londynie istniała już baza wydawnicza w postaci firmy Minerwa, założonej przed wojną przez warszawskiego wydawcę M. Przeworskiego. W 1940 jej pracownicy założyli dom wydawniczy M.I. Kolin, który teraz został wydawcą *Wiadomości*.

Z Francji przybyło również główne czasopismo wojskowe *Polska Walcząca*, redagowane przez Tymona Terleckiego. 29 VI 1940 w Szkocji zaczął wychodzić *Dziennik Żołnierza* założony przez Ludwika Rubla, a oficjalną gazetą rządową został *Dziennik Polski*. Takie były początki bogatej prasy polskiej w Anglii. 22 XI 1940 władze polskie wydały komunikat, że ze względu na jedność narodową powinno wychodzić tylko jedno pismo polityczne: *Dziennik Polski*.

3. M. Kitchen: *British policy towards the Soviet Union during the second world war*. London, 1986, str. 158.

Braki wojenne stawały się coraz dotkliwsze i gospodarze przydzielili pulę papieru na polskie potrzeby, którą rozdzielało polskie Ministerstwo Informacji i Dokumentacji (MiD). Ono też, decyzją Rady Ministrów, miało sprawować cenzurę prewencyjną prasy polskiej w sprawach wojskowych i politycznych, nie miało jednak możliwości wymuszania na redakcjach, by przekładały mu teksty przeznaczone do wydania. Już 29 VIII MiD skarżyło się Sikorskiemu, że *Wiadomości* tego nie robią, choć minister Stroński ustnie i pisemnie napominał Nowakowskiego i Grydzewskiego⁴. Na razie nie było jednak większych nieporozumień między polską prasą i rządem oraz gospodarzami.

Prasa brytyjska również cieszyła się sporą dozą swobody. Choć cenzury prewencyjnej nie było, podlegała jednak surowej kontroli władz, która w teorii dotyczyła tylko wiadomości bieżących, a nie ich omawiania. Obsesyjnie eliminowano wszystko, co mogło okazać się „przydatne dla wroga”, czasem doprowadzając to do absurdu. Wszyscy redaktorzy otrzymali dokument *Defence Notices*, zawierający spis tematów, których nie należy poruszać bez porozumienia z wydziałem cenzury Ministry of Information i ten spis był powiększony za pomocą dalszych pouczeń i listów od M of I do redakcji. Cenzura ta jednak, podobnie jak polska, była dobrowolna i gazeta pragnąca poruszyć temat mogący zaszkodzić bezpieczeństwu publicznemu mogła zasięgnąć opinii działu cenzury. Ale wszystko, co mogło osłabić *war effort* (wysiłek wojenny) było niedopuszczalne i na tej podstawie 21 I 1941 M of I zamknęło komunistyczną gazetę *Daily Worker*. Ścisłej cenzurze politycznej M of I podlegały tylko czasopisma i broszury wysyłane za granicę.

W miarę komplikowania się sytuacji politycznej i kurczenia zasobów papieru miano odkryć skuteczny środek nacisku na krnąbrną prasę — tzw. kontrolę papieru (*paper control*), o czym dalej. Tym urzędowym manipulacjom tylko w niewielkim zakresie mógł zapobiec „czarny rynek” wydawniczy, stworzony przez pokątne firmy, które przed wojną nie istniały, a więc nie miały urzędowego przydziału papieru i nie musiały zdawać sprawozdania ze swego stanu posiadania tego cennego materiału. Wyłapywały one papier „zabłąkany” w małych drukarniach, co umożliwiało produkcję drobnych druków poza kontrolą. Korzystali z tego również Polacy, m.in. Stanisław Mackiewicz, któremu we wrześniu 1941 MiD odmówiło przydziału na planowany periodyk⁵. W tym czasie rząd Sikorskiego nie mógł oczywiście dopuścić do powstania jeszcze jednego organu opozycji. Zmusiło

4. PRM 37 B, dokument 60.

5. PRM 83/1.

to Mackiewicza do pokątnego wydawania swych słynnych broszur, wobec których najbardziej nawet olśnieni Wielkim Aliantem urzędnicy brytyjscy byli bezsilni.



Miodowy okres polskiej prasy w Anglii skończył się z chwilą wejścia ZSSR do wojny. Prasa brytyjska, zachwycająca się dotąd dzielnymi Polakami, przerzuciła teraz, z niewieloma wyjątkami, swój zachwyt na Naszego Wielkiego Alianta, a część polskiej prasy, z *Wiadomościami* na czele, przerażona niejasnościami w umowie polsko-sowieckiej rokującymi jak najgorzej na przyszłość, znalazła się w opozycji do rządu polskiego, co nie uszło uwagi Wielkiego Alianta. W krótkim okresie ciszy przed burzą, gdy redaktorzy nie podejrzewali, jakie siły sprzymierzają się przeciw nim, korniki coraz szerzej ryły pod powierzchnią i na początku r. 1942 miały uderzyć pierwsze gromy.

Tutaj wkraczają *dramatis personae* oraz wkrótce ich główny na Anglię sprzymierzeniec prasowy, *Daily Worker*, ułaskawiony w sierpniu 1942. Pierwszą rolę odegrał Andrew Rothstein, dziennikarz urodzony w Rosji i od 1920 r. pierwsza gwiazda Partii Komunistycznej Wielkiej Brytanii, dzięki swemu wyższemu wykształceniu jeden z jej nielicznych „intelektualistów” oraz płodny dostawca wiadomej literatury. Miarą jego wysokiej oceny w Moskwie było powierzenie mu kierownictwa londyńskiego oddziału TASSa. Teraz właśnie ten oddział bardzo zainteresował się polską prasą w Anglii i dla dokładnego jej śledzenia otrzymał z centrali osobnika nazwiskiem Kamiński.

Rothstein miał też cenne źródło informacji wprost z jaskini wroga w postaci Stefana Litauera ze służby prasowej MiD, którego Kot usunął z podległej mu placówki dopiero w początku 1944 r. Obaj panowie świadczyli sobie drobne uprzejmości i Litauer, jako członek Związku Korespondentów Prasy Zagranicznej w Wielkiej Brytanii, użył swego wpływu, by przeprowadzić wybór na jego prezesa swego „zasłużonego kolegi” Rothsteina, z którym łączyła go zażyła przyjaźń⁶. Bliskie kontakty z Rothsteinem utrzymywał również Józef Retinger⁷.

Rothstein cieszył się również życzliwością publicysty i pisarza Konni Zilliacusa, w latach 1939–45 pracownika działu cenzury M of I. Było to jedno z tych zasiadających w ministerstwach „indywiduów o dziwnych cudzoziemskich nazwiskach”, syn Fina i amerykańskiej Szkotki oraz gorący sympatyk Wiel-

6. S. Litauer: *Zmierzch „Londynu”*. Warszawa–Łódź, 1945, str. 23.

7. S. Kot: *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego*. Londyn, 1955, str. 536.

kiego Alianta. On właśnie w marcu 1942 uderzył na alarm, przesyłając obszerny memoriał do Centralnego Departamentu FO (do którego należały sprawy polskie), który zapoczątkował nagonkę brytyjskich władz na polską prasę, wprost nieproporcjonalną do jej ograniczonego wojną i egzotycznym językiem zasięgu — zupełnie jakby czynniki brytyjskie uwierzyły, że jest ona zdolna zadecydować o wyniku wojny i urzeczywistnić ich najbardziej koszmarną obawę: powrót Stalina do przyjaźni z Hitlerem.

To wystąpienie Zilliacusa było związane ze świeżo wydany okólnikiem Y368, który zezwalał cenzorom zagranicznych depesz w M of I zatrzymywać zawarty w nich materiał, nawet już ogłoszony w prasie ukazującej się w Anglii, o ile mógłby on spowodować rozdziewki między sprzymierzonymi. Celem tego okólnika było „uniemożliwić agencjom prasowym nadanie światowego obiegu nieznanym i złośliwym materiałom drukowanym w mało znanych czasopismach w obcym języku, które bez tego przeszłyby niezauważone⁸”. W trudniejszych sprawach M of I zasięgało zdania FO.

Memoriał Zilliacusa donosił, że „od pewnego czasu TASS bacznie śledzi polską prasę w naszym kraju i przekazuje do Moskwy sprawozdania co ona pisze o ZSSR, zawartym sojuszu i stosunkach polsko-sowieckich... Tak więc depesza TASSa z 16 lutego mówi, że nr 7 reakcyjnego polskiego tygodnika *Wiadomości Polskie* zawiera kilka antysowieckich artykułów. Jeden z nich, powiada TASS, ubolewa nad rusyfikacją Ukrainy w okresie 1926–39... Piszą, że Komintern uaktywnia się na Środkowym Wschodzie i prze w kierunku Indii... że Moskwa zabroniła polskim komunistom bronić Warszawy. Inny artykuł twierdzi, że kraje Wschodniej i Centralnej Europy powinny stworzyć zaporę przeciw wpływom sowieckim, których nie sposób pogodzić z europejskim pojęciem wolności i brytyjskimi zobowiązaniami... Autor stwierdza, że trudno wybrać między rządami nazistowskimi i sowieckimi. Tak samo TASSowi podpadła *Polska Walcząca*, *Dziennik Polski* i nowopowstały dwutygodnik *Jutro Polski*, w którego pierwszym numerze szczególnie zagrał mu na nerwach artykuł Stanisława Grabskiego „O ideę dziejową narodu”, głoszący potrzebę stworzenia przez przyszłą Polskę i jej sąsiadów „siły wystarczającej dla powstrzymania wszelkiego nowego wybuchu zrodzonej z anty-chrystusowego ducha zła zaborczości z jakiegokolwiek strony”. Co gorsza, pisze Zilliacus, „niemiecka prasa cytuje każde zdanie z tego wychodzącego w Wielkiej Brytanii pisma... utrzymując, że zachodnia granica

8. Teczka FO 371/34581, dokument C 7199.

sowiecka przesunie się na zachód i że nikt nie chce powrotu sowieckiej tyranii” itd.⁹

W FO ten memoriał trafił na biurko pracownika Centralnego Departamentu Petera Huttona, który szybko zadziałał. Przede wszystkim chciał sprawdzić, czy przewodniczący polskiej Rady Narodowej, a więc osobistość oficjalna, jest rzeczywiście autorem skandalicznego artykułu w *Jutrze Polski* i Litauer „smutno potwierdził jego autentyczność”. Na tę hiobową wieść Hutton poprosił Rothsteina, by wyjaśnił swym mocodawcom, że to polskie pismo nie wychodzi na brytyjskiej licencji, a więc „jest w pewnym sensie nielegalne”. Czego dokonawszy przekazał memoriał Zilliacusa z własnym sprawozdaniem Frankowi Robertowi, pełniącemu w FO obowiązki pierwszego sekretarza. Zaznaczył w nim, że załączona analiza depeesz TASSa jest typowa dla długiej serii wybryków polskiej prasy i że „należy natychmiast podjąć bardzo drastyczne kroki, by uniemożliwić Polakom ogłaszanie takich rzeczy u nas, co jest nadużywaniem naszej gościnności i naraża na szwank nasze stosunki ze Związkiem Sowieckim¹⁰”.

Roberts okazał się niechętny tym pomysłem, „spodziewamy się bowiem nauczyć Polaków podczas ich pobytu tutaj metod demokratycznych, a nie totalitarnych”. Wobec znanej bezsilności polskiej cenzury rzucił inny pomysł: „w naszych możliwościach leży cofnąć licencje, bez których wydawanie jakiegokolwiek czasopisma jest nielegalne, a także za pośrednictwem Ministry of Supply (zaopatrzenia) wstrzymać papier na gazety i broszury¹¹”.

Nie było to jednak takie proste, bo okazało się, że „pisma mające zezwolenie sprzed pewnej daty, brytyjskie i obce, nie mogą być pozbawione papieru na podstawie istniejących przepisów... Takie pozbawienie jest dozwolone tylko w skrajnych przypadkach, ale nawet jeśli odbiera się licencję, wydawcy zawsze mogą produkować swe pisma w odstępach nieregularnych jako broszury¹²”. Najprościej oczywiście byłoby zlikwidować kłopotliwe czasopisma, gdyby dało się im przykleić „osłabianie wysiłku wojennego”, ale niestety popierały z entuzjazmem wojnę z Niemcami.

Były też inne komplikacje: „Sprawa granicy polsko-sowieckiej wywołuje najgłębsze emocje wśród Polaków i kwestia jak daleko możemy pójść żeby (a) pomóc gen. Sikorskiemu przeciw jego opozycji i (b) *appease* Rosjan jest bardzo trudna¹³”.

9. FO 371/31079, C 3048.

10. *tamże*.

11. *tamże*.

12. FO 371/31083, C 4658.

13. FO 371/31082, C 4101.

Tymczasem Rothstein uaktywniał się coraz bardziej i nękał skargami na zatrzymywanie depesz TASSa przez FO News Department, który znalazł się w sytuacji bez wyjścia. „Z jednej strony jest M of I, na które spada ostateczna odpowiedzialność za wydawanie polskich i innych obcych gazet w naszym kraju, a z drugiej cenzura depesz czekających na wysłanie, które przechodzą do nas po opinię i radę we wszystkich godzinach dnia i nocy. Nasz tryb postępowania, z zastosowaniem nowych uprawnień przyznanych cenzurze jest taki, że niezależnie od marginesu swobody przynależnej polskim wydawcom w naszym kraju, zatrzymujemy materiał przeznaczony za granicę, który naszym zdaniem zaszkodziłby dobrym stosunkom wśród Narodów Zjednoczonych¹⁴”.

Depesze te Rothstein redagował w dobrze skądinąd znanym stylu, którego próbkę warto przytoczyć:

„Mackiewicz złej sławy, jeden z głównych dostawców hitlerowskiej antysowieckiej propagandy w przedwojennej Polsce, w kwietniu 1942 nadal korzysta w Anglii ze swobody ogłaszania najwstrętniejszych łgarstw i podjudzeń przeciw Związkowi Sowieckiemu, a rząd brytyjski, który znajduje broń przeciw prasie komunistycznej, wygląda jakby był bezsilny odmówić papieru temu zakłętemu i pozbawionemu skrupułów wrogowi brytyjskiego Sojusznika, albo wsadzić go do obozu internowanych, gdzie jego właściwe miejsce... A więc władze brytyjskie uważają, że rozgłaszanie haniebnych oszczerstw przeciw ZSRR wcale nie szkodzi stosunkom między sprzymierzeńcami, mimo że zabroniono wystawiać czarnosecinnych oszczerców na gniew sowieckich narodów i na oczach całego świata przeciąć ten wrzód na międzysojuszniczych stosunkach¹⁵”.

Ten tekst zaprezentował Edenowi 1 maja przybyły ze skargą na polską prasę ambasador Majski. Brytyjski mąż stanu odparł łagodnie, że już wyszło zarządzenie zabraniające wysyłki broszur Mackiewicza poza Anglię i prosił rozmówcę, by „naprawił mylne wrażenie, jakie na jego rządzie wywrze ta depesza p. Rothsteina”, którą skrytykował za to, że usiłuje sugerować „jakoby te artykuły Mackiewicza miały naszą aprobatę¹⁶”.

Wynik tej rozmowy był taki, że Eden polecił zbadać możliwość zawieszenia polskich pism opozycyjnych. Zadanie to wywołało rozdzźwięki między FO i M of I, bo każda ze stron starała się zepchnąć obowiązek jakiegoś skutecznego działania na partnera i nie potrafiono niczego zdecydować. Tajny list z M of I

14. FO 371/31083, C 4561.

15. *tamże*.

16. FO 371/31083, C 4568.

do Sir Orme Sargenta w FO z 7 maja doniósł o nowej awanturze spowodowanej zatrzymaniem czterech depesz Kamińskiego i kłopotliwych dla M of I protestach TASSa, choć „prawdziwym powodem zatrzymania były wskazówki z FO News Department, bo przecież wszelkie dyskusje na temat polsko-sowieckiej granicy są wzbronione¹⁷”. Jeśli chodzi o M of I, to w tym czasie było niechętnie kneblowaniu polskiej prasy obawiając się, że „mogłoby to spowodować wrzask o naruszaniu wolności prasy¹⁸”.

Mimo takich przeszkód materiały Rothstein-Kamiński docierały do celu — jeśli nie zwykłą drogą, to pocztą sowieckiej ambasady. A wszystkie te swary obijały się o Robertsa, który uparcie twierdził, że „te polskie kłopoty nie muszą wychodzić za granicę i *de facto* nie wyszłyby, gdyby p. Rothstein nie stawał na głowie, żeby je wysłać”, oraz że „nie możemy traktować polskiej prasy mniej liberalnie niż naszej własnej¹⁹”.

W ten sposób angielsko-sowieckie kłopoty wywołane przez polską prasę opozycyjną wlokły się przez cały rok 1942. Rzecznikową tej prasy i jej środowiska, wśród którego posiadał szerokie kontakty towarzyskie, był Frank Savery, konsul generalny w przedwojennej Warszawie, obecnie radca brytyjskiej ambasady przy rządzie polskim. FO zasięgało jego zdania co do *prawdziwego* sensu artykułów, których „szokujące” wyrywki oglądano w depeszach TASSa. Savery śledził tę prasę, sumiennie czytał inkryminowane kawałki, sporządzał streszczenia i starał się łagodzić sytuację, jak np. w awanturze o artykuł Grabskiego „O ideę dziejową narodu”, który „porusza zagadnienia ogólne: chrześcijaństwo a neopogaństwo i totalitaryzm i nic w nim nie ma o granicach. Byłoby wielką przesadą gdybyśmy żądali, żeby Polacy przestali pouczać się nawzajem o doktrynach (które ze swej natury są nieskazitelne i *de facto* nasze własne) tylko dlatego, że są sprzeczne z ideologią sąsiadów”. A co do komentarza politycznego w tymże numerze *Jutra Polski*, o który TASS rozpętał tyle wrzawy, to „byłoby daremne, gdyby polskie pismo wmawiało polskim czytelnikom, że wszystko jest pięknie, bo to by od razu ściągnęło każde takie pismo czy przegląd do poziomu *Dziennika Polskiego* — organu rządowego, któremu nikt ani trochę nie ufa²⁰”.

Tymczasem Rothstein-Kamiński zasypywali Moskwę — z pozwoleniem Anglików lub bez — szczegółami o polskich oszczerstwach, podsycając oburzenie sowieckiej „opinii publicznej”. Wreszcie do ataku ruszył Korniejczuk, który 19 lutego

17. *tamże*, C 4920.

18. FO 371/31079, C 3048.

19. FO 371/31082, C 4101.

20. FO 371/31081, C 3415.

1943 ogłosił w *Radianskoj Ukrainie* artykuł „Połączenie narodu ukraińskiego w ramach jego własnego państwa”, który nazajutrz przedrukowały *Prawda* i *Izwestia*. Uderzył w nim na alarm, że polska szlachta nadal chce rządzić Ukrainą, w dowód czego obficie cytował polską prasę londyńską: *Myśl Polską*, *Jutro Polski*, *Dziennik Polski*, *Wiadomości Polskie* i *Polskę Walczącą* („polską gazetę drukowaną na dobrym angielskim papierze”). Przy okazji oberwało się Anglii, „krajowi, w którym panowie z polskiej szlachty teraz mają swe biura redakcyjne, co jest tym bardziej godne pożałowania, że niegdyś stąd właśnie wielki Oliver Cromwell gratulował hetmanowi Chmielnickiemu zwycięstwa²¹”.



Przejście części prasy, na czele z *Wiadomościami*, którym dzielnie sekundował organ Stronnictwa Narodowego *Myśl Polska*, do opozycji po podpisaniu umowy Sikorski-Majski 30 lipca 1941 i rozłam spowodowany nią wśród uchodźstwa, stawiały nie tylko Anglików, ale i rząd Sikorskiego w trudnej sytuacji. Teraz prestiż i poczytność *Wiadomości* wzrosły jeszcze bardziej i ich nakład, ogromny jak na te czasy i warunki, przekroczył 7 tys., a byłby i większy, gdyby nie ograniczenie papieru. Rozpoczął się ich heroiczny okres, gdy sprawowały prawdziwy rząd dusz.

Już we wrześniu 1941 *Wiadomości* straciły rządową subwencję, gdy zaczęły poświęcać coraz więcej uwagi polityce, w czym pierwszą rolę grał ich oficjalny redaktor i bojowy felietonista, Zygmunt Nowakowski. Jeszcze na początku 1943 gen. Sikorski miał nadzieję go ugłaskać i chciał go wysłać do ZSSR dla zebrania materiału do książki o armii gen. Andersa. Amb. Kot zwrócił się do Andrieja Wyszyńskiego o pomoc w załatwieniu wizy, ale spotkał się z kategoryczną odmową. Wyszyński stwierdził, że „musimy patrzeć na Nowakowskiego jako na redaktora *Wiadomości Polskich*. Nie znam bardziej wrogiego wobec Związku Radzieckiego pisma. Osobą tą interesowałem się specjalnie. Czytałem artykuły *Wiadomości Polskich* i stwierdziłem, że nie ma chyba bardziej zajadle antyradzieckiego pisma na całej naszej półkuli²²”.

11 marca 1943 Retinger w imieniu Sikorskiego dowiadywał się w FO, czy Anglicy mogliby zabronić wysyłania *Wiadomości* i *Myśli Polskiej* na Środkowy Wschód, gdzie powodują wśród wojska niezadowolenie z polityki rządu²³, a MiD zawiadomił M of I,

21. FO 371/34565, C 2509.

22. S. Kot: *Rozmowy z Kremlem*. Londyn, 1959, str. 237.

23. FO 371/34565, C 2757.

że wobec niestosowania się prasy opozycyjnej do wskazówek polskiego cenzora, płk. Bogusławskiego, „rząd polski życzyłby sobie, żebyśmy przejęli całkowitą cenzurę tej gazety [*Wiadomości*] jak uznamy za stosowne” i że polski minister informacji [Stroński] byłby rad, gdyby mógł powołać się na nacisk z naszej strony dla przywołania do porządku *Myśli Polskiej*²⁴”.



Rozmówki angielsko-sowieckie o bezpieczeństwach polskiej prasy wlokły się bez żadnych rozwiązań. Oczywiście bezradność Anglików była niepojęta dla Wielkiego Alianta, który taki drobiazg dawno by załatwił od ręki i na zawsze. Dopiero wybuch sprawy katyńskiej i panika spowodowana zerwaniem stosunków polsko-sowieckich zmusiły ich do działania. 25 kwietnia Churchill telegrafował do Stalina o planie wyciszenia hałasu, m.in. że Sikorski „pohamuje polemiki w polskiej prasie. W związku z tym badał możliwość uciszenia tych polskich czasopism wydawanych tutaj, które atakują zarówno rząd sowiecki, jak i Sikorskiego za to, że próbuje współpracować z rządem sowieckim” i prosi Stalina o utrzymanie stosunków z Polską²⁵. Na to przyszła natychmiastowa odpowiedź, że zerwanie już zostało zdecydowane. „Takiego kroku żądali moi współpracownicy, ponieważ polska prasa oficjalna prowadzi nieprzerwaną i nasilającą się z dnia na dzień kampanię wrogą wobec ZSSR”, a także zerwania żąda sowiecka „opinia publiczna”²⁶.

Następnego dnia Gabinet Wojenny omawiał stosunki polsko-sowieckie i polecił ministrowi informacji Brendanowi Brackenowi sformułowanie zasad cenzury prasy wydawanej w Anglii przez rządy sprzymierzone²⁷, pod którą to formułą kryła się oczywiście chęć zakneblowania polskiej prasy. Nie tracąc czasu Churchill doniósł Stalinowi, że „Gabinet jest zdeterminowany wprowadzić odpowiednią dyscyplinę wśród polskiej prasy w Wielkiej Brytanii. Teraz nawet podłe szmaty atakujące Sikorskiego głoszą rzeczy, które niemieckie radio roztrąbia na cały świat ku naszej obopólnej szkodzie. Z tym musi się skończyć i skończy się”²⁸. 10 maja premier nakazał wprowadzenie „ostrej cenzury polskiej prasy w Londynie, by zapobiec drażnieniu ZSRR”²⁹.

24. *tamże*, C 2509.

25. FO 954/19, Pol/43/15.

26. *tamże*, Pol/43/16.

27. CAB 65-34, 59-1.

28. FO 954/43/21.

29. PREM 3, 354-8.

W ciągu następnych tygodni Churchill jeszcze kilkakrotnie zapewniał Stalina, że tej prasie nałoży się kaganiec, a w międzyczasie ich podwładni też nie tracili czasu. 29 kwietnia Eden przyjął Majskiego z lamentem na polską prasę, co Eden odprowadził skargą na atak Wasilewskiej na Sikorskiego we wczorajszych *Izwiestiach*³⁰. 6 maja dwaj panowie znów się spotkali i ambasador żalił się, że „wychodzi tu nie mniej niż 22 polskie gazety i prócz tego różne ulotki. Oczywiście jest to nieuzasadniona duża ilość na 40 tys. osób³¹”. W Moskwie amb. Clark Kerr widywał się z Mołotowem i również składał mu obietnice poskromienia winowajców³². Tak szły jałowe rozmowy, a tymczasem władze brytyjskie opracowywały plan „zdyscyplinowania” polskiej prasy. W Londynie, prócz Majskiego, kampanię prowadził radca ambasady Sobolew, nękający Sir Orme Sargenta w FO, któremu dostarczył spisy obraźliwych artykułów i alarmował o rosnącej perfidii redaktorów: „chcę zwrócić pana uwagę na nowy sposób, którego chwyciła się polska prasa, oczywiście by móc przedstawić swe poglądy angielskim czytelnikom. Kilka polskich gazet, jak *Dziennik Żołnierza* nr 127 i *Sprawa* nr 11, zaczęły drukować po angielsku artykuły obrażające Związek Sowiecki”. Ale gdy spróbował objąć swymi żalami również część prasy angielskiej, szczególnie antysowieckie artykuły M. Voigta w *The Nineteenth Century* i artykuł oparty na informacjach biskupa Gawliny w *Catholic Times* z 4 czerwca o tysiącach polskich dzieci wymarłych z głodu w ZSSR, Eden listownie powiadomił Majskiego, że choć prasie Sprzymierzonych nie wolno nadużywać angielskiej gościnności, to „należy powiedzieć jasno, że w wypadku prasy brytyjskiej rząd JKM nie może zabronić jej różnym odłomom korzystać z ich tradycyjnego prawa swobodnej dyskusji ograniczonej tylko podstawowymi wymogami zachowania bezpieczeństwa w czasie wojny³³”.

Równoległe do rozmów o polskich wybrykach z przedstawiicielami Wielkiego Alianta, władze brytyjskie omawiały rzecz z polskimi władzami. Jeszcze w kwietniu nowy minister informacji, prof. Kot, oświadczył Brackenowi, że czasopisma wskazane przez rząd polski powinny być pozbawione papieru³⁴. 7 maja Eden przyjął gen. Sikorskiego i amb. Raczyńskiego. Generał podkreślił, że rząd polski nie ma sankcji potrzebnych dla sprawnej cenzury i że niesforemnym czasopismom należy odebrać papier. Eden poprosił o spis prawomyślnych tytułów i obiecał rozmówić

30. FO 954/19, Pol/43/25.

31. FO 371/34574, C 5138.

32. FO 371/34578, C 6232; FO 371/34576, C 5602, C 5663.

33. FO 371/34578, C 6232; FO 371/34581, C 7002.

34. FO 371/34572, C 5180.

się z Brackenem³⁵. 12 maja Raczyński dostarczył spisu gazet, którymi rząd polski „szczególnie się interesuje” i zaznaczył, że *Wiadomości* „choć rzeczywiście wrogie polityce Sikorskiego zbliżenia z ZSSR, są jednak poważnym pismem i rząd polski niechętnie widziałby ich likwidację³⁶”.

Tymczasem niemieckie gadzinówki w Polsce zaczęły przedrukowywać materiały z *Wiadomości* i w sierpniu polskie władze kilkakrotnie prosiły o odebranie im papieru³⁷, o czym również pisał *Daily Telegraph* z 24 VIII i *Daily Worker* z 21-go. Rzeczywiście artykuły Nowakowskiego okazały się pożyteczne dla niemieckiej propagandy. *Goniec Krakowski* z 11/12 lipca przedrukował jego artykuł „Na początku było słowo” z *Wiadomości* z 18 kwietnia, o próbach kneblowania polskiej prasy w Anglii jako dowodzie poświęcenia sprawy polskiej w interesach brytyjskiej polityki. Dało to okazję rządowemu *Dziennikowi Polskiemu* z 18 i 19 sierpnia do napaści na Nowakowskiego jako „londyńskiego korespondenta firmy Hansa Franka”.

Zabiegając o przywrócenie stosunków polsko-sowieckich, Anglicy próbowali też wpłynąć na przyhamowanie jadowitej nagonki na rząd polski w sowieckiej prasie, włącznie z *Wolną Polską*, ale były to daremne wysiłki. 18 maja Clark Kerr donosił z Moskwy o *dictum* Mołotowa w sprawie sowieckiej prasy: „Taki jej stosunek wypływa ze zrozumiałego oburzenia sowieckiej opinii publicznej na rząd polski, polską prasę i radio, które razem z hitlerowcami prowadzą wrogą kampanię przeciw Związkowi Sowieckiemu. Artykułów w sowieckiej prasie krytykujących polskie antysowieckie koła w żaden sposób nie można porównać z tym strumieniem oszczerczych artykułów o Związku Sowieckim, które od dawna ogłasza się bez przeszkód w polskich pismach wydawanych w Anglii³⁸”.

Polskie władze nie przyjmowały biernie angielskich zażaleń na polską prasę i amb. Raczyński regularnie składał protesty w FO na antypolską komunistyczną propagandę prasy i innych wydawnictw angielskich, jak broszury prosowieckich stowarzyszeń w rodzaju Russia To-Day Society, oraz przez biuletyn sowieckiej ambasady *Soviet War News*. W angielskiej prasie, w dużej większości oczarowanej Wielkim Aliantem, pierwszą rolę grał *Daily Worker*, który swą zdumiewającą znajomość londyńskiej polskiej prasy zawdzięczał oczywiście Rothsteinowi i Kamińskiemu. Był on tak jadowity, że 17 maja Gabinet Wojny przedłużył mu zakaz eksportu w interesie poprawy stosunków

35. FO 954/19, Pol/43/34.

36. FO 371/34556, C 5339.

37. FO 371/34585, C 9689 — brak szczegółów.

38. FO 371/34576, C 5602.

polsko-sowieckich, ale uchylono to już w sierpniu³⁹. Dzielnie mu sekundowały *Tribune*, *Soviet Monitor*, *Russia To-Day* i inne, a stowarzyszenie o tej samej nazwie, prócz tej panegirycznej gazetki, wydawało też antypolskie pamflety i ulotki. W FO Roberts zanotował 22 IX 1943: „Uważam, że Polakom stwarza się nieznośną sytuację. Wymagamy, żeby ich prasa nie poruszała spraw najwyższej wagi dla Polski, jak ich stosunki ze Związkiem Sowieckim, rozważamy likwidację wybitnego polskiego tygodnika literackiego... a jednak nie możemy zapobiec najbardziej obraźliwym zarzutom w naszej prasie, którymi obrzuca nawet prezydenta państwa polskiego”. Roberts był jednym z nielicznych wyjątków, którzy uważali, że „nie jest źle, że istnieje odtrutka na bezgraniczne uwielbienie dla ZSRR⁴⁰”. Jednak było faktem, że nic nie można było poradzić na *Daily Workera*. „Nasze uprawnienia w stosunku do naszej prasy są określone w *Defence Regulations* i ublizanie rządowi Sprzymierzonych nie stanowi podstawy zawieszenia danego wydawnictwa”. Do tego inny urzędnik dopisał: „Chciałbym, żeby Sikorski wytoczył sprawę o potwarz (*libel*) i dostał rujnujące odszkodowanie. Zapłaciłbym z mego funduszu za najlepszego adwokata!⁴¹”.

9 września premier Mikołajczyk na śniadaniu u Edena zwrócił jego uwagę na rozmiary antypolskiej sowieckiej propagandy, na którą polskiej prasie nie pozwala się odpowiednio zareagować, a Retinger dodał, że komuniści w Anglii wydają 60 gazet i prowadzą 66 księgarni, wydali ok. 800 książek i broszur po angielsku i w każdy weekend zwołują ze 300 zebrań i że to wszystko kosztuje ok. 15 milionów franków rocznie, a więc Komunistyczna Partia Wielkiej Brytanii nie jest w stanie tego finansować. Angielski wywiad jednak zbadał te dane i uznał je za fantastyczne⁴².

Innym powodem polskich protestów był organ Związku Patriotów *Wolna Polska*, otwarcie sprzedawany w Londynie. M of I nie miało pojęcia, skąd się bierze to pismo, bo ustawa o *paper control* wymagała zezwolenia nie tylko na publikowanie, ale też na import i dystrybucję, którego ta gazeta nie otrzymała. Okazało się, że przemycano ją do Anglii w poczcie sowieckiej ambasady⁴³. „Nieznani sprawcy” rozrzucali ją również wśród wojska polskiego w Iraku, dokąd docierała z Moskwy *via* British Airways, a także rozprowadzał ją agent Inturista w Teheranie. Tu przynajmniej ostre protesty władz polskich odniosły pewien

39. FO 371/34585, C 8799.

40. FO 371/34568, C 4133; FO 371/34588, C 12765.

41. FO 371/34574, C 5101.

42. FO 371/34586, C 10151; FO 371/34587, C 11857.

43. FO 371/34584, C 7984; FO 371/34576, C 5792.

skutek, bo władze brytyjskie nakazały celnikom w Bagdadzie i swej cenzurze w Teheranie konfiskować te przesyłki jako zagrażające wojskowej dyscyplinie, co jednak nie zdołało zapobiec przemycań jej na te tereny⁴⁴.

W maju i czerwcu 1943 Anglicy opracowywali projekt „kontrolowania” obcej prasy, na które miały się złożyć: „a. surowe ostrzeżenie rządów sprzymierzonych i redaktorów, wraz z pouczeniem co do linii postępowania, jakiego oczekujemy od prasy alianckiej; b. śledzenie tej prasy z dnia na dzień przez Foreign Office Research Department, oraz c. postępowanie doraźne przeciw wyłamującym się⁴⁵”. Zgodnie z poleceniem Churchilla zadanie to spadło na ministra informacji Brackena. 20 maja i 2 czerwca poruszał ten temat w Izbie Gmin, posługując się rytualnym frazesem o „nadużywaniu naszej gościnności” i zapytany, czy 31 polskich gazet w Anglii to nie za wiele, odrzekł: „Jak już powiedziałem, wszędzie gdzie jest Polak, tam istnieje gazeta⁴⁶”. Wreszcie 23 czerwca ogłosił w Izbie, że „badanie działalności obcej prasy zostało zakończone i Rząd JKM podjął kroki, by zapewnić, że brak należytego umiarkowania ze strony obcych czasopism nie będzie tolerowany... Przypomniałem redaktorom cudzoziemskiej prasy o obowiązkach wynikających z gościnności jaką się cieszą i spodziewam się, że wezmą to pod rozwagę, bo jeśli ktokolwiek próbowałby wbrew temu ostrzeżeniu wzniecać zatargi wśród Narodów Zjednoczonych, straci możliwość jawnego wydawania swych pism oraz licencję na ich wydawanie”. Nie dotyczyło to jednak broszur: „Ci Polacy latają do drukarni po całym kraju, bo na wydawanie broszur nie trzeba licencji⁴⁷”.

W czerwcu Bracken zawezwał polskich redaktorów, by ich pouczyć i zachęcić do „umiarkowania” i Nowakowski od razu zwrócił na siebie uwagę: ośmielił się zaatakować angielską cenzurę i odmówić stosowania się do jej „porad”⁴⁸. 2 lipca Eden powiadomił Raczyńskiego i innych ambasadorów o represjach grożących krnąbrnym gazetom, a 16 lipca M of I rozesłało ostrzegawczą notę do redakcji⁴⁹. Skutek był mizerny i 7 października Nowakowski otrzymał pismo z M of I przypominające, że

44. FO 371/34579, C 6672; FO 371/34581, C 7199.

45. FO 371/34576, C 5548.

46. FO 371/34578, C 6232, C 6315.

47. FO 371/34587, C 11505.

48. FO 371/34585, C 9459, C 9461.

49. FO 371/39441, C 9081.

zapas papieru dla *Wiadomości* kończy się i więcej go nie dostaną, jeśli się nie poprawią⁵⁰. Świadomi rzeczy Polacy orzekli jednogłośnie, że to „roboty Kota” i Grydzewski przybiegł po radę do Savery’ego. Był zaskoczony i twierdził, że *Wiadomości* posyłały wszystkie artykuły do cenzury i zawsze stosowały się do jej życzeń, skąd więc ta pogróżka? Savery zapewnił go, że Kot nic tu nie spsocił. Ale poprawy nie było i 12 października Nowakowskiego wezwano do M of I, by mu przypomnieć, że list jest serio i jeśli jeszcze raz się narazi, straci papier bez żadnych ostrzeżeń⁵¹. Nie była to czcza pogróżka, bo przed dwoma miesiącami Anglicy zlikwidowali gaullistowską gazetę *La Marseillaise*. W ministerstwie przyjął go Oswald Scott, dyrektor wydziału europejskiego, ze swym przybocznym Johnem Thwaitesem, który przed wojną był konsulem w Katowicach i trochę mówił po polsku. Dwaj Anglicy uznali go za trudnego rozmówcę: „Odnacza się dziwną uprzejmą bezkompromisowością, która pozwala mu wygłaszać najgwałtowniejsze oświadczenia jak najśłodszy tonem i zawsze zaczyna od zgadzania się z rozmówcą, ale... W tym momencie rozmowy p. Nowakowski zwrócił się do p. Scotta i rzekł: — Panie Scott, proszę być ze mną szczerzy. To nie jest powodem zawezwania mnie tutaj? — Spojrzał na biurko p. Scotta, jakby szukał tłumaczeń z *Wiadomości*. P. Scott odrzekł, o ile pamiętam: — Tak, panie Nowakowski, to jest powodem, dla którego prosiliśmy, by był pan łaskaw spotkać się z nami. Są zresztą i inne sprawy, o których moglibyśmy mówić, ale na razie zapomnijmy o nich. — Po czym próbował go przekonać o konieczności umiarkowania... i o szkodach dla sprawy polskiej, którą teraz mogą sprawić nieostrożne słowa oraz trudnej sytuacji brytyjskiej spowodowanej przez niezgodę między aliantami, która stała się niebezpieczna”.

„P. Nowakowski zareagował w swój charakterystyczny sposób, zgadzając się z zasadniczym kierunkiem rozmowy i z miejsca zaczął pomniejszać jej znaczenie. Ponieważ o nic konkretnego go nie oskarżono, tym razem nie czuł potrzeby zapewniania o swej niewinności, ale wydało mi się, że nasze słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, a nawet wydatnie wzmocniły jego pewność siebie... Przypuszczam, że nie uwierzył, że M of I odważyłoby się pozbawić *Wiadomości Polskie* możliwości ukazywania się, albo uznał się za dość silnego, by znów odeprzeć takie zakusy, gdyby spróbowało⁵²”.

Nowakowski inaczej zapamiętał tę lub inną taką rozmowę:

50. FO 371/34587, C 11723.

51. *tamże*, C 11776.

52. FO 371/39438, C 1966.

„Padły słowa suche i dość twarde. Jeśli *Wiadomości Polskie* nie zmieniają tonu, jeśli w dalszym ciągu będą pisały o Lwowie i Wilnie, oraz jeśli nie przestaną drukować pewnych artykułów w języku angielskim, tedy musimy liczyć się z faktem, że zostanie nam cofnięty przydział papieru. Pismo przestanie wychodzić.

Mówiłem wtedy po angielsku jeszcze gorzej niż dzisiaj, ale zebrawszy się w kupę odrzekłem jak potrafiłem, a mianowicie odrzekłem, że polska marynarka handlowa, w warunkach nadzwyczaj niebezpiecznych, przywozi do Anglii rozmaite towary, m.in. papier. Byłoby rzeczą conajmniej dziwną, gdyby z tego papieru korzystały pisma i wydawnictwa angielskie, a pismom polskim jego przydział wstrzymano⁵³”.

Ważność sprawy *Wiadomości* w oczach Anglików podkreśla fakt, że 14 października depesze FO do ambasad w Moskwie i Waszyngtonie doniosły o ostrzeżeniu Nowakowskiego, a 16-go rozesłano ten sam tekst do premierów Kanady, Australii, Nowej Zelandii i Płd. Afryki⁵⁴. On sam nawet nie przypuszczał, jak wysoko dotarła jego sława.

Zagrożeniem bytu *Wiadomości* zainteresował się jeden z przyjaznych Polsce posłów do Izby Gmin, K. Pickthorn, i 1 listopada wystosował list do ministra stanu w FO, Richarda Law, w którym stwierdza, że Nowakowski jest poważnym publicystą i wpływ gazety w jęz. polskim jest ograniczony do Polaków, podczas gdy sowiecka propaganda w Anglii ostro napada na nią samą i jej alianta. Odpowiedź otrzymał od Brackena, który stwierdził, że „nasz naród mógłby mieć bardzo słuszną pretensję, że te gazety wykorzystują swój przydział rządowego papieru, by drukować materiał wywołujący rozdzwinki między Sprzymierzonymi⁵⁵”. Jak widać, dobrze zapamiętał nagły wybuch gniewu ludu w maju i czerwcu, gdy na Churchilla i Edena spadła lawina oburzonych listów⁵⁶ od lokalnych komórek Labour Party i związków zawodowych, załóg poszczególnych fabryk oraz indywidualnych przedstawicieli Klasy Pracującej, tych ostatnich mozolnie (aczkolwiek bez żadnych błędów ortograficznych) gryzmołących ołówkiem na strzępkach papieru i podpisujących się w niepraktykowany w Anglii sposób „Joe Smith — elektryk” i „Susan Jones — sprzątaczką”. Wszystkie te organizacje i osoby w znanym skądinąd stylu, aczkolwiek po angielsku, wyrażały najwyższe oburzenie na polskich faszystów w Londynie, pachołków Hitlera i Goebbelsa, ośmielających się spotwarzać

53. Z. Nowakowski: „Wspomnienia przedjałtańskie”. *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*, 17 luty 1955.

54. FO 371/34587, C 11776.

55. FO 371/34588, C 12910, C 13633.

56. *vide*teczka FO 371/34576.

Wielkiego Alianta posądzeniem o Katyń i domagały się, żeby ich „pozbawić dostępu do *naszych* bardzo cennych zapasów papieru, którego brak, i naszych urządzeń radiowych. Nie chcemy żeby hitlerowska piąta kolumna korzystała z gościny na naszej ziemi”.

Tak kończył się złowróźbny rok 1943, a polska prasa brykała jak dawniej. W początku grudnia Dział Północny FO, do którego należały sprawy sowieckie, naciskał na Dział Centralny (do którego należała Polska), że pora wreszcie przejść do czynów zgodnie z obietnicami danymi Stalinowi przez Churchilla. Rząd sowiecki oświadczył Clark Kerrowi, że jest niezadowolony z kroków podjętych dotychczas i „Dział Północny uważa, że byłoby dobrze dla naszych stosunków z rządem sowieckim, gdybyśmy mu mogli oznajmić, że zamknęliśmy przynajmniej jedno z ważnych polskich czasopism”. Jednak Dział Centralny wyraził oryginalny pogląd, że jest wątpliwe, by takie posunięcie wpłynęło na stosunki brytyjsko-sowieckie i umożliwiło nawiązanie stosunków między rządem sowieckim i polskim⁵⁷. Zresztą z wielu polskich pism trudno było wybrać odpowiednią ofiarę. Na pierwszym miejscu były oczywiście *Wiadomości* i *Mysł Polska*, na które na dodatek judził Litauer, ale te dostały niedawno „ostateczne ostrzeżenie”. Zgodzono się poświęcić drobne pismo *Listy z Londynu* wydawane na prawach rękopisu przez Bolesława Szymanowskiego, ale w końcu uszło z życiem, być może z powodu „małej ważności”⁵⁸.



Tak oto nad prasą opozycyjną zebrały się groźne chmury, z których wkrótce miały uderzyć pioruny. Zresztą nie ona jedna wywoływała popłoch wśród Anglików, którzy starali się nawet zawczasu uprzedzać sowiecki gniew. Oto przypadek z czerwca 1943: 8-go Savery doniósł Robertsonowi o wiadomości wyczytanej w *Dzienniku Polskim*: że gen. Sikorski na Środkowym Wschodzie odwiedził Dywizję... Kresową. Zaniepokojone FO zasięgnęło języka w War Office: czy jest to nazwa oficjalna? Ale tu też nie wiadano i odpisano po zbadaniu sprawy, że ta nazwa znaczy „dywizja pograniczna” i „w obecnej sytuacji jest obliczona na wzbudzenie podejrzeń i oburzenia naszego sowieckiego alianta”⁵⁹. Jednocześnie wybuchła sprawa londyńskiego Ogniska Polskiego, którą wałkowano miesiącami. Jego koszt pokrywała

57. FO 371/34590, C 15340.

58. FO 371/34589, C 14178.

59. FO 371/34579, C 6563.

finansowana przez rząd British Council, pragnąca w nim stworzyć „ośrodek kulturalnej propagandy wśród Polaków i rozwijania kontaktów angielsko-polskich”. Aż tu raptem okazało się, że z lokalu korzystają wysoce podejrzane organizacje jak Związek Ziem Północno-Wschodnich, Związek Ziem Południowo-Wschodnich i Światpol, rozprowadzający z tego adresu swe antysowieckie biuletyny, i że na zebraniu w tymże Ognisku ogłosiły protest przeciw sowieckim zakusom na wschodnie tereny Rzeczypospolitej. FO przeraziło się, że „taka działalność musi skompromitować British Council, którą rząd sowiecki gotów uznać za rządową instytucję, choć nie otrzymaliśmy protestów od sowieckiej ambasady⁶⁰”.

Zgodnie z planem „śledzenia tej prasy z dnia na dzień” z maja 1943, ścisły nadzór teraz roztoczył nad nią FORD, choć w szczególnych przypadkach FO nadal zasięgało zdania Savery’ego. Znalezienie pracownika dla FORD, który czytałby po polsku, nie było łatwe, ale już w czerwcu sprawozdania o sprawkach polskiej prasy zaczęły powstawać w lokalu oxfordzkiego Balliol College, gdzie ich autorem był jakiś Buskitt. Po obejrzeniu ich przez Alfreda Zimmerna, tamtejszego profesora spraw międzynarodowych i wicedyrektora FORD, przekazywano je do FO. Jesienią ten obowiązek przejął niejaki Birkett, zakwaterowany w Glasgowie i jego „obowiązkiem jest donosić FO o wszystkich niewłaściwych artykułach ogłaszanych w gazetach i innych periodykach, które czyta⁶¹”.

Te *Polish Press Reports* obejmowały całą prasę wraz z biuletynami PATa i Światpolu i od końca lipca nadsyłane były co 2 tygodnie, później co kilka dni, i FO dzieliło się nimi z Godfreyem Liasem z M of I. Jeśli żadne grzechy nie podpadły, był to tylko spis artykułów w poszczególnych numerach, kiedy indziej streszczenia lub tłumaczenia tekstów szczególnie obraźliwych dla Wielkiego Alianta. Wszyscy zainteresowani zgadzali się, że głównym przestępcą są *Wiadomości* i niewiele tylko łagodniejsza *Mysł Polska*.

Polskie skąpe źródła dotyczące tych spraw uparcie mówią o angielskiej cenzurze, jakby to była przymusowa cenzura prewen-

60. FO 371/34597, C 7297, C 7654.

61. FO 371/34597, C 7818; FO 371/34588, C 13653.

cyjna. Nowakowski spodziewał się ujrzeć tłumaczenia z *Wiadomości* na biurku Oswalda Scotta i wspomina, że „targował się z cenzurą, której reprezentantami były jakieś urzędniczki mniejszego kalibru mówiące niezłe po polsku i trochę [...] po angielsku⁶²”, a Grydzewski utrzymywał, że *Wiadomości Polskie* nie wydrukowały nigdy ani słowa, które by nie było *passed by the censor*⁶³. Jak więc wyglądała ta cenzura?

Jak już powiedziano, cenzury prewencyjnej w Anglii nie było i redaktorzy byli „zapraszani” do zasięgania rady w dziale cenzury M of I, ale nie musieli z tych zaprosin korzystać. Jest więc oczywiste, że *Wiadomości* drukowały bardzo wiele „słów”, których cenzor nie widział na oczy, bo gdyby widział, to nigdy by ich nie przepuścił. Zresztą w FO odnotowano, że „redaktor był często ostrzegany i przypominano mu, że pracownicy M of I są zawsze gotowi służyć mu radą, ale on ani razu z niej nie skorzystał⁶⁴”, co również nie jest całą prawdą. W jednym przypadku redakcja zaznaczyła interwencję cenzora, gdy artykuł Nowakowskiego o Katyniu „Castrum doloris” w *Wiadomościach* z 2 V 1943 ukazał się z białymi plamami. Ale ani Nowakowski, ani Grydzewski nie mieli oczywiście pojęcia o istnieniu *Polish Press Reports* i daremnie wmawiali w Anglików, że wszystko jest *passed by the censor*.

Jak w tych warunkach można było w sposób niby-legalny zlikwidować kłopotliwe czasopismo, które — żeby było jeszcze trudniej — popierało z entuzjazmem „wysilek wojenny”? Już we wczesnej fazie wojny władze brytyjskie zorientowały się, że należy na wszelki wypadek stworzyć odpowiednie sankcje i że najlepszą bronią będzie papier. 16 sierpnia 1940 wyszło zarządzenie *The Control of Paper (No. 20) Order*, który stwierdza, że „bez licencji nikomu w Zjednoczonym Królestwie nie wolno drukować, produkować ani publikować żadnej gazety czy czasopisma ani innego periodyku, który nie byłby drukowany, produkowany ani publikowany w Zjednoczonym Królestwie przed wydaniem niniejszego zarządzenia”. Nie dotyczyło to więc *Wiadomości*, których angielskie wcielenie pojawiło się miesiąc wcześniej. Taka sytuacja wymagała innego podejścia, które ogłoszono w *The Control of Paper (No. 48) Order* ograniczający, poczynając od 1 marca 1943, zużycie papieru przez te czasopisma, które miały prawo wychodzić bez licencji: można było ich nakłady ograniczyć lub nawet zaryzykować zredukowanie ich papieru do

62. Z. Nowakowski: „Wspomnienia przedjałtańskie”.

63. M. Grydzewski: „Jak rząd brytyjski zamknął *Wiadomości Polskie* w roku 1944”. *Wiadomości*, nr 142/143, 1948.

64. FO 371/39439, C 3111.

zera⁶⁵. Mechanizm tego był prosty: z inicjatywy FO Ministry of Information nakazywało Ministry of Supply zamknąć dostawy do drukarni papieru przeznaczonego na dane czasopismo.

Wbrew coraz gorszym prognozykom, *Wiadomości* przeżyły ciężki rok 1943, choć FO kilkakrotnie zbierało się je zlikwidować zgodnie z obietnicą daną Stalinowi, szczególnie przed moskiewską konferencją Trzech Mocarstw w październiku: „Byłoby przyjemnie zrobić ten gest w stronę Rosjan przed konferencją”, ale byłoby to również kłopotliwe: „Jeśli to się stanie, musimy być przygotowani na dużo hałasu zarówno ze strony polskiej społeczności, wśród której *Wiadomości Polskie* są bardzo poczytne i cieszą się szacunkiem, jak i stronników Polski w Parlamencie i gdzie indziej. Taki krok prawdopodobnie będzie miał szeroki rozgłos jako przykład *appeasementu* Rosji Sowieckiej przez Rząd JKM⁶⁶”.

Sytuacja szybko jednak dojrzewała do ostatecznego rozwiązania, Rothstein pracował po stachanowsku, a w lipcu 1943 miejsce dobrze wychowanego Majskiego zajął tępą i gruboskórny Gusew, z którym dyplomatyczne rozmowy nie należały do przyjemności. Dodatkowe kłopoty stwarzał Birkett z Glasgow, którego raporty, przechodzące jeszcze przez ręce Zimmerna, nie nadążały w informowaniu FO na bieżąco o coraz to nowych polskich kalumniach, wprowadzając ich odbiorców w zakłopotanie: „Nie możemy zgodzić się z sytuacją, gdy sowiecki ambasador przychodzi do sekretarza stanu [Edena] ze skargami zanim zdążymy zapoznać się z wydawnictwami będącymi ich powodem⁶⁷”. 4 i 13 stycznia 1944 znów nękał Edena żalami na *Wiadomości* i *Dziennik Polski*, na co Roberts radził swemu szefowi odpowiedzieć, że rząd polski nie sprawuje cenzury i sam zbiera ciągi od polskiej opozycyjnej prasy, a angielskim usiłowaniom jej „kontrolowania” nie pomagają napady moskiewskiego radia na ten rząd⁶⁸.

O losie *Wiadomości* ostatecznie przesądził nie, jak wierzył Nowakowski, jego artykuł „O drugie Nie” w *Wiadomościach* nr 6 z 6 lutego 1944⁶⁹, tylko „Coś podobnego, ale o czymś

65. FO 371/34584, C 8042, C 8435.

66. FO 371/34597, C 9881.

67. FO 371/39437, C 697.

68. FO 371/39437, C 699.

69. „Wspomnienia przedjałtańskie”. Niestety, archiwum *Wiadomości* sprzed r. 1946 nie istnieje.

innym", który ogłosił w nr. 4 z 23 stycznia i w którym oskarżył partyzantów nasłanych z Rosji o wymordowanie 70 tys. Polaków na Wołyniu. „Niemcy i Rosjanie mają ten sam cel, gdy idzie o Polaków. Niemcy i Rosjanie dążą do tego samego i zniszczenie państwa polskiego jest stadium początkowym, którego dalszym etapem ma być wytępienie narodu polskiego, tak aby zniknął z powierzchni ziemi”.

„Nasza propaganda pewne rzeczy niepotrzebnie przemilcza. Jeśli idzie o sprawę 'stosunków' polsko-rosyjskich, mówiliśmy trochę, bardzo dawno zresztą, np. o dzieciach polskich ginących z głodu w Rosji, zaczęliśmy kampanię w sprawie grobów pod Smoleńskiem, by ją nagle przerwać, stale zaś prowadzimy dyskusję tylko w sprawie granic”.

„Jest to dyskusja całkowicie nieaktualna z dwóch przyczyn. Po pierwsze, nie mamy nic do sprzedania, po wtóre, partnerowi naszemu nie idzie ani o granice ryskie, ani o linię Curzona, ani o linię Mołotow-Ribbentrop, idzie mu po prostu o przekroczenie granicy wytrzymałości biologicznej narodu polskiego. Idzie im o nasz byt. Nie chcą żadnej Polski w ogóle, więc nawet najmniejszej, nie chcą nawet jakiegoś *dehydrated* wolnego miasta Warszawy. Pragną, by ci Polacy, którzy cudem ostaną się żywi, którzy unikną rzezi wołyńskiej, poleskiej, podolskiej, podlaskiej itd., stopieni zostali w straszliwym, do białości rozpalonym, rosyjskim *melting pot*, który od amerykańskiego różni się tak, jak różni się noc od dnia. Przestańmy wreszcie mówić o Lwowie czy o Wilnie, skoro w grę wchodzi przede wszystkim byt całego narodu polskiego”.

26 stycznia *Polish Press Report* z tłumaczeniem tego tekstu znalazł się na biurkach w Centralnym Departamencie i wywołał panikę jako „wyjątkowo jadowity, nawet jak na *Wiadomości Polskie*... P. Rothstein z TASSa, który ściśle śledzi polską prasę, już próbował przetelegrafować do Moskwy streszczenie tego artykułu, ale cenzor zatrzymał depeszę. Z pewnością dokładne sprawozdanie już zostało nadane szyfrem przez sowiecką ambasadę. P. Rothstein jest oburzony i możemy oczekiwać zażalenia od sowieckiego ambasadora”. Zdecydowano ubiec Gusewa i zamknąć *Wiadomości* przed jego występem, zwłaszcza że Mołotow ostatnio znów się skarżył na wybryki polskiej prasy. Nawet rozsądny Roberts uznał, że „ta likwidacja pomoże rządowi polskiemu, nawet jeśli nie wiele się przyda u Rosjan. No i powinniśmy to zrobić dla siebie, skoro tak skandalicznie zignorowano nasze ostrzeżenia⁷⁰”.

Wewnętrzna korespondencja Centralnego Departamentu z

tych dni, w przeciwieństwie do wcześniejszej, dotyczącej polskich spraw na terenie Anglii, nosi ślady żywego zainteresowania Edena w postaci odręcznych uwag dopisywanych czerwonym atramentem. Wątpił podobnie jak Roberts, „czy zamknięcie tej gazety będzie miało istotny wpływ na stosunek rządu sowieckiego do polskiego i do rządu JKM” i stwierdził, że „żałuję tego, bo *Soviet War News* obficie drukują obelgi pod adresem rządu polskiego, prawda? Jaka na to rada? Jeśli by polski rząd poprosił nas o ich zlikwidowanie, albo choć dał do zrozumienia, że sobie tego życzy, to by było łatwe⁷¹”. Uznano jednak, że rząd ten zachowa się dyskretnie, bo *Wiadomości* „potępiał ze względów politycznych, z czego można sądzić, że nic nie będzie miał przeciw zamknięciu i, gdyby wynikła publiczna dyskusja, rządowi polskiemu trudno byłoby się zgodzić, żebyśmy powołali się na jego zgodę na zamknięcie⁷²”.

31 stycznia Eden konferował z Brackenem, który obiecał rzecz przemyśleć jeszcze raz. 3 lutego napisał do Edena, że „trudno sobie wyobrazić artykuł szkodliwszy od ogłoszonego w tej gazecie 23 stycznia i moje ministerstwo naprawdę nie ma innego wyjścia, niż pozbawić ją środków egzystencji⁷³”. Podniety do wydania ostatecznego wyroku dostarczył Stalin, który 2 lutego w rozmowie z Clark Kerrem stwierdził, że „wznowiłby stosunki z rządem polskim na wygnaniu, gdyby się nie obawiał, że będzie je musiał zerwać z powodu tego, co określił jako chulikańską kampanię jego prasy przeciw rządowi sowieckiemu⁷⁴”.

9 lutego M of I nakazało drukarni Williams, Lea and Co na East Endzie, gdzie drukowały się *Wiadomości*, zatrzymać papier, który miała na składzie na ich użytek i zabroniło je drukować, oraz powiadomiło o tym Kolina i Ministry of Supply. Następnego dnia doniosło Nowakowskiemu, że papieru więcej używać nie wolno⁷⁵. Oswald Scott osobiście przekazał wiadomość generalnemu sekretarzowi MiD Drohojowskiemu, który okazał się „wdzięczny, że przedstawiliśmy mu *fait accompli*”. Wreszcie 12 lutego FO powiadomiło ambasadę w Moskwie, że po numerze, który właśnie się drukuje, pismo przestanie wychodzić⁷⁶.

Angielska prasa w większości przyjęła nowinę z aprobatą, a jej część z zachwytem — *Daily Worker* i pokrewne mu organy zachłystywały się z radości. *Observer* z 13 lutego donosił, że

71. *tamże*.

72. *tamże*.

73. FO 371/39438, C 1674.

74. FO 954/20, Pol/44/18.

75. FO 371/39438, C 2029; FO 371/39441, C 8121.

76. *tamże*, C 2029, C 1856.

„sam marszałek Stalin protestował przeciw dalszemu wydawaniu”, a następnego dnia korespondent *Daily Express* donosił z Moskwy, że ta wiadomość została przyjęta z zadowoleniem i „Rosjanie wierzą, że i inne reakcyjne polskie gazety spotka ten sam los za ich antysowieckie wystąpienia”. Jak wspomina Nowakowski: „Redakcje pism angielskich okazały pewne zainteresowanie i przysłały reporterów na *cocktail party* urządzone z funduszków prywatnych wydawcy. Było dużo picia i kilka mów⁷⁷”.

16 lutego omawiano sprawę w Izbie Gmin, gdzie przyjaźni Polsce posłowie zażądali od Brackena wyjaśnienia. Odpowiedział, że „to polskie pismo poświęcało bardzo wiele miejsca na ataki na rząd sowiecki i obrażało rząd polski. Pomimo ostrzeżeń, by przestało nadużywać brytyjskiej gościnności, nie zaprzestało usiłowań, by rozniecać niezgodę między naszymi Aliantami i cytaty z jego łamów szeroko wykorzystywała niemiecka propaganda...”

„Sir A. Southby (konserwatysta): ...czy mój szanowny przedmówca zechce wyjaśnić, jak ma się wyrażać swobodna polska opinia, jeśli zamyka się jej organ przez odebranie papieru na druk?”

P. Bracken: Polacy mają wiele czasopism w naszym kraju i nie widzę dlaczego brytyjscy marynarze mają przewozić papier przez ocean, żeby tutejsi cudzoziemcy mogli pomagać niemieckiej propagandzie w sianiu niezgody.

M. McGovern (Niezależna Labour Party): Czy Rosja zabiegała o zamknięcie tego pisma i czy krytyka władców Rosji jest przestępstwem?

P. Bracken: Nie było żadnych sugestii ze strony sowieckiego rządu co do naszych stosunków z polską prasą [*sic!*]. Krytyka żadnego rządu, sowieckiego czy innego, nie jest przestępstwem, ale muszę podkreślić, że nadchodzi najstraszniejszy okres tej wojny i jest chyba jasne, że rozum jest po stronie tych, którzy próbują stworzyć jedność wśród naszych aliantów, a nie tych, co się ją niezgodę⁷⁸”.

Dodatkowym przestępstwem *Wiadomości* było, że próbowały „wtrącać się do polityki brytyjskiej, żądały stosowania się do Karty Atlantycznej, przez co rozumiały poparcie dla polskich ekstremistów, wydawały artykuły z tytułami: 'Sprawa polska poświęcona interesom polityki brytyjskiej' i interpretowały określone przez p. Churchilla cele anglo-amerykańskiego przymierza jako skierowane przeciw ZSSR⁷⁹”.

77. „Wspomnienia przedjałtańskie”.

78. House of Commons. Vol. 397. 16 lutego 1944.

79. FO 371/39441, C 9081. Nieprawda — ten tytuł wymyślił *Goniec Krakowski*.

Spodziewane przez Anglików protesty polskiej społeczności nie nadeszły, a raczej nadeszły pod bezsensownym adresem: do redakcji *Wiadomości*. Były to lata, jak pamiętają świadkowie tych czasów i miejsc (również we wczesnym okresie powojennym), gdy prawdziwe życzenia angielskich władz dotyczące polskich uchodźców, lub też urojone dla własnej wygody czy służalczości przez ich polskich urzędników, były przyjmowane przez polski ogół jak wyroki Boga Ojca, które szaleństwem byłoby kwestionować i oświadczenie „Anglik powiedział” wykluczało wszelką dyskusję. Tak i teraz czytelnicy *Wiadomości* (niektórzy prawdopodobnie piszący po angielsku) wysłali protesty do ich redakcji i część londyńskiej prasy polskiej, również zagrożonej represjami, pospieszyła z wyrazami współczucia i oburzenia, ale to wszystko nie wyszło poza własne podwórko. Władze polskie, jak zresztą gospodarze przewidywali, też nie spieszyły na odsiecz i dopiero 6 marca amb. Raczyński (czyżby z własnej inicjatywy?) doręczył Alexandrowi Cadoganowi w FO memoriał w obronie *Wiadomości*, „pisma wysokiej klasy pod względem literackim, którego nie można podejrzewać o motywy działania inne niż patriotyczna troska ich współpracowników⁸⁰”. Oczywiście nic to nie dało.

Prawna strona likwidacji *Wiadomości* okazała się mocno wątpliwa, co prawdopodobnie zapobiegło dalszym ofiarom. Redakcja mogła być zakwestionować ten wyrok śmierci i wygrać sprawę, ale oczywiście o tym nie wiedziała. Zdaniem Ministry of Supply, „kontroli papieru” użyto w sposób niewłaściwy, wykorzystując fakt, że „tekst tego przepisu nie wykluczał zredukowania przydziału papieru do zera, choć oczywiście nie to było jego celem. Doradcy prawni [tego ministerstwa] twierdzą, że w świetle wspomnianego zarządzenia całkowite pozbawienie tego czasopisma papieru mogło być z pomyślnym skutkiem zakwestionowane w sądach i uważają sposób potraktowania tej polskiej gazety za udany *bluff*⁸¹”.

Wiadomości jednak wychodziły dalej, tyle że w postaci broszur wydawanych w dwu seriach: *Biblioteka „Wczoraj i Dziś”* (7 broszur) i *Almanach Historyczno-Literacki* (5). W kwietniu 1946, wykorzystując możliwość drukowania z drugiej strony Kanału, znów pojawiły się jako tygodnik, choć bez przymiotnika „polskie”.

Wśród prasy opozycyjnej *Wiadomości* były główną ofiarą

80. FO 371/39439, C 3111.

81. FO 371/47634, N 8318.

złożoną w imię dobrych stosunków z Wielkim Aliantem, ale wystarczył rok, by FO pozbyło się wszelkich złudzeń co do mających wyniknąć z tego korzyści. „Pozytywne skutki tej naszej akcji, jak spodziewaliśmy się, były niewielkie. Nie przerwało to wyrażania antysowieckich poglądów przez polską prasę, a nawet prawdopodobnie wzmogło tendencję ogłaszania ich w jeszcze mniej odpowiedzialnych i trudniejszych do kontrolowania drobnych broszurach i ulotkach, które na dodatek tak samo przydały się Rosjanom do cytowania, gdy tego wymagały ich interesy. Jest również wątpliwe, czy to nasze posunięcie miało jakikolwiek wpływ na złagodzenie sowieckich zapatrywań i postępowania⁸²”.



Na terenie uprzątniętym po ubiciu grubego zwierza na odstrzał pozostała drobniejsza zwierzyna, wśród której najwięcej irytacji w FO budziły *Myśl Polska* (nakład 2500 egz.), *Listy z Londynu* i biuletyn Światpolu. W początku stycznia 1944 Scott rozmówił się szczerze choć bezskutecznie z redaktorem *Myśli* Marianem Rojkiem. FO uznało, że po zamknięciu *Wiadomości* jest to „najszkodliwsze polskie czasopismo, niezmiennie antysowieckie i anty-rząd polski tam wszędzie, gdzie dostrzega jego gotowość współpracy z Rosjanami lub uznania ich za przyjaciół raczej niż wrogów⁸³”. Przydało się jednak doświadczenie z *Wiadomościami*, by na razie jej nie likwidować, choć *Polish Press Reports* bacznie ją śledziły i w październiku 1944 oraz styczniu 1945 omal nie poszła na odstrzał w interesie „dobrych stosunków” i „wzmocnienia pozycji p. Mikołajczyka⁸⁴”.

Światpol również długo trzymano na muszce, zwłaszcza że gościnne występy dawał w nim Nowakowski. W kwietniu 1944 zredukowano mu przydział papieru z 2225 do 420 funtów na kwartał⁸⁵.

Listy z Londynu okazały się nieuchwytnie, bo zdobywały papier we własnym zakresie, więc „nic nie możemy poradzić na tę szmatę, która jest starym przestępcą⁸⁶”. Stopniowo jednak do likwidacji zaczynało brakować podniety. Zapewniwszy sobie wolną rękę w Środkowo-Wschodniej Europie Wielki Aliant coraz mniej interesował się wystęпами polskiej prasy w Londynie i odpowiednio malała aktywność Rothsteina. Uwaga FO nadal

82. FO 371/47632, N 276.

83. FO 371/39441, C 7401.

84. FO 371/39443, C 14665; FO 371/56500, N 4095.

85. FO 371/39438, C 1692; FO 371/39440, C 5660.

86. FO 371/39443, C 12978; C 13266.

jednak była na nią skierowana siłą przyzwyczajenia. Cofnięcie uznania rządowi polskiemu i wyschnięcie polskich funduszy publicznych zdziesiątkowało ją, ale wkrótce jej obraz zamąciło przybycie do Anglii 2-go Korpusu z jego bojowo antysowiecką prasą, której władze brytyjskie oczekiwały z niepokojem, spodziewając się, że będzie trudna do poskromienia. W powojennych warunkach FO interesowało się przede wszystkim tym, by polska prasa zachęcała swych odbiorców do powrotu albo przynajmniej nie przeszkadzała w przekonywaniu ich, że Ojczyzna na nich czeka i wszelkie ich obawy przed powrotem są urojone.

Hanna ŚWIDERSKA

Władysław KIJUĆ

RZECZYWISTOŚĆ I MITY POLSKO-LITEWSKIE

Przed drugą wojną światową granica zwartego obszaru języka litewskiego w przybliżeniu pokrywała się z polsko-litewską granicą państwową. Po stronie polskiej istniały niewielkie enklawy litewskie w rejonie Puszczy Rudnickiej i okolicach Święcian, natomiast na Litwie istniała w dolinie Wilii głęboka nielitewska zatoka, sięgająca do Kowna. Poza tym zwartym obszarem mapy etnograficzne zarejestrowały małe wysepki litewszczyzny w okolicach Gieranion, Puszczy Nalibockiej, a nawet na Polesiu, bodajże Białostocczyźnie, zaś mapy z początków tego stulecia takie wysepki jeszcze nad Berezyną i u wrót Kijowa. Były to pozostałości potężnego ongiś kręgu języków bałto-litewskich, który rozciągał się gdzieś od Oki do dolnej Wisły (Prusowie). Wzmianki o Gotach w centralnej Rosji odnosiły się prawdopodobnie do owych Bałtów. Goti nazywa jeszcze Adam Bremeński litewskojęzycznych Prusów. Nie był to najstarszy krąg językowy. Nałożył się na jeszcze starsze podłoże ugrofińskie. Nazwy większości rzek i najstarszych miejscowości w Polsce (np. Rega, Liwiec, Por, Łada, Raba i Radom, Warka, Tumlin) i na Litwie (np. Wilia Neris i Wilno, Kaunas, Mariampol) z łatwością można objaśnić w języku liwskim i estońskim bez konieczności stosowania bałamutnych zabiegów prasłowiańskich czy pragermańskich. Ślady te w postaci nazewnictwa pozostawiły ludy kultury prafińskiej, ludy uralskie, nosiciele języków ugrofińskich. Języki te wycofały się na północ Europy, w dalekiej przeszłości sięgały zapewne w głąb kontynentu.

Proces cofania się i kurczenia wielkiego obszaru języków bałto-litewskich nastąpił już w czasach historycznych.

Stosunkowo wcześniej zanikł język litewski Jadźwingów na Podlasiu. Doliną Bugu przenikały na ten obszar wpływy Rusi Kijowskiej, a wzdłuż Narwi i Bugu w kierunku Suwalszczyzny przesuwał się język polski w odmianie mazurskiej. Zamilkł też język litewskich Prusów, wyparty przez niemczyznę przyniesioną przez Zakon Krzyżacki. Erozja i zanikanie języka litewskiego odbyły się głównie pod naporem języka białoruskiego. Język ten uformował się gdzieś na obszarach państwa wczesno-ruskiego powstałego na osi Dniepru na drodze *iz Warjag w Greki*. Język ten, związany z organizacją państwową, chrześcijaństwem i kulturą bizantyjską, piśmiennictwem, starosłowiańsko-cerkiewnym językiem obrzędów, stopniowo wypierał język litewski. Przyjmowała język białoruski jako kulturalnie wyższy nie tylko elita plemienna, ale i ludność wiejska. Rozpoczął się proces cofania się języka litewskiego, który trwał do czasów najnowszych. Powstanie pogańskiego państwa litewskiego i zawojowanie przez niego prawie całej Rusi Kijowskiej sytuację tę nawet pogorszyło, bowiem za Olgerda przyjęto język białoruski (starobiałoruski) jako język urzędowy dla tego wielkiego państwa. Odtąd dekrety wielkich książąt, a później i królów polskich, statuty, decyzje sądowe były sporządzane w tym języku, język zaś litewskich zdobywców cofał się do opłotków wiejskich. Toteż Giedyminowicze, chociaż wyszli z litewskiego pogaństwa, posługiwali się językiem białoruskim, ową łaciną Wielkiego Księstwa Litewskiego. Nic nie wiemy o tym, aby król Jagiełło potrzebował tłumaczy. On po prostu stale mówił po białorusku, w języku białoruskim wydawał rozkazy w bitwie pod Grunwaldem i ze względu na podobieństwo języków wszyscy go rozumieli. Skoro sam *wielikij kniaź*, to też i elita, owi Radziwiłłowie, Tyszkiewiczowie, Pacowie, zanim się spolonizowali, posługiwali się raczej językiem białoruskim. Również owi „boćwinkowie”, którzy przyjeżdżali na wspólne sejmy polsko-litewskie, obywali się bez tłumaczy. Nie znajduje żadnego uzasadnienia pogląd o 6-wiekowej polonizacji Litwy. Otóż Litwa początkowo była pod presją militarną Rusi Kijowskiej, a później pod przemożnym wpływem białoruszczyzny i w sumie trwało to prawie 7 wieków, aż do roku 1697, w którym to na żądanie szlachty litewskiej wprowadzono język polski jako język urzędowy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Litwa nigdy nie była jakąś prowincją Polski, była od Unii Lubelskiej państwem suwerennym, a po niej tę suwerenność w znacznym stopniu zachowała, tracąc tylko ziemie ukraińskie. Unifikację obu państw postulowała Konstytucja 3 Maja. Ponieważ w czasach feudalizmu obowiązywała lojalność

wobec państwa i panującego, wszyscy obywatele Wielkiego Ks. Litewskiego nazywali siebie Litwinami, choć litewskiego już nie rozumieli i co ciekawe, ów język — niewątpliwie białoruski — nazywano też językiem litewskim. Wiemy dobrze, że dwaj znakomici obywatele tamtej ziemi, poeta Adam i Józef Piłsudski, mówili doskonale po białorusku, ale nie mamy pewnych informacji czy równie dobrze znali język litewski, chociaż często nazywali siebie Litwinami. Toteż gdy zawierano Unię Lubelską z Wielkim Ks. Litewskim, to raczej zawierano ją już z państwem białoruskim, tylko w litewskim opakowaniu. Większość elity nie znała już języka litewskiego, najwyżej 15-20 % ludności wiejskiej posługiwało się tym językiem. Już w czasach Jagielly zwarty obszar języka litewskiego zapewne nie przekraczał linii Lida-Krewa. Świadczy o tym lokalizacja kościołów po przyjęciu chrztu przez Litwę, ograniczona w zasadzie do Aukštoty. Na wschód od tej linii od dawna istniały już kościoły wschodnie i zapewne dominował już język białoruski; być może w samym Wilnie litewszczyzna była w zaniku. Naszkicowane procesy etniczne doprowadziły do tego, że młody nacjonalizm litewski mógł zbudować swoje państwo narodowe już tylko na małej resztkowiec wielkiego litewskiego obszaru językowego. Jego nieszcześnie był fakt, że w dawnej stolicy Litwy i w okręgu długotrwałych procesów etnicznych pojawił się tam język białoruski, a później polski. Warto przy tym zauważyć, że Jagiello jest traktowany przez część historyków litewskich jako „zdrajca”, który sprowadził na Litwę owe nieszczęście polonizacji. Pogląd ryzykowny, gdyż rola Jagielly w zachowaniu litewskości jest wręcz kluczowa. Kiedy zawierał w Krewie unię z Polską, w rękach krzyżackich była już Żmudź po Dubisę, a forpocztę krzyżackie docierały do Kowna i Wilna. Ze strony dzisiejszej Łotwy zagrażał Litwinom niemiecki Zakon Kawalerów Mieczowych. Przeciwwstawienie się tym obu agresorom własnymi siłami było chyba niemożliwe.

W ów „czarny” dla Zakonu dzień 15.VII.1410r. Jagiello wyprowadził pod Grunwald połączone siły chorągwi polskich, litewskich, białoruskich i ukraińskich, które w wielkiej bitwie zniszczyły największą armię średniowiecznej Europy. Niewiele lat później połączone siły litewsko-polskie zmiotły Zakon Kawalerów Mieczowych. Zachodnia granica języka litewskiego na linii Sejny-Tylża nie cofnęła się w ciągu wieków ani na krok. Rejon Kłajpedy, który pozostał przy Zakonie, uległ znacznej germanizacji. Przyjęcie katolicyzmu przez Litwinów odróżniło ich od prawosławnych Białorusinów, co postawiło jakąś tamę przed rozpylianiem w morzu białoruskim.

Język polski na Litwie nie był już obcy w początkach jej państwowości. Do jego znajomości przyczyniły się liczne rzesze jeńców wojennych, wziętych w czasie wypraw wojennych na sąsiednie Mazowsze jak też Królestwo Polskie. Osadzani byli na roli, być może głównie w posiadłościach książęcych wokół Wilna. Część z nich zapewne pozostała. Ale utrzymywane były też rozliczne kontakty pokojowe, handlowe, zawierano małżeństwa, w tym małżeństwo króla Kazimierza Wielkiego z Aldoną Gedyminówną.

Unia z Polską w Krewie i chrystianizacja za pośrednictwem Polski rozszerzyły znajomość języka polskiego. Oczywiście po zawarciu Unii Lubelskiej proces przenikania języka polskiego przybrał na sile. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Język polski stał się francuszczyzną środkowo-wschodniej Europy. Znano go na dworze carów moskiewskich, pruskich elektorów i gospodarów mołdawskich. Porzucając swoją białoruszczyznę, przyjmowała go stopniowo elita litewsko-białoruska, która jak każda elita ówczesna lubiła posługiwać się językiem innym niż jej lud. Istotnym zwrotem w kierunku różnicowania etniczno-językowego W. Ks. Litewskiego stały się wydarzenia związane z „potopem” i okupacją moskiewską 1655-61. Wojska litewskie pozbawione teraz polskiego wsparcia poniosły klęskę pod Oszmianą. Całe prawie W. Księstwo Litewskie wraz z Wilnem znalazło się pod okupacją moskiewską, tylko część żmudzka zajęli Szwedzi. Ujawniły się teraz skutki wielowiekowych procesów językowo-etnicznych.

Elita białorusko-prawosławna ze Stanisławem Ordą uznała cara Aleksandra wielkim księciem Litwy. Janusz Radziwiłł, niesłusznie nazwany zdrajcą i jego zwolennicy podjęli próbę odbudowy W. Księstwa Litewskiego w oparciu o potęgę szwedzką. Część szlachty i wojska opowiedziały się za związkami z Polską. Okres ten niewątpliwie zapoczątkował proces formowania się polskiej świadomości narodowej. Objął on ludność wyłącznie katolicką, którą od katolickich Litwinów oddzielała bariera językowa. Od prawosławnych Białorusinów oddzielił szok związany z najazdem moskiewskim, jeszcze na wpół mongolsko-tatarskim, lecz pod sztandarem nietolerancyjnego prawosławia. Dla ludności tej najbliższą okazała się polskość ze względu na powiązania religijne i kulturowe, a częściowo językowe.

Deklarowała swą polskość później nie tylko ludność rejonu solecznikowskiego i wileńskiego, lecz również rejonów grodzieńskiego, lidzkiego i oszmiańskiego, obecnie Białorusi.

W roku 1697 na żądanie szlachty litewskiej wprowadzono język polski jako język urzędowy Wielkiego Ks. Litewskiego, eli-

minując język białoruski. Urzędowy język polski niewątpliwie przyczynił się do postępów polonizacji, zwłaszcza polskie szkoły. Należy zauważyć, że polskojęzyczny Uniwersytet Wileński stał się jednym z ognisk litewskiego i białoruskiego odrodzenia narodowego. Po Powstaniu Listopadowym rząd carski rozpoczął rugowanie języka polskiego, a po Powstaniu Styczniowym za używanie tego języka na ulicy lub nawet w kazaniach groziła 5-letnia zsyłka. Najwięcej zadrażeń litewsko-polskich pochodzi z okresu pierwszej wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej. Był to okres formowania się narodowego państwa litewskiego na bazie językowej, która jednak skurczyła się w ciągu wieków niepomrotnie, pozostawiając Wilno i okolice po stronie polskiej i białoruskiej. Wśród działaczy litewskich wykryształizowała się ostatecznie idea niepodległego państwa bez związków z Polską. Natomiast po stronie polskiej były jeszcze żywe idee federalistyczne, idee unijne. Te diametralnie różne cele polityczne doprowadziły do starć zbrojnych, prób uchycenia władzy na Litwie przez POW. Nie należy tego demonizować. Twardy opór litewski stworzył nowe realia polityczne. Ku pochwalę polskiej polityki uznano odrębność państwowości litewskiej za trwały element. Ofensywa gen. Żeligowskiego nie wyszła poza rogatki Wilna, a w roku 1938 nie wydano rozkazu marszu na Kowno pomimo nacisków ulicy.

Pozostawała otwarta tylko sprawa granicy. Jeden z punktów prez. Wilsona przyjętych za podstawę zakończenia I wojny przewidywał odbudowę państwa polskiego na obszarach z przewagą języka polskiego. W tym układzie szanse Litwy w Wilnie, w którym zaledwie 1 % mieszkańców znało język litewski, były znikome. Toteż z kręgów Koalicji pochodził plan gen. Focha, przewidujący linię demarkacyjną biegnącą w odległości 12 km na zachód od linii kolejowej Dynaburg-Grodno, pozostawiającą Wilno i Suwałki po stronie polskiej. Pozostawało tylko prawo Litwy do jej historycznej stolicy. Trudno mówić o wyłączności tego prawa. Wilno było stolicą wielonarodowego państwa, W. Ks. Litewskiego, rozciągającego się gdzieś od Siedlec do Smoleńska, a nie tylko tego skrawka, na którym formowało się narodowe państwo litewskie. Z Wilnem związany był ruch białoruskiego odrodzenia narodowego, jak też kultura i literatura polskiej diaspory.

W kwietniu 1919 r. wojska polskie przeciwstawiając się „czerwonemu marszowi” zajęły Wilno. Opuściły je dopiero w lipcu 1920 pod naporem ofensywy Tuchaczewskiego.

Wbrew obiegowym poglądom bitwa warszawska nie rozstrzygnęła losów wojny 1920 r. Część sił bolszewickich wyszła z po-

gromu, często wykorzystując terytorium Prus i Litwy. Wzmocniona odwodami, otworzyła front na zachód od Grodna, z rozkazem ponownego marszu na Warszawę. Frontalne uderzenie na te siły pochłonęłoby wiele ofiar. Piłsudski, mistrz zaskakującego manewru, postanawia przejść przez skrawek terytorium litewskiego, sforsować Niemen i Marczańkę i przez Puszcę Grodzieńską wyjść na głębokie tyły armii bolszewickiej. Następuje jej całkowity pogrom. To naruszenie terytorium Litwy było usprawiedliwione nie tylko koniecznością wojenną, a i tym, że wojska bolszewickie w pochodzie na Warszawę miały uzgodnione z Litwą prawo korzystania z litewskich szlaków komunikacyjnych.

Zwycięskie wojska polskie nie mogły jednak powrócić do Wilna. Miasto to na podstawie układu Litwy z Rosją sowiecką przekazane zostało Litwie.

Celem jego odzyskania podjęto kontrowersyjne działanie zwane „buntem” gen. Żeligowskiego. Generał Żeligowski dowodził dywizją litewsko-białoruską, składającą się z ochotników z tamtych ziem i w tym z Wilna. Dywizja ta wykazała się wielką walecznością w 1920 r., dzielnie stawiała pod Radzyminem. Dywizja miała nie pogodzić się z faktem oddania ich Wilna, oderwać się od głównych sił polskich i ruszyć w kierunku Wilna. Zmasowane tam siły polskie nie ruszyły jednak na Litwę. Jak później okazało się, ten „bunt” był inspirowany przez Piłsudskiego. Sprawa Wilna należała wtedy do rzadkich problemów, których każde rozwiązanie było złe.

Należy zauważyć, że w krótkim okresie historycznym zakończył się proces formowania nowoczesnego narodu litewskiego, jego tożsamości, nastąpiła jego konsolidacja, której jednym z czynników była sprawa odzyskania Wilna. Trudno powiedzieć, czy te procesy przebiegałyby tak gładko, gdyby stolicą Litwy pozostało polskojęzyczne Wilno, a mniejszości narodowe stanowiłyby 40 % jej mieszkańców.

Mało zbadana jest zasadność oskarżeń litewskich i białoruskich odnośnie działalności Armii Krajowej. Wydaje się, że owe wojny akowsko-litewskie, podjęte w czasie gdy oczywiste już było zagrożenie nie tylko dla polskości Wilna, lecz polskości jako całości i Litwy i litewskości, były militarnie chybione i politycznie kontrowersyjne.

Sprawa podręczników polskich na Litwie jest fragmentem bardzo poważnego problemu. Nie będzie otwarcia dzisiejszej Polski na Wschód, na Litwę, bez przewyrciężenia polonocentryzmu w historii pisanej, poglądów, że wszystko tam było polskie, a zwłaszcza kultura. W rzeczywistości była to wspólna histo-

ria narodów Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy i często była to kultura wschodnich narodów Rzeczypospolitej, wyrażana tylko w języku polskim. Trudno zaprzeczyć, że wiele z Litwy i Białorusi tkwi w poecie Adamie, Elizie Orzeszkowej czy w kompozycjach Moniuszki. Wystrój architektoniczny Wilna, malarstwo często były dziełem ludzi tamtego kręgu.

Przedstawianie w podręcznikach np. bitwy chocimskiej jako świetnego zwycięstwa oręża polskiego jest nieporozumieniem.

Za Dniestr i Chocim ruszyły liczne pułki koronne (polskie), litewsko-białoruskie, nadeszły też wojska kozacko-ukraińskie pod atamanem Sachajdacznym.

Siły te powstrzymały napór turecki, w czym bardzo odznaczali się Kozacy. Było to zatem wspólne zwycięstwo narodów Rzeczypospolitej, a nie tylko polskie. Podobnym wspólnym zwycięstwem była bitwa pod Grunwaldem, a nie litewskim czy polskim, jak chce Długosz.

Obie strony nie wspominają, że pokaźny był udział chorągwi ukraińskich (chorągwie przemyska, lwowska, podolskie czy kijowskie). Dlatego polskie podręczniki do nauki historii czy literatury bez obopólnych rewizji są trudne do zaakceptowania w szkołach na Litwie, Białorusi czy Ukrainie.

Współczesne kontrowersje polsko-litewskie wynikają często z błędnej oceny procesów i wydarzeń z przeszłości, jak też niepotrzebnych animozji dnia dzisiejszego. Przedstawione wyżej samorzutne procesy etniczno-językowe, które drażyły W. Ks. Litewskie w ciągu wieków, doprowadziły tam do uformowania się polskiej świadomości narodowej. Nie było w tym zamierzonej, planowanej polonizacji czy kolonizacji — z wyjątkiem może dwudziestolecia. Mniejszość polska jest w większości autochtoniczna i tak dawna jak i jej litewskojęzyczni sąsiedzi. Próby skłonięcia jej do powrotu do litewskości czy białoruskości będą chybione, jak to wynika z doświadczeń historycznych. Trudno na przykład skłonić dzisiejszych Francuzów, aby porzucili swój język, będący odmianą rzymskiej łaciny, i powrócili do celtyckiego języka przodków. Mniejszość polska na Litwie nie będzie żadnym zagrożeniem dla narodowej Litwy, będzie jej wzbogaceniem i pomostem łączącym z polskim sąsiadem.

NOTA BIOGRAFICZNA

Władysław Kijuć urodził się 21.XI.1921 r. w Tubielewiczach ziemi lidzkiej. Gimnazjum humanistyczne. Żołnierz Armii Krajowej i Armii Berlinga. Studia historyczne. Lektorat łaciny średniowiecza. Wydział mat.-przyrodniczy Uniw. w Łodzi. Magister chemii 1952 r. Od 1968 r. tłumacz jęz. rosyjskiego, niemieckiego, angielskiego.

Publikacje dot. tłum. fragmentów Kroniki G. Anonima, Kroniki Brunwilskiej, relacji Wulfstana, nazewnictwa na Łemkowszczyźnie. Z chemii dot. korozji, endogennych kancerogenów w *Deutsche Zeitsch. für Onkologie* nr 4 (1989).

WSPOMNIENIA

Andrzej M. KOBOS (opr.)

GEN. FIELDORF „NIL”

(WSPOMNIENIA ŻONY)

Generał August Emil Fieldorf „Nil” (20.III.1895–24.II.1953) był jedną z najwspanialszych postaci polskiej konspiracji: Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej i „Nie”.

Na mocy wyroku sądów PRL opartych na monstrualnym oskarżeniu o współpracę z okupantem, Generał „Nil” skazany został na śmierć, a wyrok wykonano 24 lutego 1953. Generał „Nil” był najwyższym stopniem i autorytetem dowódcą Armii Krajowej i poakowskiej konspiracji, który znalazł się w rękach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i który za swoją wierność wolnej Polsce zapłacił życiem.

Pani Zofia Zarkadas, wnuczka Generała mieszkająca w Kanadzie, udostępniła mi taśmę magnetofonową z zapisem wspomnień śp. Pani Janiny Fieldorfovej, wdowy po Generale, a jej babki (zmarłej w 1979 roku) i wyraziła zgodę na opublikowanie transkryptu tej taśmy w *Zeszytach Historycznych*. Pani Maria Fieldorf-Czarska, córka Generała mieszkająca w Polsce, również wyraziła zgodę na tę publikację*.

Taśma została nagrana przez panią Janinę Fieldorfową w roku 1977 w Gdańsku, na krótko przed jej śmiercią. Nagranie to było Jej inicjatywą — pragnęła pozostawić Rodzinie pewien dokument. W całości zapis tej taśmy nie był nigdy szerzej udostępniony ani opublikowany. Kilka małych fragmentów, dotyczących głównie okresu przedwojennego, zostało wykorzystanych w rozproszonych artykułach pani Marii Fieldorf (bratanicy Generała) i pana Leszka

* Druga córka Generała, Krystyna, zmarła w 1979 r.

Zachuty, które cytowane są tutaj obficie w odnośnikach, jako [1], [2] i [4]. Całość wspomnień pani Fieldorowej, a w szczególności Jej opowieść o tragicznym okresie powojennym, stanowi, moim zdaniem, istotny dokument niedawnej historii Polski. W wymiarach doli człowieczej jest to dokument tragedii ludzkiej, a także miłości dwojga ludzi.

●

Jeszcze kilka uwag technicznych. Poniższy transkrypt jest tekstem źródłowym, tj. zapisem dosłownym**, z kilkoma drobnymi poprawkami gramatycznymi i opuszczeniem paru powtórzeń. W kilku miejscach, w nawiasach kwadratowych [] dodane są oczywiste opuszczenia oraz, dla pełnej informacji, imiona niektórych wspomnianych osób. W tekście pani Fieldorowej jest kilka nieuniknionych nieścisłości, przeważnie w datach; starałem się sprostować je w odnośnikach do tekstu, podając źródła. Ponadto rozbudowałem nieco w odnośnikach niektóre kwestie poruszane przez panią Fieldorową, znowu każdorazowo podając źródła.

Na koniec pragnę wyrazić głębokie podziękowanie pani Zofii Zarkadas za udostępnienie tej taśmy i wyjaśnienia, których mi udzieliła. Za dodatkowe informacje i komentarze dziękuję bardzo Pani Marii Fieldorf i Panu Leszkowi Zachucie. Panu Henrykowi Kozłowskiemu „Kmicie” dziękuję najserdeczniej za inspirację, wiele informacji i pomoc w redagowaniu przypisów.

Kingston, Ontario i Edmonton, Alberta
styczeń-luty 1992 r.

Andrzej M. KOBOS

OPOWIEŚĆ O MOIM MĘŻU, EMILU FIELDORFIE (zapis z taśmy magnetofonowej, nagranej w 1977 r.)

Rodzinę mojego męża poznałam, kiedy Emil zawiózł mnie po ślubie w 1919 r. do Krakowa. Matka, Agnieszka ze Szwanda, ojciec Andrzej, maszynista kolejowy. Brat Józef, urzędnik w dyrekcji PKP w Krakowie. Drugi brat, Jan, podoficer służby lotniczej, mechanik. Najstarsza z rodzeństwa, Emma, nauczycielka i w tym okresie już żona kierownika szkoły w Alwernii. [...]

** Ze względów redakcyjnych opuszczonych zostało kilka anegdotycznych fragmentów, dotyczących dzieciństwa Generała i okresu przedwojennego. Opuszczenia te zaznaczone są w tekście przy pomocy symbolu [...].

Matka Emila, widząc we mnie chętną słuchaczkę, bardzo chętnie opowiadała mi o niezliczonych psotach Emila. [...]

Nie pamiętam do jakiego gimnazjum¹ [rodzice] oddali Emila. Wiem tylko, że miewał ciągle utarczki z nauczycielami i wychowawcą. Jak opowiadał Emil, w szkole panował bezna-
dziejny rygor, jakaś zatęchła atmosfera. Skończyło się na tym, że Emila przenieśli do seminarium nauczycielskiego.

W tym okresie zaprzyjaźnił się z rodziną Bujwidów. On² był znanym lekarzem weterynarii, miał pięć córek. Atmosfera w domu wywarła decydujący wpływ na Emila. Tam zetknął się z ludźmi, którzy kształtowali jego poglądy polityczne, tam też dowiedział się o Związku Strzeleckim. W latach 1912-13³ wstąpił w szeregi tego oddziału. Nareszcie znalazł ujście dla swojej nie-
spożytej energii, wreszcie znalazł się w gronie ludzi, którzy tak jak on wierzyli, że niepodległości nikt Polakom nie podaruje, ale muszą ją wywalczyć orężnie. Jakże gorliwie biegał na zbiórki i wysłuchiwał wykładów, uczył posługiwać się bronią. Organizował, wspólnie z Bujwidami, obchody i uroczystości patriotyczne. Wciągnął do Strzelca również swego brata Janka. Najstarszy Józef nie dał się namówić.

Przypuszczam, że Emil nie zdawał sobie sprawy z tego, jak napięta była sytuacja w tym okresie, jak nieunikniony był konflikt pomiędzy mocarstwami, jak bliskie urzeczywistnienia były jego marzenia o walce, o bitwach. Wierzył tylko w Komendanta Piłsudskiego, ani chwili nie wątpił, że on już będzie wiedział, kiedy i w jaki sposób poprowadzić ich ku wolnej ojczyźnie. W lipcu 1914 r., po odrzuceniu ultimatum przez Serbię, Oddziały Strzeleckie otrzymały rozkaz być w pogotowiu, Emil, bez wahania, zgłosił się jako ochotnik, a potem dopiero oświadczył rodzinie, że prawdopodobnie w pierwszych dniach sierpnia wyruszy ze swym oddziałem w kierunku... — w jakim — nie wiedział, ale wszystko jedno. Dowiedział się, że pójdą na Moskała.

Rodzice nie sprzeciwiali się, choć matka płakała i gorączkowo szykowała mu to, co miał zabrać ze sobą. Ojciec oświadczył krótko: „No cóż, idź — sam bym poszedł, żeby nie rodzina”. 6-go sierpnia o świcie rodzice odprowadzili Emila na miejsce zbiórki. [...]

1. Gimnazjum nr V w Krakowie [1,2].

2. Odon Feliks Bujwid, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, lekarz, bakteriolog, twórca mikrobiologii polskiej. Odon Bujwid miał cztery córki i dwóch synów. Rodzina Bujwidów mieszkała w bliskim sąsiedztwie, przy ul. Lubicz 28 (obecnie 34).

3. W grudniu 1912 r. [2]

Emil był tak szczupły i mizerny, że nikt z kolegów nie przypuszczał, że wytrzyma długo. Że na pewno po pierwszym forsownym marszu odpadnie i wróci do Krakowa. Wytrzymał i ten marsz i wiele innych. Całe szczęście, że po tylu rewizjach, jakie przeszedł w Wilnie, ocalał stan służby z okresu walk legionowych. Wykaz bitew tam wyszczególnionych mówi sam za siebie⁴. Zachowało się zdjęcie Emila z 1915 roku⁵. Wyglądał w dalszym ciągu tak młodzieńczo, że dla dodania sobie powagi zapuścił wąsy. Do domu pisywał rzadko, króciutkie kartki. I wtenczas dał się poznać jako najweselszy kompan. Jego dowcipy i kawały sypały się jak z rękawa. Nigdy nie tracił humoru.

Wybijają się na czoło jego cechy. Nazwijmy to może patriotyzmem, chociaż to słowo w obecnej rzeczywistości nabrało innego, obrzydliwego wydźwięku. To raczej miłość. Miłość ta przewyższała wszystkie inne uczucia. Polska. W imię tej miłości, nie oglądając się ruszył z domu 6-go sierpnia, szczęśliwy, że będzie służył tej, którą tak kochał, która potrzebowała takich jak on zapaleńców. Drugie miejsce w jego sercu zajął Komendant. On, Wódz, prowadził ich drogą, która na pewno była słuszna, choć nieraz jeszcze ciężka. Jakże boleśnie, dosłownie krwawiły mu stopy. To nic, wszystko można znieść, bo wizja Niepodległej Ojczyzny, którą im ukazywał Komendant, była tak oszałamiająco piękna, i tak mimo wszystko realna, że warto było walczyć, cierpieć i głodować.

W 1917 roku uzyskał stopień sierżanta⁶. Ale wtedy, po odrzuceniu przez Piłsudskiego żądania władz austriackich i niemieckich, aby oddziały legionowe złożyły przysięgę na wierność tym władzom, Komendanta uwięzili w Magdeburgu, a Emil znalazł się na froncie włoskim⁷, w okolicach Triestu. Przeżył tam ciężkie chwile. Głód cierpiał dotkliwy, a szczury, jak opowiadał, których było mnóstwo, nie pozwalały ani jednej nocy spędzić spokojnie. Na koniec⁸ udało mu się jako choremu dostać do Krakowa, gdzie ułatwiono mu pobyt w szpitalu tak długo, aż

4. Dokument wystawiony przez Dowództwo 5 Pułku Piechoty Wojsk Polskich pt. „Stan Służby”, wymienia: „Udział w bitwach: Brzegi, Czar-kowa, Winiary, Budy Michałowskie, Niedabył, Chyżówki, Stopnice Królew-skie, Marcinkowice, Pisarzowa, Łącko, Łowczówek, Nida, Kozinek, Kujawy, Konary, Ożarów, Tarłów, Wyżnianka, Urzędów, Strzeszkowice, Jastków, Kamionka, Wysokie Litews., Stochód, Serechowo, Hulewicz, Rudka Miryn-ska”. [1,2].

5. Zdjęcie to zostało reprodukowane w [1] i [2].

6. W październiku 1914r. [1], ale w 1917r. ukończył niższą szkołę oficer-ską w RóŜanach [4].

7. Służył na odcinku „Zara Nord” w Tyrolu południowym przez rok, od września 1917r. [1,2].

8. We wrześniu 1918r. [1,2].

minęło niebezpieczeństwo odesłania go z powrotem na front włoski.

Nadchodzi rok 1918. Oto wizja niepodległości przybiera kształt realny. Wojska niemieckie cofają się, cesarstwo austriacko-węgierskie rozpada się. 11-go listopada wraca Komendant z Magdeburga. P.O.W. organizuje rozbrajanie austriackich garnizonów. Emil bierze oczywiście udział w tym wszystkim⁹. Rozbrajają garnizon w Krakowie¹⁰. Tworzą się znowu oddziały wojskowe i legionści, jako wyszkolone już kadry, mają stać się trzonem przyszłego wojska. Emil zostaje przerzucony do Jabłonnej, gdzie powstawały zawiązki 1 i 5 P.P.Leg. Odczuwa się brak oficerów. Ci, którzy odznaczyli się w walkach legionowych i mieli odpowiednie kwalifikacje, zostają skierowani do szkoły oficerskiej. Dostał się tam i Emil i skończył ją z wynikiem dobrym¹¹. W kwietniu 1919 r. zostaje mianowany podporucznikiem¹² i dowódcą kompanii karabinów maszynowych. [...]

W końcu maja Janina Kobylińska poznaje podporucznika Emila Fieldorfa. To był decydujący moment w życiu tych dwojga ludzi. We wrześniu 1 P.P.Leg. stacza kilka walk pod Dyneburgiem. Po zajęciu miasta Emil uzyskuje urlop, wraca do Wilna i 18-go października 1919 roku kapelan pułkowy, ksiądz Franciszek Tyczkowski, udziela w kościele poddominikańskim ślubu Janinie Kobylińskiej z podporucznikiem Augustem Emilem Fieldorfem. Ślub cichy, przy dwóch świadkach jedynie¹³. Wojna trwa. W parę dni po ślubie Emil wyjeżdża na front łotewski. Dni znowu pełne trwogi, niepokoju, oczekiwania na list, na wiadomości. Po zakończeniu kampanii łotewskiej 1 Dywizja obsadza linię demarkacyjną polsko-litewską.

Związek Sowiecki nie rezygnuje z planów zaborczych, gromadzi wojska i wojna rozgorzała na nowo. Rok 1920. Rok klęsk, śmiertelnych zmagañ, zacieklej woli narodu utrzymania za wszelką cenę, [kosztem] największych ofiar, okupioną tak drogo niepodległość. Pamiętamy dobrze, jak beznadziejna wydawała się sytuacja Polski. Wilno zostaje z powrotem zajęte przez bolszewików. Wyjeżdżam jednym z ostatnich transportów wraz z matką i rodzeństwem z Wilna. Rodzina udaje się do Pozna-

9. St. sierż. Emil Fieldorf służył w P.O.W. w oddziale dowodzonym przez ppor. Eugeniusza Wyrwińskiego „Koguta” [1,2].

10. 31 października 1918 r. [1,2].

11. Być może chodzi o przeszkolenie w Szkole Podchorążych piechoty w Warszawie, które ukończył już jako kapitan w początkach 1923 r. [1,2].

12. 24 grudnia 1918 r. Nominacja ta została zatwierdzona przez Naczelnika Państwa 18 marca 1919 r. [1,2].

13. Jan Bułhak i por. Romańczuk [2].

nia, ja do Krakowa, do rodziny męża, ponieważ spodziewam się dziecka¹⁴.

W sierpniu 1920 r. sytuacja odwraca się. Zwycięska bitwa pod Warszawą, odwrót najeźdźców. W pogoni za wrogiem 1 Dywizja stacza historyczną bitwę o Białystok. Dowództwo Dywizji podkreśla nadzwyczajne męstwo 1 Pułku Piechoty Legionów. W rozkazie tym zostaje wymieniony podporucznik Emil Fieldorf. Los Emila już na długie lata zostaje związany z 1 Pułkiem Piechoty Legionów. Był żołnierzem z krwi i kości. Kiedyś go pytałam, gdy już wiedziałam że był zawsze w pierwszych szeregach walczących, że cudem nieraz uniknął śmierci — czy nigdy się nie bał? Przed walką, po walce, w czasie walki? Powiedział: „Nie. Nie znam zupełnie uczucia lęku, nigdy go nie odczuwałem¹⁵”.

Kiedy rozkazem Komendanta, już wtedy Naczelnika Państwa, 1 Dywizja Piechoty Legionów została przeniesiona do Wilna¹⁶, radość moja i Emila była ogromna. Był już kapitanem. 25 lipca 1922 r. urodziła się córka Krystyna.

Zaczęła się dla niego i dla całego wojska praca w warunkach pokojowych. Szkolenia, odprawy, poligony. Wzdychał wtedy Emil i twierdził, że mu taka praca nie odpowiada. Owszem, dawała mu zadowolenie praca nad wychowaniem żołnierzy, miał zdolności pedagogiczne, umiał znaleźć drogę do serc żołnierskich. Był kochany przez podoficerów i żołnierzy, bo nie potrafił nigdy przejmować się zbyt guzikami, czy źle zapiętym płaszczem, albo niedokładnie oczyszczonym butem. Uważał, że ważniejsza jest postawa żołnierza, jego uświadomienie. Kontrolował wyżywienie i wymagał należytego utrzymania broni. Nudziły go i denerwowały drobiazgowo przepisy garnizonowe i miewał czasem konflikty z oficerami dyżurnymi o to, że szedł w parku bez czapki albo komuś tam nie zaszalutował. Wracał wtedy zły i mówił, że dla niego wojsko jest dobre w czasie wojny, ale bardzo uciążliwe w czasie pokoju.

Miał wielkie zdolności politechniczne. Kupował i zdobywał dzieła z tej dziedziny i w domu miał cały warsztat ślusarski, ciągle coś naprawiał, ulepszał, instalował. Drugą jego pasją była

14. Dziecko to zmarło [3].

15. Emil Fieldorf odznaczony był odznaczeniami bojowymi: Krzyżem Virtuti Militari V kl. (za męstwo w walce pod Hulewiczami — 1916 r.), 4-krotnie Krzyżem Walecznych (za walki o Wilno — 1919 r., pod Dyneburgiem — 1919 r. Białymstokiem, Staworowem — 1920 r.), Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari (IV klasy) za pracę konspiracyjną — 28 września 1944 r., a także kilkoma odznaczeniami cywilno-wojskowymi [1,2].

16. W połowie 1922 r. W 1922 r., porucznik Emil Fieldorf zostaje mianowany kapitanem [1,2].

muzyka. Opiekował się orkiestrą pułkową, z kapelmistrzem był w wielkiej przyjaźni i wspólnie planowali adaptacje na orkiestrę ulubionych utworów Emila. Do nich należała II Rapsodia Liszta, Niedokończona Symfonia Schuberta, Ave Maria, i inne. Bardzo bolał nad tym, że nie dane mu było uczyć się gry na fortepianie. Do rybołówstwa, do sportu wędkarskiego, odziedziczył zamiłowanie po ojcu. A Wileńszczyzna była jak najbardziej odpowiednim terenem dla tego sportu. Kraina jezior i rzek. I wreszcie filatelistyka. Zbierał i kompletował znaczki od dziecka. Nauczył mnie jak należy kąpać znaczki, segregować, kompletować serie. [...]

Był niezwykle czułym ojcem. Kochał dzieci. I gdziekolwiek go los zaniósł, zawsze potrafił otoczyć opieką dzieci, które odczuwały w nim dobroć i miłość i garnęły się same do niego. 20 marca 1925 roku rodzi się druga córka, Maria. Emil urodził się również 20 marca i był od swojej młodszej córki o 30 lat starszy. Kiedy powiedziałem o tym mojej małej Marysi, ucieszyła się: „Ojej — zawołała — to my z tatusem jesteśmy bliźnięta”.

Rok 1926 upamiętnił się nam wszystkim, w całej Polsce, wypadkami majowymi. Piłsudski szkalowany, niedoceniany przez ludzi, którzy rwali się do władzy, usunął się, zamieszkał w Sulejówku i czekał. Kiedy doszedł do przekonania, że Polska stacza się coraz bardziej, że sytuacja polityczna i gospodarcza staje się katastrofalna, wkroczył wtedy z wiernymi sobie ludźmi do Warszawy. Nie udało się przekonać ówczesnego rządu, żeby ustąpił dobrowolnie. 1-sza Dywizja wyruszyła z Wilna, aby wesprzeć swojego Komendanta. Emil również poszedł, jako dowódca batalionu. Znowu dni niepokoju i trwogi. W Warszawie walczył, a w nas serce zamierało. [...] Opowiadał mi potem dowódca pułku, generał [Jan] Kruszewski, że Emil był na najgorszym, najniebezpieczniejszym odcinku i został ranny. A kiedy generał zapytał go: „Panie Emilu, był pan w najgorszym ogniu, czy nie myślał pan wtedy o żonie, o dzieciach?” Emil odpowiedział mu od razu: „Nie, nie myślałem”. Tak, takim on był, i takim pozostał do końca.

Nigdy nie opowiadał mi o swoich wyczynach. Na przykład od innych, nawet od endeków, dowiedziałam się, że dzięki opanowaniu i zimnej krwi Emila ocalała wtedy Podchorążówka. Otóż ci młodzi chłopcy, posłuszni rozkazowi swego komendanta, postanowili się bronić, choć byli otoczeni. Emil, który prowadził natarcie, otrzymał rozkaz strzelania i zdobycia gmachu. Wstrzymał się jednak i zaczął pertraktować, użył takich argumentów, że podchorążowie złożyli broń. Nawet nie wiedział, że pośród tych chłopców znajdował się mój przyszły szwagier, Tadeusz Zachara¹⁷. Emil

17. Później oficer Wojska Polskiego; zaginął bez wieści w pierwszych dniach wojny, we wrześniu 1939 r. [3].

był wtedy ranny, a odłamki pocisku nie zostały nigdy usunięte. Wojna domowa szybko się skończyła i Emil wrócił do Wilna. Wkrótce zostaje majorem¹⁸. [...]

Już jako major był odkomenderowany¹⁹ do organizowania przysposobienia wojskowego w okręgu wileńskim. Jeździł często w teren — i to mu nawet odpowiadało. Następnie był stosunkowo krótko²⁰ kwatermistrzem pułkowym 1 P.P.Leg. Dowódcą był wtedy pułkownik Zygmunt Wenda. W 1931 r. wyjeżdża do Francji, aby otoczyć opieką już zorganizowane i organizować komórki Związku Strzeleckiego na terenach skupiających polskie wychodźstwo. O tym, jak szła tam praca, mówi wydana przez Emila w języku francuskim książeczka pt. „Union Polonaise de Tireurs en France”. Po rocznym pobycie we Francji, w 1932 r. wraca do kraju na poprzednie stanowisko zastępcy dowódcy pułku. W 1932 r. zostaje awansowany na podpułkownika. Po dwóch latach proponują mu stanowisko dowódcy brygady Korpusu Ochrony Pogranicza w Czortkowie. Emil broni się przed tym przeniesieniem, choć jest to dla niego awans. Nie chce opuszczać Wilna. W końcu²¹ decyduje się na niższe stanowisko: obejmuje stanowisko dowódcy batalionu KOPu w Trokach. Przez dwa lata swego pobytu w Trokach przy współpracy z proboszczem, ks. Glebowiczem, rozstrzelanym przez Niemców w 1942 r., i burmistrzem miasta, doktorem Zajączkowskim, potrafił doprowadzić do harmonijnej współpracy pomiędzy wojskiem, Kościołem i władzami miejskimi. W okresie tym została wybudowana szkoła im. Marszałka Piłsudskiego, rozbudowano przystań żeglarską, uruchomiono świetlice, sprowadzono z Wilna prelegentów. Emilowi dogadzał pobyt w Trokach z uwagi na jeziora i warunki dla wędkarstwa. W 1937 roku²² ponownie wraca do Wilna, znowu odrzuca korzystniejsze stanowisko za cenę pozostania w Wilnie.

On, urodzony krakowianin, był tak serdecznie związany z Wilnem, że kiedy go pytano we Francji z jakiej dzielnicy pochodził, odpowiadał zawsze — z Wilna. W Lille mieszkała wówczas z mężem pani Dorożyńska, siostra Marii Malickiej. Obie znały Emila od dziecka, rodzice mieszkali w sąsiedztwie. Kiedy pani Dorożyńska dowiedziała się, że przyjechał do Paryża Emil Fieldorf, ucieszyła się, że zawitał jej towarzysz zabaw dziecięcych. Była oburzona, kiedy ją poinformowano, że to „ktoś inny,

18. 1 stycznia 1928 r. [1,2].

19. Jesienią 1928 r. [2].

20. 1930 r. [1].

21. W listopadzie 1935 r. [1,2].

22. 1 listopada 1937 r. [1,2].

bo ten Fieldorf twierdzi, że jest z Wilna”. Wyraziła mu to swoje oburzenie przy spotkaniu. Emil śmiał się i tłumaczył, że od czasu jak w 1914 r. wyszedł z Krakowa ze swoją Pierwszą Kadrową, nic go już z tym miastem poza rodzicami i rodziną nie łączy. Do Wilna przywiązał się całym sercem, marzy o powrocie.

Następny etap kariery wojskowej Emila, to nominacja²³ na dowódcę 51 Pułku Piechoty²⁴ w Brzeżanach. Kiedy przyszła wiadomość o tej nominacji i wyszukałam na mapie to miasto, serce we mnie zamarło; tak daleko, tak daleko, na samym krańcu Polski. Uchwaliliśmy, że nie będziemy likwidować mieszkania, że zostaną tu z córkami, a on pojedzie sam. Pojechał, pocieszając mnie, że nie na długo — najwyżej na dwa lata. Brzeżany, miasto położone 100 km od Lwowa, przewaga ludności ukraińskiej. Emil jednak umiał sobie z nimi poradzić. Potrafił uniknąć zadrążeń.

Objął pułk w 1938 roku, w przededniu wojny. Napięta sytuacja polityczna, złowieszcza postać Hitlera, głuchy niepokój nurtujący społeczeństwo polskie potęgowały mój niepokój, sprawiły, że coraz boleśniej odczuwałam rozłąkę. Mimo wszystko postanowiłam spędzić lato [1939 roku] z dziećmi w Brzeżanach. Ostrzegali nas wszyscy przed tym wyjazdem, że wojna tuż, tuż, ale Emil przyjechał po nas do Wilna i zabrał nas do Brzeżan. Przez te dwa miesiące pobytu przyjrzałam się jeszcze raz, jak bardzo szanowany i podziwiany był mój mąż. [...]

Emil chyba nie bardzo sobie zdawał sprawę z groźnej sytuacji, tak że 6 sierpnia pojechał do Wilna na bardzo uroczysty Zjazd Legionistów, a mnie z dziećmi zostawił w Brzeżanach. Wrócił po paru dniach i zaraz wyruszył z pułkiem na poligon. Nie na długo. Bo oto przyszedł rozkaz przedmobilizacyjny. Pułk stał w pogotowiu, a Emil nie mógł doczekać się rozkazu wyjazdu.



1 września. Robi się strasznie. Emil dopiero 3 września otrzymuje rozkaz wymarszu. Odprowadzam go na dworzec. Emil zdenerwowany, boi się o nas. Zostawia przecież nas same, tak daleko od swoich, w mieście, gdzie lada chwila mogą wpaść Ukraińcy, a policja też opuszcza miasto. Emil błaga, abym starała się niezwłocznie wyjechać do Krakowa, do jego rodziny.

23. 28 stycznia 1938 r. [1,2].

24. 51 Pułk Piechoty Strzelców Kresowych. [1,2].

Uspokajam go, że dam sobie radę, żeby się nie martwił, uśmiecham się. Ale jak pociąg ruszył nie mogliśmy rozłączyć rąk. I tak biegłam razem z wagonem, aż się peron skończył.

O tym, co przeżyłam w Brzeżanach, jak się dostałam w połowie października do Wilna, razem z córkami, to już inna opowieść. [...]

Emil po rozbiciu pułku²⁵ przedostał się wraz z trzema oficerami do Krakowa, a stamtąd przekradł się na Węgry²⁶. Z Węgier otrzymałam w końcu listopada pierwszą wiadomość. Nie popasał tam długo. Powołano go do Francji, do Paryża²⁷. Odnalazł tam znajomych z okresu swojego pobytu w 1931 r. I stamtąd również przyszła wiadomość. Po upadku Francji Emil ląduje w Anglii. Emigracja, jak to emigracja. Ludzie wytrąceni z równowagi, zrozpaczeni, wyszukują winnych. Zaciekli, w sposób okrutny załatwiają osobiste porachunki. Mszczą się za rzekome krzywdy ze strony obozu sanacyjnego. I to wszystko przejmuje obrzydzeniem.



Emil prosi o wysłanie go jako emisariusza do kraju. I oto drogą powietrzną, morską i lądem, przez²⁸ Grecję, Jugosławię, Słowację, dociera do Warszawy w dniu 6 września 1940 roku. Zostaje członkiem Komendy Głównej Armii Krajowej²⁹, gdzie pod komendą „Grotą”, generała [Stefana] Roweckiego, pracował na szczególnie trudnych stanowiskach. W 1942 roku zostaje

25. 51 p.p. wchodził w skład 12 Tarnopolskiej Dywizji Piechoty gen. Gustawa Paszkiewicza, należącej do Grupy Operacyjnej gen. Stanisława Skwarczyńskiego, wchodzącej w skład Armii „Prusy”. Pułk ten został rozbity (70% strat) przez Niemców w bitwie w rejonie Ilży [1]. Niektóre szczegóły przebiegu kampanii wrześniowej płk. Fieldorfa cytowane są w [2], za relacją napisaną przez niego w Paryżu 17 lutego 1940 r. Np. w połowie września 1939 r. usiłował on przebić się do Lwowa w celu wzięcia udziału w jego obronie. [2].

26. Towarzyszyli mu mjr Marcin Rotter i mjr dr Sylwin Łypek z jego pułku. Byli oni internowani w obozie z Pelsöc. [2,4].

27. Ppłk Emil Fieldorf zameldował się polskiej wojskowej stacji zbiorczej w Paryżu 9 lutego 1940 r. Przeszedł kurs oficerów sztabowych w Coëtquidan. 3 maja 1940 r. otrzymał awans na pułkownika. [2,4].

28. Wyruszył 17 lipca 1940 r. trasą: Liverpool–Cape Town–Kair–Palestyna–Syria–Turcja–Bułgaria–Budapeszt–Warszawa. Był pierwszym emisariuszem Rządu i Naczelnego Wodza wysłanym do Kraju z Anglii. Po drodze dostarczył przesyłki do polskich placówek w Kairze i Budapeszcie. [1,2].

29. Najpierw Związku Walki Zbrojnej, a od 1942 r. Armii Krajowej. M.in. inspektor KG ZWZ na obszar krakowski, pod pseudonimami „Maj” i „Sylwester” (październik 1940–styczeń 1942). Komendant Obszaru Białostockiego ZWZ, pod pseudonimem „Weller” (luty–styczeń 1942 r.). [5,4].

mianowany generałem brygady³⁰ i obejmuje³¹ stanowisko szefa Kedywu Komendy Głównej Dywersji³². Kedyw był aparatem stworzonym w celu:

Po pierwsze: prowadzenia sabotażu, dywersji i organizowania zawiązków oddziałów partyzanckich.

Po drugie: stosowania aktów terroru i odwetu wobec Niemców oraz likwidowania własnych zdrajców, skazanych wyrokami sądów podziemnych.

Po trzecie: prowadzenia najszerzej pojętej samoobrony społeczeństwa.

Kedywowi podporządkowano wszystkie oddziały prowadzące dotąd tę walkę. m.in. pozostałość dowództwa „Wachlarza”³³, który został rozwiązany.

Zanim objął szefostwo Kedywu, w zimie 1941 r. przyjechał do Wilna. Mieszkaliśmy wtedy w Kolonii Kolejowej, koło Wilna. Wpadł niespodzianie, a ja i córki oszalałyśmy z radości. Jest, żyje, a z drugiej strony truchlałyśmy, że Wilno jest jak najbardziej niebezpieczne dla niego. Za wiele osób go znało. Mógł być w każdej chwili rozpoznany, wydany. Jakoś mu się udało i szczęśliwie wrócił do Warszawy. Był pogodny i dobrej myśli. Po raz drugi odwiedził Wilno w 1943 r., kiedy byłam aresztowana i wsadzona z początku na Gestapo na Ofiarnej, a potem w więzieniu na Łukiszkach. I znowu szczęśliwie uniknął niebezpieczeństwa, przedostał się z powrotem do Warszawy.

Prowadził dalej pracę dywersyjną jako szef Kedywu³⁴, a więc zamachy, np. na Kutschę, na Kruegera, bomby, wysadzanie mostów, torów. Jak mi sam opowiadał, jego praca była możliwa z takimi jak jego podkomendnymi, harcerzami z „Parasola” i „Zośki”³⁵. „Dobrych żołnierzy [miałem] — i tyłu ich zginęło”. Głos mu drżał ze wzruszenia, kiedy mówił o nich.

30. Był wówczas pułkownikiem. Awans na generała brygady otrzymał 28 września 1944 r. [1,5,6].

31. Z rozkazu gen. Stefana Roweckiego „Grota”, od sierpnia 1942 r. [5,4].

32. Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej AK. [5].

33. Akcja dywersji antyniemieckiej na terenach położonych wokół wschodnich granic R.P. z 1939 r., rozpoczęta w połowie 1941 r., mająca na celu zademonstrowanie polskiej obecności na tych terenach. „Wachlarz” został rozwiązany pomiędzy grudniem 1942 r. a lutym 1943 r. [5].

34. 7 października 1943 r. płk „Nil” nieomal wpadł w ręce niemieckie podczas wizytacji oddziałów „Ponurego” we wsi Rejów, koło Skarżyska. [7]. Był to być może wynik denuncjacji przez „Motora”, konfidenta Gestapo w oddziale „Ponurego”.

35. Bataliony „Parasol” i „Zośka”, podległe Kedywowi KG AK., powstały w lecie 1943 r. z Grup Szturmowych „Szarych Szeregów”, obejmujących młodzież powyżej 17–18 lat. Grupy Szturmowe zostały oddane do

Niestety w 1943 r.³⁶ [generał Tadeusz] „Bór”-Komorowski powiadamia [generała Kazimierza] Sosnkowskiego, że przygotowuje na wypadek okupacji rosyjskiej sieć szkieletową nowej, tajnej organizacji „Niepodległość”, kryptonim „Nie”. Na czele staje generał³⁷ Fieldorf, w tym celu wycofany z dowództwa Kedywu³⁸ i z Kierownictwa Walki Podziemnej³⁹. To był potworny w swych skutkach błąd. Ani Komorowski, ani Sosnkowski nie mieli pojęcia o metodach [sowieckich] i rozbudowanej już w Polsce [sowieckiej] sieci szpiegowskiej⁴⁰.

1-go sierpnia 1944 roku na rozkaz Komorowskiego wybuchła Powstanie⁴¹. Dowództwo liczy na to, że wojska sowieckie, które zatrzymały się na Pradze, wkrótce wkroczą do Warszawy. Jakże mało znali Rosjan. Piłsudski na pewno nie liczyłby na to. On ich dobrze znał. A ja pamiętam dobrze, jak oficer śledczy, który mnie badał — zostałam aresztowana 3-go maja w 45-tym roku — i w nocy, kiedy się zirytował, iż nie może mi dać rady, bo znałam dobrze język rosyjski, zawołał: „A co wy Polacy myślicie, że będziecie mogli sami opanować Warszawę, a potem z

dyspozycji Kedywu KG AK wcześniej, tj. w listopadzie 1942 r., w wyniku rozmów między płk. „Nilem” a Florianem Marciniakiem „Florianem”, komendantem Szarych Szeregów. [8].

36. 20–24 listopada 1943 r. Depesza gen. „Bora” została rozszyfrowana w Londynie dopiero 2 stycznia 1944 r. [6].

37. Wówczas jeszcze pułkownik.

38. 1 lutego 1944 r. [6]. Płk „Nil” został stopniowo wycofany z bezpośredniej działalności KG AK. Według jednej relacji, płk „Nil” wizytował bazę szkoleniową Batalionu „Zośka” w lasach, ok. 10 km na południowy-wschód od Wyszkowa, jeszcze w lipcu 1944 r., niedługo przed Powstaniem Warszawskim. [9].

39. Płk Emil Fieldorf był członkiem Kierownictwa Walki Konspiracyjnej, a od 1943 r. Kierownictwa Walki Podziemnej, organizacji podległej bezpośrednio Komendantowi AK, ale wyłączonej z jej struktury wojskowej. [5]. Powierzenie mu zadania zorganizowania „Nie” było jednakże wyróżnieniem i dowodem zaufania gen. „Bora” do zdolności organizacyjnych i dowódczych płk. „Nila”.

40. Istnienie „Nie” było znane wywiadowi sowieckiemu już od czerwca 1944 r., dzięki polskiemu agentowi NKWD, płk. Ludwikowi Krzeszowskiemu, komendantowi Obszaru Północno-Wschodniego „Nie”, (*sic!*) [6].

41. Płk „Nil” jako komendant „Nie” nie brał udziału w walkach. Chory na czerwonkę, został 16 sierpnia 1944 r. ewakuowany z Warszawy wraz z ludnością cywilną i umieszczony w majątku Bieliny, koło Rozalina. [2,6].

28 września 1944 r. płk „Nil” zostaje awansowany przez Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego, do stopnia generała brygady — za „czynny bojowe”, a 29 września Naczelnny Wódz odznaczył go Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari IV klasy (nr 64) z uzasadnieniem „Za całokształt pracy konspiracyjnej na najbardziej eksponowanych kierowniczych stanowiskach i za wybitną postawę i gotowość podjęcia najcięższych zadań, którym zawsze podołał”. [2].

wojskami rosyjskimi walczyć? A wiecie, co powiedział Stalin dowódcom naszym, którzy stali pod Warszawą? — Nie ruszajcie się z miejsca, czekajcie, niech Niemcy wybiją jak najwięcej Polaków, my będziemy mieli mniej do roboty”. Tak powiedział, a ja musiałam słuchać spokojnie.



Powstanie upada. Dowództwo AK, z Komorowskim na czele, jest internowane, żołnierze wywiezieni do obozów. Emil przystępuje do organizowania sieci „Nie”⁴². Szczęście go jednak opuściło. 7 marca 1945 roku został zatrzymany⁴³ w konspiracyjnym mieszkaniu w Milanówku, ale nie rozpoznany, bo miał papiery na nazwisko Walenty Gdanicki⁴⁴ pracownik kolejowy. Miał też przy sobie dolary⁴⁵ i oskarżono go o handel walutą. Razem z innymi zatrzymanymi przewieziony został do Rembertowa⁴⁶, a stamtąd transportem kolejowym, w wagonach bydlęcych,

42. Gen. „Nil” przygotowywał sieć komórek „Nie” oraz ludzi dla zasilenia organizacji na terenach zajętych przez Sowieców. Działał głównie w rejonach podwarszawskich: Podkowy Leśnej, Brwinowa i Milanówka. Gen. „Nil” brał udział w naradach z gen. Okulickim i krajowymi przywódcami politycznymi z Rady Jedności Narodowej, m.in. w Częstochowie, Piotrkowie Trybunalskim i Krakowie. Gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek”, w depe-szy do Naczelnego Wodza, w grudniu 1944 r. proponował gen. „Nila” na stanowisko zastępcy Dowódcy AK. [2,6].

43. Aresztowany przez NKWD, najprawdopodobniej przypadkowo, na krótko przed planowanym spotkaniem z generałem Leopoldem Okulickim „Niedźwiadkiem”. [6,4]

44. Emil Fieldorf od 1940 r. posługiwał się dokumentami na nazwisko Walenty Gdanicki. [1].

45. Wg relacji ppłk. Józefa Rybickiego, część dolarów, z których korzystał w pracach organizacyjnych, ale nie wszystkie zdążył wyrzucić przez okno, tuż przed wejściem NKWD. Została mu tylko niewielka ich kwota, wystarczająca do uznania go przez NKWD za handlarza walutą. [10].

46. Gen. „Nil” został przewieziony do obozu w Rembertowie z siedziby NKWD we Włochach pod Warszawą. Obóz w Rembertowie, stworzony przez NKWD, był jednym z wielu przejściowych obozów dla aresztowanych byłych żołnierzy AK. Akowców trzymano tam razem z uwięzionym *Volksdeutschami*. Wszyscy więźniowie mieli na ubraniu na plecach wymalowane swastyki. Obóz, ogrodzony dwoma płotami z drutów kolczastych, pomiędzy którymi chodziły patrole NKWD, strzeżony był z wież strażniczych i głównej wartowni.

Po aresztowaniu i przewiezieniu Generała do obozu w Rembertowie, pozostający nadal w konspiracji płk Jan Mazurkiewicz „Radostaw” — następca gen. „Nila” na stanowisku dowódcy Kedywu i szef Obszaru Centralnego — wydał rozkaz dowódcy oddziału dyspozycyjnego, por. „Kmicie” (Henryk Kozłowski) rozpoznania obozu i odbicia Generała. Nie dysponowano jednak odpowiednimi siłami do natychmiastowego ataku nocnego na obóz. (Inne warianty odbicia, tj. podczas przemarszu do pociągu oraz ataku

o głodzie i w straszliwych warunkach, wywieziony do Swierdłowska, do kopalni węgla. Przebył kolejno trzy łagry na Uralu⁴⁷. Razem z nim⁴⁸ został aresztowany Jan Hoppe, działacz niepodległościowy, nieprzeciętny umysł i, tak jak mój mąż, nieugięty w swej postawie. Opisał on po powrocie do Polski⁴⁹ swoje i Emila przeżycia [w artykule] pt. „Ostatni etap [pana] Walentego” [12]. Wstrząsające. Był ciężko chory na serce i ostatnim wysiłkiem woli opisał przeżycia Emila na Uralu.

Po dwu i pół letnim pobycie, Emil⁵⁰, ciężko chory na dystrofię, wraca do Warszawy. 26 października 1947 roku wysiada opuchnięty, z gorączką na dworcu w Warszawie. Nie wie do kogo się udać, gdzie jest jego rodzina. I oto na szczęście spotyka swojego byłego podoficera z „Trok. Prawie omdlałego ten zacny człowiek zabiera do siebie⁵¹, najtroskliwiej się nim opiekuje i leczy. Emil bowiem miał zapalenie płuc. Dzięki tej troskliwej pielęgnacji przychodzi do zdrowia i udaje się do Krakowa.

na pociąg, uznano za nierealne). 21 marca 1945 r., zanim było możliwe sprowadzenie z Lubelskiego odpowiednio silnego oddziału dla wykonania akcji, gen. „Nil” został wywieziony do obozu w Rosji, wraz z około 1.400 współwięźniami.

Po wywiezieniu gen. „Nila” płk „Radosław” w celu zmylenia poszukiwań Generała, polecił rozpowszechniać wiadomość, że gen. „Nil” wyjechał z kraju i przebywa w Anglii. Ta mistyfikacja była tak przestrzegana, że już po powrocie Generała z Rosji zostało wmówione w płk. Adama Borkiewicza, byłego wyższego oficera KG AK, który na ulicy w Warszawie natknął się na Generała, że musiał się pomylić. [10,11].

47. Kolejno łagry w Bieriozowce, Stupinie i Chudiakowie. [12].

48. Jan Hoppe został aresztowany wcześniej, w lutym 1945 r., w „kotle” NKWD w Brwinowie. Z Walentym Gdanickim spotkał się jeszcze w więzieniu NKWD we Włochach. [10,12].

49. W rzeczywistości we wczesnych latach sześćdziesiątych, namówiony do tego przez współtowarzyszy więziennych (rękopis przeleżał w Polsce kilka lat przed opublikowaniem). Jan Hoppe, po powrocie z obozów sowieckich, został aresztowany w kwietniu 1949 r. i spędził ponad 6 lat w więzieniu, najpierw na Mokotowie, potem we Wronkach. Zmarł w lutym 1969 r. [10,12].

50. Walenty Gdanicki nie został rozpoznany przez NKWD do końca. Np. na procesie 16-tu w Moskwie, w czerwcu 1945 r., wielokrotnie padało nazwisko płk. Fieldorfa, który wówczas siedział w sowieckim łagrze pod fałszywym nazwiskiem.

W latach 1946–47 płk Jan Mazurkiewicz „Radosław”, były przewodniczący Komisji Likwidacyjnej b. AK, czynił starania m.in. u premiera Cyrankiewicza o zwolnienie z Sowietów jak największej liczby b. żołnierzy AK, przedstawiając mu imienne listy uwięzionych. Wśród nich powtarzało się nazwisko Walentego Gdanickiego. Zwolnienie gen. „Nila” było prawdopodobnie wynikiem tych interwencji. [11,10].

51. Był to pan Jasiński (imię nieznane) [18]. Gen. Fieldorf podał w śledztwie w UB, że w Warszawie nocował na dworze, lub w „Caritasie” [4].

Matka męża umarła w 1941 r., ale żyje ojciec i brat z żoną⁵². Po krótkim pobycie w Krakowie Emil przyjeżdża do Łodzi⁵³. Był straszliwie zmieniony, ale był, wrócił. Znaleźli się lekarze, którzy całkiem bezinteresownie podjęli się leczenia i po paru miesiącach wyglądał już całkiem normalnie. A wtedy zaczęłam się niepokoić. Zdawałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu grozi w kraju, gdzie szaleje bezpieka, a byli Akowcy są tropieni, aresztowani, przeważnie likwidowani. Błagałam, żeby się starał przedostać za granicę. Nie chciał, choć jak sam twierdził, przejście granicy było dla niego drobnostką. „Moje miejsce w kraju — twierdził — tutaj są moi harcerze, moi ludzie, nikt nie powie, że uciekałem przed niebezpieczeństwem”. Wyjeżdżał ciągle do Warszawy⁵⁴, Krakowa, a ja truchlałam na każdy odgłos kroków na schodach w nocy, na każdy dzwonek późnym wieczorem⁵⁵.

W końcu jednak, 10 listopada 1950 roku, zostaje aresztowany w Łodzi na ulicy. Na próżno czekałam na niego tego dnia, a w nocy zjawili się ubowcy, przeprowadzili rewizję, siedzieli przez cały tydzień. Nic podejrzanego nie znaleźli, a skoro tylko opuścili nasz dom, niezwłocznie pojechałam do Warszawy. W więzieniu na Mokotowie powiedzieli mi, że takiego nie ma. W prokuraturze wojskowej nie chcieli mi powiedzieć, i dopiero w grudniu⁵⁶ oświadczyli, że mogę się starać o widzenie w sądzie wojewódzkim. Otrzymałam to widzenie. Z bijącym sercem stałam przy kratce, jak to w więzieniu. Ukazał się Emil ze strażnikiem. Bał się widocznie, że się załamie, że zacznie płakać i od razu sztucznie ożywionym tonem zaczął pytać o dzieci, o rodzinę, o ojca. Dziwił się, że go znalazłam. Trzymałam się, nie

52. Był to brat Generała, Józef. Drugi brat, Jan, zginął w obozie koncentracyjnym w Gross-Rosen. [3].

53. W grudniu 1947 r. W Łodzi przy ul. Próchnika 39/15, po repatriacji z Wilna, mieszkała pani Janina Fieldorfowa z córkami. [1,2,13]. Ze względów bezpieczeństwa, do czasu ujawnienia się przed władzami wojskowymi w Rejonowej Komisji Uzupelnień [R.K.U.] w Łodzi w lutym 1947, Generał nie mieszkał z rodziną. [2,4,14].

Ujawniając się w R.K.U. gen. Fieldorf uwierzył radom gen. Gustawa Paszkiewicza, swojego byłego dowódcy z 1920 r. i 1939 r., nie wiedząc o jego roli w zwalczaniu podziemia po-AKowskiego w Białostockiem. [4,10].

54. Wiadomo jednak np., że nie skontaktował się z płk. Janem Mazurkiewiczem „Radosławem”. Zdaniem płk. „Radosława”, w ówczesnym klimacie politycznym w kraju, po powrocie Generała w październiku 1947 r., była jeszcze szansa załatwienia na wyższym szczeblu jego ujawnienia się i legalizacji, wykorzystując kontakty wyrobione w trakcie działalności w Komisji Likwidacyjnej b. AK, [10,11].

55. Przez ostatnie pół roku przed aresztowaniem Generała mieszkanie Fieldorfów w Łodzi było śledzone przez UB [13].

56. 19 grudnia 1950 r. [2].

plakałam. Dopiero jak wyszłam za bramę, zalałam się łzami. Z początku nie pozwolili zaangażować adwokata. Wyznaczyli z urzędu takiego Żyda, nie pamiętam jego nazwiska⁵⁷. Byłam u niego. Rozmawiał grzecznie, ale na końcu powiedział tak: „Pani mąż, to człowiek ze stali, nie okazuje ani skruchy, ani żalu. Szkoda, że on nie jest po naszej stronie, my potrzebujemy takich ludzi”.

Zacząłam wpłacać na Emila konto co miesiąc z początku 500, potem po 300 złotych. Na widzenie przyjeżdżałam co miesiąc, ale nie zawsze dostawałam przepustkę. Był czas, kiedy przez kilka miesięcy na próżno prosiłam o przepustkę. Kiedy wreszcie znalazłam się w rozmównicy, Emil zapytał z żalem: „Dlaczego tak długo nie byłaś? Tak czekałem”. „Emil — powiedziałam — ja jestem tu co miesiąc, jestem tu zawsze, ale to nie z mojej winy, zrozum”. Zrozumiał.

Strażnicy byli różni. Raz tylko był jakiś młody, zezwierzęcony i przerwał nam rozmowę, bo Emil powiedział, żebym nie wpłacała tyle pieniędzy, bo mu nie dają nic kupić. Listy nasze też nie zawsze dochodziły. Od niego mam tylko parę⁵⁸. Cenzura była ostra.

57. Jerzy Mering. [7].

58. W [2] cytowane są krótkie fragmenty dwóch listów Generała do 87-letniego ojca, oraz fragment ostatniego listu Generała do żony, wysłanych z adresem zwrotnym „Warszawa-Mokotów, Rakowiecka 37”. Oto fragmenty (za [2] łącznie z opuszczeniami) jednego z listów do ojca i ostatniego listu do żony:

„Warszawa 27.VII.52.

Drogi Ojczy!

Długo już trwa moja nieobecność. Było i dawniej, że latami nie widzieliśmy się, a potem znowu jakoś spotykaliśmy się i było o czym pogawędzić. (...) Ja czuję się dobrze i jestem najlepszych myśli. Wierzę, że się wszystko wyjaśni i wkrótce zobaczymy się znowu i kto wie — może na rybki pojedziemy razem”.

„Warszawa 27.I.53.

Kochana Janinko!

W czasie naszej ostatniej rozmowy wspominałem Tobie, że przydałoby się trochę pomóc Ojcu mojemu. Kiedy później zastanawiałem się nad tym, zrobiło mi się przykro, że Ciebie obarczam taką prośbą, bo przecież wiem, jak u Was jest krucho, zwłaszcza, że wpłacacie tutaj na moje konto.

Moja Droga, jeśli wskazałem na Ojca, to jedynie z tym przeświadczeniem i pod tym warunkiem, że to co Jemu przeznaczą, będzie zamiast wpłaty na moje konto. (...)”

Adwokat [Mieczysław] Maślanko podejmuje się obrony, ale tak dziwnie się zachowuje, że niepokój mój wzrasta. Ale myślę sobie: „Skoro Żydzi zasiadają w sądzie, należy wziąć na obrońcę również Żyda”. Nic to nie pomogło. Wyrok ten był już dawno wydany. Na rozprawę zaoczną dopuszczono mnie. Dnia 20 października 52 roku sąd w składzie: [Emil] Merz, [Gustaw] Auscaler, [Igor] Andrejew i prokurator Kern, kobieta, Żydówka, skazuje Emila na śmierć⁵⁹.

Za swoją działalność w AK, za wierną służbę Ojczyźnie, on — człowiek o najwyższych wartościach ideowych — zostaje skazany na śmierć. Szukam ratunku. Kołacząc do ludzi, którzy, moim zdaniem, mogliby mi wskazać drogę do tych najwyższych czynników. Piszę do siostry tego kata, Dzierżyńskiego, ażeby zechciała mi pomóc. Ta pani, Kołajłowiczowa, staruszka, przysłała mi niezwłocznie bardzo pozytywną opinię o Emilu i prośbę, aby sąd przychylił się do jej prośby i zechciał złagodzić swój wyrok. Wszystko na próżno.

Dnia drugiego lutego w 53-cim roku ostatni raz widziałam Emila. Był smutny, serce mi pękało z bólu i rozpacz. Wiedział o wyroku. Przeprowadził go jakiś starszy, bardziej ludzki, strażnik. Wprowadził Emila przed kraty, spojrzał na mnie wymownie i odszedł. Po raz pierwszy zostaliśmy sami. Wtedy Emil powiedział: „Czy wiesz dlaczego mnie skazali?”⁶⁰. Powiedziałam — „Domyślam się, ale ja nie tracę nadziei, walczę o ciebie jeszcze”. Rozpytywał potem o wszystkich, zwłaszcza interesował się Zosią. Opowiadałam mu, jak sobie radzimy. Potem przyszedł strażnik, oświadczył, że widzenie skończone, Emil wyszedł. Głowę miał pochyloną, ręce w kieszeniach i ani się obejrzał na mnie.

59. Generał Emil Fieldorf skazany został na śmierć na mocy dekretu PKWN „o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy i zdrajców Narodu Polskiego” za współpracę z okupantem. Oskarżono go głównie o wydawanie rozkazów i organizowanie mordowania przez Kedyw partyzantów GL i AL, komunistów i partyzantów sowieckich.

Pani Fieldorfowa wspomina tutaj tylko rozprawę apelacyjną przed Sądem Najwyższym, na którą odmówiono wezwania z więzienia świadków wskazanych przez Generała, tj. płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława” i płk. Franciszka Niepokólczyckiego „Teodora”, byłego szefa Wydziału Saperów KG AK [4].

Pierwszy wyrok śmierci na Generała wydany został przez Sąd Wojewódzki w Warszawie 16 kwietnia 1952 r., po osmiogodzinnej rozprawie pod przewodnictwem Marii Gurowskiej, z ławnikami Bolesławem Malinowskim i Michałem Szymańskim i z oskarżenia Benjamina Wajsblecha. [4,14]

60. Gen. Fieldorf nie uległ namowom adwokata Mieczysława Maślanki i nie podpisał prośby o ułaskawienie. [13,14].

Ale nie chciałam wierzyć, że go zamordują. Wnosimy podanie do Rady Państwa⁶¹ o ulaskawienie. Ja, córki, ojciec i brat. Po tygodniu przyjechałam znowu, ale sekretarka tego sądu powiedziała, że nie ma odpowiedzi na nasze podanie, żebym się codziennie dowiadywała. Wracając [zwróciłam się] do niektórych członków naszej rodziny, którzy mieszkali w Warszawie, ale oni odmówili, bali się, nie będą chodzili. Uprosiłam wtedy jedną panią, znajomą, i ta powiedziała, że się nie boi i będzie dowiadywała się. Kiedy przyszła karta od niej, żeby ktoś z rodziny przyjechał, pojechała Marysia. Poszła do sądu i tam oznajmiono jej, że nasze podanie zostało odrzucone. Jakże wiele człowiek może znieść.

Kilkakrotnie jeszcze jeździliśmy do Warszawy, próbowałam odnieść pieniądze do więzienia. Nie przyjęli. W sądzie nie chcieli nic powiedzieć, żadnego pisma, żadnego zaświadczenia, zawiadomienia. W tej niepewności żyliśmy przez szereg miesięcy, aż przyszedł list z Londynu od stryjecznego brata Emila, Stanisława Fieldorfa. Pisał, że jego zdaniem nie ma sensu łudzić się, że powinien znać całą prawdę, że Emila już zamordowali w więzieniu dnia 24 lutego 1953 roku⁶². Przeżyłam i to. Skąd brałam siły — nie wiem.



W 57-mym roku, po zmianie na stanowiskach rządowych, po tzw. październikowych wypadkach i dojściu do władzy Gomułki i odwilży, wniosliśmy podanie o rehabilitację. Wniosłam ja, córki, ojciec, brat. Dopiero 4 lipca 58 roku sąd ogłosił pełną rehabilitację, wobec odwołania zeznań przez świadków,

61. 22 października 1952 r., do prezydenta PRL Bolesława Bieruta. Adwokat Maślanko wniósł 20 stycznia 1953 r. podanie o ulaskawienie do Rady Państwa. Prośby o ulaskawienie Generała zostały odrzucone przez Radę Państwa w dniu 3 lutego 1953 r. [4,14].

62. Wg oficjalnych danych wyrok wykonano przez powieszenie [4,15]. Istnieją poszlaki, oparte na późniejszych przekazach wśród więźniów w więzieniu mokotowskim, które potem dotarły do pani Fieldorfowej, że Generał przed śmiercią „był zmuszony do wysłuchania wyroku na klęczkach, a gdy odmówił, skatowano go i powieszono martwego” [15]. Nadzorujący egzekucję prokurator Witold Gatner zaprzeczył temu w 1990 r. przed Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich (*sic!*), twierdząc, że skazany wysłuchał wyroku stojąc, „można powiedzieć, że godnie (...) w postawie na baczność”. [16]. Gatner, mieszkający w 1990 r. w Warszawie i zatrudniony w firmie Agros, nie został jednak poddany rygorystycznemu przesłuchaniu prawnemu [17,18].

Oficjalne potwierdzenie wykonania wyroku śmierci na Generale rodzina otrzymała dopiero 9 marca 1957 r. [14].

Grzmielewskiego⁶³, między innymi, doprowadzonych z więzienia, którzy, jak sami podali, zostali torturami zmuszeni do obciążenia Emila i stali się pośrednimi sprawcami jego skazania i śmierci.

Ta niesłychana zbrodnia, to potworne morderstwo uszło jednak kary. Oprawcy nie zostali napiętnowani i skazani. Wniosłam podanie⁶⁴ o wskazanie miejsca pochowania Emila. Na próżno. Prokuratura odpisała, że nie wie, że nieznane jest miejsce pochowania Emila. Wobec odmowy prokuratury z więzienia na Mokotowie wskazania mi miejsca pochowania Emila, uchwaliliśmy z córkami, że ułożymy płytę symboliczną. Wniosłam podanie o zezwolenie i dopiero po dwóch latach uzyskałam od wojska zezwolenie, bo był to wtedy cmentarz wojskowy, a zarząd wyznaczył mi miejsce. Nie chcieli się zgodzić na żaden inny napis⁶⁵, jak tylko: „Emil Fieldorf–„Nil””; daty urodzenia i śmierci oraz Krzyża Virtuti Militari nie dopuszczono.

Teraz tak:

28.III.1957 rok. Wczoraj zjawił się Lichtszajn Chaim, który mnie, a właściwie nas, od roku poszukiwał, żeby opowiedzieć o swoim zetknięciu się z Emilem na Mokotowie. Nie wyglądał wcale na rabina, nic w sobie nie miał z osoby duchownej. Taki zwykły człowiek, rudawy, bardzo szczupły, o inteligentnych oczach. Postaram się spisać to wszystko, co mówił o Emilu, żeby nie zapomnieć.

Spotkali się na ogólnej celi, po przeniesieniu tam Emila, który przez 23 miesiące przesiedział w okropnie małej celi, ciem-

63. Kpt. Tadeusz Grzmielewski „Igor” był w okresie okupacji zastępcą szefa III Oddziału Operacyjnego Kedywu KG AK. Odwołał swoje zeznania dopiero w 1957 r. Drugim świadkiem oskarżenia, który, złamany torturami, obciążył gen. „Nila” był płk Władysław Liniarski „Mściław”, były dowódca Okręgu Białostockiego AK. W 1957 r. płk Liniarski również odwołał swoje zeznania. [2,4].

64. W 1961 r. [2,4].

65. Pani Fieldorfowa wspomina tutaj pierwszą płytę „rodzinną”, z wczesnych lat 60-tych, ufundowaną z odszkodowania w wysokości ok. 50,000 zł., które otrzymała. W 1971 r. gen. Jaruzelski wyznaczył specjalnego oficera do rozmów z panią Fieldorową. Rozmowy były długie, a oficer nieustępliwy. Pani Fieldorfowa i jej córki zostały postawione przed koniecznością wyrażenia zgody na proponowany napis, albo zrezygnowania z grobu. Zależało im na chociażby symbolicznym grobie, więc zgodziły się. Symboliczny grób na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie został ufundowany w 1972 r. przez gen. Jaruzelskiego, wówczas Ministra Obrony Narodowej PRL.

Napis na grobie (dużymi literami) brzmi: „Ś.P. / August Emil / Fieldorf / ps. „Nil” / Gen. Brygady / ur. 20 III 1895 / Zmarł śmiercią tragiczną / 24 II 1953 / D-ca 51 P.P. Szef Kedywu KG AK / Zrehabilitowany pośmiertnie / Grób Symboliczny” [3].

nej, bez stołka ani stołu, gdzie musiał siedzieć na podłodze. To była specjalna cela numer 11. Głodzili go tam i zadręczali śledztwami. Nie bili jednak. Nie torturowali, bo jak powiada rabin „i tak wiedzieli, że to nic nie pomoże, a poza tym — o Boże — wiadomo było im także ze śledztwa, że będzie skazany. Panie muszą być dumne z takiego męża i ojca, to taki niezwykły człowiek⁶⁶. Takich było na Mokotowie może dziesięciu, a może i tylu nie było. Do takich zaliczam Kostkę-Biernackiego i adiutanta „Bora” — Jamontt-Krzywickiego”⁶⁷. Umarł, umarli obaj.

Emila cechowała niesłychana wprost prawość, jakaś niepojęta wprost ufność, nigdy się nie spodziewał takiego wyroku. Był też tak pracowity, że wciąż wymyślał jakieś łamigłówki myślowe, dla ćwiczenia pamięci, lubił grać w domino. Na śledztwie niczego się nie zapierał, ani jednego słowa nie wymówił, ani jednego gestu nie zrobił dla swojej obrony. Na śledztwach właściwie oskarżał on, a nie oni. Kiedy [Lichtszajn] był w sąsiedniej celi, słyszał jak Emil mówił: „cóż, ja jestem niepodległościowcem, byłem nim zawsze i będę, nigdy się nie zmienię, nie ma o czym mówić ze mną”. Kiedyś Emil powiada rabinowi, że śledczy podniósł na niego rękę, zamachnął się. A Emil rozwarł koszulę i powiedział: „Bij mnie Polaka, ty łobuzie. Patrz, oto mam zęby wybite przez Niemców⁶⁸, wroga, odplaciłem im inaczej, a teraz ty! Bij!” Nie uderzył, a Emil się rozplakał, po raz pierwszy. Nigdy nie widziałam go płaczącego, nigdy. Nie mogę nawet sobie tego wyobrazić. Ciemno mi się robi przed oczami, jak o tym myślę. Nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć, ale pamiętać musimy, ja i moje córki. Trzeba powiedzieć wnuczkom, niech wiedzą.

Wtedy odstawili go na jakiś czas na boczny tor, tzn. nie wzywali go na badanie. Przeszedł do ogólnej celi, gdzie był do wyroku. Nie spodziewał się takiego wyroku, do tego stopnia, że

66. Pan Chaim Lichtszajn również i wcześniej, do współwięźniów w więzieniu mokotowskim, wyrażał się o Generale z wielkim szacunkiem i pietizmem [10].

67. Kpt. Ryszard Jamontt-Krzywicki—„Szymon” był jednym ze współzałożycieli Służby Zwycięstwu Polski i adiutantem trzech generałów, kolejnych Komendantów SZP-ZWZ-AK: Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, Stefana Roweckiego i Tadeusza Komorowskiego. Zmarł 25 lutego 1957 r., wkrótce po wyjściu z więzienia.

68. Epizod wybicia Generalowi zębów przez Niemców jest niewyjaśniony. Generał nie był nigdy w rękach niemieckich. Generał miał jednak scysze z niemieckimi więźniami funkcyjnymi w łagrze, na tle złego traktowania przez nich polskich więźniów. [12].

nawet wziął adres rabina, żeby zawiadomić jego rodzinę. Od razu poczuł zaufanie do tego Chaima i kiedy leżeli na siennikach, głowa przy głowie, szeptali nocami i roztrząsali różne sprawy całymi godzinami.

Co miesiąc wpłacałyśmy na jego konto od 500 do 200 złotych. Mam kwity. A on nic nie mógł kupić, nie miał papierosów, ubranie poszło w strzępy. Legendy krążyły o nim na Mokotowie⁶⁹. Jak twierdzi pan Lichtszajn, nawet te psy śledcze i cały aparat sądowy miał do niego szacunek. Martwił się o nas, o córki, że pewnie nam ciężko, wyobrażał sobie jak trudno jest nam poradzić sobie finansowo. O sobie myślał najmniej.

W tej celi był cztery miesiące. Potem zabrali go na rozprawę. Wszyscy wiedzieli, że on tu już nie wróci. Odchodząc, pożyczył buty od jednego z więźniów. A przecież posłałam mu takie porządne, na filcu. Nie oddali mu. Odesłał potem te buty, a na nich odczytali: „Kara śmierci — ha, ha, ha!” Nigdy nie mógł uwierzyć, że można popełnić tak morderstwo i to w imieniu rzekomego prawa.

Emil zarzucał władzom londyńskim, że niepotrzebnie spowodowały utworzenie WiN-u, „Wolność i Niepodległość”, że to spowodowało zagładę wielu tysięcy niewinnych ludzi. W okresie, kiedy Rosja stała się jedną ze światowych potęg, tworzenie takiej organizacji, tuż po wojnie, nie miało zupełnie sensu. Bolał nad tym wszystkim. Pan Lichtszajn [mówi, że Emil] kazał sobie mówić po imieniu, nie pozwalał tytułować się generałem.

Jedyny świadek⁷⁰, który zeznawał przeciwko Emilowi, to był Grzmielewski, znajduje się też na wolności. Jeżeli Emil nie żyje, on jest sprawcą jego śmierci. Według ich prawa sądowego oskarżony nie może być skazany na podstawie własnego przyznania się do winy. Musi być chociaż jeden świadek. I takiego

69. Np. płk Zygmunt Janke „Walter”, b. komendant Okręgu Śląskiego Armii Krajowej, aresztowany po wojnie i również skazany na śmierć, lecz ułaskawiony, siedział przez pewien czas w jednej celi z gen. „Nilem”, na krótko przed procesem Generała. Później, w więzieniu mokotowskim, wspominał bardzo godną postawę Generała i jego ogromny hart ducha. [10]. Płk Janke opisał również fakt przetrzymywania Generała przez kilka dni skutego w karczerze za odmowę dobrowolnego poddania się ostrzyżeniu do skóry [cyt. w 14]. Inny współwięzień Generała, Apoloniusz Zawilski, wspominał jego opiekuńczość w stosunku do młodych więźniów, dezertorów z Ludowego Wojska. [cyt. w 14].

70. Patrz przypis 63. Zarówno Grzmielewski, jak i Liniarski nie tylko obciążyli gen. Fieldorfa w śledztwie, ale nie odwołali swoich zeznań na procesie Generała. [4].

świadka znaleźli, choć Emil i tak do żadnej winy się nie przyznawał. Emilowi dali do przeczytania zeznanie tego Grzmielewskiego. Jak opowiadał panu Chaimowi, złapał się za głowę, jak to przeczytał, nie chciał własnym oczom wierzyć. Przybiło go to, że to jego człowiek, jego podwładny, Akowiec, a takich było więcej. Chociaż jak twierdzi pan Lichtszajn, tchórzostwo i płaszczenie się wobec wroga cechowało NSZ, Narodowe Siły Zbrojne. To był, według niego, okropny element, sprzedajny, za cenę lepszego wyżywienia, ćwiartki masła, czy czegoś tam, wydawali lub oskarżali nawet najbliższą rodzinę⁷¹. A ten Chaim przez pięć lat prawie żył o chlebie i wodzie, bo religia nie pozwalała mu na korzystanie z kotła. Nie mogli go zmusić do jedzenia.

Na Mokotowie poznawało się ludzi, wychodziły na jaw najpiękniejsze, najwznioślejsze cechy charakteru, a najgorsze, najbardziej podle również. Dusza ludzka tam się obnażała. Nikt nie zdołał się na dłuższy dystans markować. Siedzieli tam też Niemcy, m.in. dwóch generałów⁷². Byli oni dobrze zaopatrzeni we wszystko, dostawali paczki, nawet zza granicy. Nie wiem, czy można dawać wiarę tym wszystkim doniesieniom tego rabina. Nie wiem, ale zapisałam. Teraz żałuję, że nie zapisałam tego, co mówił pan Walter Żabczyk⁷³. Ale mam jego listy. Można będzie to odtworzyć.



7.XI.1957 r. Telefonował do mnie adwokat, Dowbor Bordel, że wybiera się do mnie jeszcze jeden współtowarzysz Emila, prawnik. Zaprosiłam go na popołudnie. Przyszedł. Nazywa się Michał Kołynia, Ukrainiec, komunista. Trochę się go zlekłam. Ale przypomniałam sobie, że mówił mi o nim jeden ksiądz. Ksiądz doktor Przetocki z Gdańska, do którego celi trafił on

71. Cytowana przez panią Fieldorową opinia p. Lichtszajna o więźniach z NSZ wydaje się być jego osobistą opinią, wynikłą być może z jego doświadczeń, ale nie popartą innymi relacjami.

72. Z gen. Fieldorfem, w celi nr 24, siedzieli m.in. gen. SS Sporenberg i płk Wehrmachtu Wenzel. Wspomina o tym Apoloniusz Zawilski, opisując spotkania przy stole więziennym generała SS i generała Armii Krajowej, szefa dywersji. [cyt. w 14]. Było to ze strony UB niewątpliwie celowe upokarzanie gen. „Nila”.

73. Walter Żabczyk był przez pewien czas współwięźniem Generała w celi kaesowej (więźniów z karą śmierci) nr 24. Po wyjściu z więzienia napisał kilka ogólnych listów do pani Fieldorowej, a później rozmawiał z nią. Nie wydaje się, aby przekazał jej jakieś istotne informacje. Później wyjechał do RFN. [cyt. w 14; 18].

po opuszczeniu Emila, i że z wielkim entuzjazmem mówił o nim. Okazuje się, że siedział z nim [Emilem] w 51 roku, siedem miesięcy. Dopiero teraz dowiedziałam się, jak wyglądał naprawdę moment aresztowania Emila.

Otóż był on wezwany na 10 listopada 1950 r. do RKN-u, celem rzekomego uzupełnienia danych do uzyskania emerytury⁷⁴. Kazali stawić się z dyplomem oficerskim. Emil po wejściu do RKN-u zorientował się zaraz, że kręcą się tam jakieś podejrzone typy. Wyszedł więc zaraz, ale na Piotrkowskiej podeszło do niego dwóch drabów, podjechało auto, wsadzili go, choć Emil zaczął krzyczeć, żeby ludzie mnie zawiadomili, podawał mój adres, ale oczywiście nikt nie przyszedł⁷⁵. Zawieźli go od razu na Koszykową⁷⁶. Tam był parę miesięcy. Podobno usiłował popełnić samobójstwo. Boże, Boże! Powiedzieli mu, że ja i córki jesteśmy pierwsze aresztowane. Badał grunt Różański⁷⁷. Chcieli go za wszelką cenę zmusić do współpracy. Jak się już znalazł na Mokotowie, uspokoił się, bo ja niedługo otrzymałam widzenie i w tym okresie wyżywienie miał dobre, bo za wpłacane przeze mnie pieniądze kupował sobie już tłuszcze i nawet owoce⁷⁸. Dzielił się tym ze wszystkimi, z tymi, którzy nie otrzymywali pieniędzy.

Poza tym niewiele dowiedziałam się od tego pana. Opowiadał dużo o sobie. Był tak przekonany, że Emil jest na wolności, że przyjechał tutaj żeby go prosić na świadka w procesie rehabili-

74. Generał Emil Fieldorf już 23 czerwca 1948 r. wniósł podanie do Wydziału Personalnego Ministerstwa Obrony Narodowej o przeniesienie go w stan spoczynku, podpisane swoim nazwiskiem. Odpowiedź otrzymał dopiero po niemal dwóch latach, 3 maja 1950 r. Wtedy przystąpił do wyjaśnienia swojej tożsamości w Wydziale Społeczno-Administracyjnym Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi. Pierwsze wezwanie otrzymał na 19 października 1950 r., na które nie mógł stawić się, a drugie na 10 listopada, do Wydziału Społeczno-Administracyjnego Prezydium Rady Narodowej [1,2] (stąd być może w skrócie użytym przez panią Fieldorową litery RN). Według własnych zeznań Generała, miał on zgłosić się w RKU [4].

75. Gen. Fieldorf na próżno wyrzucił na ulicę przygotowany zawczasu świstek papieru z adresem żony, w nadziei, że ktoś zawiadomi ją o jego aresztowaniu (jak zdarzało się to dawniej, w czasie okupacji). [13].

76. Ostawione więzienie w gmachu ówczesnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie.

77. Józef Różański, dyrektor departamentu śledczego MBP, odpowiedzialny pośrednio i bezpośrednio za stosowanie tortur w czasie przesłuchań w UB.

78. Zezwolenia, tzw. „wypiski”, na zakup dodatkowej żywności w sklepie więziennym były udzielane lub wstrzymywane więźniowi w zależności od poleceń oficerów śledczych. [10].

tacyjnym, który też jakoś się ciągle odwołuje, jak u Emila⁷⁹. Miałam wrażenie, że trochę się obawiał, żeby za dużo nie powiedzieć. Takie miałam wrażenie. Znał nas jeszcze z Wilna, bo mieszkał na Kalwaryjskiej, pod numerem 7-mym, a my pod 11-tym. Już wtedy, jako słuchacz Instytutu Badań Ziem Wschodnich, należał do organizacji komunistycznej. Bo ja wiem, może był specjalnie do nas naślany? Teraz nikomu nie można wierzyć.

[koniec nagrania]

REFERENCJE

- [1] Maria Fieldorf i Leszek Zachuta: „Żołnierska droga Generała «Nila»”, *Mówią wieki*, 10, pp. 15–22, 1987
- [2] Maria Fieldorf i Leszek Zachuta: „Gen. «Nil» Żołnierz Polski Walczącej”. *Legion* rok 60, nr 1, Kraków 1988 (na prawach rękopisu)
- [3] Zofia Zarkadas, informacje prywatne (1992)
- [4] Stanisław Marat i Jacek Snopkiewicz: „Zbrodnia”, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1989
- [5] Marek Ney-Krwawicz: „Komenda Główna AK 1939–1945”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1990
- [6] Janusz Kurtyka: „Na Szlaku AK (NIE, DSZ, WiN)”, *Zeszyty Historyczne*, 94, pp. 13–47, 1990, Instytut Literacki, Paryż
- [7] Wojciech Borzobohaty, „Jodła”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1988
- [8] Anna Borkiewicz-Celińska: „Batalion «Zośka»”, PIW, Warszawa 1990
- [9] Andrzej Wolski–„Jur”, informacja prywatna, 1992
- [10] Henryk Kozłowski–„Kmita”, informacje prywatne (1991, 1992)
- [11] Henryk Kozłowski–„Kmita”, „List w sprawie konspiracji poakowskiej”, *Zeszyty Historyczne*, 96, pp. 228–231, 1991, Instytut Literacki, Paryż
- [12] Jan Hoppe: „Ostatni etap pana Walentego”, *Na Antenie*, 117, pp. 10–13, 1972, Londyn
- [13] Maria Fieldorf–Czarska, wywiad: „To ciągle jeszcze boli”, *Głos Łódzki*, 269, Łódź, 20 listopada 1989
- [14] Maria Fieldorf i Leszek Zachuta: „Więzenie i proces Generała «Nila»”, *Tygodnik Powszechny*, 10, Kraków, 5 marca 1989
- [15] Maria Fieldorf i Leszek Zachuta: „Śmierć Generała «Nila»”, *Tygodnik Solidarność*, 21 (88), Warszawa, 25 maja 1990
- [16] Józef Musioł: „Egzekucja Generała Fieldorfa”, *Prawo i Życie* 49, Warszawa, 8 grudnia 1990
- [17] Leszek Zachuta, list do tygodnika *Prawo i Życie* 2, Warszawa, 12 stycznia 1991
- [18] Maria Fieldorf i Leszek Zachuta, informacje prywatne (1992)

79. Postępowanie karne przeciwko generałowi Fieldorcowi zostało umorzone 4 lipca 1958 r. Jednakże pełna formalna rehabilitacja Generała, tzn. uznanie że „nigdy nie popełnił on zarzucanej mu zbrodni”, nastąpiła dopiero postanowieniem Prokuratora Generalnego Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, z dnia 7 marca 1989 r. (pełny tekst tego postanowienia podany jest w [4]).

Rudolf S. FALKOWSKI

POLACY W ARMII CZERWONEJ (1940-1945)

Szanowny Panie Redaktorze,

A propos artykułu „Wojenne losy Polaków żołnierzy Armii Czerwonej (1940-1945)” — *Zeszyty Historyczne* Nr 99/1992, przypominam sobie kilka artykułów na ten temat w poprzednich numerach *Zeszytów* — wspomnień byłych żołnierzy Armii Czerwonej. Przyznam się, że wtedy chciałem dołożyć swoich parę groszy — należę do tych, którzy zostali zmobilizowani do Armii Czerwonej w maju 1941 — ale, mówiąc szczerze, zabrakło mi odwagi. W moich wspomnieniach nie ma tragedii. Po prostu nie pasują do całości problemu przesiąkniętego martyrologią. Nie przeczę, wielu z tych ludzi przeżyło tragedię, ale też twierdzę, że w wielu wypadkach była ona spowodowana polską pychą, zadziornością, przekorą, arogancją i otwartą pogardą dla Rosjan. Dochodzę do wniosku, że pan L.A. Sułek ma poniekąd rację — los człowieka zależał od jednostki, do której się trafiło.

Tak się złożyło, że pisałem dziennik od wczesnej młodości aż do roku 1948, kiedy opuściłem Anglię i wyemigrowałem do Kanady. Dysponuję więc materiałem źródłowym.

Pan Sułek porusza sprawę ludzi, którzy przeżyli tragedię będąc w Armii Czerwonej, ale nikt do tej pory, o ile mi wiadomo, nie zainteresował się przeżyciami małej grupy żołnierzy, którzy później znaleźli się w polskich jednostkach w Anglii — właśnie z tytułu służenia w Armii Czerwonej.

Pierwsza grupa lotników — byłych jeńców wojennych — opuściła ZSSR jesienią 1941; nasza druga grupa, w tym około 40 byłych żołnierzy Armii Czerwonej, przeznaczonych do lotnictwa jeszcze w Kerminie (Uzbekistan), przybyła do Anglii w czerwcu 1942. I tutaj, ku naszemu zdziwieniu, o fakcie mobilizacji około ćwierć miliona młodych ludzi z Polski Wschodniej i wcieleniu ich do armii sowieckiej, jakby nigdy nikt nie słyszał. Zaczęła się szemranka, wilcze podejrzenia, insynuacje i bezpodstawne posądzenia, ale po cichutku, nie głośno — że wszyscy którzy służyli w Czerwonej Armii, to byli ochotnicy, zabarwieni na czerwono, zdrajcy Ojczyzny i jako tacy nie mogą służyć w elitarnych jednostkach takich jak lotnictwo.

Okazało się, że gen. Anders trochę lepiej orientował się w powyższej sprawie od gen. Sikorskiego. Ogromna większość byłych żołnierzy Armii Czerwonej została wcielona do 2-go Korpusu i nikt ich nie posądzał o „zdradę Ojczyzny”.

FRAGMENTY DZIENNIKA

6-ty maj, 1941. Mobilizacja. Transport z Czortkowa (woj. tarnopolskie), do wojskowego obozu IDRICA, kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Wielkich Łuk. *Samostojatielnaja Tankowaja Czast' Moskowkowo Wojennowo Okruga*. Olbrzymi obóz po obu stronach toru kolejowego z poligonami — piechoty, artylerii, broni pancernej (doświadczalne czołgi-amfibie w przyległych Jeziorach), dwa roczniki kursantów *Wojennoj Akademii im. Frunze*, *Szkoła Starszych Komandirów* (odpowiednik polskich szkół podchorążych), *Szkoła Młodszych Komandirów* (szkoła podoficerska), i... lotnisko. Dowódca, gen. Leluszenko.

W parę dni po przybyciu do obozu zabrano nas do łaźni. Z łaźni wyszliśmy umundurowani. Na drugi dzień, i tylko jeden dzień, przeszkolenie rekruckie — *smirno, rawniajs'*, obroty w prawo, obroty w lewo, odpowiedzi na rozkaz dowódcy, *jest' toczno, towariszcz*, i stopień... *no i chwatit*. I bezpośrednio przydzielono nas do łączności — telefony polowe, radiotelefony, łączność ziemia-ziemia, ziemia-powietrze (lotnictwo), czytanie mapy etc.

Jednym z punktów kulminacyjnych, z początkiem czerwca 1941, była nagła wizyta *naczalstwa*, z marszałkiem Timoszenką włącznie. Pobieżna lustracja oddziałów i reszta dnia, studiowanie map naklejonych na dykty, około półtora metra kwadratowego, na stołach z kuchni obozowej — wyraźna ofensywa, kierunek Niemcy. To nie były mapy defensywne. Atak, atak i atak. Czerwone, powłóczyście strzały jak komety, a w ogonach znaki i numery oddziałów atakujących.

(Osobiście jestem przekonany, że Czerwona Armia nie była zaskoczona atakiem Niemców 22 czerwca 1941. Odwrotnie, przygotowywali się do ataku na Niemców.)

W połowie czerwca wycofano nas i z nami inne oddziały czysto rosyjskie na dalsze szkolenie do obozu Lno-Oziero, niedaleko od miasta Gorkij. (Tutaj może warto zaznaczyć, że w przeddzień naszego wyjazdu zdemobilizowano jednego Polaka i wysłano go z powrotem do domu. Po raz drugi. Pierwszy raz był zmobilizowany w maju 1940, do tej samej służby, i w miesiąc później wysłany do domu. W maju 1941 znowu został zmobilizowany i znowu przysłany do tej samej jednostki. Już go znali. I oczywiście znowu wysłali go do domu. Był bardzo zmartwiony z tego powodu, bo nie był pewien, czy dojedzie do domu. Tej samej nocy zniknęło z obozu sześciu baptystów z Wołynia — odmówili noszenia broni. Trzeba też dodać, że w Idry-

cy przechodziliśmy *politiczeskoje wospitanie*, dwa razy w tygodniu. Po każdej lekcji politruk wysyłał nas do obozowej biblioteki — *krasnoj ugotok* — w celu przeglądnięcia literatury związanej z wykładami, a szczególnie miesięcznika *Woprosy Leninizma*. Tutaj spotkaliliśmy dwóch Polaków w lotniczych mundurach — radiotę i strzelca — z tej samej załogi bombowca. Byli zmobilizowani w październiku 1940.

(Jeden z nich, nazwiskiem Siekierski, przybył później z naszą grupą do Szkocji).

Do obozu Lno-Oziero przybyliśmy w sobotę 21 czerwca 1941. Na drugi dzień, 22 czerwca 1941, o brzasku, Niemcy zaatakowały ZSSR. W południe tego samego dnia wysłuchaliśmy mowy Mołotowa w związku z powyższą agresją. Co nas uderzyło, to że ten fakt nie zrobił najmniejszego wrażenia na Rosjanach. Tej samej nocy, raczej o czwartej godzinie nad ranem, wymaszerowaliśmy do miasta Gorkij, na kwatery zimowe. Zaimponowało nam szybkie zwinięcie obozu. W ciągu paru godzin wszystko, włączając liczne rodziny wyższych dowódców, było *na chadu*.

W Gorki nasza sytuacja radykalnie się zmieniła. Wycofano nas z kadry szkoleniowej i przydzielono nas — 10-ciu Polaków, 16-tu Niemców z Nadwołża, jednego Żyda i Rosjanina (sierżanta) jako dowódcę oddziału — do specjalnego plutonu — *wzwod komandujeszczewo sostawa*.

(Żyd, nazwiskiem Malik, z Równego, szczycił się legitymacją komsomolca od roku 1937 — wulgarny, arogancki — przy każdej sposobności wyrażał swoją głośną opinię na temat Polski i Polaków. W końcu usłyszał to przechodzący obok politruk z dowództwa. Zamknął go na miejscu. Powiedział nam, że jak jeszcze raz to się powtórzy, to od razu meldować — *w Sowietkom Sojuzie, po nacjonalnosti, nikakoj raznicy niet... Poniał?* Zrozumiał. I więcej kłopotów z nim nie było. Stał się jagniątkiem. I tutaj twierdzę stanowczo, jako fakt, że podczas całego mego pobytu w Czerwonej Armii, i w Rosji w ogóle, cokolwiek obelżywego słyszałem pod adresem Polaków, to było właśnie od tego człowieka).

Kwaterowaliśmy w budynku *naczalstwa*. I chyba nikt mi nie uwierzy — spaliliśmy na materacach, na białych, lnianych prześcieradłach. Dowództwo — 7-my pułk piechoty 6-tej narciarskiej dywizji syberyjskiej — znajdowało się w zabudowaniach starego, *niżnie-nowogrodskiego* zamku... *Kreml*, małe, średniowieczne miasteczko, otoczone starożytnymi murami, sięgającymi krawędzi skały-urwiska, przy ujściu rzeki Oki do Wołgi. Fantastyczna panorama lewego brzegu *matuszki Wołgi*.

Do naszych obowiązków należało prawie wszystko oprócz czyszczenia podłóg w biurach — od *karaulu* (straży przy dowództwie), administracyjnej obsługi biur, eskorty oficerów ze specjalnymi teczkami do różnych miast aż... do asysty dyżurnych *komadirow* w dowództwie, przy olbrzymiej mapie na ścianie z sytuacją na froncie, no i różne *komandirowki*.

Kilka razy asystowałem temu samemu oficerowi dyżurnemu. Trzymał w ręku dane z sytuacją na froncie, a ja podawałem mu małe szpileczki z czerwonymi główkami. Znaczył rutę cofających się wojsk frontowych. Wciskał je w mapę z drwiącą sadystyczną wesołością... *my wpieryd... my wpieryd*. Po skończonej robocie cofał się, mierzył sytuację od Murmańska aż do Odessy, kręcił głową i... *nuż, takaja mat', my wpieryd, a Germancy wsio wre-mia za nami*.

(Tylko jeden raz asystowałem pewnemu majorowi w podróży do Moskwy, z teczką przymocowaną aresztanckim sposobem do przegubu lewej ręki, z naładowanym karabinem i z rozkazem... *streliat' biez predupreżdzenia*, jeśli ktokolwiek zbliży się do niego z niedwuznacznym zamiarem.

Odkluczyli teczkę dopiero w dowództwie, w Moskwie. Major nazywał się... Dobrowolskij. Rodem z Żytomierza. I być może z tego powodu zabrał mnie ze sobą, żeby zobaczyć Mauzoleum Lenina. Niestety za duża kolejka w mundurach wojskowych, więc nie mieliśmy żadnego przywileju i musieliśmy wracać do Gorkiego.

(Najbardziej nęciły mnie *komandirowki*. Korcił mnie też olbrzymi szmat ziemi. Udało mi się to dzięki jako-takiej znajomości jęz. rosyjskiego. Studiowałem ten język z wielkim zapamiętaniem — co było związane z pisaniem dziennika, ale to inna sprawa — i w ten sposób udały mi się cztery *komandirowki* do Arzamasu, Riazania, Kazania i Czelabińska. Człowiek dostawał broń, *suchoj pajok*, rozkazy i naraz stawał się dowódcą całego pociągu, wojskowego transportu. Przeważnie broń i żywność. W podróży długodystansowej pociąg zatrzymywał się na jakiś okres czasu w celu zmiany załogi pociągu, pobrania prowiantu, a przy każdym peronie sączyła się para z gorącego kranu — *kipiatok*).

Tutaj dowiedzieliśmy się o pakcie Majski-Sikorski. Poczuliśmy to od razu w zmianie stosunku do nas, pomimo że i przedtem był dość ludzki. Tutaj wycofano Niemców z naszego plutonu. Jednego Niemca z naszego plutonu przyłapano w kontakcie z drugim Niemcem z Nadwołgi, który okazał się szpiegiem.

(Do dzisiaj nie mogę uwierzyć w fakt, że nam dowierzali. Jakby nie było, byliśmy świadkami mobilizacji rezerwy i całej ro-

boty papierkowej w związku z wysyłką tych ludzi na front z wyszczególnieniem kierunków i miejscowości. Sytuacja aż się prosiła o szpiega).

Niestety, pod koniec sierpnia 1941 zlikwidowano nasz punkt mobilizacyjny, dowództwo włączono do innej jednostki i resztki naszego plutonu wysłano do obozu rozdzielczego w Marinaja Roszcza jakie 16 km od miasta Gorkij. Stąd widzieliśmy jak na dłoni olbrzymi gmach gorkowskiego więzienia.

Marinaja Roszcza. Obóz rozdzielczy? Koczowisko żywcem zdjęte z rycin XVII w.; wojny polsko-kozackie, czasy Sobieskiego i Żółkiewskiego. Życie w namiotach. Z materaców z prześcieradłami na gołą ziemię w namiocie, usłaną liściem, jak w norach zwierzęcych. Zbiorowisko przeróżnych narodowości — Polacy, Niemcy z Nadwołgi, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Estończycy, Finowie, Uzbegy, Kirgizi, Tatarzy, Mołdawianie, Mongoli i nawet Chińczycy — i żadnej dyscypliny. Kto chciał, to wstawał z rana, a jak nie, to leżał w namiocie dopóki nie zgłodniał. A wyżywienie było takie, że nawet nie warto było wstawać. Gorzej być nie mogło. I co nas tutaj uderzyło, to masy „rannych” Uzbeków i Tatarów. Prawie co trzeci chodził z obandażowaną lewą ręką. Przestrzelone dłonie. Niektórzy z nich otwarcie przyznawali się, że najlepszą ucieczką z frontu jest przestrzelenie swojej własnej ręki. Później za taką „ranę”, nawet autentyczną, czekał... karny batalion.

Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że zasadniczo były cztery rodzaje batalionów — karne, dyscyplinarne, *stroj-bataliony* i *raboczije bataliony*.

Karny batalion — był najgorszy ze wszystkich. Kara śmierci przez rozstrzelanie lub batalion. Wybieraj. Skazańców formowano w specjalne jednostki i... łatano nimi dziury na froncie. *Niet spasienija*. Jeśli nie wykończyli ich Niemcy, to zrobili to swoi z tyłu za nimi. Strzelali jak do zajęcy. W najlepszym wypadku dostawali się do niewoli, a tam...? Wiadomo co ich czekało.

Batalion dyscyplinarny — ściśle w zakresie macierzystej dywizji. Każda kara, która przekraczała dajmy na to polską przedwojenną „pakę”, czyli areszt ścisły, kończyła się w powyższym batalionie. Każda kara miała na celu tylko jedno — wdrowienie do mózgu delikwenta trzech słów... *prikaz eto zakon*. I nic bardziej nie wpajało do głowy żołnierza sensu dyscypliny, jak wykonywanie głupich i pozbawionych sensu rozkazów. Na przykład — kopanie dołków w ziemi, wlewanie do nich wody i natychmiastowe czerpanie jej do kubła. Żołnierzyna musiał wlewać

i czerpać tak długo i szybko, dopóki nie wyczerpał tego, co przedtem wlał. Ale i tutaj surowość miała podwójne oblicze; brano pod uwagę socjalne pochodzenie żołnierza: czy wychowywał się przy rodzinie, w tak zwanym *obszczeżytiu*, czy też pochodził z *bezprizornych*. Tych ostatnich jednak faworyzowano. Po wykonaniu kary żołnierz zabierał ze sobą kopię wyroku, niczym świadectwo szkolne, i po powrocie do swej jednostki oddawał ją swemu dowódcy. Wszystko było otwarte. Jeśli po przeczytaniu dowódca zgniótł wyrok i rzucił do kosza, to znaczyło... więcej nie zadzieraj i wszystko jest w porządku. W ten sposób mądry dowódca zdobywał sobie osobistą lojalność żołnierza, która w początkowych stadiach wojny okazała się prawie decydująca. Natomiast kiedy dowódca przeczytał kopię wyroku i odłożył ją na bok, to w oczach żołnierza znaczyło to, że będzie pod dalszą specjalną obserwacją i że jego *bumaga* pójdzie dalej, do politruka i wojskowego dowódcy NKWD. Więc trudno się dziwić, że na początku wojny tacy dowódcy byli pierwsi, którzy ginęli... *za rodzinu i za Stalina*.

Tutaj trzeba zaznaczyć, że powyższe bataliony były wprowadzone przez marszałka Timoszenkę po objęciu głównego dowództwa.

Strojbataliony — przeważnie integralne jednostki pułku. To nie były karne bataliony, raczej zaliczano je do jednostek saper-skich. Do personelu ściśle technicznego — a było tam sporo Polaków zmobilizowanych w październiku 1940 — dołączono wymaganą liczbę ludzi do służby pomocniczej. *Strojbataliony*, rzadko używane na froncie, chyba że front był przerwany i nie zdążano się wycofać, wykonywały różne zadania takie jak budowanie ziemianek na zimę, budowanie dróg, naprawianie mostów czy torów kolejowych.

Raboczije bataliony — zupełnie oddzielne bataliony pod ścisłą i bardzo zazdrosną administracją *oblastnych wojenkomatów*. Krótko mówiąc, taki batalion był przysłowiową niemiecką *Mädchen für alles* — od ładowania czy rozładowywania wagonów kolejowych do zbierania kartofli w sowchozach czy ścinania *awiasosny* w lasach (drzewo sosnowe do produkcji samolotów).

Jesteśmy ciągle w obozie rozdzielczym — *Marinaja Roszcza*. Obok tego obozu znajdował się jakiś inny obóz czy rezerwa jakiegoś pułku — czysto rosyjska. Tam panowała dyscyplina. Z naszej strony nikt tam nawet nie chciał zaglądać. I tam też jakiś *strojbatalion* budował ziemianki. Jakims cudem dowiedzieliśmy się, że w tym batalionie było około 20-tu Polaków.

I dopiero od nas dowiedzieli się oni o istnieniu paktu Majski-Sikorski i o organizowaniu Polskiej Armii na południu Rosji. Stanęli do raportu o zwolnienie ich z batalionu, jako że byli polskimi obywatelami. Dowódca jednostki stanął wobec faktu dokonanego. Okazało się, że wszystkie jednostki wojskowe, z frontowymi włącznie, otrzymały odpowiednie rozkazy dotyczące się tych ludzi, ale wykonanie rozkazów zostawiono do uznania i zakresu danej jednostki. I w ten sposób tych 20-tu Polaków dostało się do naszego obozu rozdzielczego.

I tutaj, ku naszemu zdziwieniu, ci ludzie okazali się prawdziwymi polskimi patriotami. Byli zadowoleni, że dostali się do nas, a tym samym z późniejszego dołączenia do Polskiej Armii, ale narzekali na kiepskie odżywianie i chcieli już wracać z powrotem do swych batalionów. Równocześnie nieustannie gderali i narzekali na Rosjan. Tutaj usłyszeliśmy po raz pierwszy o ich „tragedii i martyrologii”. Przyznam się, że to zaczęło nas, raczej niektórych z nas, denerwować. Osobiście nie znoszę pustosłowia. Na szczęście okazało się, że było więcej takich jak ja. Staliśmy się dociekliwsi; stawialiśmy konkretne pytania: — Bili was? Nie! Głodzili was? Nie! Rugali was? Nie! Kpili z was jako Polaków? Nie! Wyzywali was po matuszce i stawiali rodzinę po kątach? No nie... nie... nie i nie i... co wy, kurwa wasza mać? Co to za doprosy? Co wy, NKWD?... Przecież to są Moskale, kacapy, po co wam dowody... Kapujecie czy nie...?” Kapnęliśmy.

20-tego września 1941 wywołano naszą grupę z byłego specjalnego plutonu, dołączono do nas inną grupę (grupę tych 20-tu, o których mowa powyżej, zostawiono w obozie), też Polaków takich jak my i trochę Polaków urodzonych i wychowanych w ZSSR. Między innymi jeden o nazwisku Białokarpowicz. Szczycił się, że pochodził ze starej polskiej rodziny z Inflant i że jego dziad czy pradziad brał udział w którymś z powstań — 1830 czy 1863, nie znał detali. Dowódcą naszym był Rosjanin z Leningradu, w mundurze, bez stopnia, z zachowania i wystawiania nie wyglądał na jakiegoś *mładszego komandira*. Powtarzał — *ja wasz jazyk priekrasno ponimaju* — ale nigdy nie powiedział ani jednego słowa po polsku. Podejrzewaliśmy, że też pochodził z Polaków, ale nie chciał się przyznać, więc daliśmy mu spokój.

Tego samego wieczoru naszą grupę odłączono, powiedziano nam, że zostaliśmy przydzieleni do *raboczewo batalionu* i jedziemy na robotę do sowchozu. Zadaniem naszym będzie dokończenie zbiórki pól zanim spadnie śnieg i mróz zetnie wszystko z nóg.

Sowchoz „Komsomolec” — wieś Małopołudnie, *machinskij rajon, gorkowskaja oblast’*. W pierwszy dzień, w drodze do *stołowej*, nasz dowódca powiedział nam, że mamy pierwszeństwo w odżywianiu, ale musimy zrobić to szybko, *tolko kulturno*, bo czeka na swoją kolejkę dużo kobiet z dziećmi. Gdy weszliśmy do dużej *stołowej*, zastaliśmy sporą ilość kobiet z dziećmi, z garnuszkami i łyżkami, ustawionych wzdłuż ścian i czekających na swoją kolejkę. Uderzyło nas od razu, że te kobiety nie wyglądały na członkinie tego sowchozu. Podczas jedzenia ich oczy, szczególnie oczy dzieci, były utkwione w naszych talerzach i połykały oczami wszystko razem z nami. Jeden z nas zwrócił głośno uwagę na sytuację i w tej chwili usłyszeliśmy głośne: „Jezus Maria... landkiszi...”. I cała czereda rzuciła się do drzwi w popłochu. O mało drzwi nie wywalili. Łyżki w gębach nam utknęły ze zdumienia.

Sowchozem rządziły Rosjanki. Mężczyzn prawie nie było, oprócz starców i trochę niezbędnych młodszych *po tiechniczeskaj czasti*. W sowchozie żyło około pięćdziesięciu rodzin, raczej kobiet z dziećmi — przeważnie Litwinek. Wywiezione z Litwy w roku 1940. Po wybuchu wojny mężczyźni zabrano do wojska, a one zostały z dziećmi. Co prawda pracowały w sowchozie, ale to nie był... *raboczyj klas*. Były bardzo dumne, trzymały fason, biedę pokrywały dobrą miną. Ale duma i fason matek dzieci nie obchodziły. Podczas pory obiadowej czy kolacji już czekały na nas. Dzieci instynktownie dobrze wyczuwały, gdzie mogą dostać jakiś kąsek do zjedzenia. Już czekały na swoje „ofiary”. Zaczęło się sarkanie. Niektórzy, przeważnie z Wileńszczyzny, twierdzili że my, z Ukrainy, nie znaliśmy Litwinów, i że matki specjalnie wysyłały dzieci, bo Polaków nie lubiły. Może i było w tym trochę prawdy, ale była też zasadnicza różnica między dzieckiem które wykonywało rozkaz mamusi, a dzieckiem które robiło coś spontanicznie, szczególnie kiedy było głodne. Wystarczyło zerknąć w ich oczęta.

Tak dalej być nie mogło. Obgadaliśmy sprawę z naszym dowódcą. Zgodził się — sprawa pod głosowanie. Wygraliśmy. Od tego dnia wszystkie kobiety, z dziećmi czy bez (Litwinki i Rosjanki) miały pierwszeństwo. To nam zjednało kobiety, a szczególnie Litwinki, ku naszemu zdziwieniu. *Poliaki kak to Litowkam ponrawilis’*, szeptały Rosjanki. Nie byliśmy świętymi (w takiej masie kobiet), ale okazało się, że nie byliśmy takimi, jak głosiła propaganda szaulisów. I bez przesady, gdy odjeżdżaliśmy, większość z nich żegnała nas ze łzami.

Podczas całego pobytu w ZSSR najbardziej współczułem kobietom. Nawet jak nie płakały — a rzadko płakały — to łzy

szkiliły się w ich oczach. I może Szalom Asz, żydowski pisarz z Ukrainy, miał rację kiedy mówił... jak masz serce pełne, to oczami ci się przelewa. Po tylu latach ciągle twierdzę, że Rosjanki owych czasów miały coś specyficznego. Wyczuwało się w nich jakąś matczyną pobłażliwość dla męskiej, koguciej głupoty, bez względu na wiek mężczyzny. Dla nich wszyscy mężczyźni byli jednakowi. „*Nu niczewo, niczewo* — machały rękami od niechcenia — ...on z tego jakoś wyrośnie”. I niektórzy naprawdę wyrastali.

Takiej biedy nigdy nie widziałem, ani przedtem, ani potem, może z wyjątkiem slumsów Kalkuty czy Kairu. Ale tam, obok biedy, dla kontrastu, był jednak względny dobrobyt. W sowchozie *Komsomolec*, chyba tak jak we wszystkich sowchozach i kołchozach północnej Rosji, obok biedy panowała beznadzieja i poczucie, że cokolwiek uczynisz, nic się nie zmieni. Los, niczym palec piszący po niebie z Rubayaty Omara Chajama — pisze przeznaczenie człowieka i ciągnie bezlitośnie dalej; ani pokora, ani nabożność, ani miłość nie zmieni fatum człowieka, i żadna łza nie zmyje jednego słowa.

Ale pomimo tego beznadziejnego fatalizmu tlił się bunt, szczególnie w sercach starszek. Zdarzyło mi się parę razy, i nie tylko mnie, że kiedy nasza „brygada” wyszła w pole, a ja zostałem *dniewalnym*, zjawiała się jakaś starszka (zawsze w poje-dynkę), niby pod pozorem, żeby wyprać koszulę, ale naprawdę to *pogawarit’ niemnożko*. Z początku podejrzewałem, że to mogła być robota „pewnych czynników”, ale prędko wyzbyłem się oporów. Każda pogaduszka zawsze zahaczała o Hitlera — czy on naprawdę jest aż takim potworem? Jak to się stało, że jeszcze parę miesięcy temu był dobrym przyjacielem *batiuszki* (Stalin — nazwisko jego było tabu)? Ale szybko domyśliliśmy się, że tutaj nie chodziło o potwora tylko o... zbawiciela. Nawet niech już będzie sam diabeł, żeby tylko to się zmieniło. A przede wszystkim żeby chociaż jeden raz, zanim umrze, pomodlić się w cerkwi takiej, jaką kiedyś była — pomodlić się za zbawienie *ludzkości*. Podkreśliłem to słowo, bo Litwinki, tak samo jak Polki czy inne kobiety w jarzmie, czekały na zbawienie ale zawsze w ramach swych narodowości. Rosjanki rzadko wspominały *matuszkę Rasię*, ale zawsze mówiły o *ludzkości*.

Dopiero po latach, kiedy wspomnienia krystalizowały się w esencję, zastanawiałem się czy to nie stąd wywodził się mesjanizm Dostojewskiego? A Sołżenicyn? On wyraźnie i ciągle twierdzi, że jest tylko jedna szansa zbawienia świata — Cerkiew prawosławna.

6-tego listopada 1941 byliśmy z powrotem w Gorki. Wąlowaliśmy dniami i nocami, na narach, w starych koszarach. Od czasu do czasu wzywano nas na służby wartownicze lub pomoc przy budowie schronów przeciwlotniczych. W tym czasie Niemcy często robili nocne naloty. Odbłyski artylerii przeciwlotniczej i reflektorów z drugiej strony rzeki świadczyły, że Niemcy doskonale się orientowali w istnieniu fabryk i ich znaczeniu dla wojennej produkcji, a szczególnie olbrzymich zakładów budowy samochodów różnego rodzaju.

Parę razy wysyłano nas na dworzec towarowy po drugiej stronie rzeki Oki, na *odgruzkę*. Trafiliśmy na kilka wagonów pełnych drewnianych skrzyń z napisem... P.W.A. — „Pocisk”. (Polskie Wytwórnie Amunicji?). Gdy skończyliśmy robotę i przyjrzelśmy się bliżej, wagony stały na zardzewiałych szynach, z niedbale zamalowanymi znakami... P.K.P. Deszcze zmyły farbę.

(Amunicja nadawała się do świeżo wypuszczonych, krótkich i elegancko wykonanych dziesięcioprzelotowych automatycznych karabinów. W połowie 1945 wyszły z użycia i zastąpiono je angielskimi *stenami*).

Drugim zdarzeniem, które nam dodało animuszu tutaj, było odkrycie biura *Dielegata Polskowo Posolstwa* — Mąż Zaufania Ambasady Polskiej w ZSSR, przy ulicy Łunaczarskiego 14. Nazywał się Gontarski i miał w swojej obsadzie sekretarza i kilku oficerów werbunkowych. Skomunikowaliśmy się z nimi, ale od razu nam zaznaczono, że nie była pora na nas. Było im wiadomo, że było nas zmobilizowanych do Czerwonej Armii około 200 tysięcy; ale byliśmy umundurowani, głodem nie przymieraliśmy i pierwszeństwo należało się jeńcom wojennym, powracającym z wszystkich kątów ZSSR. Musieliśmy czekać na swoją kolej — trzy cztery miesiące, najmniej. Przy okazji dano mi adres i kazano kontaktować się od czasu do czasu.

29-tego listopada 1941 wysłano nas do *Mechlesopunketa* przy stacji kolejowej Obchod, jakie czterysta kilometrów na północny wschód od Gorki. Zadanie — ścinanie *awiasosny*, używanej przy produkcji samolotów. Przy stacji znajdowały się też przetwórnice drzewne. Naszą grupę, 50-ciu Polaków, wysłano do specjalnego *uczastku* w głębi lasu, 15 km od stacji kolejowej. Wspaniały las, prawdziwa „puszcz i żubrów to kraina”, dziedzictwo różnej zwierzyny, wilków specjalnie. Zainstalowano nas w dużym baraku z kłód sosnowych, z oknami i elektrycznym oświetleniem. Odżywianie? Bez porównania lepsze od wiktów w sowchozie „Komsomolec”. W baraku mieszkało też parę kobiet — obsługa kuchni — i dwóch brygadierów. Dowódcą grupy był *starszyj*

sierżant, od czasu do czasu wpadał politruk do obgadania *poslednich politiceskich sobytij*.

Ścinaliśmy od pięciu do ośmiu sosen dziennie, zależało od wielkości, żeby wyrobić swoją normę — cztery metry sześciennie, i zapłatę... półtora rubla od metra. Ale, ścieliśmy czy nie ścieliśmy, brygadier pisał swoje i żartował — *brigada rabotajet, kantora piszet i czort jewo znajet kto diengi poluczajet*. Wieczorami czytano gazetę *Gorkowskaja Komuna*, grano w karty, śpiewano Pierwszą Brygadę (bardzo podobała się naszemu sierżantowi), niektórzy przerabiali matematykę, a ja, z kolegą Marianem Południakiem, łacinistą ze Lwowa, odmienialiśmy czasowniki, żeby nam mózgi nie wywietrzały, i nawet mieliśmy naszego „artystę” który robił „portrety” z nas na świstkach papieru. Tutaj też dyskutowaliśmy ostatnią wizytę gen. Sikorskiego, „naszego wodza”, który o nas, jak się sam wyraził „... wszystko wiedział i nie zapominał”. No i... atak Japończyków na Pearl Harbour... i Hitler wydał wojnę Ameryce. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do kierunku wojny i jak się ona skończy. A USA, wiadomo, nasz „przyjaciel”. Przecież Roosevelt wyraźnie powiedział, że Polska była „natchnieniem świata”. No i mając za sobą to doświadczenie życia w sowchozie, często wspominając te Litwinki i ich dzieci, zastanawialiśmy się nad losem naszych wywiezionych rodaków, gdzie i po jakich sowchozach dogorywają.

Tutaj stałem się przyjacielem wilków. Dziwne i ciekawe zwierzęta. Rzymianie zrobili wielką krzywdę tym zwierzętom, za którą płacą do dnia dzisiejszego. Może zamiast *homo homini lupus* powinno być *lupus lupi homo*. Jakby wstydziły się pokazywać w blasku księżyca. Ale nocami, kiedy temperatura spadała raptownie do jakichś minus 35 stopni, podchodziły po śnieżnej zaspie prawie pod same okna budynku. Nęciły ich światła wewnątrz baraku. Czasami wychodziliśmy na zewnątrz. Nie bardzo nas się bały. Odskakiwały kilkanaście metrów, przykucaly na śniegu i przypatrywały się nam ciekawie. Tylko oczy im błyszczaly. Na tej szerokości geograficznej noce były stosunkowo jasne. Mogliśmy je policzyć. Nigdy nie było ich mniej niż przynajmniej pół tuzina. Od czasu do czasu jeden z nich, przeważnie z tyłu paki, podnosił łeb do góry i wył przejmująco, jakby się skarżył sitwie jarzących się gwiazd nad nami wszystkimi.

Te gwiazdy urzekały nas wszystkich. Wisiały tak nisko, że tylko podskoczyć... W takich momentach wybiegałem myślami ku naszemu, mroźnym zimom podolskim. Tam też gwiazdy zniżały się dość nisko w mroźne noce, ale nie tak nisko jak te nad naszym *uczastkiem*.

(Przypominam sobie, że jeden z naszych emigracyjnych pisarzy, który swego czasu „zwiedzał” tamte strony, wspomina o tych gwiazdach. Czy to nie był Herling-Grudziński i jego „Inny świat”?)

Komentując często biedę mieszkańców sowchozu „Komсомолец”, podziwiając przezorność Litwinek i ich „dyplomatyczną” manipulację nami, mężczyznami — żeby tylko jakoś przeżyć, a szczególnie ratować dzieci — zdawało się, że nasza grupa była świadoma swej prawie że idealnej sytuacji — w porównaniu z otaczającym nas światem — żeby jakoś po cichu przeżyć, przetrwać i aby tylko dostać się do naszej armii. Ale tutaj znalazła się okazja na polską „tragedię i martyrologię”.

(Jestem przekonany, że Polacy, tak jak Żydzi, nie potrafią żyć bez kłopotów. Zawsze coś sobie znajdują. Jakiś feministyczny masochizm w ich działaniu, plus zniewieściałość. Wystarczy pomyśleć nad tym, co się dzieje w obecnej Polsce, to sytuacja aż się prosi o oddanie władzy kobietom. Obserwując — w ostatnim dziesięcioleciu — przebój, przedsiębiorczość, inicjatywę i odwagę Polek za granicą — co prawda patrząc przymrużonym okiem na moralną i etyczną stronę ich wyskoków — dochodzę do wniosku, że zamiast wąsów, kilka spódnic w Belwederze i Rządzie pokierowałoby lepiej tym „God’s playground”, czyli „Bożym igrzyskiem”).

Przy tej okazji warto zaznaczyć, że z tematem zniewieściałości Polaków spotkałem się po raz pierwszy w Anglii. Jeśli szepotali o tym Anglicy, no to wiadomo, byli „zazdrośni”, ale kiedy kobiety o tym mówiły głośno, to sprawa jest warta zanotowania.

Po wojnie, jeszcze w Anglii, poznałem młodą Angielkę. Po miesięcznej znajomości, kiedy już się zanosilo na grzeszne rozwiązanie sprawy, pod jakimś pretekstem zapytała mnie wprost czy jestem naprawdę Polakiem? Nie po raz pierwszy stawiano takie pytania mnie, i mym rodakom o podobnych nazwiskach. W Anglii było wielu Żydów o podobnych nazwiskach. Trochę mnie to denerwowało, bo wtedy ciągle jeszcze byłem niebieskookim blondynem, ale okazało się, że miała co innego na myśli — dlaczego nie całowałem kobiet po rękach? Była bardzo ciekawa, bo w Anglii, Polaków lotników, szczególnie personel latający, uważano za kastę ludzi bardziej wykształconych, światowo obytych (cwaniaków), swego rodzaju elitę Armii Polskiej, więc jej matka opowiadała jej, że nie mogła zrozumieć, jak ludzie tej klasy mogli być takimi pantoflarzami, którzy stukali przed kobietami obcasami, kłaniali się w pas jak lokaje, całowali je po rękach i to w publicznych miejscach, i po tych wszystkich prysiudach odjeżdżali do swych dywizjonów i tak mężnie walczy-

li podczas *Battle of Britain*. Nie mogła tego pojąć i w dodatku jakoś źle to jej wyłuszczyłem. W rezultacie nasza, tak pięknie zapowiadająca się znajomość zwichnęła się. Nie została skonsurowana. Szkoda.

Boże Narodzenie 1941-szego roku wypadło w czwartek, czyli w normalny, sowiecki dzień pracy. Na zbiórkę poranną wyskoczyło z baraku tylko nas trzech — sierżant, kolega M. Południak i ja. Gdzie reszta? Sierżant zerknął na nas i skoczył z powrotem do baraku. Po kilku minutach wyszedł nie ten sam człowiek. Tak przestraszonego człowieka jeszcze nigdy nie widziałem. Chodził tam i z powrotem, dreptał w miejscu i kłął pod nosem: — *Jebiona ich mat'... Sumaszedszuj narod... Nikakowo političeskowo soznania u nich niet. Co się stało? Waszi tawariszczi twierdzą, że są Polakami, katolikami i że w wasz prazdnik rabotat' nie budut... Bezobrazije.*

Sierżant w końcu opanował się. Zawołał nas z powrotem do swego biura i zażądał od nas *czestnowo słowa*, że to, o czym będzie mowa, zostanie między nami. Daliśmy mu nasze słowo z rękami na sercach. Kazał nam wytłumaczyć *waszim* ludziom, żeby się opamiętali, bo nawet nie zdają sobie sprawy z konsekwencji ich postawy — ciągle są *wojenno-obiazannymi*; że *prikaz eto zakon*; że to jest *wojennoje wremia* i ścinanie sosny służy *wojennoj produkcji*; że za niewykonanie rozkazu grozi *razstreł*, a w najlepszym wypadku *sztrafnij batalion*; że w *Krasnoj Armii* dowódca oddziału i jego politruk są odpowiedzialni za moralną postawę całego oddziału i że jak tak dalej pójdzie, to wszyscy możemy znaleźć się przed *wojenno-rewolucjonnym trybunałem*. Nie mógł tego zrozumieć, bo nie musieliśmy pracować, mogliśmy cały dzień przesiedzieć w lesie przy ognisku, a brygadier i tak swoje zapisze, bo on jest odpowiedzialny za wydajność. Co tygodnia musiał wysyłać raport, ile ścięto sosny, ale ta sosna może stać do końca wojny, zanim ją stąd wywiozą. Czy *wy etowo nie ponimajetie? Kakije wy ludi...?* Jego obowiązkiem, przede wszystkim, było dopilnowanie, by podczas pracy barak był pusty. *Poniali?* Bo jak *naczalstwo* o tym się dowie...

Nie musiał nam tłumaczyć dłużej. I ani ja, ani Południak nie mogliśmy wytłumaczyć 48-miu ludziom siedzącym na swych *kojkach* jak oczadzeni — że list, który otrzymaliśmy wczoraj wieczorem od naszego Poselstwa nie znaczy, że możemy robić to, co się nam podoba; że ciągle byliśmy w Czerwonej Armii i obowiązywały nas pewne regulaminy; że jak będziemy wyprawiali takie hocki klocki, to nas sprzątną z tego lasu i nasz Poseł w Gorkim nawet nie będzie wiedział, co się z nami stało; że święta są świętami, ale sytuacja jest taka, że jak się nie opamięta-

my, to ani Bozia w niebie, ani nasza Armia pociechy z nas nie będzie miała; że ostatecznie możemy przesiedzieć cały dzień przy ognisku w lesie i może to się nam jakoś utrze, więc... *tisze jedisz, dalsze budiesz*. I w końcu zapytaliśmy się, kiedy oni zdecydowali się na taki krok i dlaczego nas wyłączyli...?

— A bo z wami nie można rozmawiać — odezwał się jeden z końca baraku. Tylko on trzymał głowę prosto i patrzył na nas wyzywająco. — Wy ciągle łacinę studiujecie... My jesteśmy katolikami i do kościoła nam, a nie do pracy kacapom... My się kacapów nie boimy, a takich jak wy... tylko powiesić... Więc idźcie sobie do lasu do ogniska, a my idziemy na śniadanie... Święta są świętami.

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Zanim wytłumaczyliśmy to wszystko naszemu sierżantowi, cała grupa już była w drodze do stołówki.

— *Paszli* — rozkazał. — *Idiom w stołowuju*.

Ledwie weszliśmy, sierżant od razu poszedł do kuchni, wydał jakieś rozporządzenie, wyszedł i głośno oświadczył nam wszystkim: — *Kto nie rabotajet, etot nie kuszajet... Zawtrak tolko na dwa czelowieka*. Zjedliśmy śniadanie i zostawiliśmy ich razem z sierżantem.

Gdy nasz brygadier to usłyszał, uśmiechnął się tajemniczo i pokiwał głową — on takie buntury już przedtem widział i wiedział, jak się kończyły. Ku naszemu zdziwieniu wciągnął nas głębiej do lasu, rozpaliliśmy ognisko i kazał nam świętować nasz... *prazdnik*. Sam ze swoją krótką ciupażką zniknął w lesie.

Nie mogliśmy rozgryźć naszego brygadiera. To nie był zwyczajny muzyk — wysoki, szczupły, sprężysty i zawsze w dobrym humorze — miał w sobie coś z wojskowego. Bardzo często w porze obiadowej odgrzewał swój *pajok*, zamrożony chleb razowy, razem z nami wdawał się w dyskusje historyczne, polsko-rosyjskie. Rozmawialiśmy z nim otwarcie. I każda dyskusja kończyła się... *niczewo, niczewo, rebiata, Polska russkoj była i russkoj budiet, tak czto nie żurities*. W latach pięćdziesiątych miejscowe kina wyświetlały filmy o tematyce amerykańskich pionierów. Nasz brygadier był zupełnie podobny do amerykańskiego Davy Crocketta — w łapciach, krótkim kożuszku i z prawdziwą sobolową czapką na głowie kręcił się żwawo i swoją ciupażką znaczył sosny do ścięcia.

Tego południa znowu przysiadł się do nas przy ognisku, do ceremonii podsmażania wodnistego, razowego chleba — kto nie jadł takiego chleba i nie popił roztopionym w kubelku śniegiem, ten nie wie, co to jest przysmak — i zaczął dopytywać się, jak właściwie obchodzono święta Bożego Narodzenia w Polsce i kto rządził Polską — kapitaliści, burżuje, wojsko czy... kościół?

W końcu, kiedy już ciemniało, powiedział nam, że zapisał nam naszą normę i ostrzegł nas, że mieliśmy... *szpiona* w naszej grupie. Poduwał go, jak przed obiadem podkładał się w lesie i obserwował nas przy ognisku. *Eto wasz czelawiek* — dodał. Gdy go nam opisał, poznaliśmy tego, który chciał nas powiesić.

Wróciliśmy do baraku. Pusty. Cała grupa była w stołówce. Oczywiście z miejsca okrzyczano nas jako komunistów. I gdy sierżant znowu powtórzył swoje, że kto nie pracuje, ten jeść nie będzie, oburzeniu nie było końca. Zjedliśmy swoje z czystym sumieniem. A sierżant oznajmił, że jak się nie uspokoją to zażąda NKWD i niech wracają do baraku i pomyślą nad tym, co narozrabiali. To poskutkowało.

Tego samego wieczora solidarność grupy już się rozleciała. Między nami dwoma i resztą wyrosła jakaś niewidzialna ściana. Ale i ona zaczęła się kruszyć. Paru z nich, ciągle nam nie dowierzając, chciało zobaczyć ten list od kpt. Litorowicza z Poselstwa. Proszę bardzo, przeczytajcie. List powędrował z ręki do ręki. I co to miało znaczyć? To znaczyło — tłumaczyliśmy — że nasza sprawa to ani tu ani tam. Naszej sprawy nie było u naszego naczelstwa ani w Poselstwie — nie znali naszych nazwisk, nie wiedzieli ilu nas jest, a my ciągle byliśmy *wojenno-obiazannyje* i mogli z nami zrobić, co się im tylko podobało. Przypomniałem im, że jeszcze w listopadzie, w Gorki, zanim nas wysłano do tego *uczastka*, kiedy zrobiliśmy sondaż w naszej sprawie w dowództwie naszego batalionu, to nam powiedzieli wyraźnie — *wy siejczas jawlajeties' bojcami Krasnoj Armii. Pol-skajaja Armija eto sowsiem drugoje dielo. Poka jeszcze, was eto nie kasajetsa. Poniali?*

Co robić? Załagodzić sprawę? Jak? Rzeczywiście, jak? Przeprosić sierżanta — zaproponował Południak — za wyrządzoną jemu krzywdę i obiecać, że nadrobimy nasze normy. Zgodzili się bez żadnych argumentów. Tego samego wieczoru Południak i ja przeprosiliśmy sierżanta w imieniu całej grupy. Przeprosiny jeszcze bardziej go uderzyły aniżeli poranna odmowa pracy. Był naprawdę zaskoczony i tylko pokręcił głową, że... *wy Poliaki to kak beremiennije ženszcziny*. Wydawało się, że był ugłaskany.

Pracowaliśmy dalej w lesie. Nasz sierżant wydawał się zadowolony, ale to już nie był ten sam człowiek. Brygadier też nie. Co prawda ciągle przesiadywał z nami przy ognisku w porze obiadowej, ale już żadnych gadek nie było i o Polsce też już nic nie wspominał. I już żadnej tolerancji nie było. Po skończonej dniówce tłumaczył nam, że jeszcze tyle a tyle metrów

zostało do odrobienia, dzięki naszej *italiańskiej zabastowce*. W rezultacie co dnia pracowaliśmy dłużej, bardziej zmęczeni i jeszcze bardziej wściekli na naszą głupotę.

W połowie stycznia 1942 roku zrozumieliśmy, że jak się nie wyrwiemy z tego *uczastka*, to ta praca i mrozy, sięgające minus 40-tu stopni, wykończą nas wszystkich. Jedyne wyjście z sytuacji to wyrwać się do Gorki, do tego Posła, przedstawić całą sprawę, podać nazwiska i niech kują żelazo póki gorące.

Ale jak wydostać się z tego obozu i dojechać do Gorki? Na pociąg pasażerski bez przepustki nie było mowy. Zadekować się w wagonie towarowym i dojechać do Gorki... zamrożonym trupem? Ale ten sam, który nas chciał powiesić, zauważył że ja i Południak mieliśmy ciągle fory u sierżanta i politruka. Myśmy też to zauważyli: być może na swój sposób byli nam za coś wdzięczni, bo jak by nie było oni też uratowali swoją skórę. Więc dlaczego tego nie wykorzystać? Ale jak?

Pewnego dnia sierżant zabrał mnie ze sobą i wyjechaliśmy po prowiant do punktu macierzystego, stacji Obchod. Po załadowaniu sierżant stwierdził, że ma kilka spraw do załatwienia, a ja w międzyczasie mogę *pogawarit' z rebiatami*, z resztą naszej grupy, która pracowała na miejscu.

Zastępcą dowódcy oddziału był Polak z Białegostoku, o ile dobrze pamiętam nazywał się Szostak; dobrze władał rosyjskim, dobrze wyglądał, facet wygadany, nonszalancki, wysoki, podobał się miejscowym Rosjankom, a przede wszystkim tym, które miały coś do czynienia z zaopatrzeniem bazy. A to było bardzo ważne. Przysiedliśmy się w małej izdebce obok kuchni i zgadaliśmy się na temat naszej sytuacji. Stwierdził, że biorąc całą sytuację pod uwagę, to siedzi jak u Pana Boga za piecem, ale kiedy skończy się robota w lesie, to wtenczas albo front, albo... *Rassija eto bolszaja strana, a Sybir toże russkaja zemlia*. To on wpadł na pomysł dlaczego nie zachorować na gruźlicę, żeby wydostać się na prześwietlenie do Gorki, a po wyjściu z pociągu bezpośrednio do Poselstwa. Parę facetów już próbowało ten zabieg, ale się nie udało. Lekarka — *wojennoj wracz* — już dała parę zleceń w tym kierunku, ale miejscowe naczalstwo — *mechlesopunkta i raboczewo bataliona* — jej nie dowierzają, twierdzą że jest za miękka i radzą dać podwójną porcję aspiryny i *na rabotu* z nimi, to ich wyleczy. Lekarka otrzymała wyraźne instrukcje; do poliklinik — w Gorkim albo Kirowie — mogą być wysłani tylko ci, którzy na to zasługują... dobrzy pracownicy. Więc — ciągnął Szostak — ty albo Południak powinniście zacząć kasłać od dzisiaj. Dlaczego my? A no dlatego, że w Obchodzie wszyscy wiedzieli o naszym strajku i nie mogli zrozumieć jak to się stało, że nam to uszło na sucho; wiedzieli też,

że ja i Południak zastrajkowaliśmy po swojemu, nie po polsku, i że w batalionie mieliśmy opinię *charoszych raboczych*. Dlaczego nie „zachorować” i nie wykorzystać sytuacji?

Rzeczywiście. Po powrocie zgadałem się z Południakiem na ten temat. Wykorzystać sytuację może tylko jeden z nas. Południak z miejsca zrzekł się przywileju. Stwierdził, że takie sztosy to nawet „wi Lwowi” nie zawsze udawały się.

Zacząłem pokastywać. Coraz częściej i natrętniej w obecności sierżanta. Sierżant był niepalący. Poradził mi, żebym przestał palić, bo od palenia machorki, obwijanej w bibułkę wycinaną z gazety *Izwestii*, to i koń by padł. Nic nie pomagało. Coraz bardziej coś mi chrapało w piersiach.

3 lutego 1942 sierżant odwiózł mnie do miejscowej *bolnicy*. Zaprowadził mnie do lekarki. A lekarka...? Szostak miał rację. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć, co ta kobieta tam robiła — wyraźna mieszanek słowiańsko-gruzińska, z wszystkimi atrybutami właściwymi kobietom tych ras; nie za dużo i nie za mało i wszystko we właściwym miejscu — doskonale wiedziała, jakie wrażenie robiła i nie bardzo kryła to, co posiadała — wystarczająco tyle, żeby nawet *dochodiaga* poczuł, że dobrze jest być mężczyzną. I niejeden wracał do oddziału cudownie wyleczony. Kręciła się po swym gabinecie w białym kitlu aż po ziemię, a kitel zapinał się tylko do pasa i za każdym razem kiedy się pochylała łaskawie się rozchylał. Zerkąłem boczkiem na te cudowności jak pies i przypominały mi się przedwojenne potańcówki w liceum. A ona badała, słuchała; oddychałem głęboko i wcale nie oddychałem, i nie mogła dosłuchać się żadnej chrapki. Wyczulem, że zorientowała się *w czom dielo*. Cofnęła się raptownie. Stała przede mną jak bogini gór Kaukazu i tak się na mnie patrzyła. W jej ciemnych oczach zauważyłem jakby iskrę złości. Aż się skurczyłem. Wszystko przepadło. Mierzyła mnie długo, z góry na dół, i lekko kiwała głową. Ale naraz jej oczy zmiękły, twarz się rozjaśniła i zabrała się do opukiwania piersi. I teraz nie miałem wątpliwości, że kobieta naprawdę chciała się czegoś dopukać. Byłem pewien, że po jej głowie kręciło się pytanie, po co właściwie do niej przyszedłem. Już miałem ochotę powiedzieć jej prawdę, ale ukąsiłem się w język, bo za prawdę niejednego powiesili. W końcu zagaiła sprawę politycznie; nie mogła dopatrzeć się poważnej choroby, ale z piersiami żartować nie wolno. Miałem szczęście — powiedziała — *kirowskaja bolnica wczera pogoreła, tak czto pajediesz w gorkowskuju kliniku... no propusk eto dielo naczalstwa*. Podziękowałem jej serdecznie.

Wyskoczyłem z jej gabinetu, zupełnie zapomniałem że jestem

„chory”, ale sierżant udał, że nie zauważył. Wziął paperek od lekarki i razem poszliśmy do naczalstwa. Czekaliśmy jakie dziesięć minut i sierżant wyszedł z... *udostowiereniem* w rękę. Dodał tylko, że pociąg odjeżdżał o szóstej wieczorem. *Nu tak — wyciągnął rękę — wsiewo charoszewo. Był' może jeszcze uwidim-sia.* (Już go więcej nie widziałem).

Pociąg przepelniony jak zwykle. Pomimo że miałem miejscówkę i byłem *wojennym*, musiałem czekać do następnego wieczoru. W ostatniej chwili dołączył do mnie rodak z innego batalionu. Miał skierowanie do kliniki na prześwietlenie od innego lekarza, z jego jednostki. Po jego oczach i twarzy uznałem, że on żadnej choroby nie symulował. Nazywał się Zygmunt Wszebrowski i od niego dowiedziałem się, że oprócz nas był jeszcze inny *raboczij batalion*, w którym też było trochę Polaków. Zanim dojechalismy do Gorki, uznałem że mogę być z nim szczerzy i wyjawić swoją misję. Ku memu wielkiemu zdziwieniu okazało się, że on nic nie wiedział o organizowaniu się Polskiej Armii w ZSSR. Coś słyszeli o *dogoworze* między Polską i ZSSR, ale o armii? Oczywiście dołączył się do mnie bez wahania. Dojechalismy do Gorki, *arzamaskiego wogzała*, około 9-tej rano i od razu poszliśmy przez most na drugą stronę rzeki Oki, na ulicę Łunaczarskiego do naszego Poselstwa.

Przyjął nas kpt. Zarudny. Przedstawiliśmy naszą sytuację jasno i bez ogródek. Nie namyślał się długo; kazał nam zrobić spis wszystkich członków naszych jednostek, dołączył pismo odręczne z pieczętką Poselstwa i wysłał nas do *oblastnowo wojenkomatu*. (Powinien ktoś kiedyś napisać rozprawę na temat ważności pieczętki w ZSSR). Po wejściu do budynku oddaliśmy papiery służbowemu w okienku i kazano nam czekać. Czekaliśmy jakie dwie godziny. Już zaczęliśmy się martwić. Wyszedł jakiś major i zawołał nas do swego biura. Kim byliśmy, gdzie byliśmy i co chciał od niego nasz Delegat? Wyjaśniłem. Wysłuchał mnie uważnie. Przeczytał listę naszych oddziałów. Wyczuł, że nie był zadowolony z faktu dokonanego, ale nie stawiał dalszych pytań. Powiedział nam, że nas obu zwalnia z naszych batalionów, uznaje jako obywateli Polskiej Republiki i żebyśmy zaczekali na zewnątrz na pismo w tej sprawie do naszego delegata. Po dziesięciu minutach wyszedł z biura jakiś sierżant, dał nam otwarty list i... *razpizis*.

Wyskoczyliśmy z tego *wojenkomatu* jako polscy obywatele. Nie da się opisać tego uczucia. Nie wytrzymał, zajrzeliśmy do koperty. Po przeczytaniu postanowiłem to przepisać i dołączyć do swego dziennika. Po drodze kupiłem *tietrad'* (szkolny zeszyt), wpadliśmy do pierwszego *restoranu* po drodze i przepisałem jak poniżej:

S.S.S.R.

N.K.O.

Gorkowskij Obłastnoj Wojennyj Komisariat.

Pierwaja Czast'.

5 fewralia 1942.

0502.

Delegatu Polskowo Posolstwa po Gorkowskoj Obłasti.

Na. W.p. 324 ot 5/2/42.

Naprawlajutsa w Wasze rozporiażenije grażdanie Polskoj Republiki —

Falkowskij Rudolf Josipowicz, 1919 god roźdjenja;

Wszeborowskij Zygmunt Adamowicz, 1918 god roźdjenja, rabotawszije na miechlesopunktie w Urenskom rajonie, gorkowskoj obłasti.

W otnoszenji naprawlenja w Wasze rozporiażenije ostalnych grażdan Polskoj Republiki, odnowremienno dajetsa rozporiażenije Uhrenskomu Rajwojenkomatu.

Naczalnik Pierwoj Czasti, Pierwowo ranga..... (Czeliszew).

Pomnacz Pierwoj Czasti, Wtorowo ranga..... (Kamienskij).

Tego samego popołudnia kpt. Zarudny dał mi przepustkę jako wojenno obiazannomu Polskoj Armii i kazał mnie wracać po resztę, przypilnować powrotu tych, których nazwiska podałem na liście, i zdać raport o tych, którzy zostali zatrzymani czy zostali z własnej woli. Gdy przyjechałem na drugi dzień rano, całe towarzystwo już czekało na odjazd. Kolega Południak zabrał ze sobą moje zawiniątko (książki i notatki). Nie mogłem doszukać się dwóch ludzi — tego, który mnie i Południaka ogłosił zdrajcami i komunistami i chciał nas powiesić w Boże Narodzenie (nazywał się Bogomilski czy Bogumirski), no i Szostaka. Więc ten pierwszy zadeklarował się jako Białorusin i nie miał zamiaru służyć „w polskiej kapitalistycznej i burżuazyjnej armii”, a Szostak...? Prawdziwa niespodzianka — w ostatniej chwili niby dostał jakiegoś szatu, potłukł parę ludzi, powybijał okna w baraku i pono znieważył jakąś kobietę. NKWD aresztowało go na miejscu. Gdy go wyprowadzano, zaczął płakać i prosił, żeby o nim nie zapomnieć, bo sami widzieli, że nie mógł wracać razem z nami. Później dowiedziałem się, że ten „Białorusin” wcale nim nie był, a Szostak pono po wkroczeniu Czerwonej Armii we wrześniu 1939 miał na sumieniu parę spraw tyczących się Polaków. Wywnioskowaliśmy, że obaj bali się... Polskiej Armii; obaj musieli, w jakiś sposób, upozorować swe decyzje.

Dowództwo naszej grupy objął nowy sierżant, zawiózł nas od uhrenskowo rajwojenkomatu i po przybyciu na miejsce puścił nas luzem — kto był głodny i chciałby zjeść goraczkoj piszczi, to

niech jej szuka po domach na własne konto — powrót na jedenastą przed południem. Kolega Południak i ja trafiliśmy na dom, który po wejściu wydał się nam trochę lepszy od innych. Gospodyni, młoda kobieta, ubrana dość schludnie, dała nam gorącej zupy kartoflanej. Kiedy wcinaliśmy zawzięcie i mlaskali, wszedł kapitan NKWD. Zerwaliśmy się na nogi wedle regulaminu. Machnął ręką i powiedział: *niczerwo, niczerwo... sadietie... kuszajtie*, a po chwili wyszedł z kuchni z talerzykiem z pokrajanym białym chlebem i podsunął... prawdziwe masło. I tak po raz pierwszy i ostatni jedliśmy masło w ZSSR. Po powrocie zaprowadzono nas do jakiejś dużej sali, chyba to była sala gimnastyczna, i tutaj, w obecności tego samego kapitana NKWD, zostaliśmy poddani weryfikacji. Tutaj zastaliśmy inną grupę Polaków. Wywoływano nas alfabetycznie. Ukraińców, Białorusinów i Żydów z naszej grupy — natychmiast odłączano. Nie mogliśmy tego zrozumieć, bo jak by nie było, to byli obywatele Polski, ale... Z naszej grupy odłączono tylko dwóch Polaków, z Leningradu, urodzonych w ZSSR. Jeden z nich jak już wspomniałem nazywał się Białokarpowicz. Ten to po prostu płakał. Nic nie pomogło.

Po skończonej weryfikacji ten sam sierżant odwiózł nas do Gorki, do naszego Delegata. Kpt. Zarudny musiał się „rozpisać” za każdego człowieka.

Stąd, ze względu na transport, odprawiono nas małymi grupami do sztabu naszej armii we Wrewskoj, rejonu Taszkient. Mnie wysłano z grupą trzydziestu ludzi. Na dworcu kolejowym (arzamaski), trafiliśmy na drugą grupę pod dowództwem por. Szymborskiego i razem, szturmem, musieliśmy zdobywać miejsca w towarowych wagonach. Jednak nie dojechalśmy do miejsca przeznaczenia. Zatrzymano nas w Kujbyszewie. Tutaj znowu zaczęło się tasowanie. Zainteresowano się nami — szczególnie nami młodymi, byłymi żołnierzami Czerwonej Armii, ciągle w wojskowych mundurach — i jakich dwudziestu z naszej grupy zaproszono do Ambasady. Między nimi nie byłem, bo por. Szymborski zabrał mnie ze sobą w poszukiwaniu Grand Hotelu. Pono jego ojciec opowiadał mu, że to był jeden z najwspanialszych hoteli w tej części Rosji, czyli w Samarze. Znaleźliśmy, ciągle był okazały, ale wstęp do hotelowej restauracji mieli tylko *inostrancy*, a szczególnie personel wszystkich ambasad w Kujbyszewie. Porucznik postanowił otrzymać specjalną *rozpiszkę* z naszej Ambasady i wybrać się tam wieczorem.

Wróciliśmy do Ambasady. Jeden z „zaproszonych” kolegów powiedział mi, że zostali poddani raczej nieprzyjemnej indagacji na temat ich pobytu w Czerwonej Armii — jak i kiedy zostali zmobilizowani, czy byli między nimi ochotnicy, a jeśli byli, to jak

się nazywali, i wiele innych pytań dotyczących się ich rodziców i ich politycznych afiliacji. Dwóch oficerów twierdziło, że to była po prostu rutyna. Nie mniej jednak kolega odniósł wrażenie, że im nie dowierzali i jakby w ogóle nie wiedzieli, że tysiące Polaków było zmobilizowanych do Czerwonej Armii jesienią 1940 i wiosną 1941 roku. Nie zwróciłem na to większej uwagi, bo już ciemniało, ja byłem głodny i w perspektywie była kolacja w *gostinicy dla inostrancew* z porucznikiem.

Wybraliśmy się. Z daleka zauważyliśmy trzech milicjantów przy wejściu. W ogóle milicjantów było pełno wszędzie. Ulice puste, a milicjant na skrzyżowaniu kierował ruchem. Porucznik wszedł bez kłopotów, a ja jeszcze nie doszedłem do drzwi jak poczułem ciężkie łapska na ramionach... *a ty kuda?* Nie pomogła moja *bumażka*, dopiero jak porucznik cofnął się i zareagował ostro... ręce milicjanta opadły. To mi zrobiło cholerną przyjemność — nareszcie nas respektują.

Wnętrze restauracji mnie olśniło — dosłownie. W takiej restauracji jeszcze nie byłem. Kandelabry i elegancja na każdym kroku, włącznie z dość liczną klientelą. Poczułem się nieswojo. Ale porucznik Szymborski okazał się bywalcem. „Trzymajmy fason”, szepnął. „Nie wypadliśmy srokom spod ogona”. A kelnerki? Niech się Hollywood schowa. Takich kelnerek też już potem nigdy nie widziałem. Z miejsca zaopiekowały się nami. Porucznik, w ledwie trzymającym się kupy mundurze oficerskim, i ja jak aresztant, w gimnastiorce i w *sapagach* *ruskowo* *soldata*? Musieliśmy zrobić na kelnerkach jakieś wrażenie. Do dzisiejszego dnia nie wiem, czy to była nasza bieda w kontraście z otaczającym nas eleganckim światem, czy może fakt, że były na usługach NKWD. Że były, co do tego nie było żadnej wątpliwości, ale co myśmy mieli do zdradzenia? To wtedy zrozumiałem, co znaczyły słowa... *nieżnost' russkoj zenszcziny*.

Podczas kolacji Szymborski zahaczył o ten *dopros* mych kolegów w Ambasadzie. Radził ostrożność. Byłem zdziwiony, przecież byliśmy Polakami, między swoimi. „Właśnie o to chodzi”, powiedział, „że jesteśmy między swoimi”. Wtedy przypomniało mi się ostrzeżenie Ojca, gdy ruszałem w świat — bądź ostrożny, a szczególnie z naszymi rodakami. Porucznik wytłumaczył mi dokładnie genezę konfliktu Sikorski *versus* Piłsudski; kim i czym byli ludzie, którymi do tej pory się otaczał, i kim był na przykład jego ekscelencja ambasador Kot. Nic wyraźnego nie powiedział; nikogo o nic nie posądził; wszyscy byli „dobrzy” Polacy, ale wszystko zrozumiałem... politycznie. To była moja pierwsza lekcja języka dyplomatycznego — jak wiele można powiedzieć, nic nie mówiąc. Nie wiem, kim był naprawdę pan

Szymborski, ale pamiętam go do dzisiaj. Są ludzie, którzy nawet z workiem na głowie mają swoją klasę.

Na drugi dzień rano cały transport ruszył w kierunku na Taszkient. W Taszkientie posegregowano nas znowu i rozesłano grupami we właściwym kierunku. Na drugi dzień rano przybyliśmy do Kermine — mała miejscina, jakby wciśnięta między linię kolejową na odcinku Samarkanda-Buchara i rzekę Syr Daria. W Kerminie, oprócz innych jednostek Polskiej Armii, znajdował się też ewakuacyjny punkt zborny lotnictwa.

W Kerminie przeharowaliśmy prawie półtora miesiąca i przeżyliśmy dwie kwarantanny tyfusu. W końcu, po ostatniej kwarantannie, w nocy 2 marca 1942, załadowano nas do pociągu, kierunek... Krasnowodsk. Dopiero w brzasku wschodzącego słońca nad piaskami pustyni Kara-Kum zauważyliśmy, że cały nasz transport kolejowy składa się z pulmanów P.K.P., włącznie z emaliowanymi etykietkami ostrzegawczymi... nie wychylać się... *nicht hinauslehnen* i *ne penchez pas*. Rosjaninom nigdy nie brakowało wisielczego humoru, więc być może ktoś zdecydował się zrobić nam przyjemność na pożegnanie i dwuznacznie przypomnieć, że *Polsza ruszkiej była i budiet*.

Dojeżdżając do Krasnowodska zauważyliśmy, i to dość blisko linii kolejowej, grupki ludzi w wydłużonych szeregach, posuwających się powoli do przodu, z nogami ledwo sunącymi po piasku i piaszczysty pył unoszący się za nimi. Konwojenci, którzy szli za nimi, różnili się od swych „podopiecznych” chyba tylko tym, że byli bardziej wyprostowani i *wintowki* były znakiem ich władzy.

„No — usłyszałem głośny komentarz w wagonie — ci to są już prawdziwe *dochodiagi*”. Rzeczywiście. Przypomnieli mi się wierszyk poety A.K. Tołstoja, *Kołodniki* (Katorżnicy...?):

*Spuskajetsa sołnce za stiepi,
Wdali zołotitsa kowyl',
Kołodnikow zwonkije cepi
Wzmietajut dorożnuju pyl'*

Wystarczyło zmienić „słońce opada”, na „słońce się wznosi” i *kowyl'* na piasek i nic się nie zmieniło w Rosji — tak jak było za życia poety, tak samo było do ostatnich paru lat.

Z Krasnowodska *via* Persja, Indie, Południowa Afryka, Sierra-Leone, 6-tego czerwca dopłynęliśmy do Liverpoolu i z Liverpoolu pociągiem do małej miejscowości w Szkocji, Cowdenbeath, niedaleko od Auchtertool i Falkirk. Tutaj, prawie w przeciągu pierwszych dwóch tygodni po przybyciu, zaczęła się inna

„tragedia” byłych żołnierzy Czerwonej Armii. I tutaj się nie skończyła — przybrała wymiary, których ani ja ani moi koledzy nigdy się nie spodziewaliśmy. Wyprzedzając trochę całą sprawę, idiotyczna i ohydna szarada (do której tylko pewna grupa Polaków spod znaku Bóg, Honor i Ojczyzna była i ciągle jest zdolna) zwichnęła nasz stosunek do naszego „wodza” i jego otoczenia, prawie od pierwszych dni przybycia do Anglii. Niektórzy z nas „położyli wała” na nich, gdy się zorientowali skąd wiatr wieje, bo dla nich to nie była pierwszozna — „taka sama endecja jak przed wojną”. Niemniej jednak większość naszej grupy odczuła to bardzo głęboko i sprawa ta zostawiła ślad do dnia dzisiejszego.

Więc żeby nie było nieporozumień, stawiam sprawę jasno i otwarcie biorę odpowiedzialność za każde słowo — ja i moja grupa z którą byłem w ZSSR, w Czerwonej Armii, żadnej tragedii (mówiąc w ścisłym tego słowa znaczeniu) tam nie przeżyła; przeżyliśmy swoją cichą tragedię po przybyciu do jednostek Polskiej Armii w Anglii. Dowody, w zarysie:

Nasz dywizjon „Kermine” (od nazwy miejsca formacji), przybył na miejsce jak powyżej. Zostaliśmy zakwaterowani w starym, nie funkcjonującym browarze. Nie wiem dokładnie, ilu nas było razem, ale z grubsza ocenię na jakich trzystu ludzi. Podzieliliśmy ją na trzy wyraźne grupy — pierwsza, piloci różnych stopni i obsługa ziemna czasu służby przedwojennej; druga, byli żołnierze Czerwonej Armii, około trzydziestu ludzi, jako tako związanych z lotnictwem przed wojną. (Osobiście miałem za sobą kurs szybowcowy i lotniczo-motorowy, przy Klubie Lotniczym — 6 pułk lotniczy we Lwowie — mam na to dowody, i zweryfikowany zostałem przez oficera tego pułku w Kerminie). Trzecia grupa, „starsi” ochotnicy do lotnictwa (żadnego z nich później nie widzieliśmy w personelu latającym), przeważnie oficerowie piechoty w wieku do czterdziestu lat mniej więcej. Wszyscy pchali się do Anglii *po błatu*, jak żartowaliśmy.

Po przybyciu na miejsce bardzo się nami interesowano, fetowano, „dopytywano” i obserwowano — czołówka teatralna z paniami Majewską i Grelichowską, Wesoła Fala z miejscowymi Tonkami i Szczepkami; mówiąc krótko... uciechy co nie miara.

22-go czerwca 1942 odwiedził nas Prezydent Raczkiewicz. Przyjechał w limuzynie, bez fanfary i wielkiej asysty. Rozmawiał z nami jak ojciec z synami. Każdemu podał rękę. Dopytywał się każdego o przeżycia i skąd pochodziliśmy — wysoki, elegancki pan, arystokrata w każdym calu, wyglądał tak jak prezydent państwa powinien wyglądać — jak cię widzą, tak cię piszą. Na pożegnanie zwrócił się do towarzyszącego mu gen. Głuchowskie-

go i powiedział: „Każdy z nich mógłby opowiedzieć niejedną ciekawą historię”. Miał rację.

Euforia stopniowo opadała. Zjawili się „handlarze żywym towarem” — przedstawiciele różnych broni, i każdy z nich zachwalał swój kram — piechota, artyleria, marynarka wojenna, spadochroniarze i broń pancerna. Oficerów było do cholery i trochę, ale nie było żołnierzy. Trochę kupili, ale około 20-tu z naszej grupy uparło się — my chcieliśmy do lotnictwa.

Po paru dniach zauważyliśmy, że byliśmy jakby izolowani od reszty. Pojawiło się dwóch młodych podporuczników, „oświatowi”. Bardzo mili panowie. Żartowali z nami, opowiadali różne kawały na temat naszych żołnierzy i Szkotek i od czasu do czasu częstowali nas papierosami. Częste pogadanki poruszały historię jednostek naszej armii, które walczyły we Francji, ich ewakuacji i w związku z tym podkreślano zasługi gen. Sikorskiego. Oczywiście nie zapomnieli o lotnikach i ich udziale w *Battle of Britain*, i o famie jaką sobie zrobili; i o tym, jak wielu cudzoziemców pchało się do Dywizjonu 303 i że ciągle się pchali „... jak na przykład, ostatnio przybywa do nas wielu młodych Polaków z Rosji... Wielu z nich służyło OCHOTNICZO w Czerwonej Armii, więc jasne, że w naszym lotnictwie służyć nie mogą...”.

6-tego lipca 1942 nasz oddział „upartych” podzielono na dwie grupy. Naszej grupie kazano zabrać ekwipunek. „Jedziemy w odwiedziny naszego wojskowego szpitala niedaleko stąd”. Jeśli w odwiedziny, to po co ekwipunek ze sobą? Milczeliśmy. Przyjechaliśmy na miejsce. Szpital w pięknym pałacu, otoczonym równie pięknym parkiem. Wyładowaliśmy nasz ekwipunek przed pałacem, ciężarówka odjechała na bok, oświatowy nas zostawił i bez słowa poszedł do budynku. Zerknęliśmy po oknach, prawie w każdym z nich świeciły się ciekawskie oczy. Obok nas obserwował nas szofer, kapral. Zerknąłem na niego i instynktownie wyczułem podolską, bratnią duszę. Nie omyliłem się. „Józko” ze Lwowa jakich mało na świecie: „OK, tylko cicho sza — przyłożył palec do ust — ten oświatowy dwójkarz... Ostatnio nie mają nic do roboty, więc znaleźli sobie zajęcie... Zrobili was na czerwono... W waszym miejscu postoju jest komisja lekarska i dlatego was zabrali... Jak wrócicie, to już jej nie będzie... Macie tylko jedno wyjście, za parę dni przyjeżdża Sikorski... Stawajcie do osobistego raportu... Tylko ani słowa o tym oświatowemu, bo was nie dopuszczą... Nu to trzymaj się”.

Trzymaj się? Kogo i czego? Nie muszę tutaj mówić, co się w nas działo. Przedyskutowaliśmy sprawę po cichu. To nie były żarty. Sprawa poważna. Zrobili nas komunistami, ochotnikami Czerwonej Armii. Ale kto i dlaczego nas oskarżył? Domyślałiś-

my się, że albo ktoś z naszych współpasażerów na statku, z którymi dyskutowaliśmy sprawy endecji, albo może to już szło za nami od Kujbyszewa. Najprawdopodobniejsza była ta ostatnia możliwość. Więc jeśli my byliśmy ochotnikami do Czerwonej Armii, to kim była reszta? Było nas tysiące. Wszyscy ochotnicy?

Ten kapral miał rację, zdecydowaliśmy, stajemy do raportu. On podpisał pakt ze Stalinem, on tam był, on to widział na własne oczy — nie mogliśmy uwierzyć, żeby nie wiedział o mobilizacji tysięcy młodych Polaków do Czerwonej Armii. Od czego byli gorliwi „dwójkarze”?

Wizyta gen. Sikorskiego. Stoimy wyciągnięci w długim szeregu. Czekamy. Nasza grupa lekko na uboczu. Tak nas postawili i tak nam kazano stać. Nadjechała jedna limuzyna, druga, trzecia... Od razu rzucił się nam w oczy kontrast między wizytą głowy państwa i jego „podwładnego”. Tamten, pan, przyjechał prawie sam, a tutaj cała karawana — wyskoczyli adiutanci, asystenci, dziennikarze, kilku generałów, kilku pułkowników i w końcu, jakby po namyśle, kiedy reszta stała i czekała, wysiadł... Wódz Naczelny. Od razu przystąpił do lustracji szeregów — napięty, surowy, oblicze marsowe, krok po kroku, świdrował żołnierskie oczy, w końcu cofnął się i palnął krótkie, „żołnierskie” przemówienie. Większość z tego co powiedział już przedtem słyszeliśmy, ale tym razem powiedział coś więcej — podkreślił swoje zasługi; „Przeforsowałem całą sprawę... Podpisałem pakt na swoją rękę i odpowiedzialność...”.

Hurrraaa... Niech żyje wódz! Zmiękł. Podszedł znowu do szeregu, z twarzą rozjaśnioną, pytał, wypytywał (ale wyraźnie omijał pytania, które spodziewaliśmy się usłyszeć), przyglądał się nam niby orzeł orlątkom w gnieździe, a jednak w całej postaci, w obliczu tego człowieka brakowało czegoś, co zwykle żołnierz spodziewa się zobaczyć w oczach swego wodza. W oczach swego wodza nie widziałem tego, co zauważyłem np. u marszałka Timoszenki i co widzieli żołnierze 2-go Korpusu w oczach gen. Andersa. Tutaj widziało się wyraźnie autorytet służbowy, władzę z mandatu. W obliczu „wodza” nie widzieliśmy tego, co zauważyliśmy w twarzy Prezydenta — chwytliwą bezpośredniość człowieka, z którym można by uciąć pogawędkę przy szklance piwa jak ze starym znajomym. (Później zauważyliśmy te same cechy u króla Jerzego VI, kiedy wizytował dywizjony).

Pomimo tego po takim spotkaniu poczuliśmy się podniesieni na duchu — nasza sprawa „ochotniczej służby w Armii Czerwonej” — będzie załatwiona, jeśli uda nam się stanąć do raportu. Nie czekaliśmy długo. Wódz znowu cofnął się do tyłu,

szeptał coś jednemu ze swych adiutantów, adiutant szeptał to samo dowódcy całego oddziału i usłyszeliśmy: „Wszyscy, którzy mają osobiste żądania, wystąpić trzy kroki do przodu”.

Kilkudziesięciu ludzi wystąpiło do przodu. Nie będę opisywał zdziwienia, graniczącego z popłochem, na niektórych twarzach. Śmiem twierdzić, że Wódz sam się tego nie spodziewał — może kilku osób, ale nie całego oddziału. Zawahał się i po namyśle, w towarzystwie czujnego generała przy boku, podszedł do szeregu z drugiego końca. Nie wiem o co pytał, ale usłyszałem głos kolegi: „my byliśmy przeznaczeni do lotnictwa, a tutaj...”. Przerwał. Nie pozwolił dokończyć zdania. Cofnął się znowu i oznajmił spokojnie i donośnie: „Ci, którzy służyli ochotniczo w Czerwonej Armii, w lotnictwie służyć nie mogą...”.

Staliśmy jak wryci — my i jego otoczenie. Cisza. Po chwili jakby się rozmyślił i dodał: „Nikt was nie oskarża”. Zwrócił się do generała i powiedział: „Panie generale, proszę sprawę załatwić. Koniec. Po raporcie”. (Później dowiedzieliśmy się, że ten generał nazywał się... Klimecki).

Wódz odjechał, a nas zostawiono samych, jak trędownych z którymi nie było wiadomo co robić. Kiedy trochę ochłonęliśmy i zaczęliśmy dyskutować całą sprawę, nie mogliśmy uwierzyć, że Naczelnny Wódz miał tak ograniczone wiadomości o tysiącach Polaków. Stało się jasne, że był już poinformowany w naszej sprawie, ale jak w jego mózgu nie mogła powstać wątpliwość, jakie były dowody, kiedy nikt nas nie oskarżał? W naszym mniemaniu popełnił wielki błąd jako Wódz — nie wysłuchał nas. Zdradził się jak pierwszy lepszy podporuczniczyna z jakiegoś pułku piechoty. Wtedy przypominałem sobie swoją rozmowę z por. Szyborskim w Kujbyszewie i zrozumieliśmy konflikt między Piłsudskim i Sikorskim. Zastanawialiśmy się, jak by Marszałek Piłsudski postąpił na jego miejscu? Na pewno by nas obrzął, na wszelki wypadek, ale by nas wysłuchał. „Bo Marszałek — jak mi dużo później powiedział pewien starszy sierżant — to był taki facet, który jedną ręką trzymał żołnierza za serce, a drugą za mordę... Sikorski nie potrafił ani jednego, ani drugiego... Kiedyś przekonacie się, ilu wrogów ten człowiek ma w tym swoim, wybranym wojsku...”.

(W tej chwili przypominałem sobie Adama Pragiera, jednego z członków Rady Narodowej w Londynie. W swoim *opus magnus* „Czas dokonany” wspomina — cytując z pamięci — jak pewnego razu Sikorski, nie mogąc utrzymać w ryzach swej Rady, zagroził jej członkom „majem 1926”. Pragier miał odpowiedzieć: ...Nie ma obawy, Piłsudski był Piłsudskim, a pan jest tylko generałem. Pragierowi też tego nie przebaczone).

15 lipca 1942 zebrano naszą grupę i powiedziano nam, że to już koniec zabawy — chcemy czy nie chcemy, podoba się to nam czy nie, będziemy służyć w armii niemieckiej. A jeśli nie chcemy, no to na to też się rada znajdzie. Tu jest wojsko. Podzielono nas *ad hoc* po czterech czy pięciu ludzi i wyznaczono do różnych jednostek. Ciężarówki już czekały na nas. Mnie i trzech kolegów z grupy przydzielono do 14-tego pułku Ułanów Jazłowieckich „zmotoryzowanych”, stacjonujących w Galashiels.

Dowódca naszego szwadronu, rtm. Szajowski — jeden z najświatlejszych oficerów Armii Polskiej, jakich poznałem w Anglii, w stosunku do nas przynajmniej — który już był dobrze poinformowany, „kim i czym byliśmy”, okazał się mieć własne zdanie na ten temat. (Później dowiedzieliśmy się, że on też przeszedł przez magiel niejakiego gen. Modelskiego). Po paru dniach zwołał nas do biura i postawił sprawę jasno, otwarcie i radykalnie. Każdy z nas dał mu nasze dane osobiste, datę urodzenia, wykształcenie, stan rodzinny, pozycję naszych ojców w stosunku do państwa, jak wyglądało życie pod okupacją sowiecką, a szczególnie jak wyglądała mobilizacja i ilu, naszym zdaniem, było ludzi zmobilizowanych. Danych dokładnych nie mieliśmy, ale od początku maja 1941 transporty odchodziły jeden za drugim i pod koniec powiedzieliśmy, że naprawdę nie rozumieliśmy, o co chodziło. Odpowiedział, że wielu rzeczy jeszcze nie rozumiemy, „ale musicie zrozumieć jedną rzecz, że jeśli naprawdę byliście ochotnikami do Czerwonej Armii i jesteście zabarwieni na 'czerwono', to ja też was nie chcę w moim szwadronie. Rozumiecie?” Zrozumieliśmy. Ale podobne oskarżenia są plamą na honorze żołnierza, i jako tacy mamy prawo bronić własnego honoru. Wojsko to nie pospolite ruszenie, gdzie to kupą mości panowie wszyscy na jednego — tu obowiązują Kodeksy. Wojskowe i trybunały. Każdy z was powinien złożyć podanie do Naczelnego Dowództwa w Londynie, nie z prośbą, ale z żądaniem wyjaśnienia sprawy, dowodów i powołania do odpowiedzialności naszych oskarżycieli. Przeżyliśmy dość, żeby mieć odwagę użyć wszystkich przysługujących nam środków legalnych do załatwienia sprawy raz na zawsze. Po sformułowaniu naszych podań przez oficera oświatowego, kosygnował je swym nazwiskiem.

Odpowiedzi nigdy nie otrzymaliśmy, ale 15-sierpnia 1942 nasz dowódca otrzymał rozkaz odesłania nas do Ośrodka Lotniczego w Blackpoolu. Na pożegnanie powiedział nam, że ten akt może, ale nie musi być uznany za załatwienie sprawy i uznanie, iż zostaliśmy niewinnie posądzeni. Dopóki oskarżyciel jest nieznanym i nie mamy czarno na białym stwierdzenia, że sprawa zosta-

ła definitywnie załatwiona, to pozostanie to w naszych *dossier* i jeśli przeżyjemy i wrócimy do Polski, to wtenczas mogą się o nas znowu... upomnieć. I czy zaczynamy rozumieć niektóre rzeczy? To też zrozumieliśmy.

(Za kilka miesięcy minie pół wieku od tamtego czasu. Mam nadzieję, że ten człowiek jeszcze żyje. Ale żyje czy nie żyje, kiedykolwiek o Nim pomyślę zawsze mu salutuję).

26-tego sierpnia 1942 już byliśmy po badaniach lekarskich w Blackpoolu. Z naszej czwórki tylko nas dwóch uznano za zdolnych do służby w powietrzu. Tutaj też spotkaliśmy resztę z naszej grupy „upartych”. Śmiem twierdzić, że to nasze podania spowodowały ich powrót do lotnictwa, bo żaden z nich żadnego podania nie składał.

Zdaję sobie sprawę z faktu, że zamiast „listu” napisałem — od ręki i od serca — małą rozprawę, niemalże krótką historię osobistych porachunków z własnym sumieniem. Artykuł pana Sulka otworzył osobistą puszkę Pandory. Puściłem luzem swoją *stream of consciousness*. Czekałem równo pół wieku, żeby pokazać jak pewne rodzime systemy polityczne kaleczą ludzi. Pięćdziesiąt lat tylko zaleczyło chorobę. Zdziwiłem siebie samego. Wystarczyło ją poskrobać i wyskoczyła jak egzema. A myślałem, że wszystko już dawno zapomniałem.

Przyznam się, że po napisaniu tych 50-ciu stron i po ich przeczytaniu chciałem połowę wykreślić, a resztę wyrzucić. I może powinienem był to zrobić, ale doszedłem do wniosku, że Redaktor *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*, który niejedną rzecz już wrzucił do kosza, ma większą wprawę w odróżnianiu ziarna od plewy. Uważam, że poniekąd jest to Jego obowiązkiem, bo chciał czy nie chciał, dążył do tego celowo czy też nie — a tylko fakty się liczą — stał się swego rodzaju mentorem i człowiekiem zmiennych sezonów wielu emigrantów, nawet tych, którym „polityka Giedroycia” absolutnie się nie podobala.

Łączę wyrazy szacunku

28/V/92

Rudolf S. FALKOWSKI

Z MARSZAŁKIEM ŚMIGŁYM

WSPOMNIENIA (dok.)

Piątek, 9. VIII. Dzień piękny, słoneczny. Przed południem był p. dyr. Coteleanu, którego ppor. G. nie wpuścił, nie komunikując mi nawet, bym mógł się z P.C. rozmówić. Ten ostatni zwrócił się do mjr. Roseanu — odmówiono mu. Rozmawiałem na ten temat z ppor. G., poruszyłem sprawę bezpieczeństwa (telefon, wyniki analizy krwi na bagnecie). Powiedział, że nie mamy prawa być u pani Georgescu.

Szczapa musiał się przeprowadzić, podał nowy adres.

Sobota, 10. VIII. Wstałem o godz. 6.30, a wyjechałem do Campulungu o 7.30. Wpadłem na Henia Cianciarę, któremu przywiozłem pocztę. Powiedział mi, że staruszkę matkę jego usuwają z kamienicy, że p. Felicjan Młynarski miał interweniować w jego sprawie. I ja dostałem listy, które przywiozła p. Lisica (?). Najważniejsze, że nawiązał kontakt i łączność ze Zwi-rem i spodziewa się odpowiedzi. Wspomina o żądaniach prezydenta Raczkiewicza, po osiągnięciu Anglii, odnośnie usunięcia Kota i Strasburgera (?), którym to żądaniom sprzeciwia się Sikorski. Zastępcą premiera i NW został mianowany szef Sosnkowski. W rządzie nic się nie zmieniło — Kot rządzi jak dyktator i nawzajem się żrą. Poza tym sygnalizuje przyjazd Tadeusza i jego usługi na nowej placówce, przy czym proponuje powstanie placówki na terenie Turcji oraz zajęcie się moralne i materialne naszymi we Francji i Szwajcarii. Dostałem też list od Tadeusza (?). Oto Francuzi zatrzymali nasze złoto dla rozliczenia się tak z rządem jak z poszczególnymi obywatelami. Ponoć Anglicy na obecny rząd patrzą niechętnym okiem. Na miejscu w Bukareszcie nic się nie zmieniło — rządzą po dawnemu: Aleksandrowicz, Kuśniarz i Poniński. Rumuni zażądali natychmiastowo wyjazdu płk. Zakrzewskiego na 3-4-miesięczny urlop, a jako powód — fałszywe paszporty i działalność polityczna prosowiecka. Szczapa wspomina inspiracje niemieckie, że Sikorski miał zaproponować stworzenie armii polskiej pod okupacją rosyjską do 300.000 żołnierzy (?).

Tadeusz dołączył mi wycinek z listu jego Pani: „Rozmowy z naszymi żołnierzami w porcie były wprost tragiczne. Często słyszało się, że gdyby zjawił się Marszałek, całowano by Mu bu-

ty. Rozgoryczenie i rozżalenie ich jest słuszne. To cośmy przeżyli we wrześniu było niczym w porównaniu do tego, co przeżywało nasze wojsko tutaj”.

Pan otrzymał dzisiaj długi list od Franciszka Banacha. Bof. 20 Str. W. Brooklyn, NY USA. „Panie Marszałku! Włochy wydały wojnę Francji i Anglii. Mam nadzieję, że Pan Marszałek będzie komenderował armią polską i wywalczy wielkość Polski. Zorganizowałem komitet pomocy dla jeńców wojennych i wysyłam pieniądze do internowanych żołnierzy. Niemiec 12 mil od Paryża — polskie wojsko broni Paryża. Czekam na rozkaz. Alianci zwyciężą i wybudujemy wielką i potężną Rzeczpospolitą Polską. W następnym liście więcej napiszę. Jeszcze Polska nie zginęła, niech żyje Marszałek Śmigły Rydz! Z żołnierskim pozdrowieniem, Franciszek Banach”.

Niedziela, 11. VIII. Rano przyjechał ks. Zapala, Henio C. i Romuald. Po obiedzie przyszedł fonogram z podpisem mjr. Roseanu, że ksiądz i towarzyszący mu ministranci mają natychmiast po nabożeństwie wracać. Nie chcąc narażać por. G. na przykrości, goście nasi musieli odjechać.

W dalszym ciągu nie mamy baterii i radio nie funkcjonuje. Wieczorem byłem na chwilę u p. Vasiliu i ona proponowała mi załatwić sprawę w stolicy, żeby Ci przesłać trochę pieniędzy. Jakże chciałbym to uczynić, ale niestety sam jestem teraz bez pieniędzy, a nawet Kutnikowi winien jestem 250 lei. Ale jak tylko wypłacą, to zaraz skorzystam z pośrednictwa p. V.

Jak z listu Sławeńki wynika, koresponduje, i to nawet telefonicznie, z Londynem, a więc pogłębia zasięg swojej korespondencji. Jeśli chodzi o wiadomości ostatnie, to pomyślne. Grunt, że i Julek ma stamtąd sporo wiadomości.

No, nareszcie i Kutnikowi udało się złapać dwa pstrągi i jest z tego powodu bardzo dumny. To wyjątkowo sympatyczne chłopisko i wielki nasz przyjaciel. Tomirowie Dr. twardo stoją przy Becku i jedyną ich myślą jest to, by ustawić go na miejscu prezydenta Raczkiewicza, a to przecież trzeba być niespełna rozumem, by teraz właśnie postawić sobie to za cel. Po prostu śmieszne! No, ale trudno im to wyperswadować. Jeżeli chodzi o Becka, to na zwrócone przez Pana do niego pytania przysłał rzeczowe odpowiedzi w bardzo przyzwoitym tonie. Warunki jego obecnego bytowania są zupełnie zbliżone do naszych.

Niektóre portrety i obrazy namalowane przez Pana dotarły do Kanady. Mamy wiadomości — drogą pośrednią — że Bartczak dotarł do Warszawy, ale że leży chory, ma nerwicę żołądka. Feliks i Roma z niecierpliwością oczekują pozwolenia na wyjazd. Grzesiak siedzi w Campulungu i ciągle nie wie, co ze sobą zrobić.

W międzyczasie Julek P. w Budapeszcie organizuje robotę i przerzut Pana i tow.

A teraz chyba całość listu, którego fragmenty podawałem: „... po tym przyszło ładowanie się naszych na statki. Było to chyba najgorsze z tego, cośmy tutaj przeżyli. Dokąd odpływały, nikt nie wiedział, a pchało się na nie wszystko co żyło, niewiasty z dziećmi, wojsko, moc Żydów, a także ładowano rannych. Był ciągły napływ nowych ludzi. Miejsce na statkach zdobywano siłą. Naprężenie nerwowe ogromne, z godziny na godzinę, powiększane obawą przed nalotami i bombardowaniem. Na oczach naszych rozgrywało się tyle dramatów i tragedii, że aż dziw, że serce nie pękło z żalu i wściekłości. Parę kobiet dostało pomieszania zmysłów i wrzeszczały w niebogłosy. Jedną z nich, żonę naszego lotnika, wzięliśmy na swe barki, bo przecież ktoś musiał się zaopiekować tymi nieszczęsnymi. Liczyliśmy, że jej to przejdzie, niestety, trzeba ją było umieścić potem w szpitalu. Jej nieszczęsne dzieci wzięła p. K. Rozmowy z naszymi żołnierzami w porcie były czasem wprost tragiczne. Często się od nich słyszało, że gdyby zjawił się Marszałek, całowano by mu buty. Rozgoryczenie i rozżalenie ich słuszne. To cośmy przeżyli we wrześniu było niczym w porównaniu z tym, co przeżyło nasze wojsko tutaj...”

Straszne są te wszystkie historie i wiadomości, które do nas dochodzą, ale jeszcze tragiczniejsze przyjdą w przyszłości. Sikorski w przemówieniu swoim do Rady Narodowej zakłamywał się w dalszym ciągu. A można sobie wyobrazić, w jakich warunkach znajdują się strzępy naszych oddziałów, które wróciły z Norwegii, co do których on nie mógł udzielić żadnych wiadomości; co do tych, którzy są w Szwajcarii, to od czasu do czasu jakiś przedruk prasa nasza umieści; wiadomo tylko, że panuje tam wśród nich wzorowa dyscyplina, że nie grozi im to, czemu uległy oddziały francuskie, co zresztą poważnie ponoć zagraża na terenach nieokupowanych.

„Obawiam się, że przyjdzie mi raz jeszcze — tym razem tu na ziemi francuskiej — przeżyć to, co przeżywałem w młodości na Ukrainie (1917-1919)” (dotyczy wyżej wspomnianego listu).

Nie wiem czy u Was na Węgrzech chodzą jakieś pogłoski. Tu uporczywie mówią, że jest nawet ultimatum, jakie bolszewicy mieli postawić, żądając od Niemiec granic z 1914 r. — byłaby to tragedia!

Pani Georgescu, której lumbago dokucza, wybiera się na kurację. Bardzo byłoby nam to nie na rękę ze względu na naukę języka francuskiego. Ale może i nie wyjedzie, bo obawia się, czy w międzyczasie nie wyniknie jakieś krótkie śpięcie.

Poniedziałek, 12. VIII. Przed południem ppor. G. telefoniował do Lagiuna w sprawie poborów. Rozmawiał z Triffinem, który się odgrażał, że jeżeli w poniedziałek nie odbierzemy, to odeśle z nadmieniem, że nam niepotrzebne. Potem mjr Roseanu rozmawiał z ppor. C., zapytując, czy wykonano polecenie odnośnie odjazdu księdza — zakomunikował, że tak. Co za przykry i nieprzyjemny charakter tego Roseanu.

Wtorek, 13. VIII. od paru dni spać nie mogę. Tuż obok mego okna posterunki zawiesiły kawał żelaza, w który dla dodania sobie odwagi i otuchy biją co parę minut. Mówiłem ppor. G. i obiecał zmienić, ale zobaczymy. Rano dzisiaj mjr Krzeczkowski miał jechać do Campulungu. Kpt. Predoini prosił, jeśli różnicy nie robi jazda do Campulungu po południu, by go zabrać. Uzgodniwszy sprawę z ppor. C., mjr Krzeczkowski zdecydował jechać po południu. Tymczasem kpt. Triffin miał się nie zgodzić (kpt. Predoini zrobił doniesienie na mjr. R.) i zażądał przyjazdu przed południem. Mjr Krzeczkowski z ppor. G. pojechali około godz. 10 rano. Przywieźli pieniądze na lipiec. Kpt. Predoini pojechał autobusem. Mjr Roseanu, któremu ppor. G. dotąd nie miał możliwości przedstawić się, pytał, czy on nie wie, jakie my mamy pretensje do (...) oraz polecił, by ksiądz natychmiast po nabożeństwie wyjeżdżał, jak również polecił, by natychmiast z mjr. K. opuścili Campulung. To nowe draństwo. Należy koniecznie przy następnej bytności porozmawiać z mjr. Roseanu. Pan wyraził zgodę.

Środa, 14. VIII. Pan pracuje na górze. Z komunikatów wynika, że akcje lotnictwa niemieckiego nad Anglią wzmożyły się.

Czwartek, 15. VIII. Ks. Zapła z dr. Najsarkiem przyjechali i po mszy św., a raczej po śniadaniu, odjechali. Przy śniadaniu ks. Zapła opowiadał, jak to się stało, że poświęcił się służbie kapłańskiej. Urodził się w biednej rodzinie góralskiej w małej chałupie, ledwie się trzymającej ziemi, w samych górach. Było kilkoro dzieci, a on ciągle kwękający i chory. Ojciec miał z nim wiele kłopotów, ale kochał go bardzo i wszystko by oddał, żeby go tylko utrzymać przy życiu. Woził go nieraz do różnych lekarzy w Krakowie, a raz nawet i do jakiegoś profesora, który po paru wizytach powiedział mu, że nie ma na co liczyć, bo z chłopaka nic już nie będzie, szkoda i trudu wożenia, i pieniędzy. Ojciec był zrozpaczony, ale powiedział sobie, że to nieważne, co mówią ludzie, nawet gdyby byli uczonymi, bo tu przecież ostatnie słowo to ma jeszcze Pan Bóg. W stryszku tej lichej chałupiny wyszykował jakąś izdebkę, wybielił wapnem, wstawił jakieś nędzne wyrko i ulokował tam chłopczyńkę już tak wynędzniałego, że się ledwie na nogach trzymał. Chciał, żeby tam miał już własny swój kąt, żeby mu inne dzieciaki nie zakłóca-

ły spokoju i żeby miał więcej powietrza. I co najważniejsze zaczął go leczyć na swój sposób, a przede wszystkim odżywiać. Były to tzw. suchoty, więc nieraz i psi smalec wchodził w skład jadłospisu, nie mówiąc o mleku, śmietanie i serze. Mały Antoś tak był już udręczony tą chorobą, że już właściwie niczego mu się nie chciało. Aż tu pewnego dnia śni mu się, że ktoś stuka do drzwi. On mówi, żeby wejść i w otwartych drzwiach widzi św. Antoniego Padewskiego w zakonnym jego habicie. Antek jest tym ogromnie przejęty i słowa nie może wymówić, a tymczasem święty zbliża się do fortepianu, który ni z tego ni z owego znalazł się w tym pokoju. Uderza kilka akordów i mówi: słuchaj chłopcze, tak jak w tym fortepianie każdy klawisz porusza pewną strunę, tak też jest i u Pana Boga, tylko że tych klawiszy jest bardzo dużo, a każdy klawisz w zasięgu Jego rąk. On na pewno i o tobie dobrze pamięta i niczym się nie martw, tylko pomódl się i bądź dobrym dzieckiem Boga. Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem i licz na opiekę Boga w twoim nieszczęściu. I wyszedł.

A tymczasem dni mijały, a Antek był ciągle pod wrażeniem tego snu, o którym zresztą nikomu nie opowiadał. To była jakby jego tajemnica. Po pewnym czasie ojciec zaczął dostrzegać zmiany w wyglądzie chłopaka. Tak jakby nabrał lepszej cery i stawał się bardziej ożywionym i wesołym. No i jednego dnia ojciec zaryzykował wyprawę do Krakowa, żeby tego ukochanego syna pokazać temu profesorowi, mimo zastrzeżeń, żeby go już więcej nie przywozić. I stało się coś dziwnego, bo profesor badając chłopca okropnie zdenerwował się i nawet zareagował dość ostro, bo popchnął go z niechęcią i to tak, że chłopak osunął się na ścianę. A profesor powiedział, co wy sobie myślicie tu żarty ze mną robić? Przywieźliście mi innego chłopaka i to zdrowego. A tymczasem Antek oparty już o ścianę pomyślał o swoim śnie i o tym, że w podzięcie Bogu zostanie księdzem. A gdyby drugi raz się miał urodzić, to też by został księdzem, a gdyby trzeci raz, no to wtedy już marynarzem.

Jak już był ks. Zapala w Budapeszcie, to też i mnie to opowiedział, a jak zapytałem dlaczego marynarzem, to mi nie umiał odpowiedzieć. To jak mi mówił, nie był to sen, a raczej widzenie św. Antoniego Padewskiego, który zresztą mu się przedstawił „Jestem Antoni Padewski”.

Sławenka na ręce Szczapy przysłała mi koszulę i piżamę. Po co to, Kochana, robisz, przecież jesteś bez pieniędzy, aż strach pomyśleć o tym, że od ust sobie i mamusi swojej odejmujesz, by mnie tego rodzaju niespodzianki robić. Naprawdę, Paniusiu, że więcej w tym przykrości niż przyjemności dla mnie.

Piątek, 16. VIII. Około 9-tej dzwonił Najsarek — przyjechał

Tadeusz. Udałem, że mnie zęby bolą, poszedłem do ppor. G. i powiedziałem mu, że muszę jechać do Campulungu do dentysty. Pojechałem, niestety pojechał ze mną ppor. G. i miałem dużo kłopotu, zanim mu zwałem. Szukałem Najsarka, ale nie mogłem go znaleźć, dopiero Jazdowski mi powiedział, że Najsarkowie siedzą w ogródku Mozareu. Wchodzę tam i zastaję Tadeusza i Najsarka w towarzystwie ppor. G., który powiedział, że przyszły nowe rozkazy: ksiądz nie może w ogóle przyjeżdżać, nam nie wolno opuszczać kwater, nie wolno chodzić do p. Georgescu na lekcje. Z Tadeuszem porozmawiałem, poinformowałem go, gdzie stoi auto, jak nazywa się szofer. Tadeusz przeprosił towarzystwo, poszedł do pokoju w hotelu, skąd zabrał paczkę, i przechodząc przez restaurację zaniósł paczkę i listy Kutnikowi. Żałuje on bardzo, że nie może się widzieć z Panem, prosił by go odmeldować i zapewnić, że wszędzie, gdzie tylko się znajdzie, jest na jego rozkazy. Niestety nie mógł on zostać do jutra — wiza mu się kończy. Porozumiałem się z Najsarkiem, że może być konieczny jego lub p. B. wyjazd do Bukaresztu. Poczte przywiozłem i oddałem Panu. Był list i dla mnie wysłany na adres Szczapy.

List Jej bardzo ciekawie naświetla stosunki węgierskie, a poza tym bardzo miłych kilka zdań pod adresem Pana. Przeczytałem Mu i widziałem, że sprawiło mu to dużą radość. Bardzo pięknie pisze o Julku P. Sława pisze, że konie nasze nie tylko w Wiśle, ale w Wilii i w Niemnie, a może nawet i w Odrze będą piły wodę.

Już po południu nie mogłem iść na lekcję do p. Georgescu — zabroniono. Powiadomiłem ją o tym przez Franję. Przyszła do mnie, bo to jej teraz wolno, choć wyjątkowo. Może jutro będzie znów jakieś inne zarządzenie. Wieczorem poszedłem na górę i Pan dyktował mi list do Julka, który potem własnoręcznie dokończył.

Sobota, 17. VIII. Rano o 7-ej wyjechałem do Campulungu. Spotkałem się z Najsarkiem u dr. Cianciary. Przekazałem mu list i 1000 lei na koszta przesyłki. Około 10-tej byłem u mjr. Roseanu, który o dziwo przyjął mnie bardzo grzecznie. Okazuje się, że ostatni rozkaz jest podpisany przez ministra spraw wewnętrznych, gen. Popescu i szefa żandarmerii, Topoce — on, niestety, nic zmienić nie może. Prywatnie zakomunikował mi, że pani Vasiliu zna gen. Topoce i może by ona coś w tym wypadku pomogła. Później spotkałem zmartwionego ks. Zapalę, który bezpośrednio po mnie — nie wiedząc zresztą, że ja u niego byłem — przyszedł od mjr. Roseanu. Odmową ksiądz jest bardzo przejęty, ma robić sam, jako duszpasterz, starania. Około południa wróciłem do domu. Pani Georgescu, mimo ulew-

nego deszczu, przyszła do mnie mówiąc, że ona tutaj na tych samych warunkach przychodzić będzie. Bardzo jej podziękowałem. W tych naszych warunkach uczenie się obcego języka wypełnia czas i nie pozwala na zbytne rozmyślanie.

W liście Stachiewicz wspomina, że Berbecki został mianowany inspektorem obozów i był już u nich w obozie. Donosi o czerwonce w obozie żołnierskim, było dużo wypadków śmiertelnych.

Brat mój, Lojzek, który mieszkał ze Sławeńką, wyjeżdża do Polski. Niespokojny jestem, czy on dojedzie i jak. (Muszę nadmienić, że dojechał i był naszej organizacji bardzo przydatny w Kraju, aż do czasu zabrania go przez Gestapo na Pawiak, gdzie został zamordowany. Na Węgrzech też był bardzo przydatny i ciężko było się z nim rozstawać.)

Dostałem kartkę od Dziadosza, której treści nie bardzo rozumiem. W tym okresie wszystkie listy pisane były tak, żeby cenzura nie mogła się przyczepić, ale czasem tak zagmatwane, że odbiorca nie wiedział, o co chodzi.

Niedziela, 18. VIII. Ks. Zapala nie przyjechał, a do cerkwi pójść nie można, bo nie wolno. Po południu z Panem i ppor. G. zrobiliśmy małą przechadzkę.

Poniedziałek, 19. VIII. Ranek dość słoneczny, więc nagrzewam bolące ramię, bo środki zapisane przez Cianciarę nic mi jakoś nie pomagają.

Napisałem do Ciebie, Kochana, a pani V. prosiła o zostawienie jej miejsca na dopisanie się. Dołączyłem dość udane fotki. Napisałem list do Julka. Na nazwisko dr. V. przyszedł list od Leona Strzeleckiego, bardzo ucieszyliśmy się tym przyjemnym i życzliwym listem. Okazuje się, że Brewiński i Domaradzki we Francji wzięci do niewoli, znaleźli się w tym samym obozie co Strzelecki. Strzelecki pisze: „bądź łaskaw przekazać moje najserdeczniejsze i pełne szacunku wyrazy P.M.S.”.

Po południu wyjechała Roma, żegnając nas z płaczem. Wybiera się też jutro rano Frania, wraca do rodziców, którzy obecnie znajdują się pod okupacją sowiecką. Feliks rano, schodząc z góry, pokazuje, że zbił klosz od lampy. Mjr K. w drodze do Campulungu miał kłopot, oto żona ppor. G. zemdląла mu w wozie — nie znosi jazdy autem.

Z komunikatu tajnego 8. VIII. 40 r.: Syntezę zarzutów przeciw gen. Sikorskiemu i współpracującym z nim ministrom Kotowi, Kukielowi, Strasburgerowi dał były ambasador Łukasiewicz w oszczerczym liście do prezydenta Raczkiewicza z dn. 8. VIII. r., rozsyłanym wybitniejszym osobistościom pośród wojskowych. Z brutalnym atakiem Dąb Biernacki w dniu 23 (...). Organizatorem był szef kancelarii prezydenta RP, Łebkowski.

Za jednego z inspiratorów (...) były wiceminister Graliński (...). Dziś tu atmosfera inna. Postanowiono zwolnić kilkuset oficerów z braku miejsca i kwalifikacji. Otrzymali oni połowę poborów i będą umieszczeni w oddzielnym obozie.

Szczapa dołącza fragment listu Julka. „Uściskaj serdecznie Zygmunia, oświadczyć mu, że dumnym być może i ogromnie kochać swoją Sławencię, bo dzielna jest wyjątkowo i szlachetna”. Sławieńko, o jakże się cieszę taką oceną Julka.

Wysłana piżama od Sławy, drogą specjalną, została mocno uszkodzona, były w nią wszywane różne notatki, szyfry. Jakoś to się trochę posklejało i w rezultacie musiano wycinać. Irma musiała się zająć reperacją i doprowadziła do porządku. A jednak tak się tym ucieszyłem, że tę koszulkę mogłem na siebie włożyć w niedzielę, na nią sweterek i kamizelkę, bo u nas znów zimno. W nocy obudziłem się z powodu chłodu, musiałem nałożyć Twoją piżamę.

Grzesiak odwiezie do Bukaresztu Romę, jako że tak sobie przypadli do serca. Przypuszczamy, że te wszystkie wstręty, jakie nam teraz robią, są rezultatem indagacji Bartczaka, którego przesłuchiwali na różne okoliczności z naszego życia. Zastanawiające jest, że przy tych obostrzeniach pozwalają przychodzić do nas pani Georgescu. Przez tyle czasu już ze wszystkim mogliśmy się oswoić, więc też tymi zarządzeniami nie przejmujemy się, wytrzymamy i to, ale największa przykreść, że ksiądz Zapala nie może do nas przyjeżdżać.

Z komunikatu rumuńskiego, o ile go dobrze zrozumiałem, wynika, że zarządzeniem A jęncy polscy zostali zwolnieni i mają prawo na powrót do domu. Gdyby tak było, co nie wydaje mi się prawdopodobne, to odpowiedź moja do płk. Strzeleckiego może już nie dojść, ale mimo to piszę. Jest on, chwała Bogu, zdrowy, pracuje nad sobą i uczy się języków. To wystąpienie, o którym wspomniałem poprzednio, było też i dziełem Kościalskiego (przeciw Sikorskiemu).

Dopisek pani Vasiliu po węgiersku: „*Droma Mme. Slava! Szivbol sajnalom hogy nem lebet itt velunk, de indmyjam remljuk hogy nem sokara jobb idok jonnek es ujbol boldogan a kreces. Ferje mellete les. Az en kis bebem magy mar. Mili scok es udbozelet Milutza*”.

Wtorek, 20. VIII. Pan maluje u siebie. Dostał krótką wiadomość od Pani. Dostałem od Składkowskiego i Witolda: „Siedzimy tu we dwóch, zatrzymani w rozpędzie jeszcze raz przez rodaków. Trzymają już nas 6 tygodni. Jeżeli wyjedziemy dalej, to chyba by wachać świetne perfumy *chypre*”. Po obiedzie byłem z Panem i ppor. G. na spacerze.

Środa, 21. VIII. Znowu nagrzewam ramię, bo jest słonecznie, ale żadnej poprawy nie odczuwam. Pan pracuje u siebie na górze. Po obiedzie poszliśmy na dłuższą przechadzkę, naturalnie z ppor. G., i przyglądaliśmy się transportowaniu drzewa z gór w ślizgownicy smarowanej parafiną. W ten sposób mogą zrzucić na dół 300 wagonów drzewa. Zrobiłem zdjęcia.

Czwartek, 22. VIII. Ranek przyjemny, dość ciepły. Po południu Pan mnie namówił na pozowanie, robi portret mój w cywilnym ubraniu. (Nie wiem, gdzie ten portret jest.)

Piątek, 23. VIII. Pochmurno. Pan pracuje u siebie na górze. Napisałem do Wojtka Malinowskiego, Dziadosza i Gołębia (często to nazwisko wspomina Zygmunt, jako człowieka bardzo im życzliwego). Po południu pozowałem Panu. Smutno, bo już od dłuższego czasu nie ma listów od Sławy.

Sobota, 24. VIII. Pan pracuje u siebie na górze. Mjr Krzeczkowski pojechał do Campulungu po sprawunki. Przywiózł nam wiadomości, mjr Roseanu odszedł do stolicy, a na jego miejsce przyszedł mjr (?), mówią, że jakiś przyzwoity człowiek. Po obiedzie pozowałem Panu, a potem Pan, mjr K. i ppor. G. poszli na przechadzkę i to dłuższą.

Niedziela, 25. VIII. Jakże mi przykro i smutno. Ks. Zapala nie przyjechał — w dalszym ciągu zezwolenia nie ma. Rano pozowałem Panu. Po południu poszliśmy z Panem i ppor. G. na półtoragodzinną przechadzkę. To i tak pewien trening. Napisałem do Szczapy, aby Tadeusz dowiedział się na jakich warunkach mógłby otrzymać forszę, którą Pan chciałby przekazać naszym biedakom we Francji i w Szwajcarii. Chciałby Pan też wiedzieć, jaką atmosferę i postawę znalazł wśród oddziałów, z którymi nawiązał kontakt.

Poniedziałek, 26. VIII. Pan pracuje u siebie, ranek pogodny i ciepły. Mjr K. dostał kartkę od Wędziagolskiego, z której wynika, że Świtek ogłosił się marszałkiem Senatu (?) i że Litwa teraz dopiero przejrzała i żałuje swojej polityki odnośnie Polski.

Wtorek, 27. VIII. Noce tak bardzo chłodne, że zasnąć nie można. Rano Pan kończył duże płótno, po południu pozowałem, po tym znowu długa, dwugodzinna przechadzka. Szczapa prosi o adres pani Marii dla żony Wędziagolskiego. Wspomina o tygodnikach, które jednak do nas nie doszły. I listy Sławeńki też nie dochodzą.

Środa, 28. VIII. Piękny dzień. Wieczorem dano znać, że przyjechał tutaj dowódca pułku żandarmerii z Bukaresztu. Ppor. G. bardzo się przejął tą inspekcją. Uspokajaliśmy go, że do nas nie przyjedzie do Campulungu i że to nie pierwsza tego rodzaju wizyta. I rzeczywiście nie przyjechał. Wieczorem przyjechał dr Vasilu z Bukaresztu. O, jakże niespokojny jestem z powodu bra-

ku listów od Sławeńki, najrozmaitsze myśli krążą mi po głowie i spać nie mogę.

Czwartek, 29. VIII. Wczoraj wieczorem wiadomość z radia tutejszego w języku niemieckim i francuskim — Węgrzy bombardowali Satumara, aparat zestrzelony, załoga wzięta do niewoli. Co to ma znaczyć? Radio budapesztańskie w języku rumuńskim mówi o rozpoczęciu okupacji przez bolszewików dalszej części Mołdawii. Dr V. jest skonsternowany. Około 11-tej poszedłem na górę porozmawiać z Panem. Po południu z Panem i ppor. G. poszliśmy na spacer i to długi. Około 17-tej telefon od Najsarka z Campulungu. Tam rozeszła się pogłoska o jakimś zamachu, który miał mieć miejsce u nas, przy czym Pan miał być ranny. Mjr Krzeczkowski uspokoił Najsarka. W sobotę mamy otrzymać odpowiedź co do nabożeństw u nas w niedzielę. Ksiądz i Najsarek słyszeli od tamtejszych urzędników, że pozwolenie z Bukaresztu było przed kilku dniami, ale że Roseanu miał się wyrazić „trzeba z tym skończyć” i zabronił.

Piątek, 30. VIII. Rano pozowałem Panu. Po południu Pan szkicował ppor. G. Napisałem do Lolcia, prosząc o zaprenumerowanie *L'indépendance*. Późnym wieczorem nadeszła kartka dla Pana od żony i list od Sławeńki, wysłany i to *par avion* 19. VIII. — doszedł dopiero dziś! O jakże ja się cieszę tym listem.

Z komunikatu węgierskiego dowiadujemy się o stracie Transylwanii na rzecz Węgier. Nie zapomnę, jak przyjęła to p. Nana i kucharka Irma.

Sobota, 31. VIII. Pan pracuje. Mjr Krzeczkowski pojechał do Campulungu po sprawunki. Po obiedzie Pan poszedł z mjr. Krzeczkowskim i ppor. G. na dłuższą przechadzkę. Robi ciągle dłuższe i forsowniejsze (...). Do mnie przysła na lekcję p. G. Przyniosła zrobiony przez siebie likier malinowy.

Niedziela, 1. IX. 40r. Rocznica rozpoczęcia działań wojennych. Boże, już rok cały, tyle milionów ludzi cierpi w Kraju i na obczyźnie, i kiedy temu będzie kres. Niedziela i ks. Zapała znów pozwolenia na przyjazd nie otrzymał. Zdawało się, że ten nowy komendant jest lepszy, a okazuje się, że oni wszyscy jednakowo warci. Jakoś nic a nic mi nie żał tych Rumunów w związku z tym co zaszło — może żał p. V. i Nany, bo na pewno cierpią z tego powodu i tracą majątek, ta ostatnia cały, ale tam wrócić i zostać nie może. A mieli pretensje, że nie zwróciliśmy się do ich sztabu generalnego, byliby nas nauczyli jak wojnę prowadzić. Śmieszne!

Długi list od Sławeńki i to express. Pisze: „... i proszę Boga, by Pan nam nie chorował. Jeszcze ciągle wspominam naszą ostatnią z Panem rozmowę, o jakże to wszystko zmieniło

się do niepoznania, to trudno uwierzyć. Tak bardzo chciałabym Go zobaczyć i to uśmiechniętego. Wiem, że dobry Bóg da Mu jeszcze wiele, wiele radości za te wszystkie smutki, bo na to sobie zasłużył całym życiem”.

Poniedziałek, 2. IX. Przeczytałem Panu wyjątki Twego listu. Kazał Ci pięknie podziękować za miłe słowa, załączyć pozdrowienia. Wieczorem Pan był w dobrym humorze, rozmowa zeszła na temat polowania. Otóż Pan nie lubił polowań z pijaństwami. Wspominał o przykrych polowaniach w towarzystwie Michałowskiego, natomiast chwalił polowania u o. Stef. Zamoyskiego i Siemińskiego. Napomknąłem, jak było z Zyndramem Kościłkowskim. Nawiązując do tego Pan opowiedział bardzo ciekawą historię (czyta „Historię Bizancjum”) o Bazylim B., który zginął na rogach jelenia.

W czasie mego zaniepokojenia brakiem listów, depeszowałem do Sławeńki, która teraz właśnie przesłała wiadomość telefoniczną: „Zdrowa jak krokodyl, list 13 stron wysłany — całuje Sława”.

Wtorek, 3. IX. Rano wyjechała żona ppor. G., która o swego męża szalenie zazdrosna. Pan w dalszym ciągu maluje jego portret. Okazuje się, że czasem można chwycić w radio komunikat polski z Londynu.

Oto dzisiaj rocznica wielkich manifestacji w Warszawie. Z racji wypowiedzenia wojny przez aliantów. I cóż, pytam, ci alianci zrobili — ulotki rozrzucali!

Cieszę się z nawiązanych stosunków Sławy z węgierską rodziną Ewy i że znów pod miastem dobre miejsce. A przede wszystkim, że Ewa ma tyle sentymentu dla naszej Ojczyzny. Ucałuj ją mocno od siebie, a troszkę i ode mnie, czy dobrze?

No, portret mój nowy już jest skończony. Jestem po cywilnemu, w koszulce od Ciebie, takiej pięknej, bez krawata. A były i takie śmieszne historie przy malowaniu, bo Pan mówił: niech pan się nie chmurzy, niech pan się uśmiecha i oczywiście uśmiecham się, a tu następuje dalszy ciąg zdania, bo pani Sława chce Pana z uśmiechem, nie lubi nachmurzonego. W tej chwili siedzę opodal, a Pan maluje naszego podskakiewicza, ppor. G., który jest wcale miłym człowiekiem, rad by nam w wielu wypadkach przyjść z pomocą, ale oczywiście rozkazy musi sumiennie wypełniać i te na to mu nie pozwalają.

Ks. Zapła w sprawie nabożeństw u nas zwrócił się do nuncjatury, ale w wynik zadowolający powątpiewamy. Pani V., która w związku z tym co zaszło z Transylwanią zapłakuje się ze smutku, podczas gdy nasza kucharka, Irma, płacze w kuchni z radości, bo jest Węgierką.

Czytałem mały artykuł w *Kurierze Polskim* z dnia 6. VII.

Była mowa o Traugutcie, parę zdań o 6 sierpnia, dość dużo o 15. VIII, o cudzie nad Wisłą, ani słówkiem o wielkim Marszałku. Bardzo chciałbym mieć możliwość przeczytania broszurki, o której wspominasz, a napisanej chyba przez Lipińskiego, choć to mnie trochę zraża. Pierwsze nie posądzam go o sentyment do Pana, wtóre on traktuje rzeczy bardzo pobieżnie, nie lubi zgłębiać. Píše, bo ma talent, ale pisze na kolanie. Przypominam sobie jedną jego pracę z 35 czy 36 roku, za którą nawet dostał nagrodę. Całość robiła na mnie dość przykre wrażenie, bo za dużo zawierała nieścisłości.

Pan przekazał poważniejszą sumę na przesłanie paczek żywnościowych rodzinom żołnierzy, którzy są w niewoli, obawiam się tylko, czy to odpowiednio zużytkują.

Ciekawe wiadomości od Sławy odnośnie płk. Emila Fiedorfa. Ale oto przypomina się mi scena, która miała miejsce przed paru dniami. Byliśmy na spacerze na górze, u stóp której znajduje się nasze mieszkanie. Ja wróciłem wcześniej ze względu na przyjście pani Georgescu. Siedzimy z nią i pracujemy, wchodzi Pan i pokazuje piękny bukiet z polnych kwiatów. Poszedł do siebie na górę, za chwilę poszedłem do niego i zastałem go przy układaniu kwiatów w sposób niezwykle malowniczy. Po kolacji w gabinecie Pan chodząc po pokoju, naraz zwraca się do mnie nawiązując do bukietu: gdyby pani Sława wiedziała o tych polnych kwiatach, na pewno by tryumfowała. Pamięta Pan naszą rozmowę na temat kwiatów. Przyznam Ci się, że ta jego pamięć o prowadzonej z Tobą rozmowie sprawiła mi wielką przyjemność. Paniusiu Kochana, według rozkazu D.O.D. (dowództwo obszaru domowego) trzymam się doskonale i na pewno wytrzymam. Ramię już mi nie dokucza.

Środa, 4. IX. Rano dostałem list od Ulrycha, który szuka łączności. Jest tam jeszcze Kwiatkowski, Kaliński, Argasiński, Chełmoński, Kostek, Maciszewski, Przybyłowicz i Kasprzycki. Ulrych pisze: „ja ostatnio wydobrałem, brak zatrutej literatury, którą szczerą rączką pani Germinii (?) dostawialiśmy do syta. Wpłynął Niemiec na mnie dobroczynnie. Prosi o przesłanie (Panu) M(arszałkowi) najserdeczniejszych pozdrowień wraz z wyrazami czci i szacunku”.

Po południu zrobiliśmy wycieczkę w góry, skąd ja galopowałem, bo miała przyjść p. Georgescu na lekcję. Przed końcem lekcji wrócił Pan z bukietem polnych kwiatów, które wręczył pani G.

Złapałem polski komunikat z Londynu. Mówi o 50 krążownikach amerykańskich, o rozruchach w Bukareszcie i Brasov. Przypadkowo słyszałem mowę Hitlera w Sportpalast w związku z *Winterhilfe*.

Czwartek, 5.IX. Są wiadomości, że gen. Antonescu objął szefostwo państwa. Król ma władzę ograniczoną, a ja sędzę, że mu ją całkiem ograniczą, że będzie musiał abdykować na rzecz swego poprzednika. A więc Emil F(ieldorf) żyje i wybiera się do Kraju. Jakże ja się cieszę, to taki wspaniały człowiek. Byleby mu się jakaś krzywda po drodze nie stała. Wieczorem przyjechała z Bukaresztu pani V. i przywiozła trochę wiadomości, a także list od Szczapy. Otóż parę osób wraz z Wiatrem i Nakoniecznym wyjechało na Cypr. A dalej na podstawie listu Julka podaje: „Wielką rolę odgrywa tutaj Sławenka, zawsze uroczą, pewna siebie i w dyskusji tam gdzie trzeba, zjadliwa nawet”. Jakże ja się cieszę, że z Ciebie sprawa ma tak dużą pociechę.

Piątek, 6.IX. Rano około godz. 9-tej wpada pani V. prosząc o załączenie radia. Okazuje się, król Karol II abdykował na ręce księcia Michała; orkiestra gra marsze wojskowe, uroczystości i radość w stolicy. Transylwanię zajmują Węgrzy.

Sobota, 7.IX. Rano o godz. 7-ej wyjechałem do Campulungu. Tam zwróciły moją uwagę afisze, którymi oblepione zostało całe miasto. Afisze przedstawiają Capitanula i oskarżenie byłego króla Karola II. O cóż to go nie oskarżają — dezterter, zdrajca, złodziej itd. Nie rozumiem, jak można było dopuścić do ukazania się tego ze względu na następcę. Tą drogą za daleko nie zajdą, chyba że zamierzają skończyć z królem, zatem po co te defilady żel. gwardii, ceremonie przed królem Michałem?

Widziałem się z Najsarkiem, kombinuje nad przejściem swojej pani i córeczki Bożenki na Węgry. Działania w tej sprawie rozpoczął. Byłem u dr. Cianciary. Nie rozumiem tego człowieka, oto powiada mi: mamy głęboki żal do naczelnego dowództwa za traktowanie Faury'ego. Więc mu powiadam, że to nie my mamy pretensje do Francuzów, że nie wywiązali się z przyrzeczeń w stosunku do nas, tylko oni za to, że Stachiewicz czy też Pan nie przyjmowali Faury'ego tyle razy, ile on chciał być przyjęty.

Dostałem list od Szczapy dla Pana i dla siebie. Pos. Frąckiewicz, wraz ze swym szwagrem, którzy pod koniec października wracali do Kraju, zostali przez bolszewików rozstrzelani. List od Skwarczyńskiego i Gołębia. Okazuje się, że w Kraju źle się ustosunkowują do tych, którzy wrócili.

Niedziela, 8.IX. Rano wezwał mnie Pan do siebie, polecił mi odpowiedzieć Szczapie, że wyraża zgodę na przesłanie paczek żywnościowych rodzinom żołnierzy, którzy tutaj są w niewoli. W związku z wyjściem Pana na malowanie, ppor. G. przyniósł nam do wglądu rozkaz, który on dostał, zabraniający Panu malowania — jedynie może malować w rejonie willi. Porządną

chłop, ale boi się, by go nie spotkała jakaś kara za jego życzliwość.

Komunikaty z Londynu, który był bardzo silnie atakowany, podają 400 zabitych i 1500 rannych — w akcji miała odznaczyć się polska eskadra, która straciła 10 bombowców i 3 myśliwce bombardujące. Mjr Krzeczkowski przywiózł wiadomość, co zresztą i Londyn podaje, że pociąg wiozący króla Karola był ostrzeliwany przez żel. gwardię. Gen. Antonescu wydał dekret pozbawiający króla Karola wszelkiego majątku znajdującego się na terenie Rumunii.

Poniedziałek, 9. IX. Przed południem Pan zaczął portret pani Vasiliu. Napisałem list do Julka, Ulrycha, Szczapy i kartę do Skwarczyńskiego. Przyszedł list od Wojciecha Malinowskiego i gazeta *L'Indépendance*, o którą Lolcia prosiłem. Od p. Salta-poeon dostaliśmy z mjr. Krzeczkovskim po pudełku Papestratos — świetne papierosy, ale bardzo mocne. Ot i tak to rok mija od opuszczenia przez nas Warszawy, ileż to zmian i ileż ciężkich przeżyć!

Wtorek, 10. IX. Od dwóch tygodni pogoda przewspaniała, choć czuje się i widzi, że to już nadchodzi jesień. Pan w dalszym ciągu maluje panią V. Po obiedzie nie wyszedł na spacer, chce się przekonać, czy bóle, które ma w nocy, nie mają jakiejś łączności ze spacerami. Chce zatem parę dni zrezygnować z przechadzki. Około 5-tej przyszedł ppor. G., zaniepokojony, czy Pan się nie gniewa na niego za pokazanie nam tego zakazu o malowaniu, oświadczając, że my to tak urządzimy, że Marszałek będzie mógł malować, bo my do kieszeni pozabieramy potrzebne mu przybory. Uspokoilem go, że to nie ma żadnego związku z tym, że Pan dzisiaj nie wyszedł.

Dostałem list od Wojtka Malinowskiego. Bardzo prosił, żeby mógł mieć jakiś obrazek od Pana na pamiątkę. Szczapa pisze, że papiery prawie już ma, wspomina o jakichś przykrościach, które płk Zakrzewski i zastępca Tadzia Sk. mieli wyrządzić Giedroyciowi. W poprzednim liście wspomina, że prof. E. oślepl, że Z. Chmielewski utopił się w łazience — zatrul się gazem. Borkowski bodajże w Marsylii, zaś żona jego w Anglii. Dostałem też kartkę od Dziadosza, którego jak widać humor nie opuszcza. Wczoraj i dzisiaj wspomniał Kutnik, że Irma chce wracać, to jest dla nas wielka szkoda, bo osoba była bardzo oddana nam. Meldowałem Panu i prosił, aby p. V. rozmówiła się z nią, zaznaczając, żeby w tym wypadku powodowała się tylko sobą i myślała o sobie. Po rozmowie p. V. z Irmą okazuje się, że pojutrze nas opuści z żalem i rozdartym sercem. Boję się, że niestety wyjazdu Irmy nie wykorzystam, bo nie jestem przygotowany, aby Ci coś wysłać.

Środa, 11. IX. Ranek piękny. Pan maluje rano, przechodząc przez druty na posesję pani Dima. Pan znalazł sobie nowy obiekt do malowania.

Dostałem list od Szczapy — wreszcie ma papiery. 13 bm. ma stawać na rejestrację, a potem wybiera się w podróż. Irma wyjeżdża, p. V. odbierała od niej naczynia kuchenne i bieliznę, przy czym nie rozumie, dlaczego Irma wspomniała, że w rozmowie z jakimś ministrem dowiedziała się, że „mają uciekać”, a to zresztą i dobrze byłoby np. do Ameryki, bo Polski już nie będzie. Wykombinowałem trochę pieniędzy i prosiłem, by Irma doręczyła je Tobie. Jestem pewny, że to uczyni.

Czwartek, 12. IX. W nocy okropna burza. Po śniadaniu przeszliśmy przez druty na posesję p. Dima, gdzie Pan malował. Kutnik, nasz kochany, obiad ugotował, krupnik doskonały, mięso i naleśniki. Pani Vasiliu przysłała nam też obiad, ale nie skorzystaliśmy. O godz. 15-tej mjr Krzeczkowski pojechał do Campulungu szukać kucharki, przy czym telefonowałem do (...) i za pośrednictwem p. B. rozmawiałem z Najsarkiem, też w sprawie kucharki. Mjr K. mówił, że p. B. szukała kucharki za pośrednictwem policji — a to ciekawy pomysł. Jeszcze tego nam brakowało.

Z komunikatów dowiadujemy się o strasznych atakach lotniczych na Londyn, co chyba na postawę psychiczną nie wpłynie dobrze. Rewanżują się im zresztą napadami lotniczymi na Berlin. Lotnictwo nasze działa i dokazuje cudów bohaterstwa, a więc Sikorski nie śmiał mówić „by dorównali lotnictwu angielskiemu”.

Piątek, 13. IX. Biedny nasz Kutnik męczy się nad obiadem i wymyśla *menu*. Obiad był bardzo smaczny. Dostałem wiadomość, że p. Georgescu nie będzie mogła przyjść na lekcję. Po obiedzie z Panem i ppor. G. poszliśmy na spacer.

Dzisiaj w całej Rumunii uroczystości żel. gwardii. Jak mówił mjr Krzeczkowski brak tut. mera, ma dwóch członków żel. gwardii i ci wyjechali na uroczystości do Campulungu. Gazety tutejsze od paru dni przeładowane są różnymi dekrety, którymi szafuje obecny wódz.

Feliks dostał zawiadomienie, że wyjazd Polaków tymczasowo wstrzymany — chłopak jest tym bardzo strapiiony.

Sobota, 14. IX. Mjr Krzeczkowski pojechał do Campulungu po sprawunki. W międzyczasie przyszedł ppor. G., który komunikuje, że zezwolono na przyjazd księdza na nabożeństwo. Okazuje się, że ks. Zapala jest jeszcze w Bukareszcie na badaniu lekarskim, poza tym został przeniesiony do Craiovej, a kogo tutaj nam dadzą, to jeszcze pytanie. Mjr Krzeczkowski po powrocie z Campulungu opowiada o wczorajszej uroczystości. Zebrało

się dwudziestu młodzieńców, z których zaledwie czterech umundurowanych, przeszli przez miasto i rozeszli się. Plut. Staica przywiózł nam pieniądze za ubiegłe miesiące. Najsarek donosi, że obecna sprawa wyjazdu Szczapy pod znakiem zapytania, ale obrabia ją z Triffinem, B. i jego żoną.

Z polskiego radia w Londynie znów tysiące obrzydliwych zarzutów na ubiegłe dwudziestolecie. Po prostu nagonka. Szczapa już ma te swoje papiery i ma też chęć wpaść do nas. Prosiłem, ażeby mi kupił jakiś materiał na ubranie. Stare mam już tak wyłatane przez Irmę, że trudno w nim się pokazać ludziom. Chodzę w nim, bo chodzę.

Niedziela, 15. IX. Z komunikatu tutejszego wynika, że rząd stworzyli gwardziści — pozostają jako monopartia. Londyn wspomina o zniszczeniu 165 aparatów niemieckich, kiedy Niemcy mówią o utracie 9-ciu.

Poniedziałek, 16. IX. W nocy wichura, ranek piękny. Pan skończył portret p. Vasiliu, wypadł pięknie. Po południu padał deszcz i myślałem, że pani Georgescu nie przyjdzie, ale przyszła.

Z komunikatu angielskiego dowiadujemy się o wystosowaniu listu przez premiera Churchilla do ministra lotnictwa z gratulacjami z powodu sukcesów lotnictwa polskiego i czeskiego (za sukces odniesiony przy współudziale tych lotników: 187 aparatów, a w tym 133 bombowce — to nie żarty!). Dziwi mnie tylko, dlaczego nie wspomina się o lotnictwie francuskim, ale jest pewnie na tyle słabe, że nie bierze udziału, albo znając doskonale teren z walk poprzednich na kontynencie, tam jedynie jest używane.

Wtorek, 17. IX. Poszedłem z Panem i ppor. G. na spacer, a tam ppor. bawiąc się z psem został z podartymi spodniami. Dobrze, że miał płaszcz, to w drodze powrotnej nie świecił. Po południu Pan nie wychodził, źle sypia, znów kiszki i żołądek bardzo mu dokuczają, przyjmuje siarkę, która poprzednio dobrze mu zrobiła.

Od pani Solange dostałem pudełko świetnych papierosów. Komunikaty bardzo źle słyszalne.

Sława pisze: „tak mam już dość tego całego piekła, tak chciałabym nareszcie być w jakimś cichym kącie. Wszystkiego ma się już po dziurki w nosie!” Córusko Najukochańsza, tak się martwię Twoim złym samopoczuciem!

Brat mój, Lojzek, jest w domu, Chwała Bogu, że dojechał cały i zdrow. Emil Fieldorf wyszedł już do Kraju, byleby tam Bozia nad nim czuwała.

Kochana, aż strach pomyśleć, dzisiaj rocznica przejścia granicy. Straszne wspomnienia. Tyle naszych zeszło z tego świata, tyle milionów cierpi, a końca tych cierpień nie widać. Ale Dobry

Bóg da doczekać wolnej i niepodległej Polski! Małenka, Ty na pewno tych szczęśliwych dni doczekasz i wtedy pamiętaj, że musisz podwójnie się cieszyć, bo przecież i za siebie i za mnie, gdyby mnie już nie było.

Środa, 18. IX. Po śniadaniu poszedłem z Panem, a z nami podoficer zamiast ppor. G. Wczoraj telefonował Najsarek, komunikując o przyjeździe Stacha. Późnym wieczorem rozmawiałem z ppor. G., proponując mu przywiezienie Stacha. Ucieszyłem się bardzo, bo się zgodził. Oto jutro zadzwoni do Legiuny prosząc dr. Cianciarę do Pana, z którym jako asystent przyjedzie Stach.

Czwartek, 19. IX. Oto dzisiaj wszystko się zmieniło. Ppor. G. rano odmówił usług: „co ja na tym zarobić mogę, nic tylko stracić”. Trudno, pojechałem, widziałem się ze Stachem, przywiózł mi materiał na ubranie, pewnie za parę dni zrobią mi tu garnitur. Widziałem się z Brodisanu i poznałem jego panią, o której Stach wyrażał się bardzo pozytywnie.

Wieczorem dostałem list od Cieplaka. Okazuje się, że Bronowicz w Ameryce, list mój przesłany do niego umieścił w prasie. Ponieważ napisałem parę słów prawdy w związku z artykułem Cieplaka, ten czuł się dotknięty: „bo ja od pierwszego dnia tu pobytu mówię o Panu z gorącą miłością, a tu nagle taka publiczna niespodzianka”. Słów kilka w kwestii artykułu. Nie uważam go sam za zbyt fortunny. Pisałem go po wszystkich bolesnych przejściach, tak bardzo gwałtownych i zaskakujących. W obozie byłem gorącym zwolennikiem Pana, bo właśnie Pan umiał patrzeć na wszystko otwartymi oczyma i umiał jeden śmiało mówić prawdę. Twierdzę, że obóz — panowie Felicjan i Józef — to nie było wszystko jedno... Ale za to wszędzie z największym zapalem mówią o M(arszałku) R(ydzu) Ś(migłym), którego uważam i przedstawiam nieodmiennie jako człowieka wielkiego, czystego i rycerza bez skazy. O gdyby On mógł tu przyjechać. Gdybyśmy razem się tu mogli dostać. Na rękach nosilibyście Go tutaj. Rozchmurzcie się, panie pułkowniku, i uściśnijcie moją dłoń na zgodę. Jak dawniej jestem wam gorąco całym sercem oddany. Tak, jak kiedyś, gdy Wasze nazwisko z czcią obnosiliśmy po dużej części Kraju. 6. VIII. cały program poświęciłem rocznicy. Mówiłem głównie o Panu. Zakomunikujcie Mu to, proszę”.

W tej chwili wpadła zapłakana p. Vasiliu. Radio rumuńskie donosi, że w Transylwanii Węgrzy mordują politycznie zaangażowanych Rumunów. Obawia się o swoich braci.

Pan malował do 12-tej. Po południu ma robić portret p. Miory Predoini, która go o to prosiła. Około 13-tej dzwonił Najsarek i komunikował o „pomyślnym załatwieniu”. Należy

oczekiwać około 17-tej. Dopiero o godz. 18-tej przyjechał kpt. T(riffin) z pp. Badulescu, Najsarek i Stach. Były różne niepowodzenia, nieprzewidziane historie. Marian Brodzisz odmówił auta w ostatniej chwili w obawie, że sześć osób zniszczy maszynę, ale szczęśliwie znalazła się maszyna płk. Badulescu. Okazuje się, że kpt. T. w ostatniej chwili chciał się cofnąć, ale pani Badulescu znalazła i na to sposób — oczywiście kobieta. Po półtoragodzinnej rozmowie wyjechali. Ciekaw jestem, co sobie myśli nasz ppor. G., na pewno posądza (a może i żałuje), że Tr. coś na tym skorzystał. A Tr. zrobił to zupełnie bezinteresownie. Brak wiadomości od Sławy, ale tłumaczę to sobie nieporozumieniami między tymi dwoma narodami.

Mamy wiadomości od Irmy, ano dojechała do domu bez przeszkód. Bartczak w Warszawie chce otworzyć sklep. Grzesiakowi pan dr Vasiliu proponuje pracę u siebie, ale on stawia tak wygórowane warunki, że to chyba nie dojdzie do skutku. Nie widziałem się z nim, a Kutnik nie przekonał go.

Przed paru dniami dostał Pan z New Yorku katalog oficjalny działu polskiego na międzynarodowej wystawie w NY w 1939 r. Książka wydana w Polsce, w Komitecie honorowym i organizacyjnym cały szereg przyzwoitych ludzi. Przeglądałem tę grubą zresztą książkę od deski do deski, na próżno szukając podobizny Komendanta, bo przecież nie można przypuszczać, że komitet zadowolił się umieszczeniem znaczka pocztowego z podobizną Komendanta, dając zaś piękny portret ambasadora Potockiego. Oczywiście o Pani ani słówka. Znalazłem parę prac Kulowskiego także, między innymi plaketkę sportową, którą dla nas robił. Przed paru zaś miesiącami czytałem w prasie amerykańskiej pisany przez komisarza generalnego wystawy, p. Stef. Roppa artykuł wyjątkowo przyzwoity, przy czym pięknie charakteryzujący postać Pana. Z prasy naszej dowiedziałem się o śmierci płk. Jakubowskiego. Pamiętasz, byliśmy u nich kiedyś z Komendantową. Okazuje się, że on tu w stolicy był piastując stanowisko komisarza ochrony mienia państwowego, no ale *de mortuis nihil nisi bene*. W Anglii zmarł dr Czyż, prawa ręka ongiś Stachurka. Irma nas opuściła i tak to „Henryk” musi ją zastępować. Wczoraj z Campulungu przywieźli jakąś kucharkę, ale Kutnik zdecydował już, że ona tylko cebulę umie krajać i że z niej pociechy nie będzie.

Powodem przeniesienia księdza Zapały do Craiovej pewnie były przyjazdy do nas. A to był przeznaczny kapłan, Pan go bardzo lubił. U nas jesień zaczyna się na dobre, w ogrodzie tylko jesienne kwiaty, liście na potęgę zaczynają żółknąć i opadać. Noce już zimne. I znów zima zbliża się szybkim krokiem.

Kochana, czy Ty nie szukasz jakiegoś lepszego mieszkania,

bo przecież w tej waszej budzie na Fecske zostać, to nie do zniesienia. Jeżeli już nie o sobie, to przecież o Babuleńce trzeba pomyśleć. Jeżeli tego nie załatwisz, to będę musiał napisać do któregoś z Twoich przyjaznych krasnoludków, żeby to załatwili.

Sobota, 21. IX. Rano pojechałem do Campulungu po sprawunki. Około 10-tej wróciłem (...), po czym pożegnałem go i Brodziszów. Poszedłem do krawca oddać ubranie do roboty. Ceny nie uzgodniłem, ma to zrobić Najsarek. Oddałem też bluzę do reparacji i po pół godzinie miałem już zreperowane łokcie.

Z kartki Sławy wnoszę, że miała jakieś trudności z odebraniem pieniędzy od Armii.

Niedziela, 22. IX. Przyjechał ks. Z., Cianciara i Najsarek, po którego Kutnik musiał jechać do Wojny (?), bowiem tam piątkowa eskapada ugrzęzła. Około 14-tej wyjechali, o 15-tej przyszła pani G. z Solange, która jakkolwiek ma nieprzyjemny głos, to jednak zrobiła na nas bardzo dobre wrażenie. Satysfakcją było posłuchać, jak mówiła o sztuce malarskiej. Dostała od Pana bardzo ładną akwarelę, z której była bardzo zadowolona.

P. A. Wdziakoński, prezes YMCA, przesłał Panu, z prośbą o przyjęcie, cztery wiersze Jana Marjańskiego, bardzo przyjemne. Dostałem kartkę od Leona Strzeleckiego: „Przekaż serdeczne wyrazy od wielu, przede wszystkim od naszej legionowej rodziny”.

Wtorek, 24. IX. Pan maluje portret p. Predoini. List od Sławy. O jakże się zmartwiłem tymi wstrętami, które Ci wycyzniają „rodacy” przy wypłacie zasiłku. Biedna Kruszynka, córka gen. Dęba Biernackiego, która w roli pokojówki pracuje u Georga (w Wilnie). Listy od Fr. Sobolty, Busslera, Niezabitowskiego. Zabrałem się do odpowiedzi.

Środa, 25. IX. O 10-tej pojechałem do Campulungu. Zabrałem ze sobą pp. Antalp, p. Georgescu, R. Mircię i najmłodszą latorośl pp. (...). Byłem u krawca, przymiarka niby dobra, ale nie jestem pewny, czy nie odmienił mi materiału.

Najsarek ma jakieś pretensje do p. Brodziszowej.

Jakoby Berlin był silnie bombardowany. Agencja w Campulungu donosi, że Berlin pozbawiony elektryczności i gazu.

Czwartek, 26. IX. Portret p. Predoini nie podoba się Panu i zaczyna nowy. Napisałem do płk. Strzeleckiego i Radwana.

Piątek, 27. IX. O 14-tej odczuliśmy bardzo silny wstrząs ziemi. Pan pracuje na górze. Musi mu już być bardzo przykro i smutno, jeżeli skarży się na brak wiadomości od żony. Prawie nigdy nie robił tego.

Sobota, 28. IX. Pojechałem o 7-ej do Campulungu, widziałem się z Cianciarą, któremu przywiozłem list od żony. List od Szczapy przywiozła pani Vasiliu. Sławoj w Tel-Avivie. Poniatowski w Stambule.

W Campulungu przypadkiem spotkałem prof. Makowskiego. Profesor zmienił się nie do poznania, choć duchowo trzyma się doskonale. Oboje prosili o złożenie wyrazów poważania dla Pana.

Wiadomości od Sławy idą tygodniami.

Niedziela, 29. IX. Rano o 10-tej przyjechał ks. Z., dr Cianciara i Najsarek. Przywieźli mi ubranie, w które dopiero po mszy się ubrałem. O 15-tej ksiądz i „ministrowie” zabierają p. Georgescu i pojechali, a ja z Panem poszedłem na spacer. Najsarek kapitalnie opowiada swoje przeżycia, w 16-tym roku życia, zaraz na początku, wstąpił do legionów. Niesamowite przeżycia.

Poniedziałek, 30. IX. Wczoraj wieczorem byli pp. Vasiliu z Mirą z pożegnaniem. Dzisiaj już wyjechali.

Wtorek, 1. X. 40 r. Telefonowałem do Giedroycia i pytałem, czy nie wie, jaki jest stosunek Portugalczyków do naszych uchodźców — granica zamknięta, w wieku poborowym do obozów.

Pani Marta komunikowała, że Francja ma być cała okupowana — potwierdza *Polityka*.

Środa 2. X. Pan pracuje na górze. Jest pochmurno. Ja czekam na dole na telefon od Stacha. Po południu napisałem z mjr. Krzeczkovskim telegram do Pani, w którym Pan doradza, jeśli to możliwe, żeby podążała za Frankowskimi. Dostałem list od Dziadosza Wł., zawsze z humorem. Odgraża się, że policzy się za kpiny z generałów, oficerów i żołnierzy, za hańbienie wojska i narodu przed światem, że to niby nie przewaga i zdrada obcych, a niedołęstwo Polski katastrofę spowodowało na kraj.

Czwartek, 3. X. Pan maluje martwą naturę, zającą, którego Feluś wczoraj wyrwał ze szponów jastrzębia, chodząc na poziomki. Przyszedł się pożegnać Bongerol, kapitalny był w rozmowie, mówił do Pana po imieniu.

Piątek, 4. X. Rano Pan pracował na górze. Po obiedzie telefonował Staszek, nadana będzie depesza do Lizbony do Dubicz Penthera w sprawie pomocy dla Pani. Oczywiście, efektu przewidzieć nie można. Prosi o przyjazd Najsarka.

Siedzieliśmy we dwoje z mjr. Krzeczkovskim i przyszedł ppor. G. Rozmawialiśmy, przyszła Nana, która grała z po(...) w grę nazywaną tutaj *tableau*. W tym czasie poczułem jakiś swąd z kuchni. Poszedł mjr Krzeczkowski, żeby zobaczyć i wracając powiedział, że się tam gotuje, a ściśle mówiąc smaży coś dla ppor. G. Prosiłem kucharkę, żeby tę przypaloną patelnię dobrze umyła, a ona uskarża się, że i tak ma dużo pracy, a jeszcze dodatkowo gotować ppor. G., zamiast odpocząć. Powtórzyłem to podporucznikowi przy kucharce. Wyszedł z kuchni i usiadł

do dalszej gry z p. Naną. Ale się odkuł, bo potem przyszedł do pokoju, usiadł na kanapie i powiada: poczynawszy od dzisiejszego dnia pani Georgescu nie będzie przychodziła. Jedynie tylko na jedną godzinę do Pana Marszałka, poza tym brama będzie zamknięta i nikomu wychodzić nie wolno. Zapytałem go, czy to wszystko. Na jego odpowiedź, że tak, powiedziałem mu do widzenia. Podporucznik wyszedł zaraz i na drodze spotkał p. Georgescu. Zakomunikował jej nowe zarządzenie oraz wydał polecenia posterunkom. Zameldowałem Panu Marszałkowi o wypadku, jaki miał miejsce. Przy kolacji Pan Marszałek zarządził, bym jutro pojechał do Campulungu i rozmówił się z mjr. Dinescu, poruszając nowe zarządzenia odnośnie wychodzenia służby po zakupy, mojej lekcji z p. Georgescu i wychodzenia Pana w towarzystwie żandarma z możliwością malowania.

Z komunikatu dowiadujemy się o rozmowie Hitlera z Mussolinim w Bremie (?) i o zezwoleniu na odbycie dalszej podróży Paderewskiemu, którego Hiszpania przetrzymuje w drodze do Portugalii, skąd udaje się do Ameryki.

Sobota, 5. X. Rano o 7-ej wyszedłem z domu do garażu. Ppor. G. spał, dopiero Kutnik go obudził, trzeba było zatem czekać. Podszedłem do bramy, a tam wartownik wszczął ze mną rozmowę na temat nowych zarządzeń. Odpowiedziałem mu, że ppor. G. jest w złym humorze, no i dlatego. Chciałem wyjść, by ppor. G. powiadomić, że odjazd będzie opóźniony, ale wartownik nie pozwolił mi wyjść. Po prostu bramy nie otworzył. Po pół godzinie auto ruszyło, ja czekałem pod bramą, wszedłem do auta. Powiedziałem ppor. G. dzień dobry, ale bez podania ręki, zająłem miejsce. Przed bramą p. Georgescu stanęliśmy. Wysiadłem z auta, by się przywitać z p. G., ale ppor. G. nie ruszył się z miejsca. Odstąpiwszy swoje miejsce, usiadłem przy szoferze. W drodze nie rozmawiałem z ppor. Na miejscu w Campulungu po jakiejś pół godzinie, ppor. G. zrobił pierwszą awanturę, by Kutnik śpieszył się z zakupami, krzyczał podniesionym głosem, wymachując rękami. Zwróciłem mu uwagę, żeby rozmawiał bez gestów rąk i że ja o godz. 11-tej chcę iść do mjr. Dinescu. Stojąc po przeciwnej stronie ulicy nie chciałem siedzieć w aucie z ppor. G. Podszedł do mnie p. Pawłowski, uprzednio się przedstawivszy, i pytał o powody awantury z ppor. G. O 11-tej Kutnik skończył sprawunki, pojechaliliśmy w rejon sklepu, gdzie Kutnik miał zamiar poczynić dalsze, ja zaś wyszedłem z wozu, chciałem pójść i wyczyścić trzewiki (dla pozorów). Na to podporucznik podniesionym głosem powiada — jedziemy do Legiune. Ja odpowiadam — nie teraz — i zwracam się do Kutnika, żeby nie jechał. Podporucznik wrzeszczy, Kutnik odpowiada, że on tylko mnie może słuchać, na to pod-

porucznik krzyczy, że on tu jest komendantem i tylko jego ma słuchać i każe jechać. Ludzie przystają na ulicy i patrzą na tę awanturę. Kutnik wychodzi, twarz ma zmienioną, otwiera drzwi, chcąc zbliżyć się i rozprawić z ppor. G. Zobaczywszy tak strasznie zmienioną twarz Kutnika, szybko wsiałam do wozu i krzyczę — panie Kutnik, jedziemy. Kutnik momentalnie się opanował i usiadł przy kierownicy. W komendzie żandarmerii początkowo nie zastaliśmy majora, siedzieliśmy w pokoju kpt. Triffina, który po chwili wyszedł, zostawiając nas samych. Podporucznik zaczyna rozmowę i pyta, co ja mam zamiar poruszyć w rozmowie z mjr. D. Na to mu odpowiadam, że to sprawa moja. Bo ja, ciągnie dalej podporucznik, o wczorajszym zapomniałem i proszę, by pan pułkownik też zapomniął. Na to ja mówię — a dzisiejsze incydenty? Wtedy podporucznik powiada — musicie panowie pamiętać, że jesteście w Rumunii, a nie w Polsce i my tu dyktujemy rozkazy. Odpowiedziałem, że jesteśmy w Rumunii, to wiem, a że dyktujecie rozkazy, to wczorajszy i dzisiejszy dzień uprzytomniły mi to. Dalej powiadam mu, jak wyglądał on wczoraj bez bluzy w swetrze, powiedzmy, nieubrany wydawał rozkazy. Wtedy on chwyta czapkę swoją i powiada — to jest oznaka służby. Na co ja mu odpowiadam, że u nas wchodząc do mieszkania oficer zostawia czapkę w przedpokoju. Jeszcze na placu targowym widziałem się z panią Vasiliu, która mi zakomunikowała o wyjeździe Najsarka. Prosiłem ją, by powiedziała doktorowi, że jestem tutaj i żeby się ze mną zobaczył. Oddałem jej list i gazety dla doktora. Przyszedł doktor, pogwarzyliśmy trochę, później on rozmawiał z ppor. G., po czym — jak mi tłumaczył — nie ma sensu uskarżać się przed mjr. D., to do niczego nie doprowadzi. Powiedziałem dr. Vasiliu, że mam polecenia Marszałka, po wtóre ta grubiańska awantura, którą tu niedawno zrobił, zmusza mnie do rozmowy. Przyszedł mjr. D., któremu zakomunikowałem, że do wczoraj mieliśmy przyjazne stosunki z ppor. G., które nagle przez zemstę zostały zerwane i proszę go o pozwolenie dla p. Georgescu celem kontynuowania lekcji, o pozwolenie, by Pan Marszałek na spacerze w towarzystwie żandarma miał prawo i możliwość rysowania oraz by w ciągu dnia służba nasza miała prawo wychodzenia po sprawunki. Na co major odpowiada — do czasu otrzymania odpowiedzi z Bukaresztu, o co się zwrócę, udzielam tymczasowo zezwolenia dla pani Georgescu. O pozwolenie na malowanie się zwrócę. Zapytuje ppor. G., jak to ze służbą. Ten tłumaczy, że brama tylko na noc jest zamknięta i że szofer i służba nasza po nocy chodzi do miasteczka. Przerwałem mu tę wypowiedź i powiedziałem, że podporucznik kłamie, bo nikt z naszej służby by w nocy nie wychodził z domu. Ppor.

G. schował to do kieszeni i major przeszedł nad tym również do porządku dziennego. Zapytałem również, czy ppor. G. w mojej obecności ma prawo wydawać polecenia szoferowi, opisując ostatnie zajście, na co mjr D. udzielił podporucznikowi pouczenia, że polecenie w naszej obecności (mojej czy majora) szofer może wykonywać tylko nasze. Podziękowałem mjr. D. i wyszedłem. Przed wyjściem zwrócił się do mnie z tym, że zapewne stosunki wrócą do dawnego stanu i będą najlepsze. Rozmawiałem po tym na osobności chwilę z ppor. G. W drodze pyta mnie ppor. G., czy nie żałuję tej rozmowy. Przekonałem go, że nie, bo swoje osiągnąłem chwilowo i nie potrzebuję być zależnym od pańskiego humoru. Jednak będę miał lekcję z panią Georgescu, na co on powiada, że nie. Wtedy ja zwracam się do Kutnika, by zawracał, chcę wrócić i ponownie mówić z mjr. D., bo ppor. G. najwyraźniej nie zrozumiał. Ppor. G. prosi, bym nie zawracał, że widocznie tak jest, tylko pewnie on nie zrozumiał. Po jakimś krótkim postoju, bo Kutnik załatwiał jeszcze jakieś sprawunki, po przyjeździe pani Georgescu ruszyliśmy w drogę, po czym w drodze ppor. G. chcąc Kutnikowi przyjść z pomocą przy zamykaniu drzwi, przytrzasnął mu palec. Powróciwszy do domu zameldowałem Panu o całej sprawie. Po południu przyszła pani Georgescu, która powiedziała, że ppor. G. prosił o przebaczenie, na co mjr D. nie zgodził się, dając mu do zrozumienia, że życzy sobie, aby stosunki i zachowanie się jego były takie jak poprzednio. Po lekcji wyszedłem przed dom na przechadzkę, unikając ppor. G., który tutaj się kręcił. Wreszcie podporucznik służbowo podszedł do mnie i prosił mnie o darowanie mu jego postępowania, motywując to swoim zdenerwowaniem, wspominając o jakimś liście, który go w takie usposobienie wprowadził, zaznaczając, że przez tych parę dni, jakie prawdopodobnie mu pozostały (liczy na zdemobilizowanie) będzie się starał być zawsze bardzo usługowym i ludzkim, jakim był dotąd i prosi o zapomnienie. Odpowiedziałem mu, że się nie gniewam, przyjmuję przeproszenie, ale zapomnieć tego nie mogę. Przy czym zakomunikowałem mu, że gdybym przypuszczał, że tą rozmową w kuchni tak bardzo będzie się czuł dotknięty, w tej chwili sam bym go przeprosił. Wtedy ppor. G. powiada, że chciałby jeszcze przeprosić Pana Marszałka, bo nie będzie miał nocy spokojnej, że już dwukrotnie prosił o przyjęcie, ale Pan Marszałek go nie chce przyjąć. Powiedziałem, że zaraz Pana Marszałka o przyjęcie poproszę. Pan długo się zastanawiał, ale zdecydował się na przyjęcie. Podporucznik przeprosił Marszałka. Wieczorem Pan zaprosił go na kolację i tak jakoś została sprawa załatwiona.

Wczoraj prasa podawała dwie wersje spotkania w Bremie.

Pierwsza to zastanowienie się nad dalszymi metodami walki z Anglią, druga rozpatrzenie propozycji pokojowych, które Anglia za pośrednictwem p. Summery złożyła. Oczywiście, że tej drugiej wersji wiary dać nie można. Komunikat polit. niem. dzisiaj powiada, że Duce i Hitler zastanawiali się nad tym, by kolosa imperialnego, stojącego tylko na glinianych nogach, tak powalić, by nigdy się już nie dźwignął. Widać rozzarowani są zmianą gabinetu, nie takiego składu oczekiwali.

Dwie sprawy są, które mnie podtrzymują na duchu, to wiara w Twoją siłę, nie tę fizyczną, ale duchową, no i że jest koło Ciebie gromadka ludzi, która się Tobą zaopiekuje i nie da Ci krzywdy zrobić. Cieplak, o którym wspomniałem, był anonserem polskiej godziny radiowej w Hartford. W związku z listem Cieplaka podaję. Otóż kiedyś w gazetach, które mieliśmy z USA, znalazłem jego artykuł, a potem pisząc do Bronowicza napisałem parę słów ostrych pod adresem Cieplaka, prosząc Bronowicza, by jeśli ma adres Cieplaka, to niech mu wyśle wycinek dotyczący jego osoby i artykułu. Bronowicz nie pytając mnie przesłał cały mój list do prasy amerykańskiej.

Sława oceniła naszego Kutnika doskonale. Rzeczywiście, jak rzadko kto zasługuje on na szacunek i uznanie. Wracając zaś do spraw jego, to proszę Cię, zrób tak, jak uważasz za najbardziej właściwe i pożyteczne. Co zaś się tyczy tego, że jak piszesz na jak pięknych ludzi wychował on swoją dzieciarnię. Jak wiem, to ma tylko jedną, jedyną córeczkę. Co zaś do niego, to on swój piękny charakter zawdzięcza swemu ojcu, który to na jednym stanowisku pracował lat pięćdziesiąt.

Pan prosił ks. Z., żeby przyjechał na 1.XI. i odprowadził nabożeństwo za spójność dusz śp. rodziców (Zaduszki), ale dotąd nie mamy odpowiedzi odnośnie zezwolenia. Już się zaczyna listopad. Jesień u nas w całej pełni. Złociście, żółto, deszcze i coraz chłodniej. Zimą tamtą mieliśmy bardzo ciężką, jakiej tutaj najstarsi ludzie nie pamiętają. Wiosna, a specjalnie lato, tak dżdżyste, że wpłynęło to na nieurodzaj owoców i wszelkiego rodzaju warzyw, a w dodatku osiem czy dziewięć trzęsień ziemi, które również tu były odczuwalne. Nie wiem, czy pocziwi i mili Dragoslavianie nie łączą tego z naszą obecnością i czy nie dlatego właśnie za każdy drobny tu nabyty chcieliby nas obdrzeć ze skóry. A sprawunków w związku z nadchodzącą zimą i na pewno ciężkim przednówkiem sporo. Kutnik biega, szuka kartofli, chce uszatковать i ukusić kapusty trochę, jak w ubiegłym roku, to znów szuka opału na zimę, ale ma wielkie trudności. Jedynie na bezruch to on nie może narzekać.

Jak u Ciebie Kochana? Czy masz zrobione już drugie drzwi, żeby znów do mieszkania śniegu nie nawiało i by Wam

woda nie zamarzała w mieszkaniu? A przecież Ty tak lubisz ciepło. A co tam Wam opowiadają na temat tego początku nowej wojny? Ostatnią wiadomość mieliśmy z Grecji od Mańkowskiego, a trochę wcześniej od służącego kpt. K., który tam był przetrzymywany, ale zwał donosząc, że po siedmiu dniach opuścił kraj grecki. Jeden z ostatnich transportów, skierowany do kraju pięknych perfum cyprowych, został wysadzony na ląd w Pireusie i nie mam pojęcia, co też się z tymi biedakami dzieje. Chcę Ci donieść, że czuję się tak fizycznie jak i duchowo (specjalnie) bardzo silnie.

List do mnie z 22. XI.

Dzięki wiadomościom zorientowany jestem co to za kawał drania ten delegat, ale wszędzie oni jednacy, niestety nie wszędzie płacą im pięknym za nadobne. Już właściwie należałoby się przyzwyczaić do tej drańskiej ich metody, którą oni wszędzie się posługują.

Ale widzisz, przypomniałem sobie, co Cię na pewno zdziwi i czym na pewno w Twoich oczach zyska tutejsza płeć piękna. Pomyśl, że żadna z tutejszych kobiet nie zarżnie kury i niczego z drobiu. Tę czynność wykonują tylko mężczyźni. I gdy tak się złoży, że w domu nie ma mężczyzny, to przechodzącego, nawet nieznanego mężczyznę, o tę czynność poprosi, a sama nigdy nie zabije. Bywa tak, że przed domem kładą drób i nóż obok. Ale ugotowanego kurczaka zjadają bez zająknięcia, nie tak jak ktoś, co taki drogi i kochany. Ty wiesz, o kim myślę. Z tym ptactwem domowym to „Henryk” nasz ma zajęcie, choć dzielnie sekunduje mu lis, który w biały dzień podchodzi pod nasz kurnik i jak dotąd, nie przesadzając, zabrał już 10 kur i pięknego indyka. Zezłiło to Kutnika i zaczyna sam je wykańczać. I nie myśl, że to jakiś dwunogi lis, nie, prawdziwy lis, najprawdziwszy. W poniedziałek opuściła nas pani Nana, która tu dotąd siedziała. W niedzielę ma proces rozwodowy, a z tego powodu dużą treść. Miła to i bardzo gospodarna dziewczyna, tylko bardzo głupiutkie i biedne stworzenie, taka uboga krewna, sierotka. Pani Vasiliu „odgrażała się”, że nas tu odwiedzi, ale teraz to już chyba za chłodno na takie wycieczki ze względu na malutką, która trzyma się nadzwyczajnie na złość doktorowi, który był przy jej urodzeniu.

Początek grudnia 40r. Dochodziła do nas wiadomość, że Emil Fieldorf jest po tamtej stronie barykady, ale na pewno tak nie jest. Taki jednak wydawano sąd w związku i z powodu nieodbytej rozmowy z historią. Myślę, że to co piszesz odnośnie Fieldorfa jest pewne i cieszę się bardzo. Dębowi Biernackiemu grozi sąd polowy i degradacja, ale czy też jeszcze żyje, trudno od-

gadnąć. W każdym bądź razie zemsta tych ludzi w stosunku do Dęba mogła być straszna.

Pilnuj Julka, żeby się otrząsnął od przyjaciół, (...) tylko Drymmera i żeby go jakaś przykrość z ich strony nie spotkała. On ich nie zmieni i nie przekona, więc szkoda czasu.

Pani Marta, żona Marszałka, odnalazła swoją siostrę. Jest po tamtej stronie i bez żadnych wieści o swym mężu, a musisz wiedzieć, że stracili oni jednego syna, a drugi pozostał bez nogi.

Co się tam u was mówi o makaroniarzach, coś im ta chwała nosem wychodzi. Kiedyś się o nich mówiło, że zostali stworzeni, by Austriacy mieli kogo kropić. Ci się skończyli, to znaleźli się inni co ich kropią. Teraz nie pozostało nic innego jak mówić, czy w dwa czy w dwanaście miesięcy, przecież nawet dziecko, co to makaron dopiero zaczyna wsuwać, zdaje sobie sprawę, że to nie jest wszystko jedną i że nie jest dobrze.

Zygmunt WENDA

SYLWETKI

Teresa TORAŃSKA

ROZMOWA Z WIKTOREM KULERSKIM

— *Jak to właściwie miało być?*

— *Kiedy?*

— *No, po 4 czerwca 1989.*

— Jeśli mam szczerze odpowiedzieć, to po prostu nigdy nie myślałem o przyszłości. Nie chciałem myśleć. Tak ustawiłem się psychicznie. Byłem bowiem przekonany, że moje pokolenie, a być może i następne, dokonają żywota w czasach komunistycznych.

— *Ja również.*

— Teraz także unikam zastanawiania się nad przyszłością. Być może z nawyku, a być może świadomie, ponieważ mam dojmujące przekonanie, że nasze społeczeństwo zostało straszliwie wyniszczone i zmienione, z czego my do końca chyba nie zdajemy sobie sprawy. Przerwana została jego ciągłość historyczna. Jest to inny naród niż był przed I rozbiorem Polski, czy nawet w czasie zaborów. Tamten skończył się w Powstaniu Warszawskim, kiedy zginęły ostatnie jego zagony.

— *Gorszy?*

— Nie chciałbym wartościować. Pod pewnymi względami znacznie gorszy, pod innymi, daj Boże, lepszy. O czym myślę?

O tym, że przez ostatnie 200 lat przechodziliśmy eksterminację, jak nazywam, selektywną. Osobniki biologiczne określonego typu szły do powstań, na zsyłkę, na emigrację, do piachu. Jest niemożliwością, żeby nie pozostawiło to głębokiego śladu na każdej z populacji. Wiadomo przecież, jak zmienili się Czesi po klęsce pod Białą Górą, kiedy przy życiu ostał się tylko jeden szlachecki ród. Myślę zresztą nie tylko o wpływie bezpośrednim, bardziej o pośrednim. W Polsce odchodzili najczęściej mężczyźni w wieku produkcyjnym, zostawiali dzieci, ich żony spełniały podwójną rolę: matki i ojca, ich córki w dojrzałym życiu powieły tę postawę, a chłopcy nie mając wzorca mężczyzny w domu i biologicznie odrzucając wzorzec kobiety, żyli w przedłużonym infantyлизmie. I trwało to tak przez pokolenia. A co z kolei stało się w ostatnich 50-ciu latach? Najpierw hitlerowcy wyróżnili, a potem komuniści w latach 1945–53 dorznięli resztki dawnego narodu, dawnego społeczeństwa. Tych, co wracali z emigracji i tych, co pozostali z AK. Dobijano głównie młodych ludzi, którzy próbowali przeciwstawić się komunistycznemu podbojowi. Dobijano albo fizycznie, albo psychicznie, dając im w kość, przez co uciekali w prywatność nie chcąc o niczym wiedzieć ani o niczym słyszeć. Pojawił się przez to element w naszej tradycji poprzednio nieznany. Rodzice przestali przekazywać wzorzec postawy obywatelskiej i wiedzę o naszej tradycji, przeszłości, historii. Mój ojciec na temat swoich doświadczeń zaczął ze mną rozmawiać dopiero wówczas, kiedy znalazłem się w opozycji, a więc dopiero w latach 1976–81, a naprawdę mówić o sobie zaczął, kiedy wyszedłem z podziemia. Ludzie dorośli nie chcieli przekazywać swoich bolesnych doświadczeń, bo się bali, żeby z młodym pokoleniem nie stało się to samo co z nimi. Bo jakie to były doświadczenia? Mój dziadek, wydawca *Gazety Grudziądzkiej* i polski poseł do Parlamentu Rzeszy Niemieckiej, później senator II Rzeczypospolitej, siedział w trzech więzieniach: w Czulchowie, Plotzensee i Moabie, gdzie zresztą napisał dla młodzieży popularne „Dzieje Narodu Polskiego”. Mój ojciec, działacz PSL i członek Rady Narodowej na Uchodźstwie, w dwóch. Pierwszy raz został skazany przed wojną, w 1939 r. w II Rzeczypospolitej, drugi raz po wojnie, w PRL, na 12 lat więzienia, z czego odsiedział 7 lat. O czym więc mieli mi prawić? O wybijaniu się na niepodległość i demokrację, czy też o tym, co z tą niepodległością i demokracją zrobiliśmy? A może o cenie, jaką się płaci za niepokorność i wolność? Po drugiej wojnie światowej zaczęła się w Polsce formować zupełnie nowa warstwa społeczna, ni to średnia, ni to inteligencka.

— *Inteligencja pracująca.*

— Ta pozał się Boże, w porównaniu z dawną przedwojenną, jest ćwierć-średnia i ćwierć-inteligencka. Jakiś *ersatz*, coś zastępczego, co miało zapłacić opróżnione pola po dawnych przedsiębiorcach, kupcach, fabrykantach, bankierach oraz po dawnych inteligentach, nauczycielach, lekarzach, adwokatach, klerkach rozmaitych szczebli. Zastąpić zaś nie mogła, bo tamta formowała się przez wieki, a tę kształtowano w oderwaniu od korzeni i tradycji, na zasadzie wyciągania ludzi z niższych warstw społecznych

— *w ramach społecznego awansu*

— i wychowywano w warunkach systemu komunistycznego, gospodarki państwowej, scentralizowanej, nakazowo-rozdziałowej. Niewątpliwie więc mamy do czynienia z innym społeczeństwem.

— *Ale jakim?*

— Nie chcę oceniać, naprawdę, nie wiem zresztą, jakie przyjąć punkty odniesienia, w relacji do czego uznać, że jedne cechy są lepsze, a inne gorsze. Prawdopodobnie jest niesłychanie splebeizowane (daj Boże, żeby nie zlumpenproletaryzowane), o czym świadczy popularność takich polityków jak Tymiński, Wałęsa czy Kuroń — plebejskich w zachowaniu, aparycji, w sposobie mówienia — a nie Balcerowicza czy Geremka. Ale nie wiem, nie chcę być stronnicy. Mogę tylko powiedzieć, że w obecnym społeczeństwie — gdybyśmy porównywali je do dawnego, wychowanego w dużej mierze w szlachecko-ziemiańskich tradycjach — wykształciły się niewątpliwie pewne zachowania pozytywne. Na przykład ostatnie jesienne wybory do parlamentu pokazały rzecz, której nie spodziewałem się, która mnie zaskoczyła, że w gruncie rzeczy hasła rasistowskie i antysemickie w skali społecznej nie odgrywają żadnej roli. Uprawiają je niewielkie grupy, które słyszy się, bo są głośne, ale hasła te nie znajdują poparcia w odbiorze społecznym. Także uprzedzenia — najłagodniej mówiąc — do Niemców z jednej strony i do Rosjan z drugiej nie są aż tak silne jak w poprzednich pokoleniach i występują na mniejszą skalę. Zauważyłem też, iż młode pokolenie chce się odciąć od garbów, jakie niosło starsze, od jego ksenofobii, nienawiści, jest bardziej otwarte na świat. To wszystko.

— *Zaraz, zaraz, nauczyciele. Jacy są obecnie nauczyciele? To chyba pan może ocenić.*

— Mogę. Sądzę, że z całą odpowiedzialnością, bo miałem do-

stateczne pole obserwacji, funkcjonując w zawodzie nauczycielskim 22 lata. Zaczynałem pracę wśród nauczycieli wykształconych i wychowanych w latach międzywojennych, więc mam także porównanie. Obecni nauczyciele, wychowawcy młodzieży absolutnie nie dorównują tym sprzed wojny ani formatem intelektualnym, ani charakterem. To obecnie zgłajchszaltowana klasa, zupełnie pozbawiona indywidualności, w której dominują takie cechy, jak brak inicjatywy, brak krytycyzmu, brak samodzielności myślenia. Jest to warstwa dotknięta dużą siłą inercji i dużą siłą bezwładu. Należy się cieszyć, że młodzież — m.in. dzięki środkom masowego przekazu — w niewielkim stopniu ulega jej wpływom.

— Z badań Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych: 0,3 % nauczycieli chodzi do teatru, 0,4 % do kina.

— Powiem brutalnie: nie przywiązuję większej wagi do tradycyjnych wartości, które u nas wysuwa się na pierwszy plan: do kultury, czy etyki. Uważam, że podstawową rzeczą w człowieku jest poczucie własnej wartości, świadomość, że coś umie, potrafi skutecznie działać, że potrafi zarobić na życie, potrafi zrobić pieniądze. Bo widzi pani, jak człowiek ma pieniądze, wtedy zaczyna chcieć je wydawać i wydaje, także na kulturę, a to na książkę, a to na teatr, czy na malarstwo. Często ze snobizmu, zgadzam się, ale to dobry snobizm. To samo jest z etyką. Jak człowiek ma pieniądze, zaczyna przestrzegać reguł etyki. Bo postawę etyczną życie na nim wymusza. Kiedy ma dobrą pracę, zależy mu, by być dobrze ocenianym i stara się w niej utrzymać, nie chce jej utracić. Nie może więc oszukiwać, nie może łgać. Musi być punktualny, skrupulatny, musi przyzwyczajenie traktować ludzi. Do tego pojawia się jeszcze wtedy poczucie pewnej satysfakcji, żeby nie powiedzieć dumy z przynależności do określonej warstwy społecznej, grupy zawodowej, narodu. Nasi zaś nauczyciele są życiowo bierni, chcą by nimi sterowano, czy kierowano. Wykazują absolutną niezdolność do podejmowania decyzji, całkowite *desintéressement* dla życia publicznego kraju, politycznego, również społecznego, które nie przynosi natychmiastowych realnych korzyści w postaci pieniędzy. Do tego jest w nich jakiś absurdalny bezkrytycyzm wobec słowa pisanego, czy pochodzącego ze środków masowego przekazu. Nauczyciele ci tak zostali uformowani i tak, niestety, formują młodzież. Jest to model wychowania, który odziedziczyliśmy po prawie pół wieku komunizmu.

— I żeby go zmienić potrzeba ilu lat?

— Żeby wyszkolić nauczyciela — co najmniej trzy lata. Żeby on zużytkował swoją wiedzę w szkole średniej — kolejne cztery lata. Efektów więc można się spodziewać dopiero po latach siedmiu. Kiedy przyszedłem do Ministerstwa Edukacji Narodowej, przekonałem się jednak, że u nas elity sprawujące władzę, sternicy naszej nawy państwowej, zapatrzeni w taktyczne zadania, nie dostrzegają tych świadomościowych przeszkód, które są barierami w wymiarze strategicznym. Miałem też przekonanie, że jeśli nie zostaną one w porę dostrzeżone, zdefiniowane i przełamane, polityka rządu (nawet po chwilowych sukcesach taktycznych) musi w sferze gospodarki także ponieść klęskę. Założyłem, że są trzy podstawowe bariery (choć jest ich więcej), które powinienem przełamać. Pierwsza — najważniejsza, bo wychowawcza: bierność. Najbardziej charakterystyczną bowiem cechą przekazywaną dzisiaj młodzieży przez szkołę jest bierność. Eliminowanie krytycyzmu, samodzielności myślenia, niezależności sądów, wyczekiwanie, by ktoś pokierował ich losem.

Druga bariera — natury raczej dydaktycznej. Szkoła nie przygotowuje młodzieży do życia w ustroju demokratycznym. Nie daje minimum informacji o tym, jak funkcjonuje, poczynając od najniższych szczebli — gmin, a na parlamencie kończąc, nie uczy, czym jest samorząd, demokratyczne wybory. Młodzież nic nie wie o wolnym rynku, co to jest bank, kredyt, przedsiębiorstwo. Nie rozumie, dlaczego w różnych sklepach są różne ceny, dlaczego fachowiec o tym samym przygotowaniu i podobnym stażu pracy zarabia na Zachodzie inaczej nie tylko w dwóch różnych zakładach, ale nawet w tym samym. Opuszcza szkołę i jest wzburzona, zdeorientowana i zagubiona, nie umie się odnaleźć w nowej rzeczywistości, w tej nowej geografii. Młodzi ludzie będą więc tracić mnóstwo energii i czasu, żeby zrozumieć o co chodzi, będą działać nieskutecznie i często ponosić porażki z powodu własnej niewiedzy, co dodatkowo powiększy ich frustrację. Otóż my nie mamy nie tylko podręczników, które by to minimum wiedzy im gwarantowały, bo te które są, są marne, ale i nauczycieli, przygotowujących ich do życia obywatelskiego, w gospodarce wolnorynkowej, w systemie demokratycznym.

Trzecia bariera to rozpaczliwa nieznajomość języków zachodnich. Ktoś przyjeżdża i chce rozmawiać — nie ma z kim. Przyjeżdżają — powiedzmy — do zakładu pracy instruktorzy, żeby przeszkolić naszych ludzi w obsłudze nowych maszyn i co? Z tłumaczem mają się porozumiewać? To żaden interes, naprawdę. Zadzwoni ktoś z Europy, a zadzwoni, bo przecież wchodzimy we współpracę międzynarodową, i sekretarka nie mo-

że się z nim porozumieć, bo nie zna ani angielskiego, ani francuskiego, żadnego języka, mało — ona nawet nie umie obsługiwać komputera. Kiedy przyszedłem do ministerstwa, we wszystkich polskich szkołach było 18 tys. nauczycieli języka rosyjskiego i 1,5 tysiąca nauczycieli wszystkich języków zachodnich. Na ok. 27 tys. szkół.

— *Ale wy do Ministerstwa Finansów wystąpiliście o przydzielenie 26 tysięcy etatów dla katechetów, prawda?*

— Proszę pani, sprawę stosunków państwo-Kościół potraktujemy jako oddzielny rozdział tej rozmowy, dobrze? Więc kiedy rozpocząłem swoją działalność w ministerstwie przyjąłem, że najważniejsze do pokonania są te trzy bariery, a z tych trzech najmniej trudna, ze względów praktycznych, jest do przełamania trzecia — bariera językowa, ponieważ mogłem liczyć na pomoc Zachodu. Moją ideą fixe stało się powołanie w Polsce trzyletnich zakładów kształcenia nauczycieli języków obcych: francuskiego, angielskiego i niemieckiego. Zakładów całkowicie tworzonych przez państwa zachodnie, do których my byśmy dawali bazę materialną, czyli budynek z podstawowym wyposażeniem i obsługą administracyjną, a oni — program organizacyjny, programy nauczania, kadrę nauczycielską i wyposażenie specjalistyczne. O co mi chodziło? Żeby ci przyszli nauczyciele po trzech latach studiów byli nie tylko specjalistami od nauczania języka, ale żeby przez te trzy lata zanurzyli się w środowisko niepolskie. Żeby młodzi ludzie po szkole średniej, bo dla nich je głównie projektowałem, pofunkcjonowali trochę wśród Amerykanów, Anglików, Francuzów, Niemców. Liczyłem, iż przebywając w obcym środowisku zmienia mentalność, pozbędą się kompleksów, z których wynika m.in. potrzeba kompensacji, oraz szeregu polskich garbów, choćby takiego jak dominacji personalizmu w myśleniu i w rozmowie. U nas bowiem nie jest ważne, czy prezentowany pomysł jest dobry czy zły, ale kto go postawił i jeśli nie ja — lepiej go skrytykować, a najlepiej utracić, bo wtedy dam dowód, że jestem lepszy, czego w ogóle nie ma na Zachodzie. Otóż nie udało się tego zrobić.

— *Zachód nie dał pieniędzy?*

— O nie, Zachód dawał, ale my nie chcieliśmy. Dlaczego, za chwilę.

Kontynuacją tego pierwszego pomysłu było stworzenie w Polsce uniwersytetu zachodniego. Chciałem mieć jeden uniwersytet amerykański i jeden zachodnioeuropejski, z pięcioletnim cyklem nauczania. I znowu: my byśmy dali bazę — teren, budy-

nek, a oni resztę. I znowu, o co mi chodziło, żeby młodzież wychowywana była w innym klimacie, nie przez naszych nauczycieli. Tego także się nie udało zrobić. Pierwszy pomysł został zrealizowany połowicznie: powstały trzyletnie zakłady kształcenia nauczycieli języków zachodnich, ale w oparciu o polską kadrę z polskich uniwersytetów, uzupełnioną przez kadrę z Zachodu, a więc absolutnie nie to, o co mi chodziło, zaś koncepcja powołania amerykańskiego czy zachodnioeuropejskiego uniwersytetu nie została wprawdzie kompletnie zarzucona, ale nie znalazła jakiegokolwiek poparcia ani wśród ekip decyzyjnych: rządowych czy resortowych, ani wśród polskich intelektualistów. I teraz dlaczego. Najbrutalniej mówiąc dlatego, że nasze środowiska intelektualne i nasza pedagogiczna kadra poczuły się tymi pomysłami zagrożone. To wszystko.

— *Chodziło o stanowiska?*

— Także, bo to przecież przyjemnie zostać dyrektorem lub kierownikiem w nowym zakładzie, albo mieć w nim możliwość dorobienia dodatkowych pieniędzy do biednej uniwersyteckiej pensji. To jednak tylko część prawdy, tej taktycznej, ja bym jej nie upraszczał. Sądzę, że wiele elementów zagrało. Myślę, że po pierwsze: decydenci nie widzą, szczerze nie widzą, potrzeby powołania w Polsce takich placówek, a wynika to — moim zdaniem — z tego, że ludzie nie chcą i psychicznie nie są w stanie uświadomić sobie rozmiaru spustoszeń, które w społeczeństwie i w nich samych dokonały minione lata, nie chcą poznać ani rozległości choroby, która ich dotknęła, ani głębokości, z jaką wdarła się w ich organizm. Bo gdyby to sobie uświadomili, nastąpiłoby w nich silne zachwianie poczucia własnej wartości i wartości pokolenia, do którego należą. Z taką świadomością byłoby im znacznie trudniej żyć, po prostu. To pierwszy element, który funkcjonuje jako naturalna samoobrona biologiczna u wszystkich — od ludzi z warstw najniższych do elit naszego kraju. Drugi element: takie uświadomienie niesłoby w konsekwencji konieczność przyjęcia postawy skromności, pewnej pokory, do czego nie jesteśmy zdolni, z historycznych — według mnie — przyczyn. Pogardę — z jaką się spotykaliśmy ze strony zaborców, najeźdźców, faszystów, nazistów, komunistów; poczucie, że posiadamy status obywateli drugiej kategorii — myśmy wyrównywali narodową dumą, która przeradzała się często w megalomanię narodową oraz w potrzeby odgrywania się na innych. Kiedy rzuciłem ten pomysł, pytano mnie: a co, polskie uniwersytety są złe? polscy naukowcy niedobrzy?

— *W ministerstwie?*

— Też. Przecież ministrami są absolwenci naszych uniwersytetów, prześląknęci kompleksami i potrzebą ich kompensacji, którzy często dowartościowują się tym, że mają wykłady na uniwersytetach zachodnich. I co? I oni nagle mają sobie organizować coś, co będzie zagrażało ich pozycji? To trzeci element: totalny lęk przed konkurencją. Według mnie przez większość nieuświadamiany. Lęk, że powstaną placówki, na które nie będziemy mieli żadnego wpływu, w których rządzić będą jacyś ludzie z zewnątrz

— *niezweryfikowani*

— wolni i niezależni. Oni będą mieli więcej od nas pieniędzy, do nich pójda najlepsi młodzi ludzie, bo mimo naszej megalomanii tkwi w nas kompleks niższości wobec Zachodu, więc wielu będzie wołało skończyć uniwersytet zagraniczny niż polski. W tej sytuacji każdy albo prawie każdy profesor w Polsce musi sobie zadać pytanie: jak ja przy tej konkurencji wypadnę, jak wypadnie mój zakład? Wszyscy przecież będą porównywać, a więc będę musiał brać udział w ciągłej rywalizacji, której wynik, jeśli będzie dla mnie niekorzystny, zmieni moją pozycję zawodową. Taki stan zagrożenia konkurencją jest bardzo stresujący, prawda?

Czwarty element, który psychologicznie powiązany jest z poprzednimi: nawet najświatlejsi ludzie w Polsce, z którymi miałem do czynienia, dotknięci są pewną — jak nazywam — ksenofobią, wypływającą z zaściankowości. Naukowcy amerykańscy na przykład — według mojego doświadczenia — spotykają się z pewnym lekceważeniem ze strony naukowców polskich. Wynika to — moim zdaniem — z tego, że Amerykanie pragmatycznie nastawieni są na sukces. Być może intelektualiści europejscy reprezentują więc wyższy niż Amerykanie potencjał intelektualny i erudycyjny, ale z pewnością Amerykanie potrafią go skuteczniej wykorzystać, są lepiej zorganizowani. Wiem jedno: jeśli umawiam się z Amerykaninem na godzinę 11.15 i zaplanowane jest omówienie tematu w ciągu 15 minut, to siadamy o godzinie 11.15 i o godzinie 11.30 temat jest omówiony, wnioski wyciągnięte i każdy wie co ma robić. Na podobne spotkanie z Europejczykiem potrzebuję już pół godziny, a na spotkanie z Polakiem dwie godziny.

— *Bo się spóźni godzinę?*

— Nie. Ale Europejczyk musi opowiedzieć o całym podłożu filozoficznym sprawy, choć dla praktycznego rozeznania nie ma ono żadnego znaczenia, a Polak musi do tego dorzucić jeszcze

swój życiorys i trochę historycznej martyrologii. Z tych powodów Polakom ogromnie trudno zrozumieć realia zachodnie, zwłaszcza amerykańskie, i przez to powstała sytuacja, że — owszem — chcemy pomocy amerykańskiej, ale wyłącznie w formie przez nas wymyślonej, której Amerykanie często nie akceptują, uważając, że jest to marnotrawienie tej pomocy. Rozpoczyna się dyskusja i z własnych doświadczeń wiem, że łatwiej jest wtedy dogadać się z ludźmi z Zachodu aniżeli z Polakami. W Polakach bowiem natychmiast ujawniają się przedziwne ambicje postawienia na swoim, których źródłem są oczywiście kompleksy, a motorem różne lęki.

— *Ale pan też przyczynił się do ich pogłębienia, bo urzędowanie w ministerstwie zaczęliście od weryfikacji.*

— Czyli temat weryfikacja?

— *Tak.*

— Bardzo dla mnie interesujący. Będą pytania, czy mam podać swoje stanowisko?

— *Najpierw stanowisko.*

— Powiem tak: w ministerstwie, podobnie jak w sejmie, należałem do jednych z najbardziej zdecydowanych oponentów dekomunizacji i weryfikacji. Uważam, że ludzi, którzy tylko funkcjonowali w tym systemie, a był on jaki był, którym nie udowodniono żadnych przestępstw, którzy nie robili nikomu krzywdy, nie działali świadomie przeciwko dobru ani publicznemu ani pojedynczego człowieka, którzy wykazali minimum przyzwoitości, czyli nie byli nieprzyzwoicie bezinteresowni, ale co najwyżej w sytuacji przymusu, na przykład zagrożeni utratą pracy, że ludzi tych należy zostawić w spokoju.

Konkretny przypadek. Został mi przysłany pakiet dokumentów osobistych funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa, w których znajdował się: jego dowód osobisty z wstemplowanym miejscem pracy czyli Ministerstwem Edukacji Narodowej, jego legitymacja służbowa, wystawiona także przez moje ministerstwo, określająca jego dość wysokie stanowisko w tymże ministerstwie oraz jego legitymacja służbowa jako funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. Zażądałem sprawdzenia, czy taki człowiek u nas pracował. Nie było śladu. Zażądałem sprawdzenia, czy jego nazwisko pojawiała się na naszych listach płac. Nie było śladu. Ja jednak miałem w ręku dokumenty podpisane przez mojego pracownika. Poprosiłem go do siebie. Spytałem, czy

w ministerstwie wystawiane były jakieś dokumenty ludziom, którzy w nim faktycznie nie pracowali. Zaprzeczył. Jeszcze raz wszystko sprawdziłem i poprosiłem go powtórnie. Spytałem, czy kiedykolwiek on sam podpisywał jakikolwiek dokument pracowniczy człowiekowi, który w ministerstwie nie pracował. Oczywiście zaprzeczył. Przemyślałem sprawę i wezwałem go na trzecią rozmowę. Zakryłem wszystkie informacje o tych dokumentach, zostawiając tylko okienko, żeby widoczny był jego podpis i pokazałem mu. Zapytałem, czy to jest jego podpis. W pierwszym momencie zaprzeczył. Później zastanowił się i powiedział: wie pan, to chyba rzeczywiście mój podpis. Podziękowałem i więcej wyjaśnień nie żądałem. Wyszedł. Po chwili wrócił. Powiedział: proszę pana, ja panu wszystko powiem. I powiedział: mniej więcej raz w roku, kiedy trzeba było przedłużać ważność legitymacji służbowych, zjawiał się w ministerstwie wyższy funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa z całym plikiem legitymacji i dowodów osobistych. Przychodził do niego, czyli pracownika, do którego obowiązków należało wystawianie takich dokumentów i żądał podstemplowania ich i podpisania. Pracownik nie wiedział o kogo chodzi, bo dokumenty te albo były czyste i pracownik podpisywał je *in blanco*, albo nazwiska w nich funkcjonariusz SB zakrywał, jak ja to zrobiłem. Procedura była uzgodniona z ministrem oświaty i pracownik, gdyby odmówił wykonania tych czynności, musiałby pożegnać się z karierą w ministerstwie.

— *Urzędnik kancelarii naszego już prezydenta, Lecha Wałęsy, co ujawnił burmistrz Warszawy-Śródmieście, też przychodził do Urzędu i żądał wydania mu praw jazdy in blanco.*

— Tak, bo podobnie funkcjonowało to we wszystkich instytucjach państwowych. Funkcjonowało przez 45 lat. Mój pracownik powiedział: nie mogłem nie podpisywać, podpisywanie należało do moich obowiązków i nie chodziło tylko o to, że przychodzili do mnie funkcjonariusze SB, ja miałem także polecenie swego ministra i nie mogłem się jemu nie podporządkować. Pytam, czy powinienem był tego pracownika wyrzucić?

— *Nie.*

— Uważałem podobnie. I on został.

Inny przypadek. Otrzymałem donos na swego pracownika, który poprzednio pracował na jednej z wyższych uczelni. Już nie pamiętam, kto go do mnie przysłał, nie był jednak pismem indywidualnego obywatela, ale jakiejś struktury: albo NSZZ „Solidarność”, albo Komitetu Obywatelskiego. Żądano ode mnie,

bym pracownika tego wyrzucił z ministerstwa, ponieważ kiedy był strajk na tej uczelni w latach 80-tych, po Grudniu, to mój pracownik zawiadomił milicję. Zacząłem badać sprawę. Okazało się, że zajmował on na uczelni stanowisko, które zobowiązywało go do informowania władz o sytuacji, jaka w niej panuje. Zasięgnąłem opinii aktualnego rektora uczelni, zasięgnąłem opinii byłego rektora, zasięgnąłem opinii Związku Nauczycielstwa Polskiego i rady pracowniczej. Powiedzieli: ten człowiek spełniał swoją powinność i choć ta powinność była dla nas przykra, on musiał ją wykonać, bo taką miał funkcję.

— *Prawdopodobnie i teraz istnieje obowiązek zawiadamiania władz o strajku, w fabryce na przykład.*

— Tak jest. Również i tego człowieka nie zwolniłem.

Były jednak przypadki, w których podjąłem negatywne decyzje personalne. Dotyczyły one ludzi, którzy, jak zauważyłem, po szeregu doświadczeń, po szeregu prób, po wielu miesiącach współpracy, dalej mnie po prostu oszukują. Prowadzą własną politykę personalną, mianowicie forsują na stanowiska osoby na to nie zasługujące, czyli słabe merytorycznie, ale z nimi w jakiś sposób powiązane. Tendencyjnie dobierają współpracowników, którzy pomagają im w maskowaniu nieuczciwości, jakie występowały i występują w ministerstwie. Być może nie było to w nich — że tak powiem — zawinione do końca, być może tkwili tak głęboko w przeróżnych zależnościach, że musieli się wypłacać tym swoim konfratrom pewnymi koncesjami. Byli jednak ludźmi, na których urzędniczą uczciwość nie mogłem liczyć.

— *Ilu ich było?*

— W skali całego ministerstwa wymieniono może 10 % pracowników, w tym trzy czwarte dyrektorów departamentów. I nie od razu po przyjeździe, ale w przeciągu co najmniej kilku miesięcy, każdą bowiem decyzję personalną podejmowałem z dużym namysłem, z wielką ostrożnością, miałem przez to wielu wrogów, wielu przeciwników. Powiem jednak dzisiaj, z perspektywy ponad roku, że teraz każdą decyzję personalną podejmowałbym jeszcze ostrożniej, aniżeli wówczas. Z czego to wynika? Mianowicie z tego, że zaobserwowałem, iż w znaczącej części ludzi pewnych politycznie, a więc nie związanych z dawną władzą, ideowo antykomunistycznych, sprawdzonych w działalności opozycyjnej

— *naszych po prostu*

— właśnie, z nowego naboru, nowej fali, w znaczącej części tych ludzi natychmiast po objęciu stanowisk, nowych funkcji, nowych ról, zachodzą zmiany przerażające. Ja nawet to rozumiem.

— *Ja nie.*

— Rozumiem, bo po pierwsze: są to ludzie, którzy nie byli przyuczeni i przeszkoleni do funkcji, jakie przypadło im pełnić. W związku z tym mają poczucie nieudolności, braku przygotowania. Ono wywołuje lęki i obawy przed ujawnieniem tego. Po drugie: otoczeni są przez rutynowych urzędników niższych rangą, znających nie tylko swoją pracę i obowiązujące przepisy, ale również zaprawionych w grach personalnych. Wtedy mają do wyboru: albo postawić na wszystkich ludzi świeżych, pozmieniacz np. wszystkich dyrektorów szkół i zawalić — przepraszam bardzo za wyrażenie — robotę, albo w jakiś sposób zaufać starej kadrze i zacząć z nią współpracować. Innego wyjścia nie ma. Jeśli weźmiemy pod uwagę, co powiedziałem wcześniej, że ci ludzie są pełni lęku i obaw co do własnych umiejętności, że boją się zrobić fałszywy krok, że boją się wydać decyzję, z której potem będą musieli się wycofać albo ponieść jej konsekwencje, boją się podjąć decyzje finansowe, bo łączy się z nimi odpowiedzialność, są pełni strachu, że w końcu ujawni się ich niekompetencja i przez to grozi im pewne lekceważenie zarówno ze strony starej kadry, jak i ludzi, którzy powierzyli im te stanowiska, którzy na nich polegali, a których w rezultacie zawiedli — wytwarza się w nich bardzo poważna i skomplikowana sytuacja psychologiczna. Niestęchanie szybko stają się aroganccy, pod agresją kryjąc swoje lęki. Bezwzględnie potrzebują psychicznego oparcia, więc na ogół niezmiernie podatni są na otaczanie się gronem pochlebców i hochsztaplerów, wykorzystujących ich psychiczną sytuację, ogromnie są narażeni na uzależnienie od nich. Powstają przez to nowe koterie, nawzajem się wspierające i ludzie ci w błyskawicznym tempie, w ciągu paru miesięcy stają się kompletnie zdeformowani. W związku z tym, widząc co stało się z wieloma osobami, które awansowałem, widząc jak dalece się nie sprawdziły, teraz — mając do wyboru z dwojga złych rzeczy — zatrudnienie nowych: niekompetentnych, sfrustrowanych, rozwichrzonych, czy zostawienie starych, którzy przynajmniej potrafią zapewnić funkcjonowanie urzędu nie gorsze niż poprzednio, uważam, że mniejszym złem jest zostawienie starych. Mówię to zresztą nie tylko na podstawie własnych doświadczeń. W gminach, w samorządach gminnych, na stanowiskach wójtów, burmistrzów, prezy-

dentów miast, w województwach, wszędzie funkcjonuje ten sam mechanizm. Nie wolno więc zbyt radykalnie wartościować ani tej starej kadry, którą zastaliśmy, bo ona jest bardzo niejednolita, jej trzeba starannie się przyjrzeć i ocalić z niej wartościowych ludzi, ani arbitralnie bardzo wysoko oceniać wszystkich ludzi nowych, którzy poprzychodzili.

— *Ale braliście z prywatnego kalendarzyka, prawda?*

— Przyjmuję zarzut, że braliśmy z kalendarzyka i zadam pani pytanie: a skąd brać? Odpowiedzialnych, na których można polegać? Jak tych najlepszych wyselekcjonować i z kogo? Ja dopiero po roku intensywnych poszukiwań znalazłem rzecznika prasowego.

— *Choćby w drodze konkursu.*

— Konkursy będą teraz robione, bo jest to nakaz ustawy oświatowej, ale są one diabła warte, naprawdę. Dlaczego? Pierwsza bariera — finansowa. Wielu ludzi, których przyjąłem do ministerstwa, a którzy się jakoś sprawdzili — odeszło. Z bardzo prostej przyczyny. Proszę pana — powiedział mi jeden — ja mogę pracować dla ojczyzny rok, mogę pracować dwa lata, ale nie dłużej, bo w spółce polsko-zagranicznej czy w prywatnym przedsiębiorstwie w ciągu trzech dni zarobię tyle, co w ministerstwie przez miesiąc i mieszkanie, które mi obiecujecie po 10 latach kupię wtedy po dwóch. Każdy więc, kto posiada kwalifikacje, doświadczenie zawodowe, jakiś potencjał intelektualny, myślę o prawnikach, finansistach, ekonomistach, administratorach, a zwłaszcza o takich, którzy znają obcy język, odchodzi z instytucji państwowych. I nie zgłosi się na konkurs. A jakie są konkursy? Zrobiliśmy na kuratorów, na dyrektorów szkół i mogę pani przytoczyć cały szereg ich wyników, gdzie przeszli ludzie, którzy absolutnie nie powinni przejść. Konkretny przykład: był konkurs na kuratora, wziął w nim udział jeden z kandydatów, o którym sądziłem, że się nadaje, przy wszystkich wadach, jakie posiadał. Jest jakoś tam sfanatyzowany, mało tolerancyjny, trochę personalny w swojej polityce, zresztą z przeciwnego mi politycznie obozu.

— *ZChN-u?*

— No, nie aż tak, ale prawie.

— *Czyli PC.*

— Ale miał jedną niezwykle ważną cechę — inicjatywę i niezależność w podejmowaniu decyzji, czyli błędy, które by popełniał — popełniałby na własny rachunek. To rzadkie dzisiaj cechy, dlatego poparłem go. Zgłosił się na konkurs. Pada pierwsze pytanie: dlaczego chce pan zostać kuratorem? Mój kandydat odpowiada, szczerze: ja wcale nie chcę. I komisja, zamiast zadać mu kolejne pytanie: to po co startuje pan w konkursie, dzięki czemu uzyskałaby być może ciekawą odpowiedź, jego szczerłość potraktowała jako przejaw absolutnej arogancji, lekceważenie urzędu i wszystkiego co najgorsze. Tę postawę doskonale znałem ze szkoły. Kiedy mój uczeń, którego byłem wychowawcą, spóźnił się raz na lekcję i nauczycielka zapytała go: dlaczego, a on odpowiedział: proszę pani, bo zasnęłam, to nauczycielka z wymysłami wyrzuciła go z klasy, bo zachował się arogancko. Tłumaczyłem jej potem: proszę pani, wcale nie arogancko, on przecież powiedział prawdę, tylko prawdę.

Padło drugie pytanie: jak pan sobie wyobraża organizację pracy w kuratorium? Odpowiedź: tak, żebym nie był w nim potrzebny. Doskonała odpowiedź, bardzo przytomna. I to był gwóźdź do trumny. Komisja poczuła się dotknięta, zagrały urażone ambicje i wiele trudu mnie kosztowało, aby ją przekonać, że jednak właśnie ten człowiek powinien zostać kuratorem. Co jednak zdumiało mnie najbardziej? To, że przeciwko tej nominacji był wspaniały działacz z podziemia, bardzo wartościowy pracownik, taki *self-made man*, dla którego miałem przez lata współpracy konspiracyjnej najwyższy szacunek i nagle w nim także ujawnił się jakiś brak elastyczności, nieumiejętność oceny człowieka nietypowego, który zachowuje się nieszablonowo. Czyli jeden z polskich kompleksów, syndrom polskiej choroby, która draży to społeczeństwo od najniższych warstw.

— W panu jej nie ma?

— Na pewno też jest, aczkolwiek ja miałem w sobie dużo przeciwności, one nie zawsze jednak okazywały się dobre. Przebić nie mam, na przykład, ale to inna sprawa.

Drugi przypadek: zgłosił się kandydat, który przedstawił poparcie związków zawodowych, Porozumienie Centrum, czyli swojej partii politycznej, i samorządu. Proszę pana — powiedziałem mu — to jakieś nieporozumienie, nas nie interesuje, że pan ma poparcie partii, związków zawodowych i przewodniej siły kościoła świętego, matki naszej, pan pomylił epoki. Nie zrozumiał.

Konkursy więc są dobre, ale w fabryce, może na dyrektora ekonomicznego, gdzie łatwiej sprawdzić umiejętności zawodowe,

ale nie w tak nieprecyzyjnej dziedzinie, jaką jest pedagogika, jaką jest produkcja młodego człowieka, kiedy efekty są widoczne dopiero po kilku latach. I kiedy nie wiadomo, jacy ludzie powinni zasiadać w komisjach konkursowych, z kogo ją po prostu skompletować, jakie kryteria ocen wprowadzić dla kandydatów, jakie wymogi im stawiać.

— *A testy, jak na Zachodzie?*

— Ależ, proszę pani, gdyby je odwzorować, nikt by nie przeszedł, nikt. I nigdzie. Wymagają więc adaptacji do naszych warunków. Adaptacja zaś wymaga czasu, pieniędzy, ludzi, którzy to robią. I przełamania tradycyjnego myślenia, bo u nas — kiedy mowa o testach — od razu pojawia się złośliwy uśmieszek: testy? co tam testy! Więc jest to także sprawa przeskoczenia pewnego progu kulturowego, cywilizacyjnego.

— *Czyli pozostaje bolszewicka weryfikacja? Nowy minister edukacji przyszedł i zrobił, na trzy miesiące przed zakończeniem roku szkolnego.*

— Niestety, niestety, nowa weryfikacja była przerażająca. W pierwszej myśmy — w możliwie wysokim stopniu — starali się nie ulegać presji otoczenia, by ciąć radykalnie, choć dzisiaj uważam, że mimo wszystko była ona ostrzejsza, niż powinna być. Natomiast druga ten nasz błąd pogłębia. Uważam, że po pierwsze trzeba awansować dotychczasowych pracowników i to — kiedy byłem w ministerstwie — zaczęliśmy robić, ponieważ z mojego oglądu wiem, że znacznie lepiej sprawdzili się ludzie z nowego naboru, którzy nie przyszli ze środowisk kombatanckich, nie byli zanurzeni w działalność konspiracyjną, wywrotową, związkową czy opozycyjną, ale gdzieś tam pełnili jakąś funkcję, byli albo skromnymi nauczycielami, albo kierownikami jakiejś sekcji, wykonywali uczciwie pracę, na której się znali i kiedy spotykał ich awans, potrafili dać z siebie wiele. I po drugie: przyjąć zasadę, którą ja przyjąłem, że nie usuwam rutynowych, doświadczonych, wyszkolonych urzędników, którzy dawnemu systemowi byli podporządkowani w sposób urzędniczy, uważając, że będą oni równie przykładowie funkcjonować w nowym systemie, jak funkcjonowali w starym, dając im minimum poczucia bezpieczeństwa, doceniając ich pracę, ich kompetencje, a tym samym utrwalając w nich lojalność. Po trzecie: skończyć z wszelkimi weryfikacjami. Są w dłuższej perspektywie czasu — nieopłacalne. Przecież ludzie nie mogą żyć z takim biczem nad głową. Problem weryfikacji drastycznie zresztą wypłynął w przy-

padku sędziów. Wiele było szubrawcami, robiło poprzednio straszne rzeczy, ale co? odwołać ich? I co wtedy z niezawisłością? Kiedy raz się odwoła ze słusznych powodów — stworzy się precedens i następnym razem będzie można odwołać każdego z powodów niesłusznych. A popatrzmy na dziennikarzy, co stało się z nimi, w prasie, w telewizji. Nie chcą stracić pracy, to normalne, i bardzo uważają na koniunktury polityczne. Patrzą tylko, skąd wieje wiatr i dobrze muszą główkować, jak się sytuacja polityczna będzie rozwijała dla środowiska, na którym zawiesili swoje nadzieje uzyskania pewnych profitów za wierną służbę. U nas funkcjonuje paracenzura na szczepku redakcji i co najzabawniejsze, została ona zaprogramowana w ostatnim okresie komunizmu. Czyli jestem za położeniem „grubej kreski”, tak?

— *Tak.*

— Ale tę mamy już przećwiczoną, prawda? Z negatywnym rezultatem.

— *Wasza winna, że z takim.*

— Ja myślę, że społeczeństwo musiało ją odebrać negatywnie. Banalnie mówiąc, powiem tak: to upodłone, zniewolone, sfrustrowane społeczeństwo w którym człowiek mówił sobie — nie jestem bogaty, nie jestem piękny, nie jestem silny, ale nie jestem także Żydem. Później Żydów zastąpili kułacy, fabrykanci, ziemianie. Teraz ich rolę mieli przejąć komuniści, mówiąc skrótowno. I nagle Mazowiecki wyskoczył z grubą kreską, czyli chciał odjąć temu społeczeństwu ostatnią kategorię ludzi, od której mogło się czuć lepsze. Nasuwa mi się w związku z tym anegdota: przyszedł kiedyś Pan Bóg do bardzo biednego człowieka i powiedział: modliłeś się długo, prosząc mnie o pomoc, dzisiaj jestem i spełnię każde twoje życzenie, z jednym warunkiem, iż wszystko to, co dostaniesz, twoi sąsiedzi dostaną podwójnie. Biedny człowiek pomyślał i rzekł: panie Boże, to pozbaw mnie jednego oka.

Z grubą kreską u nas było podobnie. Nie ma Żydów. O fabrykantach i ziemianach mówi się już dobrze. Od kogo więc ci biedni ludzie mogą być teraz lepsi, przepraszam bardzo?

— *Nie, nie.*

— To była przyczyna podstawowa, a na nią nałożyły się także inne. Dodam kolejną: natychmiast znalazła się u nas grupa demagogów i populistów, która postanowiła — wykorzystując tę psychologiczną słabość społeczeństwa — sprzeciwić się grubej kres-

ce, zdyskontować ją na własną korzyść. W sposób skrajnie nieodpowiedzialny, kierując się prywatnym, złe pojętym, dobrem osobistego sukcesu zostały przez niektórych polityków podniecone kompleksy, jakie tkwią w naszym społeczeństwie. W sposób zimny i cyniczny — w tym kraju niesłychanie zrujnowanym, rozgrabionym — zbijają oni na nim kapitał polityczny, nie licząc się z konsekwencjami, jakie przyniesie to Polsce w przyszłości. Bazują przy tym na najgorszych uczuciach, wręcz wyzwają je. I zyskują poklask, oczywiście, bo demagogia, populizm, słowne fajerwerki, blichtr zawsze są efektowne. Efektowniejsze od zwyczajnej pracy. Są bowiem dwie kategorie ludzi: twórczy, którzy nawet w obozie koncentracyjnym czy w więzieniu zaczynają coś robić, a to organizują jakieś kursy, a to zakładają ruch oporu, i tacy, którzy mają dwie lewe ręce, nie potrafią znaleźć sobie zajęcia, nudzą się, niekiedy donoszą, ale mają silną potrzebę zaistnienia. A w jaki sposób mogą najłatwiej? Niszcząc. Zawsze tak zresztą było, jak świat światem. Jedni zdobywali pozycję budując, inni niszcząc. A do historii przeszli ci, którzy zbudowali Akropol i ten szalony, który podpalił bibliotekę aleksandryjską w starożytności. Ta matryca powtarza się teraz w Polsce.

— *Ale nam brakowało zdecydowania i konsekwencji w tłumaczeniu.*

— Zastanówmy się, czy mogło być inaczej.

— *Mogło.*

— Nie mogło. Choć ten zarzut o braku komunikacji ze społeczeństwem, o złej polityce informacyjnej rządu i Mazowieckiego i Bieleckiego jest słuszny, i będzie słuszny przy kilku innych rządach. Tylko ja się pytam: kto miał to robić, gdzie miał się tego nauczyć. Do tłumaczenia czy tworzenia *image* partii na Zachodzie wynajmuje się fachowców, a u nas po pierwsze: nie ma specjalistów, a po drugie: nie ma tradycji. U nas na dodatek reklamowanie polityka uważane jest za rzecz do pewnego stopnia wstydliwą, za rodzaj sprzedawania się, jest źle w odbiorze społecznym przyjmowane. Przykład: duże spotkanie Unii Demokratycznej przed jesiennymi wyborami parlamentarnymi, elita naszych intelektualistów, tworzone są jakieś deklaracje, oświadczenia. Bardzo mądre i słuszne. Ale ze względów socjotechnicznych robione są w nich kardynalne błędy, wpisuje się niedopuszczalne zbitki słów, które w pospiesznym społecznym odbiorze zostaną wykrzywione i brutalnie wykorzystane przez przeciwników. Zabrałem głos, poddając krytyce te deklaracje i powiedziałem: musimy wynajść jakieś przedsiębiorstwo, albo

choć jednego człowieka, który nie zna się na polityce, ale zna się na reklamie, na propagandzie, niech on albo poprowadzi naszą kampanię w całości, albo przynajmniej niech kontroluje, czy konsultuje, co robimy. Jedynym człowiekiem, który mnie poparł, był Andrzej Szczypiorski, reszta — wielcy profesorowie, intelektualiści — oburzyła się: no jak to, to pan uważa, że my nie umiemy napisać deklaracji czy oświadczenia? Wynik wyborów znany — poniżej oczekiwań i możliwości. I proszę mi odpowiedzieć: czy naprawdę był to błąd, którego można było uniknąć? Nie, nie można, bo taki jest stan świadomości. Chciała pani zapytać o religię w szkole. Z nią stało się podobnie. Był to błąd nie do uniknięcia.

— *Więc jednak.*

— Powtarzam: był to błąd, który był błędem nie do uniknięcia. Dlaczego? Rzecz pierwsza: rząd Mazowieckiego był od początku rządem słabym, nie mającym należytego poparcia ze strony sił politycznych.

— *Chodzi panu o Kościół?*

— Nie tylko. Myślę także o NSZZ „Solidarność”, o Lechu Wałęsie, KPN-ie, który już wówczas istniał, ugrupowaniach postkomunistycznych, czyli o Stronnictwie Demokratycznym i Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym. Mazowiecki nie miał także poparcia w Kościele, tak.

— *Ale miał społeczne, naprawdę miał.*

— Poparcie społeczne! Proszę pani, Kościół nie jest taki nierozsądny, żeby nie wiedzieć, jak jest ono ulotne i kruche. Bo i trudności ekonomiczne i gruba kreska niechętnie widziana. Kościół doskonale wiedział, że ten rząd potrzebuje wsparcia codziennego, że Kościół spełnia rolę jęczyczka u wagi i że odmówienie mu tego poparcia skazuje go na klęskę. Poza tym sama osoba Mazowieckiego budziła w Kościele wiele zastrzeżeń. Mazowiecki bowiem należy do środowiska, które ja nazywam środowiskiem oświeconego katolicyzmu i które jest przez Kościół czyli hierarchię uważane za najpoważniejsze — jak sądzę — zagrożenie dla Kościoła. Kościół go nie znosi.

— *Tygodnika Powszechnego?*

— I jeszcze *Znaku, Więzi, Lasek*. Po drugie: rząd ten — też od początku — był rządem zagrożonym i wchodząc do niego

miałem świadomość, że za chwilę będzie rządem atakowanym ze wszystkich stron. Pamiętam rozmowę, jaką miałem z Lechem Wałęsą tuż przed czerwcowymi wyborami do sejmu, w 1989 r. Wążni wówczas ludzie, jak np. Adam Michnik, przekonywali go wtedy, nie wiem co mając na celu i czym się kierując, ale to sprawa drugorzędna, przekonywali Lecha, że powinien kandydować do sejmu albo do senatu. Przedstawiłem mu własne zdanie. Lechu — powiedziałem — dzisiaj w żadnym wypadku nie możesz kandydować. Z jednego powodu. My wszyscy jesteśmy przeznaczeni na odstrzał, ponieważ orka, którą musimy wykonać w tym kraju, będzie tak kosztowna i tak ciężka, że wszyscy odczują jej trud i jej dotkliwość, nie widząc jeszcze owoców, bo owoce przyjdą o wiele później. I my za nią zapłacimy. W tej sytuacji każdy przytomny dowódca powinien zostawić sobie odwody. Ty jesteś jakimś autorytetem, ty więc nie możesz umoczyć się ani w parlamencie, ani w rządzie, ty musisz być czysty od tego wszystkiego, co nam zarzuca i czym nas obciąża.

— *Nie oni, ale on.*

— Znam (śmiech) Lecha od 1980 r., a więc nie od dzisiaj i byłem przekonany, że tak się stanie. Kościół słabość rządu postanowił wykorzystać. Bo na czym polegały i polegają założenia jego polityki? Wykorzystać wszystkie słabości, wszystkie, do pozyskania terenu. Kościół taką politykę prowadził od dawna i konsekwentnie. W Polsce roku 1990 pojawiła się przed nim nie lada szansa. Polska jest w 90 % krajem katolickim. Komunizmu już nie ma. I nie ma jeszcze tego nieznosnego dla Kościoła — nieznosnego równie jak komunizm — liberalnego, konsumpcyjnego systemu demokracji zachodniej. Czyli jest okazja, by spróbować stworzyć w Polsce coś nowego. Myślę, że Kościół upatruje pewną szansę na stworzenie demokracji katolickiej.

— *W miejsce socjalistycznej?*

— I zamiast demokracji liberalno-konsumpcyjnej, funkcjonującej na Zachodzie. Moim zdaniem wszelkie działania Kościoła idą w tym kierunku. Stąd uporczywe, konsekwentne, bezwzględne wykorzystywanie słabości władzy w Polsce, stąd wymuszanie decyzji, które dają mu okazję do wejścia i zajęcia kolejnych miejsc. Stąd — według mnie — daleko idąca zmiana tonacji w wystąpieniach papieża podczas jego ostatniego pobytu w Polsce w 1991 r. i kompletnie odmienna od poprzednich homilia wygłoszona w czasie mszy na Agrykoli w Warszawie. Sytuacja teraz jest jasna, ale rok wcześniej, kiedy Kościół wystąpił z żądaniem wprowadzenia religii do szkoły, nie była jasna i Mazowiecki, bo

on właściwie był kluczową postacią tej decyzji, nie mógł odmówić.

— *Mógł.*

— I o co zostałby oskarżony? On z piętnem lewicowości, które przypisywane jest całemu ugrupowaniu, do którego należy. Przecież ci wszyscy wielcy politycy — Kuroń, Geremek — obarczeni są pewnym garbem przeszłości. Bardzo łatwo Kurońowi czy Geremekowi wytykać komunistyczną przeszłość.

— *Samsonowiczowi, ministrowi edukacji, także.*

— Ja abstrahuję od rozważań, czy jest to słuszne, czy nie, chcę zwrócić uwagę na problem psychologiczny, że ta ich przeszłość rzutuje na ich postępowanie. Oni muszą przez nią być często skrzepowani wewnętrznie, nawet jeśli nie do końca mają świadomość, że jednak w pewnym momencie przyłożyli rękę do tego co było. Muszą często o niej myśleć.

— *Prymas Glemp im zresztą ją wtedy wypomniął, głosząc w telewizji, że przeciwko wprowadzeniu religii do szkoły są ci, którzy ją poprzednio usunęli.*

— No, właśnie. Jeszcze trudniejszą sytuację psychiczną miał Mazowiecki. Pomijam jego uzależnienie uczuciowe od Kościoła, jako człowieka głęboko wierzącego, ale czy pamięta pani artykuły Mazowieckiego, które napisał on w latach 50-tych?

— *Jeden, uzasadniający skazanie biskupa Kaczmarka na 12 lat więzienia.*

— Przedrukowała je prasa podziemna w latach 80-tych. Były straszne. Po prostu straszne. Proszę pani, jeżeli ktoś coś takiego w życiu popełni, ktoś uczciwy, a Mazowiecki jest człowiekiem z gruntu uczciwym, to nie zapomni tego do końca życia, zawsze będzie się czuł napiętnowany. Tak więc i on, i Kuroń, i Samsonowicz byli psychicznie predestynowani — w sposób zupełnie od nich niezależny — do ustępstw wobec Kościoła. Poza tym, jeśli już jesteśmy przy zależnościach, trzeba uwzględnić otoczkę psychologiczną: ludzie Kościoła byli głęboko powiązani z poprzednim systemem, z ludźmi komunistycznego reżymu. Ja nawet — zanim nie przyszedłem do ministerstwa — nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak głęboko. Wysoko postawieni członkowie hierarchii kościelnej uważali za rzecz normalną, bo widocznie — jak sądzę — przez lata byli do tego przyzwyczai-

jeni, uważali, że rzeczą normalną jest dzwonić do urzędnika ministerstwa jakiegoś tam szczebla i interweniować np. w sprawie niezwalniania tego czy innego pracownika lub dyrektora, choć powody do zwolnień były ewidentne. Taki czy inny wysoki urzędnik resortowy był po prostu dla nich przydatny, więc się go chroniło, na różne sposoby. Ci sami hierarchowie uważali także za stosowne dzwonić z dyspozycjami, że taki a taki departament powinien na przykład zostać zlikwidowany, albo że należy powołać w ministerstwie inny. Te telefoniczne interwencje, które oni traktowali jako naturalne, powtarzały się nie tylko w moim ministerstwie, w Ministerstwie Zdrowia, o czym wiem, także. Kiedyś mówiło się, że każdy szlachcic ma swojego plebana i swojego Żyda, każdy pleban ma swego szlachcica i swego Żyda oraz każdy Żyd swojego szlachcica i swojego plebana. Coś takiego funkcjonowało i w Polsce komunistycznej, tylko w innej konstelacji. Także więc dlatego Mazowiecki nie miał właściwie żadnego ruchu i sędzę — pomijając jego wszelkie emocjonalne uzależnienia i kompleksy — że realnie ocenił sytuację, iż nie może wejść w konflikt z Kościołem.

— *Byłby?*

— Oczywiście, że tak. Oczywiście, że tak.

— *No to byłby.*

— I ten rząd skończyłby się w szybkich abcugach.

— *I tak się skończył.*

— Ale wtedy nie było jasne, kiedy! Przecież nie było wiadomo, czy przez to ustępstwo Mazowiecki zyskuje rok, czy tylko kilka miesięcy. Proszę rozważyć inną sytuację, że nie ustąpiłby, wszedł w konflikt. Jestem przekonany, że znalazłoby się wtedy wiele osób, które by powiedziały: idiota, co zrobił? Powinien był odpuścić, zyskałby więcej czasu. Bo przecież to była walka o czas. Było coś do zrobienia w tym kraju, była rozpoczęta jego przebudowa. I każdy przytomny, odpowiedzialny polityk, który prowadzi gabinet rządowy, może różne ruchy wykonywać, ale zawsze musi zadawać sobie pytanie, co z tych posunięć wyniknie.

— *No właśnie, wy religię wprowadziliście instrukcją ministerialną, łamiąc kilka ustaw łącznie z konstytucją po drodze, a przecież miało być państwo prawa.*

— Polityk zobowiązany jest przestrzegać prawa, tak, ale z drugiej strony wymaga się od niego pragmatyzmu i skuteczności działania. Baczenia na to, żeby dobro publiczne — pojmowane przez niego w najlepszej wierze — uchronić przed uszczerbkiem. Oczywiście są pewne granice. Więc: prawo — raz, pragmatyzm i odpowiedzialność — dwa i trzeci element — klimat, w jakim polityk działa, uwarunkowania zewnętrzne, ocenione bezstronnie, a więc nieemocjonalnie, nie zabarwione naszymi pragnieniami czy niechęciami.

— *A ja wierzyłam wam, że chcecie budować państwo prawa.*

— Ależ proszę pani, trzeba być realistą. Budować państwo prawa to coś innego, aniżeli funkcjonować w państwie prawa. Obecnie te załączki państwa prawa łatwo mogą ulec zniszczeniu. Z jednej strony przez nagminne lekceważenie prawa, ale z drugiej strony również przez bezmyślny puryzm prawniczy, który chce strzec litery prawa, zapominając jak bardzo jest ono dziurawe i niekompletne. Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego nie było tak surowe i bezwzględne jak pani ocena. Ja zawsze boję się takich zbyt drastycznych i jednoznacznych sądów. Abstrakcyjne państwo prawa — tak, owszem, ale obowiązuje hierarchia ważności spraw. Ja muszę wiedzieć, co chcę osiągnąć, zadaję sobie pytanie: zdążę to zrobić, czy nie zdążę i wtedy wybieram

— *mniej zło?*

— Proszę pani, dam przykład. Należę do tej siódemki posłów, która w lipcu 89 r. podczas wyborów prezydenta przez parlament oddała na Jaruzelskiego głos nieważny. Dla mnie był to wybór dość dramatyczny. Więcej: moment wyborów był jednym z dwóch najbardziej dramatycznych momentów, jakie miałem w życiu. Oto jestem w sejmie, odbywa się głosowanie. Przede mną leży kartka: u góry moje nazwisko, niżej — za, przeciw, wstrzymuje się. Muszę zakreślić jedną z trzech możliwości i muszę tę kartę oddać. Jaruzelski może przejść i może nie przejść. Według mojej sondy, którą przeprowadziłem, raczej to drugie. Biorąc pod uwagę całą historię mego życia zdawałoby się, że nie mam żadnych podstaw, by przejście mu ułatwić, a wręcz odwrotnie, wszystko w nim przemawiało za tym, bym głosował przeciwko. Ale jest lipiec 1989 r. Wprawdzie w Związku Sowieckim rządzi Gorbaczow, który głosi *perestrojkę*, ale stoi mur berliński i NRD, trzyma się Czechosłowacja, wojsko polskie znajduje się w rękach Jaruzelskiego, a aparat bezpieczeństwa Kiszczaka. Siedziałem nad kartką i zadawałem sobie pytania, co stanie się, kiedy Jaruzelski przegra. Dwa pytania.

Pierwsze: czy Jaruzelski albo Kiszczak nie ulegną wtedy pokusie, by jeszcze raz użyć wojska i aparatu bezpieczeństwa i utrzymać władzę. I drugie: jeśli nawet pogodzą się z porażką i opozycja wywalczy własnego premiera i własnego prezydenta, jak zachowa się generalicja i bezpieczeństwo. Czy Jaruzelskiego i Kiszczaka nie potraktują jako przegranych, nie wymówią im posłuszeństwa i same — wbrew ich woli — nie użyją wojska i aparatu bezpieczeństwa przeciwko społeczeństwu. Sekretarz sejmu wywoływał posłów do głosowania, alfabetycznie, każde kolejne wyczytane nazwisko zbliżało mnie do mojego. Myślałem: po pierwsze — nie mogę wykluczyć ani jednego ani drugiego rozwiązania, a nawet odwrotnie, w aktualnej sytuacji międzynarodowej są one prawdopodobne; po drugie — sukcesy, jakie odnieśliśmy w walce i atuty, które zdobyliśmy po Okrągłym Stole są zbyt wielkie, żeby kontynuować tego pokera. W każdej przecież grze jest bowiem tak, że do pewnego momentu się wygrywa i w każdej — w rulecie czy w pokerze — przychodzi moment, kiedy człowiek zaczyna myśleć: grać dalej czy przerwać i niestety często wtedy sobie mówi „a może jeszcze raz” i... traci wszystko. Po trzecie — pytałem siebie, bo zawsze przy podejmowaniu decyzji takie pytania sobie zadaję — kto poniesie konsekwencje niewybrania Jaruzelskiego, przecież nie tylko ja i posłowie, one spadną na całe społeczeństwo, a więc odpowiedzialność za ten krok spoczywa na każdym, kto się do tego przyczyni, także na mnie. Kiedy sekretarz zaczął wyczytywać nazwiska na literę „K” zdecydowałem: dokonałem skreśleń, które unieważniały kartkę, wstałem i wrzuciłem do urny. Zmniejszyłem liczbę ważnych głosów i ułatwiłem przejście Jaruzelskiego. Późnym wieczorem odczytano wyniki: Jaruzelski przeszedł jednym głosem. Poczulem ogromną ulgę. Wyszedłem do kuluarów sejmowych. Jeden z posłów, z województwa, z którego kandydowałem, podszedł do mnie, czerwony na twarzy, zacietrzewiony; to, co zrobiłeś — powiedział — jest skurwysyństwem. W porządku — odpowiedziałem — gotów jestem to kupić, to mi akurat naprawdę najmniej przeszkadza. Wybór Jaruzelskiego i religia w szkole to dwa wydarzenia, różnej rangi, ale łączy je jedno: polityk musi znać cenę, jaką gotów jest zapłacić za ustępstwo i mieć świadomość, że nie tylko on osobiście będzie ten rachunek płacić, ale że jego zapłata spadnie na barki całego społeczeństwa. A rachunek może być wysoki. Dość wysokich rachunków było płaconych w Polsce, naprawdę dość. Dlatego bardzo ostrożnie bym oceniał decyzje innych. I dlatego będę bronić Mazowieckiego.

— *Więc trzeba było zgodnie z prawem i regułami demokracji przekazać sprawę do sejmu. Od tego on jest.*

— Można było, tak. Tylko ja się pytam, po co?

— *Żeby zachować procedury prawne, po prostu.*

— Proszę pani, jest pewna rzecz, której chyba ludzie, z zewnątrz oglądający politykę, nie chwytają. Ogląda pani wester-ny? Albo filmy kryminalne? Nikt w nich nie bawi się w zbieranie dowodów, ani w żadne tłumaczenia: to nie ja, to on, nie moja wina. Tam coś się stało i wiadomo, wszyscy wiedzą; kto to zrobił, dlaczego zrobił i że należy przedsięwziąć odpowiednie środki w celu unicestwienia przeciwnika. Podobnie jest w polityce. Jeśli więc Mazowiecki stanął wobec takiego problemu, to czy on żądania Kościoła odrzuci wprost, czy skieruje do parlamentu, to jakościowo jest nieważne. Gdyby Mazowiecki skierował sprawę do sejmu, Kościół wiedziałby, co jest grane. Obie strony wiedziałyby, co jest grane. Bo albo wychodzi się żądaniom naprzeciw, albo nie, prosta sprawa. Kościół stwierdziłby, że po takiej zagrywce, to przepraszam, tego Mazowieckiego nie mamy powodu chronić. Kościół bowiem nic nie miał do kupienia u Mazowieckiego, było odwrotnie. Bo jak wyglądały realia? Realia wyglądały tak, że Samsonowicz w pierwszej wersji zaproponował, żebym ja negocjował z Kościołem warunki wprowadzenia religii do szkoły. Kościół — według posiadanych przeze mnie informacji — nie zgodził się. Wtedy wytypowana została pani wiceminister Anna Radziwiłł. Po dwóch czy trzech spotkaniach z panią Radziwiłł Kościół zażądał zmiany strony negocjującej, ale na to nie zgodził się już Samsonowicz.

— *I domagał się religii w szkole jako normalnego przedmiotu ze stopniami, także na świadectwie maturalnym.*

— Wynegocjonowano w końcu dobrowolność, ale my wtedy byliśmy gotowi podać się do dymisji. Ja, sekretarz stanu i wszyscy podsekretarze. My wszyscy bowiem byliśmy przeciwko wprowadzeniu religii do szkół. I jeżeli zostaliśmy, jeżeli nie odeszliśmy, to z jednego powodu, wyłącznie z jednego powodu: chcieliśmy być lojalni wobec Samsonowicza i pośrednio przez niego wobec Mazowieckiego. Bo co by oznaczała nasza dymisja? Że Samsonowicz musi się także podać do dymisji albo kompletować nowy zespół. I jest afera na całą Polskę. A co by ona z kolei oznaczała? Że członkowie rządu podważają politykę Mazowieckiego, bo byłoby to przecież odczytane jako votum nieufności dla polityki Mazowieckiego. Po prostu nie mogliśmy sobie na to pozwolić. Trwała już przecież „wojna na górze” rozpętana przeciwko Mazowieckiemu przez Wałęsę. Dlatego nie podaliśmy się do dymisji, wbrew sobie. Ja dodatkowo zadawałem

sobie pytanie: a gdybyś był na jego miejscu, co byś zrobił, jaka byłaby twoja decyzja, wiedząc jakie to przyniesie konsekwencje?

— *Jaka? Dzisiaj.*

— Dzisiaj jest zupełnie inna sytuacja. Dzisiaj karty zostały wyłożone na stół. Dzisiaj nie ma żadnej już niepewności i niejasności, jakie są cele Kościoła i przy pomocy jakich środków będzie się on starał je osiągnąć. Już wiemy, że kolejnymi ustępstwami, kolejnymi koncesjami na rzecz Kościoła nic nie uzyskamy, ponieważ mamy już także większe doświadczenia co do wyplącalności kontrahenta.

— *Więc nie było warto?*

— Nie. Nie było warto. Kościół nie poparł Mazowieckiego w wyborach prezydenckich i religia okazała się dla Kościoła tylko jednym z etapów, prowadzących do zaplanowanego celu, po którym miały nastąpić dalsze żądania.

— *I nastąpiły: ustawa oświatowa, o radiu i telewizji, ustawa o zwrocie majątków kościelnych, projekt ustawy o ministrze obrony narodowej, który powinien być chrześcijaninem; do tego — walka o zakaz aborcji, o kościelne zapisy w konstytucji. Wiadomo było, że nie ustąpią.*

— Teraz wiadomo, bo teraz — powtarzam — karty zostały wyłożone na stół. Ale wtedy, nie mogę powiedzieć, że wiedziałem na pewno, iż nastąpią, bo nie wiedziałem, ale byłem przekonany, że religia jest pierwszym krokiem. Powiedziałem to nawet zresztą na jednym z posiedzeń sejmowej komisji edukacji.

— *Kiedy dyskutowaliście o umieszczeniu „wartości chrześcijańskich” w ustawie oświatowej, tak?*

— Dla mnie te wartości mają wyraz symboliczny. Paradoksem historii, a może nie paradoksem, nie wiem, jest to, że dla mnie powtórzyła się sytuacja z 1989 r., z obrad Okrągłego Stołu. Tylko *à rebours*. Otóż jednym z podstawowych starć przy Okrągłym Stole dotyczącym oświaty była sprawa wyeliminowania tzw. ideałów wychowania socjalistycznego w szkole. Po stronie rządowej zasiadali moi późniejsi koledzy posłowie, m.in. poseł Roman Ney i Marek Bartosik. I właśnie Marek Bartosik zarzucił mi, że jeśli chcemy usunąć ideały wychowania socjalistycznego, oznacza to, iż chcemy wychować ludzi bezideowych. Bo co proponujemy w zamian? Czy coś jest złego w ideale wychowa-

nia socjalistycznego? Nie uważałem, że jest coś złego, ale opowiadałem, ponieważ termin ten jest niezdefiniowany i niesprecyzowany, przez co wykorzystuje się go instrumentalnie do usuwania ludzi niewygodnych i nieposłusznych. Przed zarzutem wychowywania niesocjalistycznego nikt nie ma szans się obronić. Bo po pierwsze: nie wiadomo czym jest wychowanie socjalistyczne, jak ono powinno wyglądać. Po drugie: kto ma być sędzią? Specjaliści od socjalizmu? Znaczący pierwsi sekretarze? Znalazłem się naprawdę w trudnej sytuacji, ja i cała nasza strona, bo wprawdzie uważałem, że niepotrzebne są jakiekolwiek określenia, ale tamci uważali, że społeczeństwo lubi chwytliwe hasła. I wtedy zaimprovizowałem, przyszedł mi, na szczęście, pewien pomysł. Powiedziałem: proszę pana, jest jedna rzecz, na którą możemy się powołać — Powszechna Deklaracja Praw Człowieka. Chyba zgodzimy się, że wychowywać młodzież należy w duchu Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Był to dość ciężki argument i został przyjęty. Minęły dwa lata i ja będąc w komisji sejmowej opracowującej projekt nowej ustawy oświatowej, przygotowałem pierwszy jej punkt, który stwierdzał, że wychowanie powinno być zgodne z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka i wychowywać w duchu tej deklaracji. Kościół zaproponował zmianę. Dążył do wprowadzenia terminu „w duchu wartości chrześcijańskich”. Przewodniczący sejmowej komisji edukacji, prof. Roman Ney, mój przeciwnik przy Okrągłym Stole, otrzymał list od prymasa Glempa. Prymas sugerował — na razie sugerował — by do ustawy wprowadzić kilka przygotowanych przez Kościół zapisów. Zaprotestowałem na posiedzeniu komisji sejmowej i z trybuny sejmowej. Podjąłem walkę z własnym środowiskiem, z tych samych pozycji, używając tych samych argumentów, co poprzednio, przy Okrągłym Stole. Powiedziałem, że wartości chrześcijańskie nie są skodyfikowane i kto miałby oceniać, co jest zgodne z tymi wartościami, a co nie? Czy biolog mówiący o teorii Darwina narusza je czy nie? Czy lekarz opowiadający o antykoncepcji łamie te wartości, czy nie? Kto w razie czego ma rozsądzać spory? Wiadomo, kto — specjaliści, a więc księża katecheci. Bałem się tego samego, co poprzednio, że określenie „wartości chrześcijańskie” będzie instrumentalnie wykorzystywane do usuwania ludzi niewygodnych. W sejmie wartości chrześcijańskie nie przeszły.

— *Dzięki byłym komunistom głównie, którzy głosowali przeciwko.*

— Zaraz, zaraz, to jeszcze nie koniec. Ustawa znalazła się w senacie. Wtedy do przewodniczącego komisji senackiej przy-

szedł list od arcybiskupa Dąbrowskiego, daleko bardziej bezwzględny niż do naszej komisji od prymasa Glempa, bo już nie z sugestią, ale z żądaniem umieszczenia w niej zapisów w formie podanej przez Kościół. Sytuacja w komisji nie była jednak dla Kościoła jednoznacznie przychylna, więc biskup Orszulik osobiście pofatygował się do marszałka Stelmachowskiego. Rozmowa nie była przyjemna. W jej konsekwencji marszałek Stelmachowski udał się do marszałka Kozakiewicza. To jeszcze nie koniec. Starania Kościoła były bowiem tak daleko idące, że nawet mnie zaskoczyły. Kiedy ustawa ponownie stała w sejmie i doszło do głosowania — to przyczynek także do niezależności sejmu — ona została uchwalona i to głosami lewej strony. Za tą ustawą, w formie, w jakiej życzył sobie Kościół, głosowało nie tylko PSL, czyli dawne ZSL, nie tylko dawne SD, ale także znaczna część posłów PKLD, czy SdRP, czyli lewicy.

— *Dlaczego?*

— Nie wiem dlaczego. Niczego nie mogę suponować. Wiem tylko, że podczas tego drugiego głosowania atmosfera na sali była diametralnie inna niż przy poprzednim i wiem, że przeciwko zapisom w ustawie konsekwentnie głosowała tylko część Unii Demokratycznej, natomiast zmieniło się głosowanie tamtej strony, która poprzednio głosowała przeciwko. Mogę tylko domyślać się, przypuszczać, że podobne naciski jak na marszałka Stelmachowskiego czy marszałka Kozakiewicza lub jak na przewodniczących komisji sejmowej i senackiej — Kościół wywierał także na lewicę, że odpowiednie rozmowy z nimi się odbyły. Rozmowy odbyły się także w klubach SD i PSL. No, wie pani, niedługo wybory. I jak zwykle ludzie liczą na pewne koncesje, które uzyskają w zamian ze strony Kościoła. I oczywiście tych koncesji nie dostali. Tak jak nie dostała ich Unia czy Mazowiecki wcześniej, tak nie dostała i lewa strona. Żadnych, mimo że zaofiarowała Kościołowi swoje poparcie przy ustawie oświatowej.

— *Z PZPRowcami więc pan wygrał, a ze swoimi przegrał.*

— Przegrałem. Swoisty figiel historii. To, co wygrałem poprzednio, w dwa lata później przegrałem. Ale na razie, bo wynik końcowy jeszcze nie jest znany. U nas bowiem funkcjonuje specyficzny mechanizm. Kiedy poniżanie, bicie, obrzucanie błotem, znęcanie się nad jakimś człowiekiem czy warstwą ludzi przekracza pewien próg, to w społeczeństwie wtedy wyzwała się odruch ich obrony. Oglądałem nieraz przeróżne akcje, np. wyborcze, w których nachalna propaganda przeciwko jakiemuś

kandydatowi czy jakiejś opcji powodowała ich bezwzględne zwycięstwo. Za daleko poszły ataki, i koniec, nastrój sali kompletnie się odwrócił. Lech też nieraz wygrywał w wyborach związkowych, ponieważ go za ostro, zbyt brutalnie i za długo atakowano. Na podobnej zasadzie Kościół w Polsce cieszył się przez całe lata sympatią. Ale w tej chwili społeczeństwo powoli zaczyna się od niego odwracać, widząc rozbuchanie Kościoła, jego triumfalizm, pychę, agresywność, różne cechy można jeszcze dorzucić. Tym bardziej, że Polska wbrew pozorom nie była nigdy tak klerykalna, jak się wielu żyjącym dzisiaj wydaje. Witos był w permanentnym konflikcie z Kościołem, było chłopstwo, które uprawiało wprawdzie obrzędowy katolicyzm, czyli chodziło do Kościoła, ale wcale nie było klerykalne. Wręcz przeciwnie, było ono antyklerykalne. A o czym świadczy rezultat ostatnich wyborów do parlamentu? Wyborcza Akcja Katolicka zdobyła tylko 49 mandatów. W kraju w 90 % katolickim to przecież zgroza. Otóż polityka Kościoła jest bumerangiem, który Kościół rzucił. W pewnym momencie on wróci i uderzy w Kościół. Tylko jest teraz pytanie, w którym miejscu my jesteśmy, czy w tym, że ten bumerang jeszcze leci do przodu, czy już w tym, że on wraca, by uderzyć. Od tego bowiem zależy, jaką taktykę będziemy mogli stosować. Bo jeśli on jeszcze leci do przodu, to — niestety — musimy się z nim liczyć, a jeśli wraca — powinniśmy wykorzystać. No, ale tę grę przerabialiśmy już przez 45 lat. Tylko z innym partnerem. Teraz przerabiamy z innym. I to chyba wszystko, prawda?

— *Rzeczywiście wszystko.*

— Niestety, wszystko. Bo bumerang uderzy w Kościół, ale konsekwencje tego uderzenia poniesie także społeczeństwo. Rzecz bowiem dotyczy instytucji, której celem jest niesienie ludziom posłannictwa Ewangelii, a Ewangelia wszystkim nam jest potrzebna.

Rozmawiała Teresa TORAŃSKA

OKRUCHY HISTORII

MOWA KRÓLA JMCI JANA KAZIMIERZA OSTATNIA PRZY ABDYKACJI*

Dawne to jest mego niewzruszonego dobra publicznego, tak zdrowia jako i sumienia mego racjami ugruntowane postanowienie: koronę tę od Waszmości Panów na głowę moją włożoną i od wielu lat przez przodków moich posiadaną, w ręce i do wolnej dyspozycji Waszmościów uroczyście zwrócić abdykacją. Od pierwszej mojej, którą mi miłość dyktowała 1661, deklaracji, toż zawsze we mnie zostawało rozumienie, że powinien być Rzplitej raczej żywym doradzać, aby za żywota mego odwrócić te niebezpieczeństwa, któreby nieodpowiedne bezkrólewie z gruntu ją poruszyć i zamieszać mogło. Tegom tylko podobnego, jako teraz jest, oczekiwał czasu; kiedy Rzplita od konfederacji wojskowej, mieszanin domowych i wojny Moskiewskiej uspokojona, może dogodnie bez rozerwania stanowić sobie i wolnej poświęcić się elekcji. Przywodzi mnie do tej abdykacji,

* Tekst ten zamieszczony został przez Juliana Ursyna Niemcewicza w tomie V „Zbioru pamiętników historycznych o dawnej Polsce”, Puławy 1830. Wedle komentarza wydawcy tekst ten skompilowany został z zapisu diariusza sejmu abdykacyjnego, który w dwóch kopiach „nieco różnych” z końca wieku XVIII znajdował się w bibliotece Puławskiej. Redakcja *Zeszytów Historycznych* — z uwagi na makaroniczną formę oracji, w której wszelako nie forma ale treść się przede wszystkim liczy, podjęła nieco być może barbarzyńską decyzję, aby wyrazy i całe sentencje na język ojczysty przełożyć. Zastosowano też, zgodnie z obowiązującymi zasadami, współczesną pisownię i interpunkcję starając się jednak by polszczyznę w jej barokowym brzmieniu przekazać czytelnikom.

najprzód staranie o zbawienie wieczne, którą jako każdy wzgardzony śmiertelnik skarbić sobie powinien, tak trudniej mi daleko na tronie pozostawać, gdybym się złożeniem rządów uniżywszy, z wysokiej fortuny, obligacji i niewczasów wyzuwszy, samemu sobie i duszy mojej ostatka dni moich nie darował. Ale mnie niemniej do tego przywodzi ku tej ojczyźnie i Waszmościom miłość, którą tak trudnym i niezwykłym chcę zaświadczyć sposobem. Czuję się być laty i zdrowiem słabym i nachylonym, pracami tak częstych obozów i konsultacji złamanym, że siły moje dla trudów panowania starczyć nie mogą tak doskonale, żeby stąd społeczeństwo jakiego ubliżenia nie odniosło; wolę tedy samego siebie odsunąć, abym dla publicznej wygody Waszmościów młodszemu i zdolniejszemu otworzył wrota sukcesorowi, kiedyście mi Waszmość pomocnika przybrać i przystosować nie chcieli. Widzę przy tym, że szczere moje intencje wytłumaczone i poniewolnej jakiejś elekcji podejrzeniami obciążone, inaczej nie mogą być usprawiedliwione, ani Rzplita tą opinią zamieszana, inaczej uspokojona, tylko przez ten dowód miłości mojej, kiedy każdy obaczy, że wolna zostanie Rzplitej elekcja, że ja składając koronę ochraniam niebezpieczeństw lękające się serca, jakobym ją na cudzą kłaść myślał głowę. Więcej tedy działa we mnie racja publicznego pokoju i miłości ku Waszmościom, niż wczasu mego, odpoczynku i prywat moich konsideracja; za którymi jako się umiarkowanie unoszę pokazuje dosyć dzisiejszy akt, którym cokolwiek u ludzi najdroższego, wszystko miłości Rzplitej oddaję. Świadczę się przed Bogiem, że przez tę abdykację żadnego zagrożenia wolności Waszmościów ani czynię ani upatruję, i owszem tak rozumiem, że przez otwarte bezkrólewie drogę do przyczynienia ich ściele, aby szczęście i pomyślność były udziałem tej Rzplitej, a mnie przed Bogiem zasługa i u wszystkiego świata chwała. Już dojrzałe i zawczasu powzięte postanowienie przy zdrowym umyśle i ciele, wolny i nieprzymuszony koronę, berło, panowanie, rząd i królestwo, tak jako mi jest na elekcji powierzone, na konwokacji potwierdzone, ze wszystkim cokolwiek majestatowi i prawom królów Polskich i wielkich książąt Litewskich od dawna należy, nic sobie z tego ani komu inszemu nie zostawując, w ręce senatu, rycerstwa i wszystkich stanów obojga narodów abdykuję, wracam, oddaję i najlepszym sposobem i formą rezygnuję; wszystkie stany i każdego z osobna z przysięgi wierności czy jakiegokolwiek innego mi posłuszeństwa rozwiązuję i od wszelkiego poddaństwa, obowiązku, wasalstwa zwalniam i rozwiązuję. Książąt także Ichmościów Brandenburskiego i Kurlandzkiego od hołdu i pozostałych zobowiązań wobec mnie uwolnionymi ogłaszam. Co nie tylko mym własnym słowem, ale i dokumentami

uroczystymi w ręce Rzplitej oddanymi konfirmuję, ratyfikuję i dyplom elekcji mojej 1648 autentyczny i oryginalny wracam, i oddaję, kasuję i anihiluję. Przywracam tym aktem moim swobodną prerogatywę Jegomości Księdzu arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu ogłoszenie bezkrólewia, a całej Rzplitej przygotowania do wolnej elekcji nowego króla, jego obioru i koronowania, a oraz deklaruję i obiecuję, że nie tylko innym sposobem nie będę przeszkadzał przyszłej elekcji przyszłego pana, ale nawet dla potwierdzenia przeciw tym, którzy udawali, jakobym miał z kimkolwiek o królestwie się znosić, żadnego kandydata Waszmościom proponować ani zalecać nie będę i stąd się osobą moją od działań konwokacyjnych i elekcyjnych oddałem i absentuję. Powinienem przy tym zgodnie z sumieniem przestrzec Waszmościów i prosić, abyście nikogo z tej rady nie chcieli oskarżać; wszyscy panowie prosili mnie i do tego momentu gorąco proszą, abym to postanowienie odmienił. Obywatelom zaś muszę z wdzięczną pamięcią miłości ich ku mnie dać świadectwo, że się z nich nie znalazł żaden, który by mi miał pochwalić, nie tylko radzić abdykację, która znać, że jest z Boskiej ręki dzieło, i powołania mego koniecznością, kiedy mi jej nagana wszystkiego świata wynijść z serca nie mogła. A jako w tej całej sprawie nikt o miłości mojej ku Rzplitej wątpić nie może, tak i ja wzajem bezpiecznie sobie obiecuję po miłości Waszmościów, że na utrzymanie moje stanowi memu i honorowi Rzplitej godne, zostawione ode mnie i od wyżej wspomnianej abdykacji i jej ogłoszenia excypowane dochody, to jest ekonomia zupełna Malborska, sto tysięcy intraty z żup Wielickich, drugie sto tysięcy co rok z cel koronnych i ruskich, do stołu królewskiego należących, w Litwie Grodno, Sokółkę i cła, jako je trzymam, a mnie od przyszłego księcia dochodziły, przez *pacta conventa* strzeżone były; przez co nic z chleba zasługi nie ubyło. Intraty z ekonomii wszystkich aby mnie także póki tron nieobjęty, dochodziły zwyczajnym sposobem, przez całe bezkrólewie, wcale to sobie zachowuję. Będzie to wdzięczności Waszmościów wobec mnie dowód, kiedy przyszlęmu panu w kapitulacji płacenie moich długów i domu mego zalecicie. Wyciągnie to oboje po Waszmościach domu Jagiellońskiego tak łaskawe od lat dwóchset panowanie, pod którego ku tej Rzplitej chęcią osobliwą jej wolności rozkwitały. Żegnam już ojcowskim sercem Waszmościów i z tronu zstępując proszę, abyście Waszmoście tę ojcowską wszelką miłościwość przechodzącą intencję moją, wdzięcznie przyjąć i szczerze tłumaczyć chcieli. Dzięki Waszmościom za dotrzymanie wiary i posłuszeństwa, któremu w czasach najtrudniejszych statecznie doznał. Rozumiem, że się na panowanie moje nikt poskarżyć nie może, jeżeli by jednak co się komu w

rządach naszych nie zdało, proszę aby to słabości, od której korona ludzi nie uwalnia i racjami stanu, które prywatnym interesom nie zawsze wygodne, darował. Na koniec jako miłość ojczyzny ku Rzplitej nigdy nas z królewskiego płaszcza nie wyzuje, tak Pana Boga proszę i gorącej szczególnej opieki prosić będę, aby Waszmościom takie podawał rady, którymi by się przez prędkie skończenie bezkrólewia i godnego na tronie posadzenia pana, postronne poprzedzić faksje i niechęci i wewnętrzną zgodę i jedność gruntownie prowadzić mogli.

Władysław BARTOSZEWSKI

MOWA DZIĘKCZYNNA PO OTRZYMANIU OBYWATELSTWA HONOROWEGO IZRAELA

10 lutego 1992 r. ambasador Izraela przy organizacjach Narodów Zjednoczonych w Wiedniu Peter Aran przekazał publicznie — w obecności kilkuset osób — Władysławowi Bartoszewskiemu dyplom nadania mu obywatelstwa honorowego Izraela następującej treści:

W uznaniu ratowania życia Żydów w okresie Holocaustu w pełnej świadomości niebezpieczeństw i ryzyka, zgodnie z postanowieniem Knesetu z 25 marca 1985 r. nadaje się niniejszym Władysławowi Bartoszewskiemu obywatelstwo honorowe Izraela. To uznanie jest wyrazem szacunku i wdzięczności ugruntowanych w narodzie Izraela wobec Sprawiedliwych między Narodami, dzięki którym szlachetnym czynom światło człowieczeństwa świeciło w okresie nocy panowania hitlerowskiego w Europie.

Laudatio wygłosił prezes PEN Clubu Austrii prof. dr Aleksander Giese. Odpowiedź wyróżnionego podajemy niżej (w przekładzie z oryginału niemieckiego).

Prawdą jest, że nadanie obywatelstwa jednego państwa obywatelowi drugiego państwa, który jest na dodatek ambasadorem w trzecim państwie, jest przypadkiem rzadkim, jeżeli nie uni-

kalnym. Jest jednakże również prawdą, że historyczne więzi między żywiołem żydowskim a polskim oraz rola żydostwa wschodniego na szerokim obszarze między Niemcami i Rosją miały ogromne znaczenie dla historii żydostwa europejskiego, jak również dla historii mojego Kraju — Polski.

Pierwszego września 1939 roku ówczesną Polskę zamieszkiwało 3,5 miliona Żydów, wobec prawie 22 milionów Polaków-chrześcijan. Większość tych ludzi przez stulecia żyła w jednym państwie, ze sobą lub obok siebie, mniej lub bardziej pokojowo.

W ostatnich dwóch latach przed wybuchem drugiej wojny światowej udział ludności żydowskiej w ogólnej liczbie ludności Polski (w której skład wchodził również Ukraińcy, Białorusini i Niemcy) wynosił 8 do 10%. Liczby te nie podlegały zbyt dużym wahaniom, co świadczyło o względnej stabilności żydowskiej wspólnoty etnicznej i religijnej w tej części Europy. Jednocześnie należy zauważyć, że polscy Żydzi byli nie tylko procentowo, lecz również w liczbach bezwzględnych największą grupą w ówczesnej Europie. Odpowiednio duże było zatem znaczenie polskich Żydów w światowej diasporze. [...] W swej ogromnej większości polscy Żydzi odrzucili tendencje asymilacyjne, uznawali bowiem swój odizolowany byt za nadrzędną wartość, której pozostawali wierni. Wcale nie miała grupa ortodoksyjnych Żydów być wręcz zwolennikami zupełnej izolacji od nieżydowskiego otoczenia. Również Polacy generalnie nie starali się pokonywać barier obcości.

W odrodzonej po roku 1918 Rzeczypospolitej Polskiej nie ustąpiono z pozycji izolacjonizmu, chociaż Żydzi byli reprezentowani w parlamencie i brali udział również w innych formach życia politycznego i kulturalnego. Partie znajdujące się na prawicy i w centrum polskiego krajobrazu politycznego podkreślały w swych programach i wypowiedziach obcość żydowskiej wspólnoty religijnej i jej rzekomo szkodliwą rolę w życiu gospodarczym i kulturalnym. Przeciwnie, partie wierne zasadom liberalnym oraz socjaliści odrzucali w swych programach jakiegokolwiek rozróżnienie narodowe czy wyznaniowe. Względnie wpływowe w Polsce kręgi intelektualne odrzucały w swej ogromnej większości wszelkie nacjonalistyczne czy antysemickie tendencje. Preferowały one jednakże kontakty z przedstawicielami odpowiednich żydowskich elit liberalnych.

Stanowisko dominującego w Polsce Kościoła rzymskokatolickiego było podyktowane tradycją, pełne nieufności i nie wolne od stereotypów i uprzedzeń, wynikających z wielusetletniego antagonizmu między chrześcijaństwem a żydostwem — antagonizmu, który trwał do II Soboru Watykańskiego, a dokładniej do dnia 28 października 1965 roku, dnia o historycznym znacze-

niu, kiedy to Ojcowie Soboru przyjęli deklarację *Nostra Aetate*.

Jednakże w katolickich kręgach intelektualnych zarysowała się pod koniec lat dwudziestych i trwała przez lata trzydzieste tendencja zmierzająca do dialogu chrześcijańsko-żydowskiego. Nie był to co prawda ruch zbyt wielki ilościowo, ale znalazły się w nim osobistości wysokiej rangi moralnej i intelektualnej. Część z nich odegrała podczas drugiej wojny światowej pozytywną rolę w kontynuacji rozpoczętego dzieła. [...]

Jako polski historyk jestem wdzięczny Żydom polskim za ich wielki twórczy wkład [...] w ukształtowanie wysokich wartości kultury mego Kraju, w szczególności w dziedzinie muzyki i literatury, ale również za historyczne zasługi Żydów polskich dla polskiej nauki. Jako warszawiak jestem szczęśliwy i dumny z tego, że Isaac Bashevis Singer, w 1978 r. laureat nagrody Nobla w dziedzinie literatury, pisał jako młody dziennikarz dla prasy żydowskiej w moim rodzinnym mieście Warszawie i do końca życia oprócz jidysz znał również język polski.

Niewyobrażalna katastrofa drugiej wojny światowej skonfrontowała wszystkich ludzi mego pokolenia z nieprzewidzianą sytuacją, która przekraczała wyobraźnię cywilizowanych narodów. Niedawno temu obchodziliśmy smutną rocznicę tzw. konferencji w Wannsee z 20 stycznia 1942 roku, która położyła podwaliny organizacyjne i ustaliła polityczną akceptację *establishment*'u Trzeciej Rzeszy dla trwającego już od wielu miesięcy biologicznego unicestwienia całego narodu żydowskiego.

W obliczu straszliwych wydarzeń w kolejnych miesiącach 1942 roku i później utworzyły się w okupowanej Polsce małe grupy ludzi dobrej woli, które rozpoczęły w Warszawie, Krakowie, Lwowie i innych miejscach rozpaczliwą akcję ratowania śmiertelnie zagrożonych Żydów. Jako jeden ze współzałożycieli tajnego Komitetu Pomocy Żydom a potem Rady Pomocy Żydom w Warszawie w 1942 r. (historykom w Polsce, Izraelu i USA lepiej znanej pod kryptonimem „ŻEGOTA”) dobrze pamiętam z jednej strony setki przykładów niezmiernego nieszczęścia i cierpienia, z drugiej strony ciche bohaterstwo wielu ludzi, lecz również wielu innych, którzy zawiedli. Nie chcę być źle zrozumiany: bałem się wtedy często i rozumiem uczucie strachu. Lecz chrześcijańska zasada miłości bliźniego zobowiązuje do zaangażowania się na rzecz tego bliźniego. Za to zaangażowanie wielu Polaków — wieleset przypadków jest dotychczas udokumentowanych — zapłaciło życiem, ponieważ na Wschodzie za pomoc Żydom była tylko jedna kara — kara śmierci.

Wszystko, co zrobiono, co zrobili intelektualiści i chłopci, robotnicy i studenci, zakonnice i księża, różnie motywowani ludzie, aby pomóc, było tylko kroplą w morzu nieszczęścia. Na-

wet jeżeli wspomniana Rada uratowała kilka tysięcy ludzi, to w przypadku tysięcy i setek tysięcy innych pomoc nie powiodła się, albo była od samego początku niemożliwa.

W obliczu postępującej od 1942 roku zagłady stłoczonych w gettach Żydów uznaliśmy za kwestię najwyższego znaczenia zaalarmowanie opinii światowej i wywarcie nacisku tej opinii światowej na Niemcy. Tajne radiostacje, którymi dysponowała Armia Krajowa i Delegatura Rządu na Kraju, wielokrotnie w trakcie roku 1942 przekazywały informacje o wydarzeniach w Polsce do Londynu. Ogromną rolę jednakże odegrała podróż specjalnego kuriera Armii Krajowej z Warszawy do Anglii. Nazywał się Jan Kozielewski, a działał pod pseudonimem Jan Karski (obecnie emerytowany profesor Georgetown University w Waszyngtonie). Był on świadkiem likwidacji warszawskiego getta latem 1942 roku i masowych transportów do Treblinki, wziął udział w konferencji z udziałem przedstawicieli tajnych organizacji żydowskich w Warszawie. Poinformowali go wyczerpująco o sytuacji i przekazali mu ustne polecenie dla mandatariuszy w Anglii. Poznałem Karskiego osobiście pod koniec sierpnia albo we wrześniu 1942 r., a więc jeszcze w czasie akcji niszczenia getta. [...]

Karski przybył w listopadzie 1942 r. cały i zdrowy do Londynu, gdzie przyczynił się do natychmiastowej publikacji Czarnej Księgi i podjął energiczne kroki w celu uświadomienia kierowniczych kół politycznych Wielkiej Brytanii o straszliwych wydarzeniach w Polsce. Prowadził rozmowy nie tylko z premierem polskiego rządu emigracyjnego, Sikorskim, lecz także z Winstonelem Churchillem, ze znakomitymi osobistościami świata intelektualnego Zachodu, jak H.G. Wells, A. Koestler i inni.

27 listopada 1942 r., wkrótce po przybyciu Karskiego do Anglii, polska Rada Narodowa w Londynie zaprotestowała w przyjętej jednogłośnie uchwale przeciwko masowej eksterminacji ludności żydowskiej w Polsce i zażądała interwencji aliantów. 10 grudnia 1942 r. urzędujące w Londynie polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wystosowało do rządów państw koalicji notę, w której wskazano na konieczność „nie tylko potępienia zbrodni (...) ale także znalezienia skutecznych środków, po których można by się spodziewać, że powstrzymają Niemcy od dalszego stosowania metod masowej zagłady (...)”. Na skutek tego rządy trzech mocarstw — USA, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego, jak również Komitet Wolnej Francji opublikowały 17 grudnia 1942 r. jednogłośnie przyjętą deklarację, w której zapowiadały mordercom najsurowsze kary po zakończeniu wojny. Nie znaleziono jednak skutecznych środków, aby ratować Żydów. W tym czasie żyła jeszcze połowa przyszłych ofiar...

W Palestynie, a później w nowym państwie żydowskim — Izraelu, po zakończeniu drugiej wojny światowej dziesiątki tysięcy polskich Żydów znalazło schronienie i nową ojczyznę. W początkowym stadium zakładania i rozwoju tego państwa wielu byłych Żydów polskich — nie tylko David Ben Gurion — odegrało historyczną lub też istotną rolę. [...]

Wdzięczność to bezsprzecznie jedno ze szlachetniejszych uczuć, zaś wdzięczność praktykowana nieprzerwanie jest wychowawcza, działa jako wzór: Izraelczycy dają nam jedyny w swym rodzaju przykład wdzięczności. Już w sierpniu 1953 roku, pięć lat po założeniu państwa, izraelski parlament, Knesset, uchwalił jednogłośnie ustawę o pamięci męczenników i bohaterów Holocaustu — Yad Vashem (Yad Vashem — słowo z księgi Izajasza 56,6 oznacza: pomnik i imię). W paragrafie 1 punkt 9 tej ustawy czytamy, że nowy państwowy instytut zostaje utworzony między innymi dla zachowania pamięci „o Sprawiedliwych wszystkich narodów, którzy narazili własne życie, by ratować Żydów”.

W maju 1962 r. w Alei Sprawiedliwych na Górze Pamięci (Har Hazikaron) w Jerozolimie pierwsze osoby posadziły symboliczne drzewka z tabliczkami, na których znajdowały się ich nazwiska i nazwa ich kraju.

W październiku 1963 r. miałem zaszczyt i przyjemność wysłuchania *laudatio* Gideona Hausnera, starego Galicjanina ze Lwowa, byłego Prokuratora Generalnego Izraela, oraz zasadzenia drzewka w imieniu Rady Pomocy Żydom. Dzisiaj w Parku Sprawiedliwych (to już więcej niż aleja) rośnie około 9.000 drzew z całej Europy. Ponad 3.500 nosi nazwiska moich rodaków, indywidualnie albo całych rodzin. Jest wiele drzew holenderskich, duńskich, francuskich, również austriackich i niemieckich. A jest to przysłowiowy wierzchołek góry lodowej, ponieważ wiele nazwisk tych zasłużonych ludzi na zawsze pozostanie nieznanych. Ku ich pamięci wzniesiono kilka lat temu na terenie Yad Vashem Pomnik Nieznanych Sprawiedliwych.

Zawsze, gdy się tam znajduję, przypominam sobie mądrość Biblii: gdy Bóg groził zniszczeniem miasta Sodomy za popełnione tam nieczne czyny, Abraham wstawił się za jego mieszkańcami, a Bóg wysłuchał jego błagania i był gotowy oszczędzić miasto dla dziesięciu sprawiedliwych (Gen. 18,32). Wierzę głęboko, że ci, którzy w tych strasznych latach mieli możliwość przeciwstawić się zbrodni, jak i ci, którzy zostali uratowani przed zagładą i którzy wywołują w naszej pamięci czyny płynące z solidarności człowieka wobec człowieka, w pewien sposób przyczynili się i przyczyniają się do tego, że świat, nawet po Oświećcimiu, nie pozostaje bez nadziei.

Czy uczymy się z historii? Szczerze mówiąc, nie wiem czy tak jest. Ale wiem, że my wszyscy, ludzie myślący, jesteśmy zobowiązani zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby przeciwstawić się siłom zła, ciemnoty, agresji, nienawiści — również nienawiści wobec Żydów, a zatem nienawiści wobec ludzi.

I tak w pięćdziesiątym roku mej dziennikarskiej, a potem pisarskiej działalności, czuję się nadal zobowiązany do składania świadectwa. To zobowiązanie staram się wypełniać jako mianowany członek Rady ds. stosunków polsko-żydowskich przy Prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej i jako wybrany przewodniczący Międzynarodowej Rady Muzeum Oświęcim-Brzezinka. [...]

Wielce szanowny i drogi prezydencie P.E.N., profesorze Giese!

Nie czuję się właściwie politykiem i tylko w niewielkim stopniu dyplomata. A dzisiaj, tutaj, jestem po prostu człowiekiem odczuwającym wdzięczność, człowiekiem, któremu Pan Bóg pozwolił dożyć w godności czasu nowego początku dla ludzi w tej części świata. [...]

Chciałbym zakończyć najważniejszym w naszych czasach słowem: Pokój na tej Ziemi! Pokój Jerozolimie! Pokój Izraelowi! Pokój nam wszystkim! Szalom!

Władysław BARTOSZEWSKI

Powyższy tekst zamieszczamy z nieznacznymi skrótami (Red.).

Zygmunt ALBERT

24-ta ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI (11 listopada 1942r. we Lwowie)

Pięćdziesiąt lat temu, 11 listopada 1942r. o godzinie 6 rano, rozpoczęły się we Lwowie aresztowania wśród polskiej inteligencji, rzemieślników i kupiectwa. Do mego mieszkania wpadła trójka, tj. gestapowiec, niemiecki policjant porządkowy (*Schutzpolizist*) i policjant ukraiński. Kazano mi się szybko ubierać i wciąż mnie poganiano. W pokoju przy mnie został policjant niemiecki, pozostali robili powierzchowną rewizję w innych

pokojach. Zamieszkałego w naszym mieszkaniu szwagra mej żony wylegitymowano (żonę jego wywieźli Rosjanie na Sybir, jako że była żoną urzędnika „aparatu wyzysku”, tj. finansowego) i więcej się nim nie interesowano.

Chwyciwszy przygotowane przez żonę dwie kromki chleba posmarowane smalcem, wyszedłem na ulicę. Zdziwiłem się, gdy nie zobaczyłem przed domem policyjnego auta. Poszliśmy pieszo ulicą Jabłonowskich w kierunku ul. Zielonej. Przed jedną z pierwszych kamienic ul. Jabłonowskich zatrzymaliśmy się. Ja z policjantem ukraińskim pozostałem na ulicy, tamci dwaj weszli do bramy. Zapytałem Ukraińca, czy może zna przyczynę mego aresztowania. Zaprzeczył, i po chwili z rozżaleniem poskarżył się, że wstępując do policji myślał, że przysłuży się swojej ojczyźnie, a tymczasem używa się go do takich robót.

Nadbiegła moja żona, która szła za nami, i widząc że rozmawiam swobodnie z Ukraińcem, przystąpiła do nas i zapytała, dokąd się nas prowadzi. Policjant oświadczył, że nie wie, ale dał jej swój adres i polecił przyjść do siebie do domu wieczorem; wówczas jej powie. Gdy żona tam poszła, policjant i jego żona bardzo jej współczuli, ale poza tym, że zostałem odprowadzony do więzienia, nic więcej policjant nie potrafił powiedzieć. Wkrótce wyszła ekipa aresztująca z nowym mężczyzną i poszliśmy z powrotem ulicą Jabłonowskich. Żona została przed bramą i zapytała stojące tam kobiety, kogo aresztowano. Jedna z kobiet krzyknęła, by nie rozmawiać z nią, gdyż to żona agenta. Dopiero po wyjaśnieniu, że ja również zostałem aresztowany, powiedziały, że zabrano znanego we Lwowie ginekologa, dr. Dolińskiego.

Tymczasem szliśmy po różnych ulicach i grupa aresztowanych powiększała się. Dołączył do nas b. starosta Zawistowski, potem około 70-letni emerytowany sędzia sądu wojskowego i kilka innych osób. Następnie prowadzono nas ulicą Pełczyńską. Ludzie z wyraźnym przerażeniem przystawali, częściej przyspieszali kroku. Jakaś pani idąca z opuszczoną głową w chwili mijania nas podniosła wzrok, krzyknęła Jezus Maria! i przeżegnała się. Było dla mnie jasne, że aresztowania nasze miały charakter demonstracyjny i odstraszały dla ludności polskiej. Z reguły gestapo zabierało aresztowanych do aut, a nie prowadziło ich pieszo po następne ofiary. Widocznie Polacy dokonali jakiegoś aktu sabotażu i gestapo będzie nas rozstrzeliwać lub wieszać publicznie, co już wielokrotnie miało miejsce w Warszawie, Lwowie i w innych miastach.

Doszliśmy do początku ul. Pełczyńskiej, gdzie mieściła się komenda gestapo. Weszliśmy do hallu i tu nas spisano. Widziałem, jak jeden z gestapowców pokazywał Zawistowskiemu znale-

ziony u niego tzw. bokser, groźnie zapytując do czego był mu potrzebny. Ten tłumaczył się, że kilka tygodni temu przeżył bandycki napad, więc kupił go sobie dla samoobrony. W hallu znajdowało się wiele innych grup aresztowanych. Wyprowadzono nas na ulicę i poprowadzono na ulicę Łąckiego, do osławionego więzienia gestapo. Pojedynczo prowadzono nas do „recepcji”, gdzie odbierano nam wszystko: płaszcz, czapkę, rękawiczki, krawat, zegarek, portmonetkę, sznurówki, pasek do spodni. Wśród obecnych tam trzech gestapowców znajdował się 16-letni chłopak w pełnym umundurowaniu gestapowca. Był to może jego pierwszy dzień pracy, gdyż po wezwaniu do podniesienia rąk do góry, obszukał mnie dość nieśmiało. Następnie wprowadzono mnie do dużej sali, gdzie gromadzono aresztowanych. Pilnował nas jakiś mężczyzna w cywilnym ubraniu. Wśród kilkudziesięciu przeważnie nieznanymi mi osób spostrzegłem wielu docentów i profesorów z naszego Wydziału Lekarskiego. Przypomniało mi to scenę z 3 lipca 1941 roku, opowiedzianą przez prof. Groëra. W Domu Wychowawczym im. Abrahamowiczów, zajęтым przez oddział specjalny SS, zgromadzono 23 profesorów i docentów wyższych uczelni Lwowa i w kilka godzin później, bez żadnego sądu, rozstrzelano ich wszystkich, z wyjątkiem prof. Groëra, z synami powyżej 18-tu lat, niektórych z żonami i sublokatorami, razem około czterdziestu osób¹. Gdy nad ranem zwalniano Groëra, oficer gestapo zapisał sobie jego adres, mówiąc, „by gdy przyjdzie inny oddział gestapo, nie czepiali się ciebie więcej”. Niestety, ujrzałem dziś na sali prof. Groëra. Wydawało mi się, że drżą mu silnie wargi. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że od owego aresztowania w 1941 r. i wprost cudownego ocalenia, stał się bardzo pobożny i często leżał krzyżem w kościele Św. Mikołaja. Poczekąłem do końca modlitwy i przywitawszy się zapytałem, co sądzi o naszym aresztowaniu. Odpowiedział krótko: „Jak najgorzej, a Pan?”. Odpowiedziałem, że tylko my dwaj dobrze wiemy, co stało się wówczas z naszymi profesorami i trudno mi jest przypuszczać, że teraz będzie inaczej.

Aresztowany neurolog dr Teppa próbował symulować chorobę, mając nadzieję, że dostanie się do szpitala. Przysłano lekarza więziennego, którym okazał się mój dobry znajomy, dr St. Hecht. Pracował on w latach 1940-1941 w naszym zakładzie Anatomii Patologicznej jako asystent. Zmierzył dr. Teppie ciepłotę i usprawiedliwiająco powiedział, że tylko chorych z gorączką może brać na oddział. Dr Hecht, więziony za to, że

1. Z. Albert: *Każń profesorów lwowskich. Lipiec 1941*. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego 1989, ss. 210 i 221.

był Żydem, przetrwał w więzieniu jeszcze dwa lata i w 1944 r. został zamordowany.

W południe więźniowie wnieśli do sali duży kocioł i miski, położyli na podłodze, wezwali do jedzenia i odeszli. Zajrzałem do kotła; była w nim parująca woda z nielicznymi okami tłu-szczu i kilkoma listkami kapusty. Nabrałem chochlą „zupe”, a prof. Lenartowicz zapytał, czy naprawdę chcę to jeść. Odpowiedziałem, że nasz organizm potrzebuje płynów i wobec tego należy mu je dać. Przekonany Lenartowicz wziął ode mnie menażkę i zaczął powoli pić. Niektórzy współwięźniowie zaczęli jeść przyniesiony z domu chleb. Oglądałem się i nie zauważyłem swego chleba. Zacząłem chodzić po sali i szukać po stołach, aż gestapowiec zapytał po niemiecku, dlaczego pętam się po sali. Odpowiedziałem, że szukam mego chleba. Na to on ryknął po polsku: „Ej panowie profesorowie! Jak was zacznę walić po dupie, to zaraz chleb się znajdzie”. Speszony zobaczyłem, że pod ścianą dwóch Żydów je mój chleb. Przerażeni oczekiwali na moją reakcję. Odwróciłem się od nich i na szczęście jakiś inteligent w kolejańskim mundurze, trzymając w ręku swój chleb zapytał, czy tego szukam. Chwyciłem skwapliwie chleb do ręki i pokazując go gestapowcowi powiedziałem, że zguba się znalazła. Oddałem chleb kolejarzowi, dziękując mu gorąco za refleks i wyratowanie nas wszystkich z opresji.

Późnym popołudniem zabrano nas do kąpieli, pozbawiwszy przedtem każdego włoska na ciele z wyjątkiem brwi i rzęs. Woda na szczęście była ciepła. Potem rozmieszczono nas po celach. Mnie z doktorem Bühnem wprowadzono do tej samej celi. Ujrzawszy to małe pomieszczenie i kłębiący się tłum jego lokatorów, byłem przekonany, że nikt więcej się tu nie zmieści. Więźniowie oznajmili nam, że są jeszcze tylko dwa wolne miejsca: jedno pod otwartym stale oknem i drugie obok dużego kibla napełnionego już do połowy moczem. Wybrałem miejsce pod oknem, choć na dworze było kilkanaście stopni mrozu. Współwięźniami byli, jak się okazało, złodzieje, włamywacze itp. Wyjątkiem był więzień w kącie celi, którego dobrze znałem (nazwiska zapomniałem). Był on sekretarzem Kasyna Literacko-Naukowego we Lwowie przy ul. Akademickiej i często do niego chodziłem po bilety na odczyty lub zabawy i bale. Tylko on nas o nic nie pytał i nie próbował nawiązać rozmowy. Podejrzewając, że może ukrywa swą tożsamość, milczałem. Jak się okazało, cieszył się on wśród więźniów dużym autorytetem. Każdą kłótnię gasił krótkim, stanowczym „dość”. Współwięźniowie byli to młodzi, dorośli ludzie, tylko jeden chłopak, Rosjanin, miał najwyżej szesnaście lat; jemu to próbowano dokuczać, ale sekretarz nie pozwalał na to.

Spaliśmy na gołej, na szczęście drewnianej podłodze w ubraniach, bez żadnych koców czy poduszek. Było nas szesnaście osób. Mogliśmy leżeć tylko na boku, ciasno jeden obok drugiego. Obrócić się można było tylko wówczas, gdy uczynili to inni. W nocy odczułem silny katar i bóle w zatokach bocznych nosa; było to następstwo spania pod otwartym oknem, gdy na dworze panował kilkunastostopniowy mróz.

W dzień uprawiali więźniowie namiastkę spacerów. Połowa ustawiała się pod ścianą, reszta robiła kilka kroków wprzód i zaraz zawracała z braku miejsca z powrotem. Po takich kilkunastu lub więcej zwrotach kończyła się gimnastyka.

Największą dolegliwością więźniów palących był brak papierosów. Niektórzy bardzo cierpieli z tego powodu. Gdy wprowadzono nas do nowych celi, więźniowie rzucili się ku nam z zapytaniem, czy mamy papierosy. Oczywiście jako niepalący nie miałem. Nie wierzyli i prosili o zdjęcie marynarki. Wytrząsali z górnej kieszonki pył, wąchając, czy to nie tytoń. Z wyrzutem pytali, jak można było iść do więzienia bez papierosów. Zapewniłem ich, że gestapo ani ustnie, ani pisemnie nie uprzedziło mnie o aresztowaniu. Jeden z więźniów nie miał już butów, które oddał strażnikowi polskiemu za tytoń. Więcej nie miał już nic do zamiany.

Rano otrzymaliśmy po ćwierć kilograma czarnego, rozsypującego się i mocno spleśniałego chleba, który miał wystarczyć na cały dzień. Zacząłem obskubywać pleśń i w tej chwili las rąk pojawił się pod moim chlebem. Zrozumiałem, że kto chce przeżyć, nie może przejmować się taką bagatelą jak pleśń, więc jadłem chleb bez dalszego wahania. Do popicia otrzymaliśmy garbuszek niesłodzonego, letniego płynu, zabarwionego brązowo na kolor kawy.

Okno celi wychodziło na ludną ulicę Leona Sapiehy i mimo zakazu, każdy z nas chciał się codziennie przekonać, jak toczy się życie na wolności. Oczywiście toczyło się normalnie.

Dzień do dnia był podobny. Ani mnie, ani żadnego ze współwięźniów nie wzywano na przesłuchanie, nikt się nami nie interesował. Po ośmiu dniach pojawił się w drzwiach gestapowiec, wywołał moje nazwisko, kazał zabrać rzeczy i iść za nim. Zaprowadził mnie do „recepcji”, gdzie oddano moje rzeczy i wypuszczono na ulicę.

Nikt z nas nie potrafił sobie wyjaśnić przyczyn aresztowania. Dopiero po zakończeniu wojny napotkałem w książce „Okupacja i Ruch Oporu w Dzienniku Hansa Franka” depeszę Himmlera, nadaną 10 listopada 1942 r. do dowódcy gestapo w Generalnej Guberni, Krügera, o następującej treści: „Otrzymałem meldunek o planowaniu powstania przez polski ruch oporu.

Należy w porę i natychmiast przeciwdziałać najostrzejszymi środkami i ponownie przekazać do obozów koncentracyjnych większą ilość Polaków, którzy mogliby działać przy takim powstaniu. H. Himmler²”.

Wobec tego, że planowane powstanie okazało się plotką, wypuszczono nas. Na pewno takie same aresztowania odbyły się w dniu 11 listopada 1942 r. i w innych miastach Polski, a przede wszystkim w Warszawie, Krakowie i Lublinie. Nigdy jednak nie dotarły do mnie wieści o tym. Choć minęło pięćdziesiąt lat, na pewno żyją jeszcze ludzie, którzy padli ofiarą aresztowań w tym dniu.

Jak wynika z mojej relacji, gestapowcy względnie łagodnie obeszli się z nami. Poza jednym wyjątkiem, gdy gestapowiec obiecywał profesorów walić w d..., nie doszło na szczęście do żadnych brutalności. Gestapo lwowskie chyba nie wierzyło w wybuch powstania, gdyż niektórych aresztowanych zwolniono zaraz po doprowadzeniu ich rano do gestapo. Tak było z profesorem Franke i docentem Liebhardem. Pozostałych lekarzy trzymano w więzieniu do dziesięciu dni. Jedynie prof. Wierzuchowskiego przetrzymano prawie dwa miesiące, ale chyba posądzano go o pochodzenie żydowskie. Prof. Schulze, dyrektor Wydziału Lekarskiego otworzonego pod nazwą Zawodowych Kursów Medycznych, powiedział mi, że stara się o zwolnienie Wierzuchowskiego i jeśli nie jest Żydem, na pewno wkrótce będzie wolny³.

Wraz z nami aresztowany został sędzia Macheta, którego znałem osobiście. Nigdy więcej go potem nie ujrzałem i ogólnie mówiono, że zginął w obozie koncentracyjnym na Majdanku w Lublinie. Wobec tego, że Macheta był więziony uprzednio przez Rosjan, nie jest wykluczone, że z tego powodu zesłano go do obozu koncentracyjnego, w myśl, że skoro występował przeciw jednemu okupantowi, może to samo uczynić przeciw drugiemu. Czy więcej takich ofiar było, nie wiem.

Zwraca uwagę, że wśród około 70-ciu aresztowanych w dniu 11 listopada 1942 r. było aż 15-tu lekarzy (21 %). Żaden inny zawód nie był tak silnie reprezentowany jak lekarski. Gdyby istotnie doszło do wybuchu powstania, wszyscy zakładnicy ponieśli by śmierć.

Wśród aresztowanej 16 miesięcy wcześniej grupy 26-ciu profesorów wyższych uczelni Lwowa oraz ich rodzin i przyjaciół, razem 40 osób, znalazło się 15-tu lekarzy (37 %). Tylko jeden

2. S. Płoski, L. Dobroszycki i inni: *Okupacja i Ruch Oporu w Dzienniku Hansa Franka*, Warszawa 1972, s. 592.

3. Z. Albert: *Lwowski Wydział Lekarski w czasie okupacji hitlerowskiej 1941-1944*. Prace Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego 1975, s. 58.

lekarz, prof. Franciszek Groër ocalał, gdyż był ożeniony z Angielką. Decydujący wówczas o życiu i śmierci profesorów kapitan SS Hans Krüger inaczej postąpił 8 dni później w Brodach wobec lekarzy żydowskich. Jak mi powiedział naoczny świadek, dr med. Jerzy Bogner, Krüger zwołał całą inteligencję żydowską i wysłał ją na śmierć z wyjątkiem lekarzy, którym oznajmił, że pozostają w dyspozycji gestapo. Nie zapadła wówczas jeszcze decyzja uśmiercenia wszystkich Żydów i wobec obawy, że mogą wybuchnąć epidemie chorób zakaźnych, wolano zachować lekarzy. Dzięki odroczeniu ich śmierci, niektórzy lekarze ocalili, bądź to ukrywając się, bądź też wstępując do polskiej czy sowieckiej partyzantki. Siewca śmierci kapitan SS Krüger dotarł po masakrze we Lwowie i Brodach do Stanisławowa, gdzie wymordował inteligencję polską i żydowską. Na rozprawie sądowej po wojnie stronnicy sąd niemiecki udowodnił Krügerowi tylko mord w Stanisławowie.

Na zakończenie tej relacji podaję zanotowane wówczas przeze mnie nazwiska aresztowanych.

Profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego:

Prof. Marian Franke — patolog, 65 lat,
Prof. Jan Lenartowicz — dermatolog, 65 lat,
Prof. Eugeniusz Artwiński — neurolog, 50 lat,
Prof. Franciszek Groër — pediatra, 55 lat,
Prof. Bolesław Jałowy — histolog, 36 lat,
Prof. Mieczysław Wierzuchowski — fizjolog, 47 lat,
Doc. Tadeusz Chorążak — dermatolog, 41 lat,
Doc. Witold Grabowski — rentgenolog, 40 lat,
Doc. Stanisław Liebhard — ginekolog, 45 lat,
Doc. Zygmunt Albert — anatomopatolog, 34 lata,
Dr Stanisław Teppa — asystent Kliniki Neurologicznej, 40 lat.

Spoza Wydziału Lekarskiego aresztowano następujących lekarzy:

Dr Doliński — ginekolog,
Dr Stanisław Bühn — internista
Dr Daum — ginekolog,
Dr Adlerstein — stomatolog.

Z pozostałych kilkudziesięciu osób zanotowałem jedynie następujące nazwiska:

Macheta — sędzia,
Terlikowski — sędzia,
Jan Rejman — ?,
Jaworek — piekarz,
Mgr Wrażej — ?,
Jasiński — mistrz brązowniczy,
Stroński — adwokat,
Bracia Lachowiczowie — ?,
Targalski — zegarmistrz,
Thulie — inżynier,
Prof. dr Edmund Bulanda — ostatni przedwojenny rektor Uniwersytetu JK,
Zawistowski — były starosta powiatowy,
Jezierski — ?,
Firlejowa, żona doktora (lekarza) — jedyna kobieta, aresztowana na miejsce nieobecnego w domu męża.

Zygmunt ALBERT

Andrzej BOGUSŁAWSKI

JESZCZE O „CICHOCIEMNYCH” J. TUCHOLSKIEGO

Toczy się nadal polemika wokół książki o Cichociemnych. Byłoby źle, gdyby nie napisano do tej książki uzupełnień, sprostowań, wyjaśnień. Książka dotyczy bowiem okresu wojennego, gdy wiele spraw było otoczonych tajemnicą, materiały często niepełne, a niekiedy sprzeczne z sobą. Dodatkowe trudności wynikły z podporządkowania Polski Sowiетom, co uniemożliwiało przez dłuższy czas prowadzenie systematycznych badań na terenie Polski, gdy AK było traktowane jako „zapłuty karzeł reakcji”, a zrzutkowie z Anglii i Włoch kojarzyli się narzuconej władzy komunistycznej z najbardziej niebezpiecznym dla niej, ideowym elementem ruchu oporu w Polsce zwanej zrazu dla zmydlenia oczu RP, potem Polską Ludową, wreszcie PRL. A czas upływał i nawet w pamięci uczestników wydarzeń musiały się stopniowo zacierać ich szczegóły, nazwy i kryptonimy, losy indywidualne i zbiorowe, nieraz tragiczne przeżycia.

Stan największego zagrożenia w kraju trwał co najmniej lat 10-12; później, do lat sześćdziesiątych nadal trwał okres niepewności. Nic dziwnego, że pierwsze książki o Cichociemnych ukazały się w Londynie: Józefa Zabielskiego „Pierwszy skok” 1946, zbiór wspomnień „Drogi Cichociemnych” (1954, 1961 i 1972), wreszcie najbardziej źródłowa z nich, Józefa Garlińskiego „Politycy i żołnierze” (1968 i 1971). Z punktu widzenia historii ta ostatnia jest chyba najlepsza: widać w niej dobrze opanowany warsztat naukowy i wykorzystanie źródeł dostępnych autorowi.

W kraju powstało w latach sześćdziesiątych środowisko Cichociemnych — Zespół Historyczny — które zaczęło gromadzić materiały. Pojawiły się artykuły prasowe ze wspomnieniami — Stanisław Jankowski w *Życiu Warszawy*, kilku autorów w *WTK*. Cezary Chlebowski napisał kilka książek: m.in. monografię o „Wachlarzu”, zawierającą wiele wiadomości o działaniach Cichociemnych i o mjr. Janie Piwniku „Ponurym”.

Wreszcie w latach osiemdziesiątych ukazała się nakładem PAX-u monograficzna książka Jędrzeja Tucholskiego pt. „Cichociemni”. Wyszedł już trzy edycje tej monografii, ja rozporządzam wydaniem II, uzupełnionym. W tej chwili toczy się polemika na temat wydania III między Przemysławem Bystrzyckim, moim kolegą Cichociemnym, i Jędrzejem Tucholskim, autorem monografii. Do tej polemiki przystąpił też na łamach 99-go zeszytu *Zeszytów Historycznych* Krzysztof Adam Tochman, publikując swoje uzupełnienia do „Cichociemnych”.

Co mi się w tej polemice i wymianie poglądów nie podoba? Dostrzegam w niej (przeczytałem polemikę w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym* z 1991 r.) jakiś obopólnie niechętny i zgryźliwy ton w różnych sprawach, zamiast dążenia do wykorzystania uwag w celu rekonstrukcji prawdy historycznej. Autor powinien skorzystać z wszystkich uwag, nawet stylistycznych, by swoje dzieło udoskonalić w następnych wydaniach. Jeżeli uwagi merytoryczne są słuszne, to je — oczywiście — uwzględnić, tak jak wiele uwag uwzględnił w wydaniu II. Jeśli są dwie sprzeczne ze sobą opinie lub wersje wydarzeń — przedstawić je obie czytelnikom. Może jakiś szczęśliwy traf w przyszłości rozwikła zagadkę taką, jak np. groby 3 Cichociemnych na cmentarzu brytyjskim na Cytadeli w Poznaniu (Operacja lotnicza „Flat 22” z 14/15.IX.1943). W sposób przykładowy i konsekwentny metodą przedstawiania dwóch wersji wydarzeń posłużył się Jan Erdman w „Drodze do Ostrej Bramy”, książce poświęconej biografii żołnierskiej ppłk. Macieja Kalenkiewicza, zresztą również Cichociemnego, jednego z najbardziej zasłużonych oficerów dla stworzenia kadry skoczków przerzucanych do kraju. Poza tym nie toczyłbym sporów o nieistotne drobiazgi, np. od którego momentu skoczek stawał się Cichociemnym. Choć nazwa przyjęła się i przeszła do historii, nigdy nie była określeniem regulaminowym. Już w Wielkiej Brytanii (i we Włoszech też) przyszli skoczkowie byli tak

nazywani przez kolegów z innych formacji, może właśnie dlatego, że niewiele gadali i starali się zachować w tajemnicy rodzaj i cele swojej przyszłej służby.

Natomiast warto się spierać o sprawy zasadnicze. Jędrzej Tucholski w przedmowie do wyd. II. „Cichociemnych” pisze, że poza daty 15.II.1941 (pierwszego skoku) i 19.I.1945 (rozwiązania AK) treść książki konsekwentnie nie wybiega. Oczywiście to nieprawda. Wybiega i zresztą musi wybiegać. Przed pierwszy skok przedstawiając łączność z krajem, genezę wyodrębnienia w Sztapie VI Oddziału. A także w lata późniejsze, po rozwiązaniu AK. Wybiega również poza te daty w biogramach skoczków, co przyniosło zresztą w wielu wypadkach opłakane skutki. Rozumiem, że mogło to być nieraz spowodowane naciskami cenzury lub wydawnictwa, aby nie drażnić sąsiada ze Wschodu. Ale w miarę upływu czasu warunki się zmieniały i trzeba było natychmiast te okaleczone miejsca poprawić, zgodnie z historyczną prawdą. Chodzi np. o sformułowanie dotyczące zerwania przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z rządem polskim pod pretekstem zwrócenia się do Czerwonego Krzyża o zbadanie grobów w Katyniu, właśnie odkrytych.

Chodzi też o ocenę działalności poszczególnych skoczków, zawartą w biogramach. Sformułowanie dotyczące Zdzisława Jeziorańskiego — Jana Nowaka (działalność dywersyjno-propagandowa wymierzona w PRL) jest tego najłagodniejszym przykładem. Była to przede wszystkim walka o prawdę z komunistycznym zakłamaniem i niedoinformowaniem polskiego społeczeństwa.

Znacznie gorsze są określenia zaczerpnięte z wyroków sądowych, mieniących się w dodatku perfidnie sądami RP, które wydały wyroki śmierci na kilku naszych kolegów. Wiadomo, jakie to były sądy, jak działały. Chodzi np. o sprawy mjr. (a nie rtm.) Andrzeja Czaykowskiego, ppor. Stefana Górskiego, ppor. Czesława Rossińskiego i por. Mieczysława Szczepańskiego. Chodzi o por. Aleksandra Kułakowskiego, który służąc w ludowym WP „zaginął bez wieści” 29. X. 1944.

Sprawa mjr. Czaykowskiego jest o tyle bolesna, że jego nazwisko nie figurowało również w 1980 r. na tablicy poległych Cichociemnych w kościele św. Jacka w Warszawie! Jest miejsce, żeby ten brak uzupełnić. Bez względu na to co robił czy nie robił mjr Czaykowski w Polsce, na pewno nie była to działalność antypolska.

Wyrok na Rossińskiego i Szczepańskiego wydany za „podjęcie przygotowań do zamachu na siedzibę PKWN i Osóbkę-Morawskiego”, zasądzony wtedy, kiedy PKWN już nie istniał i wykonany trzy dni później, w kwietniu 1945 r., po Jałcie, służył jedynie zastraszaniu społeczeństwa. Czytałem w swoim czasie w *Polityce* odpowiedź na list siostry por. Szczepańskiego, oburzonej na treść biogramu w „Cichociemnych” i domagającej się rehabilitacji brata. Odpowiedź J. Tucholskiego była krótka i zdawkowa: „Trzeba było

w swoim czasie wystąpić do sądu o rehabilitację"! Może ktoś wreszcie wystąpi, by przywrócić oficjalnie dobre imię tym dwóm oficerom. Wśród kolegów nigdy tego dobrego imienia nie stracili.

Bardzo wielu Cichociemnych zachowało przez pewien czas, lub na stałe, swoje nazwiska z kennkart okupacyjnych. Z przyczyn oczywistych. Przez dłuższy czas powrót do własnego nazwiska wiązał się z ryzykiem śledztwa w UB, a nawet wywiezienia w głąb Sowietów. Przez dłuższy czas używałem swego okupacyjnego nazwiska Łowieniecki, nawet kontynuowałem studia na SGH pod owym nazwiskiem dzięki dyskrecji prof. Edwarda Lipińskiego i prof. Jerzego Lotha, którzy mnie znali osobiście sprzed wojny. Kilka innych przykładów. Kazimierz Bernaczyk został przy imieniu i nazwisku Ryszard Słoński, Gustaw Heczko przy nazwisku Kalinowski, Bronisław Czepczak zaczął używać podwójnego nazwiska Czepczak-Górecki. Itd.

Krzysztof A. Tochman pisze kilkakrotnie: nie ma dowodów, że po wojnie zmieniali nazwiska. I chyba nie będzie innych dowodów poza oświadczeniami świadków, którym niektórzy przy spotkaniach z kolegami podawali swoje obowiązujące personalia. Zachowała się więc praktyka okupacyjna między ludźmi mającymi do siebie zaufanie po to, żeby drugiego nie wsypać. Np.:

Kpt. Michał Nowakowski zachował po wojnie swoje nazwisko z kennkarty: Michał Sarzyński. Pracował bodajże w spółdzielczości i nie chciał się ujawniać. Myślał zresztą poważnie o wyjeździe za granicę. Ale przepadł bez wieści. Może zaginął gdzieś przy przekraczaniu granicy? Może się jeszcze odnajdzie...

Mjr Mieczysław Pękała zachował po wojnie swoje okupacyjne nazwisko Górski. Zamieszkał z żoną i synem w Warszawie, podając się za ich kuzyna. Swojego prawdziwego nazwiska nie chciał ujawniać z powodu pracy w wywiadzie, a może jeszcze z powodu jakichś dawniejszych kontaktów z bolszewikami. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej, we wrześniu bronił Wileńszczyzny... Nazwisko Górski podawał i innym kolegom, którzy go znali. Zmarł dość wcześnie. Może został pochowany pod swym właściwym lub podwójnym nazwiskiem? Nie wiem, nie znam, niestety, ani daty ani miejsca pogrzebu.

Dopóki się nie znajdą jakieś inne dowody — trzeba zawierzyć jedynym dowodom jakie mamy: zeznaniom świadków, którzy się z nimi zetknęli.

Ppor. lub por. Adam Krasieński wg. książki J. Tucholskiego „zmarł w Krasnojarskim Kraju”. K. Tochman słusznie krytykuje to niepełne, a więc i bałamutne sformułowanie. O okolicznościach śmierci por. Krasieńskiego wiemy o wiele więcej. Wiemy z dwóch listów napisanych w dniach 9 marca i 4 lipca 1967 r. przez Alojzego Sałacińskiego z Siedlec. Po artykule Jana Waltera w *WTK* napisał on do autora te dwa listy, w których dość dokładnie opisuje losy Adama. Występując pod nazwiskami Adam Zawadzki, a potem Adam

Kmieć, został dwukrotnie aresztowany przez kontrwywiad I Frontu Białoruskiego. Pierwszy raz był badany i torturowany w „jamach” (ziemiankach?) w Krześlinie, potem — po udanej ucieczce — ponownie schwytany pod Białą Podlaską i przewieziony do Kutna, gdzie go Sowieci sądzili i skazali na 10 lat obozu pracy. Razem z A. Sałacińskim został wysłany kolejną (transport trwał 37 dni) do obozu pracy na wyręb lasu w tajdze. Adres: Krasnojarski Kraj, Stacja Reszoty, skrz. poczt. 0/235 OLP II. Wg. Sałacińskiego po kilku tygodniach ciężkiej pracy w kwietniu 1945 r. Krasiński zaczął chorować z powodu wycieńczenia organizmu. Leżał wówczas w szpitalu obozowym razem z A. Sałacińskim, w czerwcu zmarł na dystrofię, przejawiającą się silnym opuchnięciem nóg i został pochowany w tajdze. K. Tochman twierdzi, że zamordował go komendant obozu. Sądzę, że gdyby tak było, A. Sałaciński wspominałby o tym w liście do Jana Waltera i napisałby „strzałem z nagana”, „przez uduszenie”, „uderzeniem” lub t.p. W tej chwili jest pewne, że Adam Krasiński został zamordowany przez sowiecki system łagierny, pracy przymusowej ponad siły niedożywionych ludzi. I to wystarczy.

Wydaje mi się też, że Adam Krasiński, wybitnie zdolny oficer, który razem ze Zdzisławem Straszynskim otrzymał najwcześniejszy awans na podporucznika ze swojego rocznika podchorążówki, powinien mieć w chwili skoku przyznany stopień porucznika.

Bolesna sprawa por. żand. Leonarda Zub-Zdanowicza. K. Tochman pisze: „nie zdezerterował, tylko przeszedł do NSZ by bić komunistów i agentów NKWD”. Ale niewątpliwie złamał złożoną przysięgę. Dlatego uznano to za dezercję. Nie zdobył sobie dobrego imienia jako dowódca oddziału partyzanckiego NSZ. Brał udział w walkach bratobójczych nie tylko przeciw AL, ale i przeciw B.Ch. i AK. J. Tucholski buduje cały biogram „Zęba” w ten sposób, żeby nie tylko jego odsądzić od czci i wiary, ale i żeby rzucić cień na dobre imię gen. Andersa za uznanie jego awansu w NSZ-cie i dodatkowy awans na majora. A może przeprowadzono jakieś dochodzenia i Zub-Zdanowicz doczekał się rehabilitacji? Nie wiem. Sprawa wymaga dalszych badań. Na razie należałoby przedstawić czytelnikom dwie wersje biogramu, akowską i NSZetowską. A gen. Andersa zostawić w spokoju.

Wreszcie sprawa mojego własnego biogramu. W wojsku, podobnie jak w gimnazjum, używałem nazwiska Andrzej Bolesław Bogusławski, skróconego dla wygody w stosunku do wersji metrykalnej. Pominęto Szk. Podch. rez. kaw., którą ukończyłem w 1938 r. jako plut. pchor. rez. Może mój wiek komuś nie pasował, ale poszedłem do podchorążówki na ochotnika, zaraz po maturze. Znalazła się, nie wiadomo skąd, Szk. Podch. w Wielkiej Brytanii, której nie widziałem na oczy. W 1939 r. byłem w 1 p. uł., a nie w 101, jak podano. Byłem dow. plutonu w 2 szwadronie, w dywizjonie pod dow. mjr. Mieczysława Skrzyńskiego. Dywizjon ten dołączył

w drugiej fazie wojny do zapasowej Brygady Kawalerii w Wołkowysku, gdzie był również 101 p. uł. Stąd pewnie nieporozumienie. Czwarty błąd: od 1982 r. mieszkam we Francji, a nie w kraju, jak podano. W krótkim biogramie aż cztery błędy. Trzy z nich można było z łatwością wyeliminować już przed oddaniem pierwszego wydania „Cichociemnych” do druku, gdy mieszkalem w Warszawie.

Sądzę więc, że i w innych biogramach mogły się znaleźć różne błędy, które coraz trudniej będzie eliminować i sprostowywać — jak słusznie pisze K. Tochman. Jednak czynić to trzeba skrupulatnie i z dobrą wolą, bo będzie to coraz trudniejsze.

Andrzej BOGUSŁAWSKI

Piotr DASZKIEWICZ

ARCHIWUM PROFESORA KOPACZEWSKIEGO

W zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu znajduje się kilkaset dokumentów związanych z życiem i pracą profesora Władysława Kopaczewskiego, ofiarowanych przez jego córkę, panią Weiss Kopaczewską, w 1968 roku.

Kopaczewski, chemik i lekarz, pracował w Instytucie Pasteura, w Instytucie Oceanograficznym w Monte Carlo, wykładał na wielu uniwersytetach Francji, Belgii, Hiszpanii, Portugalii, Argentyny. Zwolennik panującej nieomal niepodzielnie wówczas w biologii teorii koloidów, był twórcą własnej oryginalnej teorii stanów patologicznych, odkrywcą szybkiej metody diagnostycznej raka, wynalazcą i posiadaczem patentu tonometru (aparat służący do pomiaru ciśnienia powierzchniowego cieczy) i dializatora, autorem przeszło trzystu publikacji, w tym wielu książkowych.

Polskę opuścił Kopaczewski w 1906 roku, wyjechał z Łodzi w której ukończył średnią szkołę chemii przemysłowej. Nagły wyjazd do Szwajcarii nie pozostawał z pewnością bez związku z burzliwym rokiem 1905. Cóż bowiem robiłyby wśród listów i dokumentów statecznego uczonego wydawane w zaborze austriackim broszury o nauce strzelania czy listy wysyłane przez przywódców PPS-u na emigracji? W Szwajcarii, gdzie dzięki stypendium Biblioteki Polskiej w Rapperswillu Kopaczewski studiował chemię na Uniwersytecie we Fryburgu, a także we Francji, do której przyjechał w 1911 roku, stale pozostawał w kontakcie z organizacjami niepodległościowymi.

Dla młodego, żyjącego w biedzie emigranta, zmuszonego do pożyczania mikroskopu do swoich badań od innego wielkiego uczonego Polaka, profesora Danysza, wydatki rzędu 10 franków przekazywane regularnie na potrzeby Polskiego Skarbu Wojskowego były związane z dużymi wyrzeczeniami.

W pierwszej wojnie światowej bierze Kopaczewski udział jako ochotnik w armii francuskiej, a następnie jako lekarz *attaché* w armii polskiej we Francji. W 1918 powraca do Paryża, gdzie skutecznie stara się o stałą posadę w Instytucie Pasteura.

Przeglądając korespondencję można zauważyć ewolucję sytuacji młodego uczonego, jaka następuje po odrodzeniu się państwa polskiego. Odezwy polityczne małych, niewiele znaczących organizacji emigracyjnych i dziwne, niepodpisane listy z Królestwa Polskiego i Szwajcarii zastępują zaproszenia z ambasad i organizacji reprezentujących ponownie niepodległe państwa Europy Środkowej. Przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego pozostaje Kopaczewski w bardzo dobrych stosunkach zarówno z Ambasadą Rzeczypospolitej jak i z Legacją, a następnie Ambasadą Republiki Litewskiej, a zwłaszcza z głównym lekarzem armii litewskiej, pracownikiem dyplomacji młodego państwa w Paryżu, płk. Nageviciusem.

W 1918 roku na zamówienie Komitetu Narodowego Polskiego i pisma *Jeniec Wojenny* napisał broszurę „O chorobach zakaźnych i walce z nimi”, przeznaczoną dla jeńców Polaków byłych żołnierzy armii niemieckiej, przebywających we Francji w strasznych warunkach sanitarnych, w nadziei, że tego typu oświata ograniczy choćby w niewielkim zakresie epidemię dyfterytu.

W 1921 roku reprezentuje Francję na pierwszym polsko-francuskim zjeździe medycznym w Warszawie. W czasie swoich krótkich pobytów w kraju wyklada podstawy teorii koloidów we Wszechnicy Polskiej (pierwsze zaproszenie z tej uczelni jest podpisane przez jednego z prodziekanów w zastępstwie dziekana Krasowskiego, chwilowo nieobecnego z powodu udziału w pracach komisji wytyczającej granicę polsko-rosyjską). Kopaczewski przyjmuje w swoim laboratorium wielu polskich lekarzy i chemików, stara się o stypendia dla nich, na prośbę profesora Juliana Nowaka przekazuje nieodpłatnie preparaty niezbędne dla wydania pierwszego polskiego atlasu mikrobiologicznego, ofiarowuje część swojego księgozbioru odradzającym się bibliotekom uczelnianym. Pomimo swojego zaangażowania w rekonstrukcję polskiej nauki odrzuca propozycje rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Ciechanowskiego, aby wrócił do kraju i kierował na tej uczelni Katedrą Farmakodynamiki. Ostatni, jakże wymowny list, zamykający niejako okres bliskiej współpracy Kopaczewskiego z polską nauką, został napisany i wysłany już z okupowanej Warszawy przez dr. Michała Rosnowskiego, w którym pisze on (list pochodzi z października 1939) iż „z przyczyn niezależnych od jego woli rezultaty zapoczątkowanych wspólnie prac są w ostatnim okresie bardzo nikłe”.

Lata dwudzieste i trzydzieste są okresem intensywnej pracy i sporych sukcesów Kopaczewskiego. Dziesiątki odczytów i publikacji, wykłady na wielu uniwersytetach europejskich, współpraca z największymi fizykami Europy — m.in. z de Brogliem, E. Fermim, Marconim, z przyrodnikami — m.in. z d'Arsonvalem i dr. Roux, Kazimierzem Funkiem, wielkim polskim biochemikiem odkrywcą witamin, wreszcie z argentyńskimi uczonymi — m.in. z dr. Roffo, kandydatem do Nagrody Nobla w 1933 roku (rok nagrody dla przyrodnika węgierskiego Szent Georgiego).

Na czym polegała oryginalność koncepcji Kopaczewskiego? Znaczną część swoich prac poświęcił on zmianom parametrów fizykochemicznych organizmu w stanach patologicznych (ciśnienie powierzchniowe, przewodnictwo elektryczne, gęstość itd.). Badania prowadzone nad wieloma chorobami pozwoliły mu na sformułowanie ogólnej koncepcji fizykochemii chorób i innych zaburzeń patologicznych. Zastosowanie jego koncepcji do raka pozwoliło na zaproponowanie wyjaśnienia mechanizmu tej choroby, opracowania szybkiej metody diagnostycznej, a także metod terapii jak i sposobów determinacji substancji rakotwórczych. Dzięki swoim doświadczeniom i koncepcji proponował także model błony komórkowej, jak również podjął próbę wyjaśnienia roli cholesterolu w organizmie. Rozwój biologii molekularnej zdezaktualizował niektóre z propozycji Kopaczewskiego, przyswoił inne, nad niektórymi bezskutecznie pracują do dziś najlepsze laboratoria na świecie. Pionierskość prac polskiego uczonego polegała m.in. na tym, iż zwracał on uwagę na rolę innych niż mikroorganizmy czynników chorobotwórczych w okresie niepodzielnego panowania bakteryjnej teorii Pasteura i Kocha i związanego z nią postępowania badawczego (choroba-drobnoustroj-izolacja-szczepionka). Wspólnie z nieliczną grupą biologów owego okresu zapoczątkował Kopaczewski koniec monopolu tej teorii.

Wojna zastała profesora w Maroku, gdzie jako współpracownik Institut Cherifien pracował nad lateksem roślin północnoafrykańskich i możliwością wykorzystania go do produkcji kauczuku, a także nad naturalnymi barwnikami roślinnymi. Z uwagą śledząc rozwój niemieckiej syntezy organicznej i chemii przemysłowej w okresie blokady związanej z pierwszą wojną światową i brakiem własnych surowców w okresie późniejszym uważał, że jedyną szansą stworzenia przeciwwagi dla tej potęgi chemicznej jest rozwój chemii produktów naturalnych pochodzących z kolonii.

W okresie marokańskim napisał także cykl książek o historii nauki, m.in. monografie o Claude Bernardzie, Pasteurze, Marii Skłodowskiej, d'Arsonvalu.

W 1947 roku powrócił do Paryża, gdzie kontynuował swoje doświadczenia do śmierci w 1953 roku.

Piotr DASZKIEWICZ

ŚWIATOWY KONGRES CZECHOSŁOWACKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO (SVU)

W dniach 26 czerwca — 2 lipca 1992 r. odbył się w Czechosłowacji światowy kongres Czechosłowackiego Towarzystwa Naukowego (SVU), odpowiednika Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Pierwszy od chwili powstania Towarzystwa zjazd w ojczyźnie dla jednych, a w „starym kraju” dla innych, zorganizowany był z dużym rozmachem. Uroczyste otwarcie w auli Uniwersytetu Karola z udziałem prezydenta Havla, przyjęcie w sali hiszpańskiej na Hradczanach, galowe przedstawienie „Sprzedanej narzeczonej” w Narodnim divadle — wszystko to świadczyło o wysiłku organizatorów, aby nadać jak najbardziej uroczysty charakter kongresowi.

Wśród całej plejady sesji, od medycyny i nauk ścisłych poczynając a na filozofii i literaturze kończąc, panele historyczne były szczególnie interesujące. Tematycznie koncentrowały się na zagadnieniu państwowości czechosłowackiej, które to zagadnienie stało się wręcz kluczowe w istniejącej sytuacji politycznej. Zwłaszcza osobom Masaryka i Beneša poświęcono dużo uwagi. Były też sesje dotyczące Czechosłowacji w świecie oraz polityki zagranicznej dziś i jutro. Słowaccy historycy byli dobrze reprezentowani.

Jedna sesja zajmowała się wyłącznie tematyką polsko-czechosłowacką w XX stuleciu w sensie porównawczym. Przewodniczyli i komentowali Jaroslav Valenta z Pragi i Piotr Wandycz z Uniw. Yale, a czterej referenci przedstawiali zagadnienia gospodarcze (Zdeněk Sládek z Pragi), literaturę porównawczą (Ant. Měšťan z Uniw. Freiburg), sprawy żydowskie (Jerzy Tomaszewski z Uniw. Warszawskiego) i politykę zagraniczną (Michał Pułaski z UJ). W dyskusji dość nieoczekiwanie główne miejsce zajęła problematyka cieszyńska, wywołując niekiedy ostrą wymianę zdań. Nieco kontrowersyjne, choć nie wywołujące takich polemik, było wystąpienie Wandycza na sesji pt. Prezydent Beneš między Monachium a Moskwą. Referat jego dotyczył roli Beneša jako pośrednika między rządem londyńskim a Moskwą. Wandycz wygłosił również odczyt w Polskim Ośrodku Kulturalnym w Pradze w ramach zorganizowanego tam spotkania młodych historyków polskich, czeskich i słowackich. Dyskusje, które się następnie rozwinęły, nie były pozbawione pewnych akcentów polityczno-narodowych, ale ogólnie wskazywały na dobry poziom naukowy młodych uczonych, którzy się tam spotkali. Wydaje się, że na tym odcinku Ośrodek, jak w ogóle Ambasada RP w Pradze, robią bardzo dobrą robotę.

Na kongresie Czechosłowackiego Towarzystwa Naukowego Polacy nie byli zbyt liczni. Tadeusz Gromada, którego referat na temat sen. Gwiżdża figurował w programie, nie przyjechał. Natomiast aktywny był Andrzej Korboński z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, przewodnicząc dwóm sesjom politologicznym, a następnie biorąc udział w spotkaniu w Polskim Ośrodku.

KONGRES POLSKIEGO INSTYTUTU NAUKOWEGO W AMERYCE

W pięćdziesiątą rocznicę założenia Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce odbył się w salach Uniwersytetu w Yale Międzynarodowy Kongres Naukowy (18–20 czerwca 1992 r.). Kongres zgromadził kilkaset osób z USA, Kanady, Ameryki Łacińskiej i Polski, dając świadectwo jedności polskiej kultury. Symbolem tego była obecność na kongresie ambasadora RP Kazimierza Dziwanowskiego, rektorów Uniwersytetów Jagiellońskiego, Warszawskiego i Wrocławskiego, przedstawiciela Polskiej Akademii Umiejętności, b. prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego i licznych uczonych z kraju.

Pierwszego dnia sesję plenarną otworzył wiceprezes PIN, prof. Tadeusz Gromada. Zebranych uczestników powitał z ramienia Uniwersytetu dyrektor Ośrodka Studiów Międzynarodowych, prof. Gaddis Smith, i w imieniu Instytutu jego prezes, prof. Feliks Gross. Po krótkim przemówieniu prof. P. Wandycza oraz wypowiedziach prof. Grossa i St. Mrozowskiego, głos zabrał ambasador RP, przedstawiając zebrany obecnej sytuacji w kraju na tle ogólnej sytuacji międzynarodowej. Tej części programu przewodniczył prof. J. Pula.

Drugiego dnia sesja plenarna poświęcona była tematyce polsko-amerykańskiej współpracy kulturalnej w przyszłości. Przewodniczył prof. M.B. Biskupski, a dyskutantami byli: rektor UJ A. Pelczar, prof. K. Kowalski z PAU, rektor Uniwersytetu Poznańskiego Jerzy Fedorowski, rektor Uniwersytetu Wrocławskiego W. Wrzeński, red. B. Wierzbiański i prof. T. Gromada. Depesze gratulacyjne od Prezydenta RP i ministra edukacji odczytał konsul gen. RP z Nowego Jorku, J. Surdykowski.

Poza sesjami planarnymi Kongres obradował w czterdziestu pięciu sekcjach, odbywających swe posiedzenia równocześnie, a obejmujących takie dziedziny jak historia, literatura, politologia, językoznawstwo i kultura, biologia, filozofia, ekonomia, socjologia

itd. Rozpiętość tematyki była imponująca.

Podczas Kongresu odbyła się ceremonia wręczania dyplomów członków zagranicznych PAU (rzeczywiście: prof. prof. Brzeziński, Gross i Wandycz i korespondenci: M.K. Dziewanowski i Anna Cienciała) przez ambasadora RP i przedstawiciela PAU. Na bankiecie, który stanowił punkt kulminacyjny a zarazem końcowy Kongresu, z przemówieniami prezesa i wiceprezesa PIN i główną mową Zbigniewa Brzezińskiego, jak zawsze gorąco oklaskiwaną, ogłoszono powołanie czterech nowych *fellows* (zasłużonych członków?) PIN, oraz wybór członka honorowego Polskiego Towarzystwa Historycznego. Tytuły *fellows* otrzymali znani muzycy Mieczysław Horszowski i Stanisław Skrowaczewski, fizyk prof. Stanisław Mrozowski i historyk prof. Piotr Wandycz. Ten ostatni otrzymał również dyplom członka honorowego PTH, który wręczyli mu rektor Wrzesiński i b. prezes Towarzystwa, prof. A. Ajnenkiel.

Na część artystyczno-widowiskową Kongresu złożyły się przedstawienia pt. „The Wanderer”, w wykonaniu znanego mimika Rajmunda Klechota (w czwartek) oraz jednoosobowy program w wykonaniu Jarosława Strzemia pt. „I Lech Wałęsa” (piątek).

Należałoby również wspomnieć o wystawie zorganizowanej w głównej bibliotece uniwersyteckiej Yale pt. „Polonica at Yale”. W pięciu gablotach wystawione zostały manuskrypty i archiwalia pochodzące ze zbiorów płk. House’a (odręczne listy Paderewskiego), Arthura Bliss Lane’a z okresu jego ambasadorstwa w Warszawie, rękopisy Miłosza, Gombrowicza etc., pierwsze wydanie dzieł Kochanowskiego, Mickiewicza i „Gigantomachia” ks. Kordeckiego, jak też stare mapy Polski i monety z kolekcji numizmatycznej Uniwersytetu. Bogactwo tego zbioru było zaskoczeniem dla zwiedzających.

Krótką notatką może dać tylko najogólniejsze pojęcie o tej imprezie naukowej, która stanowiła ewenement w życiu kulturalnym polskim w USA.

PW

RECENZJE

Krzysztof POMIAN

BIZANCJUM I SŁOWIANIE

Cesarstwo rzymskie rozpadło się na części wschodnią i zachodnią niemal szesnaście wieków temu. Pierwszą rozbiły po kilkudziesięciu latach najazdy Gotów. Druga przetrwała z górą tysiąc lat. Ale i od jej upadku dzieli nas ponad pięć wieków. Dawne dzieje. Ich ślady widoczne są jednak w krajobrazie, gdzie zmiana kształtu budynków sakralnych znaczy granicę między chrześcijaństwem greckim, katolickim czy protestanckim, a chrześcijaństwem greckim, prawosławnym, między sferą wpływów Rzymu a sferą wpływów Bizancjum, między Europą środkową a Europą wschodnią. Najdawniejszą chyba i najtrwalszą granicę w Europie, gdyż *limes* rzymski jest już tylko wspomnieniem. Granicę między dwoma obszarami, które różni nie tylko religia; przede wszystkim — historia i kultura. Granicę wreszcie, wzdłuż której układają się dziś ogniska konfliktów narodowościowych i wyznaniowych zarazem: wojna między Serbią a Chorwacją w eks-Jugosławii i sporadyczne zamieszki w Rumunii czy na Ukrainie.

Ihor Szewczenko jest profesorem historii i literatury bizantyjskiej na Uniwersytecie Harvarda. Wybitnym uczonym z tych, co umieją łączyć wielkie pytania i drobiazgową analizę źródeł. Jego najnowsza książka, *Byzantium and the Slavs in Letters and Culture**,

* Ihor Sevčenko, *Byzantium and the Slavs in Letters and Culture*, Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge, Mass — Istituto Universitario Orientale, Napoli, 1991, s. 740. Jest to pierwszy tom nowej serii *Renovatio*, której następną pozycją ma być książka znanego włoskiego sławisty, Riccardo Picchio, *Studies on the Literary Tradition of Medieval Orthodox Slavdom*.

gromadzi trzydzieści pięć artykułów ogłoszonych między 1952 a 1988 rokiem i ułożonych w kolejności, w jakiej powstawały; krótkie uzupełnienie informuje o najnowszych opracowaniach poruszanych przez niektóre z nich tematów.

Prof. Szewczenko ujmuje stosunki między Bizancjum a Słowianami w zakresie piśmiennictwa i kultury niejako w trzech przekrojach czasowych. W okresie od VI do XV wieku, gdy Bizancjum było żywą siłą dziejotwórczą: potęgą, z którą trzeba się było liczyć, autorytetem w sprawach wiary i obrzędowości, źródłem wiedzy oraz wzorów do naśladowania we wszystkich dziedzinach piśmiennictwa i sztuk plastycznych. W okresie od XV do XVII lub — zależnie od krajów — XIX wieku, gdy zostały po nim wspomnienia i dzieła, które nadal zachowywały ważność, a przede wszystkim instytucje takie, jak patriarchat konstantynopolitański, klasztor na górze Atos i inne ośrodki, gdzie utrzymała się ciągła i żywa tradycja grecka, w pierwszym rzędzie religijna. I wreszcie w okresie zaczynającym się w XVII wieku i trwającym po dziś dzień, gdy Bizancjum występuje głównie, jeśli nie wyłącznie, jako przedmiot badań uprawianych przez historyków, specjalistów w dziedzinie bizantynistyki, która z uwagi na kompetencje, jakich wymaga, stanowi odrębną dyscyplinę — i gdy jest ono z tego tytułu przedmiotem sporów nie tylko naukowych lecz również ideologicznych.

Podział ten jest, oczywiście, schematyczny; niektóre artykuły zamykają się w jakimś jednym okresie, inne umieszczają swój przedmiot w długim czasie. Ale książka jako całość ukazuje przyswajanie sobie przez Słowiańszczyznę kultury bizantyjskiej od pierwszego zetknięcia się tych dwóch światów do naszych dni. Mówiąc o Słowiańszczyźnie, trzeba jednak od razu dodać, że traktuje się ją tu w sposób zawężony. Słowiańszczyzna zachodnia jest nieobecna, pomijając jeden polonik, *Rozważania nad „Szachami” Jana Kochanowskiego*, ogłoszony zresztą w przekładzie polskim. Autora zajmuje Słowiańszczyzna południowa, Bałkany oraz, znacznie bardziej, Słowiańszczyzna wschodnia: Ruś, Rosja i Ukraina, których dotyczy większość prac zebranych w omawianym tomie. Stąd jego szczególna wartość dla polskiego czytelnika zwłaszcza dziś, gdy dobra znajomość historii i kultury zarówno Ukrainy jak Rosji stała się podstawowym obowiązkiem polityków, dziennikarzy, nauczycieli, słowem — wszystkich, którzy kształtują poglądy jednostek i opinię publiczną.

Jedną z dziedzin, które interesują prof. Szewczenkę, jest historia bizantynistyki. Omawiana książka zawiera rozbudowane nekrologi kilku wybitnych przedstawicieli tej dyscypliny oraz rozprawy poświęcone ważnym epizodom z jej przeszłości. Dwa

z nich należą do pogranicza historii nauki i powieści awantur-
czej, jeśli nie wręcz kryminalnej. Jest tak z odkryciem Konstan-
tego Tischendorfa w latach 1844 i 1859, w klasztorze św. Kata-
rzyny na górze Synaj, pergaminowego kodeksu z jednym z dwóch
najstarszych tekstów Biblii (połowa IV wieku); źródła znalezione i
ogłoszone przez prof. Szewczenkę rzucają na to odkrycie nowe
światło, niezbyt korzystne dla Tischendorfa. I jest tak w niepo-
równanie większym stopniu z publikacją w 1819 roku przez
niemiecko-francuskiego bizantynistę, Karola Benedykta Hase, nie-
znanego przedtem źródła do historii Rosji X wieku, co do którego
prof. Szewczenko wykazał dowodnie, po iście detektywistycznym
dochodzeniu, że jest ono falsyfikatem autorstwa samego Hase.

Inne epizody z historii bizantynistyki omawiane przez prof.
Szewczenkę dotyczą rosyjskich sporów wokół wpływu kultury
bizantyjskiej na kulturę Rusi, a później kształtowania się oficjal-
nego sowieckiego stanowiska w tej sprawie. Jest to przedmiotem
świetnego artykułu pt. *Bizantyjskie wpływy kulturowe*, ogłoszo-
nego w 1956 roku, więc napisanego zapewne nieco wcześniej.
Jego dopełnieniem jest późniejsze o piętnaście lat porównanie
historii cesarstwa bizantyjskiego, wydanej pod auspicjami uniwer-
sytetu w Cambridge, z analogicznym dziełem powstałym w
Instytucie Historii Akademii nauk ZSSR, które wypada na
korzyść tego ostatniego. Znakomicie udokumentowane i wzo-
rowo obiektywne, oba te artykuły winny być lekturą obowią-
zkową dla każdego, kogo interesuje historia historiografii i szerzej
— przemian ideologicznych w Związku Sowieckim.

Dla kształtowania się kultury ruskiej, a później — ukraiń-
skiej i rosyjskiej, stosunki z Bizancjum miały zasadnicze znacze-
nie. Temat ten ujęty jest syntetycznie w tytułowym artykule
Bizancjum i Słowianie oraz, w bardziej ograniczonym zakresie, w
uwagach o rozpowszechnieniu bizantyjskiego piśmiennictwa nau-
kowego i pseudo-naukowego wśród Słowian prawosławnych. Znaj-
dujemy też syntetyczne ujęcie pierwiastków bizantyjskich we
wczesnej kulturze ukraińskiej oraz stosunków rosyjsko-bizantyj-
skich poczynając od XI wieku. W innych, bardziej szczegółowych
studiach, prof. Szewczenko pokazuje, jak głęboko wzory greckie
przenikały do kultury wschodniosłowiańskiej. Tak więc pewne
utwory, które uchodziły za oryginalne, okazują się w następstwie
konfrontacji z piśmiennictwem bizantyjskim przekładami, parafra-
zami lub naśladownictwami. Tezy tej prof. Szewczenko dowodzi
na licznych przykładach, zestawiając ze sobą teksty z obu obsza-
rów językowych i odślaniając zależność jednych od drugich. Nie
znaczy to jednak, że zawsze ma się do czynienia z prostym zapo-
życzeniem. Świadczą o tym pokazane przez prof. Szewczenkę w
kilku artykułach losy kompilacji sporządzonej przez Agapetosą, bi-

zantyjskiego duchownego żyjącego w VI wieku, przełożonej na starosłowiański prawdopodobnie w Bułgarii w X wieku i znanej na Rusi co najmniej od siódmego dziesięciolecia XI wieku.

Kompilacja ta zawiera pouczenia dla władców, a jej doniosłość bierze się m.in. stąd, że przyrównuje ona władzę cesarską do władzy boskiej, podkreślając jednak zarazem, że cesarz jest tylko człowiekiem i jako taki — prochem w obliczu Boga. Przełożona ponownie w XV wieku, zrobi ona później prawdziwą karierę w Moskwie za sprawą Józefa z Wołokołamska (zm. 1515), który włączy porównanie cesarza z Bogiem do swojego traktatu wymierzonego przeciw herezji judaizantów. Również inni autorzy czerpać będą z tego samego źródła przekonanie o wyjątkowości i wszechmocy władzy carskiej, w tym — Iwan Groźny. Ale przeciwnicy Iwana Groźnego w oparciu o tegoż Agapetosa przypomną mu, że jest grzesznikiem, jak każdy człowiek, i że potrzebuje przeto odpuszczenia grzechów, którego może mu udzielić tylko osoba duchowna. Nie jest więc tak, by moskiewska ideologia imperialna wywodziła się wprost z tradycji bizantyjskiej. Ta ostatnia dostarczyła jednak przyszłej Rosji wzorów do myślenia politycznego, wytyczając przeto obszar sporu między carem a patriarchą i używane w jego toku argumenty. Mamy tu do czynienia zarazem z zapożyczaniem i przetwarzaniem.

Kariera Agapetosa na tym jednak się nie kończy. Jego pierwsze drukowane wydanie w języku starosłowiańskim ukazało się bowiem w Kijowie w 1628 roku. Autorem tego nowego przekładu z greki był Piotr Mogiła (Mohyla), któremu poświęcona jest wspaniała rozprawa *Wiele światów Piotra Mohyły*. Ukazuje ona niezwykle postać tego syna hospodara mołdawskiego, który część młodości spędził w Żółkwi i brał udział w bitwie pod Chocimem, by następnie kupić posiadłość pod Kijowem i wstąpić do klasztoru w Ławrze Pieczerskiej, gdzie, zostawszy przeorem, a później metropolitą kijowskim, założył szkołę w celu kształcenia młodzieży w duchu bezwzględnie prawosławnym, ale zarazem łacińsko-polskim. Ukazuje też atmosferę umysłową i artystyczną Kijowa w ciągu dwudziestolecia poprzedzającego wybuch wojen kozackich: renesans bizantyjski, jednym z przejawów którego jest właśnie publikacja przekładu Agapetosa, i silne wpływy kultury Zachodu. Ukazuje wreszcie rolę założonego przez Mohylę kolegium w kształtowaniu się ukraińskiej świadomości narodowej.

Byłoby bardzo dobrze, gdyby omawiana książka prof. Sze-wczenki wraz z dwiema poprzednimi** stała się dla któregoś z

** Ihor Sevcenko, *Society and Intellectual Life in Late Byzantium*, oraz *Ideology, Letters and Culture in the Byzantine World*, 1982.

polskich wydawnictw podstawą do wydania co najmniej dwóch zbiorów jego prac, z których jeden byłby poświęcony kulturze bizantyjskiej, a drugi skupiał się na stosunkach między Bizancjum a Słowiańszczyzną. Byłoby to wydarzeniem nie tylko w naszym życiu umysłowym. Również w życiu politycznym w najbardziej szlachetnym słowa tego znaczeniu.

Krzysztof POMIAN

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

LEKCJA NAWROTÓW HISTORII*

„Nurt” i „Zmierzch wodzów” Wacława Berenta nie doczekały się za życia autora ani spontanicznej a entuzjastycznej recepcji, ani wzruszającego i wymownego hołdu, jakim było ubożuchne, pośpieszne wydanie „Nurtu” w polowym wydawnictwie 2-go Korpusu w Rzymie w 1945–46. Po wstępnym *succès d'estime* opowieści Berenta, jeszcze przed 1939, zaczęły pokrywać się kurzem, a w okresie masowego wznawiania „klasyków”, dopiero w 1956–58 ukazały się „Dzieła wybrane” ze specyficznymi spreparowanymi wstępami Janusza Wilhelmiego. Tak np. ze wstępu do „Nurtu” wynika, że Berent błdził, ulegając wpływom „historiografów burżuazyjnych” w osobach np. Askenazego i Kukiela i rozbijał kulturę europejską na wschodnią i zachodnią, lokując Polskę na Zachodzie. Nie odpowiada także Wilhelmieniu skłonność do wyolbrzymiania „samotnych bohate-

* Wacław BERENT: „Nurt. Diogenes w kontuszu. Zmierzch wodzów”. (Wstęp, opracowanie tekstu, dodatek krytyczny: Włodzimierz Bolecki). Kraków 1991, Wydawnictwo Literackie (przy pomocy finansowej Ministerstwa Edukacji Narodowej), duża 8°, s. 636. (Wacław BERENT: „Utwory wybrane. Opowieści biograficzne”). (Na okł. i grzbiecie tytuł: „Opowieści biograficzne”). *Brak indeksu*.

Subiektywne ujęcie recenzji tłumaczy się tym, że autorka знаła Berenta w okresie powstawania opowieści biograficznych i była świadkiem powstawania kolejnych redakcji i selekcji bohaterów poszczególnych ogniw cyklu, jako pracowniczka Działu Rękopisów Bibl. Narodowej w Warszawie w latach 1929–34, gdy wertował „Teki Dąbrowskiego”.

rów" (Dąbrowskiego, Staszica i in.), zjawiających się na polskiej scenie politycznej w okresach kryzysów i podejmujących walkę o zachowanie, a nawet więcej: *ocalenie wartości kulturalnych*, choć rzeczywistość lat 1950-tych — i obecna — dowodzi, że jest to postawa nadal nie pozbawiona aktualności, nadal po berentowsku żywa. O ile „Ozimina” była dla Wilhelmi „dramatem ostatnich rezerw” świata kapitalistycznego, o tyle opowieści biograficzne i pominięte przez Boleckiego w obecnym wydaniu „Onegdaj” Wilhelmi odczytywał — o dziwo słusznie! — jako ostrzeżenie przed nadciągającą katastrofą. Trudno zrozumieć, dlaczego obecnemu urzeczeniu wielkimi, mniejszymi i najmniejszymi katastrofistami nie towarzyszy sięganie po analogie z pogłdami Berenta!

Na wznowienie opowieści biograficznych wypadło czekać ponad dwadzieścia lat, w czasie których pisali jednak o nich Peter Hultberg, Joachim Baer (autor monografii w jęz. angielskim utopionej w *Antemurale*, 1974), J. Garbaczowska, Wład. Studencki (obszerna biografia), Jerzy Paszek, Zofia Mołodcówna, wreszcie autor obecnego opracowania, Włodzimierz Bolecki, którego studium o „Opowieściach biograficznych” ukazało się w 1978 pt. „Historia i biografia”.

Obecne wydanie opowieści ukazało się w okresie ostrego nasilenia pieniactwa, lekceważenia zagrożenia samej istoty kultury narodowej i kwestionowania roli inteligencji w życiu publicznym. „Nieszczęśliwy nałóg naszych jest — pisał J.H. Dąbrowski do Barsa — że każdy rozumie się być reprezentantem wysłanym od narodu; dlatego żąda przydać wagi próżniactwu i nieumiejętności swojej” i staje się „negocjatorem od wielkich układów sekretnych”. Mało? — oto dalsze cytaty: „pełzające [wokół samotnego bojownika] cienie ludzi nikczemnych wystąpią ze ścian i ozioną brudem swym [tu Dąbrowskiego] czyn dziejowy”. Trudno o lekarstwo na *furor polonicus*: „naród ten teraz już nie z siebie lecz obok siebie rośnie”. Czy nie są proroczym odtworzeniem tego, co dzieć się miało w kilka lat po śmierci Berenta, losy miotanych dyktatem priorytetów personalnych i strategicznych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w okresie, gdy Andersowi i Sosnkowskiemu marzyła się „nadzieja przebicia się do Polski” od południa? Komuż wydadzą się przesadą słowa Dąbrowskiego: „Znieść tyle przykrości trzeba być Polakiem na to”.

Włodzimierz Bolecki, mający już w swoim dorobku kilka ważnych opracowań różnych aspektów twórczości Berenta, a ostatnio parający się rolą cytatów w opowieściach biograficznych, dał tekstom Berenta godną ich wartości oprawę. Wydanie obecne przynosi *po raz pierwszy* teksty w ostatecznym kształcie nadanym im za życia autora, a w wypadku „Wywłaszczenia Muz”

oznacza znaczne powiększenie rozmiarów opowieści. Po drugie: opracowanie Boleckiego, wykonane *lege artis*, cechuje dokładność tak precyzyjna, że będzie postrachem wszystkich mających do czynienia z pracami edytorskimi. Noty, komentarze, odmiany tekstów i przypisy (z utajonymi w nich biografiami) składają się na encyklopedię wiedzy o sprawach polskich, oglądanych od podszewki, od kresu panowania Stanisława Augusta do lat 1820-tych. W komentarzach jego, tak jak w opowieściach których dotyczą, nie jest to pełny obraz epoki, ale krążenie refleksorem po problemach gruntownie przemyślanych przez Berenta, a poddanych swoistej rewizji przez Boleckiego, który — przy zasadniczej postawie wyznawczej — zdobywa się jednak miejscami na surową krytykę, gdy udaje mu się wysledzić jakieś drobne niesubordynacje Berenta w stosunku do nałożonych samemu sobie prawideł.

Są jednak u Boleckiego także objawy schorzeń obecnie wymaganego od edytorów perfekcjonizmu. Sprawia to skupienie komentarzy, not edytorskich i odmian tekstu w „dodatkach krytycznych”, które budzą i zaspokajają chwałębną ciekawość, ale zmuszają do odrywania się od tekstów Berenta i kartkowania 600-stronicowego tomu zadrukowanego w 2/3 *petitem*. Żmudne to, ale konieczne, by wydobyć z labiryntu odmian tekstów i wahań autora kształt definitywny, uznany przez Berenta za ostateczny. Rezultaty uważnej lektury tego aparatu naukowego są jednak warte trudu. Specjalnie zainteresowała mnie sprawa tego, co Bolecki określa ryczałtem jako własne skreślenia autora. Czy jednak tylko autora? Byłam świadkiem skracania „Oziminy” przez Berenta w toku druku wydania zbiorowego w 20-lecie i dobrze pamiętam, że większość skreśleń była rezultatem *ustępstw* w stosunku do wydawców pism i redaktorów poszczególnych utworów. Za szczytowe swoje osiągnięcie uważam uratowanie początku „Oziminy” przed skrótem postulowanym przez — klęę się na wszystkie świętości — ...Aleksandra Wata, zatrudnionego wówczas przez Gebethnera i reprezentującego interesy firmy. Analogiczne zjawisko występowało w *Tyg. Ilustrowanym* a w *Pamiętniku Warszawskim* — tu skreślenia były też liczne — Bolecki ma rację: były to skreślenia autorskie.

Bolecki stara się wyjaśnić, dlaczego Berent po wieloletnim współżyciu z problemami średniowiecza w „Żywych kamieniach” przerzucił się do „chudego literata” — Karpińskiego. W grę mogły wchodzić analogie ze współczesnością: „chudych literatów” w Warszawie Dwudziestolecia nie brakło. Choćby Tetmajer. Obłęd Trembeckiego też ma odpowiedniki w postaci np. Komornickiej. Jak Żeromski był Berent zapatrzony w fenomen powstania i *początkowej* świetności Warszawskiego Towarzystwa

Przyjaciół Nauk, Kasy im. Mianowskiego, Funduszu Kultury Narodowej i chorobliwie proklamowanej „wielkości i znaczenia” Warszawy jako stolicy odrodzonego Państwa. Rzeczywistość zawiodła marzenia i dlatego odtwarzanie losów dawnego Towarzystwa i pałacu Staszica ma cechy pouczenia skierowanego do współczesnych instytucji kulturalnych (z PAL — Polską Akademią Literatury na czele). Tak było to odczytywane, a prym w szpetnych komentarzach wiódł nie wspomniany przez Boleckiego, a dobrze znany red. Giedroyciowi Tadeusz Świącicki, szara eminencja biura Prezydium Rady Ministrów. Słusznie podkreśla Bolecki wagę swoistej współpracy i konfrontacji poglądów na Legiony ze śp. prof. Janem Pachoniskim, którego uwagi decydowały o niejednym. Wpływ prof. Józefa Ujejskiego na genezę i powstawanie opowieści był jednak, moim zdaniem, większy, niż to z komentarzy wynika; przypisuję mu wybór na bohaterów opowieści Kopczyńskiego i rozbudowanie roli Cypriana Godebskiego, rozczarowanego — a mimo to walczącego — aż do zgonu pod Raszynem. Słusznie wydobywa, podkreślane zresztą przez samego Berenta, curiosum: w wierszu Godebskiego „Do Legiów” brak jest wzmianek, a nawet aluzji do Dąbrowskiego, który wypadł z łaski pospólstwa — i zraził do siebie poetę. I coś więcej: w dobrze mi znanych notatkach Berenta, gromadzonych równoległe z powstającymi opowieściami, kryły się materiały do sylwetek Samuela Bogumiła Lindego i ks. Alojzego Osieńskiego, łącznie traktowanych jako kodyfikatorzy poprawnego języka polskiego; do twórców wielkich kolekcji bibliotecznych i muzealnych; do konfliktu pokoleń na przykładzie gen. Wincentego i Zygmunta Krasińskich; do projektu „Pieśnioksiążu” Mrongowiusza, planowanego wspólnie z dumami historycznymi Niemcewicza przez Tow. Przyjaciół Nauk, wreszcie o samym Niemcewiczu, którego grobowiec w Montmorency polecał mi honorować kwiatami w jego imieniu. To wszystko wiąże się wyraźnie w mojej pamięci z wykładami prof. Ujejskiego na UW. Po uzyskaniu magisterium uczęszczałam nadal na wykłady mego Mistrza m.in. dlatego, by móc odczytywać Berentowi moje stenogramy z tych wykładów. Nagłą śmierć prof. Ujejskiego w r. 1937 odczuł jako stratę kogoś bardzo mu bliskiego, nie zdając sobie sprawy, że zmarły wyprzedził go o zaledwie trzy lata. Choć przyszłość rysowała się Berentowi czarno, a do „pułkowników” odnosił się zdecydowanie krytycznie (bo „nie słuchali Starszego Pana”) planował swoje „pisaniny” na długie lata i odpowiednio rozbudowywał domową bibliotekę i szczegółowo zlecał Fiszlerowi ze Świętokrzyskiej wyszukiwanie druków, które „mogą się przydać”.

Innym, bardziej nieoczekiwanym kandydatem na bohatera

opowieści był Lelewel, ale nie Joachim, tylko młodszy jego brat Jan Paweł (1796–1847), który jako „porucznik inżynierów” budował fortyfikacje Zamościa i służy kanału Augustowskiego, a jako emigrant dopracował się stanowiska naczelnego dyrektora dróg i mostów w Szwajcarii. Uwzględnienie genialnych wynalazców Polaków leżało w planach rozbudowy opowieści biograficznych. Na myśl mi dziś przychodzi, że fascynowałaby go pirotechnika Aleksandra Chodkiewicza z Czarnobyli, który tam właśnie przeprowadzał eksperymenty w okresie pracy nad podręcznikiem „Chemii” (t. I–VII, 1816–18). Generał, dramatopisarz, współpracownik Czackiego, członek Tow. Przyj. Nauk od 1804 i mason, byłby wymarzonym bohaterem dalszych opowieści!

Jeśli przypisuję Berentowi plany na długie lata, nie są to próżne mrzonki. Przypomnę, że urodzony w 1873 r., napisał „Próchno” mając 22 lata, a pracę nad opowieściami rozpoczął około pięćdziesiątki i zmarł w r. 1940, przeżywszy 67 lat (dziś powiedziano by „młody emeryt”). Postarzał go wczesny debiut i dokuczliwa astma.

Czy ewentualne dalsze opowieści byłyby objęte „Nurtem”, to inna sprawa. Myślę, że finałem byłyby eseje o trzech pogrzebach: „wodza” (księcia Józefa Poniatowskiego), „urzędnika” (Staszica) i „namiestnika” (W.Ks. Konstantego, którego działalność oceniał, jak dowodzi Bolecki, nieszablonowo).

Jeśli jednak, jak wiele na to wskazuje, „Nurt”, „Diogenes w kontuszu” i „Zmierzch wodzów” są tylko częścią zamierzonego na większą skalę dzieła, czy osłabia to znaczenie już wykonanej pracy? Bolecki opinii swej wyraźnie nie wypowiada, ale czytając jego wywody skłonna jestem do przypuszczenia, że więcej dla niego, jako teoretyka, znaczy koncepcja opowieści biograficznej jako nowego gatunku literackiego pod kątem manipulacji językowych, w których szczególnego znaczenia nabierają cytaty. Szeroko stosowane przez Berenta, giętke, często wieloznaczne, wzmacniają lub osłabiają znaczenie wypowiedzi, na kształt *forte* czy *diminuendo* w muzyce. Berentowi nie chodziło jednak, jak sądzę, o taką interpretację opowieści, ale o wierne odtworzenie tego, co określa jako *bios* historii a nie o *logos*, o wywołanie właściwymi słowami *żywego* człowieka oraz głębszego sensu wydarzeń historycznych, na podobieństwo „żywych kamieni”, będących także lekcją historii, w której nawroty wierzył i może nawet przesadnie się dopatrywał. Pamięć wydobywa jeszcze z głębokich zakamarków „żywych” wspomnień dodatkowe znaczenie cytatów. Berent nie uważał szerokiego ich stosowania za rozwiązanie optymalne, ale raczej za pewną formę wyższości dawnych sformułowań i służebną *pokorę* w stosunku do postaci z opowiadań, które potrafiły lepiej niż on od-

dać sedno sprawy. Dlatego boleśnie odczuł barbarzyńskie, jak to określał w prywatnych wypowiedziach, złośliwości z okazji „Onegdaj”, określonego jako mowa „miana”, co było smaczkiem epoki, a przyjęte było jako tautologia.

„Opowieści biograficzne” posługują się trzema odmianami języka: jedną jest współczesny nam język literacki, *oratio recta* podfarbowana specyficzną składnią Berenta, z której wpływem muszę dotąd walczyć u siebie. Drugą — cytaty wmontowane czasem zbyt bezceremonialnie, ze zmianą porządku słów, skrótami i amplifikacjami do toku opowieści; Bolecki analizuje szczegółowo ich zastosowanie w oddzielnej rozprawie opublikowanej ostatnio w „Pre-tekstach i tekstach” (PWN, 1991) w rozważaniach o tym „Jak są zrobione cytaty” w opowieściach Berenta. Trzecią — jest stylizacja i archaizacja oparta o takie zżycie z tekstami z epoki, że Berent przekształca się niemal w uczestnika wydarzeń; ciekawe, że do tej techniki uciekał się niechętnie, choć stosunkowo niedawno stosował ją w „Żywych kamieniach”. Ambicją jego było, by każda książka podpisana jego nazwiskiem była *inna*. Tej ambicji zawdzięczamy „Ozi-minę”, najwyższe osiągnięcie twórcze.

„Opowieści biograficzne” doczekały się w opracowaniu Włodzimierza Boleckiego niesłychanie wnikliwego i rzeczowego opracowania. Doczekały się także, co bardzo jest w RP rzadkie, niesłychanie starannej i estetycznej szaty typograficznej w miłej sercu Berenta krakowskiej Drukarni Narodowej; udana jest także okładka projektu Rity Walter-Łomnickiej z dobrymi geometrycznymi ornamentami. I wreszcie, o czym pisać warto złotymi literami, znalazły się na subwencję pieniądze w chudym budżecie Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Feijo (Portugalia), czerwiec 1992

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 6.7.1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł wspomnieniowy Edwarda Możejki pt. „Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku Sowieckim przed 1939 r.” (*Zeszyty Historyczne*, nr 100, 1992) jest cennym, sercem pisanym, przyczynkiem do tragicznych dziejów ludności polskiej pozostałej czy pozostawionej poza granicą traktatu ryskiego. Porzucono ją na długie dziesięciolecia, niemal spisując na straty i wyciszając wiadomości o straszliwym losie, jaki ją spotkał pod władzą czerwonego caratu. Jest to opowieść wstrząsająca, warta głębszej refleksji, zwłaszcza że drugi etap polskiej martyrologii pod sowieckim panowaniem wyznaczyła II wojna światowa. Oby nie było trzeciego.

W Kraju dopiero od niedawna poczęto w ogóle ten temat poruszać. Opracowywana w Bibliotece Polskiej w Londynie „Bibliografia Polaków w Rosji i ZSSR” zawiera już sporo takich pozycji. Wśród ich autorów Mikołaj Iwanow (a nie Iwan, Iwanow to właściwe nazwisko, nie pseudonim) zajmuje czołowe miejsce ilością artykułów, wywiadów i książek zajmujących się tą właśnie tematyką. Jego ostatnia książka, „Pierwszy naród ukarany. Polacy w Związku Radzieckim 1921–1939” (Warszawa–Wrocław, 1991, PWN) uzyskała tegoroczną nagrodę Jury Nagrody im. Edwarda Raczyńskiego (Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie).

Prawda przeżyć i osobistych doświadczeń Edwarda Możejki mówi sama za siebie. Jednak niektóre jego stwierdzenia nie są zupełnie ścisłe. Nie jest on „ostatnim przysłowiowym Mohikaninem, który może jeszcze dać świadectwo o tragedii Polaków w Związku Sowieckim przed 1939 r.” Wbrew pozorom nie zostali oni na szczęście całkowicie wymordowani lub wynarodowieni, jakkolwiek strach, obawa i nieufność u wielu odzywa się echem okrutnej przeszłości. Sam spotykałem kilkakrotnie innych świadków tamtego czasu, którzy podobnie jak p. Możejko wydostali się w latach ostatniej wojny z ZSSR, ale pozostali na Zachodzie i tu dotąd przebywają, niekiedy pod zmienionym nazwiskiem. Lecz co ważniejsze, świadkami najbardziej przekonującymi przetrwania i odradzania się polskości za wschodnią granicą są setki tysięcy naszych rodaków nie tylko na przedwojennych Ziemiach

Wschodnich RP, lecz i na „dalszych kresach” za Zbruczem i Słuczą. Ich także spotykałem i mogę tylko wyrazić szczerzy podziw, uznanie i radość z powodu ich przywiązania do wiary i ojczyzny, od której żyć im przyszło w stałym oderwaniu. Ich patriotyzm był również wysokiej próby, zrodzonej — jak to trafnie określa p. Możejko — z „polskości wycierpianej”.

Nie ma natomiast słuszności sądząc, że na istnienie i losy tej części narodu zwrócił uwagę dopiero artykuł Mariana Wyziembły (Józefa Lewandowskiego) w *Zeszytach Historycznych* w 1974 r. Pisano o niej już znacznie wcześniej, choć na pewno za mało i za rzadko. Ja sam starałem się także od dawna przypominać o niej w drukowanych wspomnieniach, artykułach i listach do redakcji jak np. „Polacy w Rosji” (*Dziennik Polski*, Londyn z 2.2.1956), „Polonia zapomniana” (*Dziennik Polski*, z 10.3.1960), „Które cyfry mówią prawdę o Polakach w ZSSR?” (*Orzeł Biały*, Londyn z 10.10 i 17.10.1963), „Kazachstańskie wspomnienia” (*Orzeł Biały* z 2.1.1964), „Polacy w Kazachstanie” (*Gazeta Niedzielną*, Londyn z 8.8.1965), „Misjonarze w Kazachstanie” (*Tydzień Polski*, Londyn, z 24.5.1975), a pod pseudonimem Janusz Kaliniak „Za wiarę i za polskość” (podziemne lubelskie *Spotkania* nr 5 z października 1978). Późniejszych już nie wymieniam.

Ale chociaż o Polakach za Bugiem można dziś powiedzieć, że zdolali przetrwać pomimo wszelkich represji i dyskryminacji nie wystarczą już tylko słowna pamięć o przeszłości. Należy im się tym razem konkretne podtrzymanie, pomoc i poparcie w utrzymaniu tożsamości narodowej i obronie ich słusznych praw.

Z poważaniem

Dzdzisław JAGODZIŃSKI

Dorval, Quebec, lipiec 1992 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W nawiązaniu do transkryptu wspomnień pani Janiny Fieldorfowej, wdowy po generale Emilu Fieldorfie „Nilu”, zaopatrzonego moimi przypisami pragnę poczynić kilka dodatkowych komentarzy.

Od trzech lat, dzięki wysiłkom kilkorga ludzi, w Polsce mówi się o konkretnych osobach bezpośrednio odpowiedzialnych za zbrodnię na gen. Fieldorfie. Kilka z nich żyje do dzisiaj. Dotąd są one bezkarne; nawet w wolnej Polsce nikt nie pociągnął ich do odpowiedzialności prawnej. I tak:

Maria Gurowska, przewodnicząca kompletu sędziowskiego Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, który w kwietniu 1952 r. skazał po raz pierwszy gen. Fieldorfa na śmierć, która wnioskowała przeciwko ułaskawieniu generała przez Biercia, mieszka w Warszawie i otrzymuje emeryturę dla zasłużonych jako były dyrektor departamentu Ministerstwa Sprawiedliwości PRL.

Z sędziów Sądu Najwyższego, którzy odrzucili apelację obrońcy Generała, Emil Merz, przewodniczący kompletu sędziowskiego, zmarł w latach 60-tych. Gustaw Auscaler wyjechał do Izraela po roku 1968 i brak jest wiadomości o jego dalszych losach, natomiast trzeci sędzia, Igor Andrejew, zrobił w PRL wielką karierę prawniczo-akademicką. Przez wiele lat był profesorem prawa karnego na Uniwersytecie Warszawskim, a w latach 1968–1974

dyrektorem Instytutu Prawa Karnego UW. W 1989 r. wydano księgę pamiątkową na jego cześć, ale niemal równocześnie opublikowane zostały fragmenty jakimś trafem niezniszczonych i odnalezionych akt „sprawy” gen. Fiedorfa. Po długich protestach i wahaniach, emerytowanego już Andrejewa odwołano z Rady Naukowej Instytutu Prawa Karnego UW i wydano go z sekcji polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Prawa Karnego. W 1990 r. Andrejew tłumaczył się, że 37 lat wcześniej „nie przychodziło mu do głowy, że dowody są sfabrykowane”, że wyrok wydali wówczas Merz i Auscaler, że w tamtych czasach..., w końcu, że myślał, że „to był jakiś Niemiec. Niech pan zważy na jego imię, na nazwisko Fiedorf”.

Prokurator Witold Gatner, który 24 lutego 1953 roku prowadził egzekucję gen. Fiedorfa i którego podpis figuruje pod odnalezionym protokołem egzekucji, jest kierownikiem zespołu doradców prawnych w firmie Agros w Warszawie. W 1990 r., przed Komisją ds. Badania Zbrodni Hitlerowskich wyjaśniał on z wyraźnym oburzeniem, że przed laty spełniał swoje obowiązki w/g „najlepszej wiedzy i wiary”, że jako młody człowiek został wykorzystany przez ówczesnych dyrektorów departamentu Prokuratury, Leona Pennera i Alicję Graf. Przypomnienie jego roli w egzekucji Generała (o niewyjaśnionym dotąd — a w/g niesprawdzonej relacji Włodzimierza Rzeczyckiego, współwięźnia Generała, jakoby zasłyszanej od strażnika więziennego, świadka egzekucji — być może bestialskim przebiegu), Gatner „ocenia obecnie jako fakt wybitnie go krzywdzący w sensie moralno-zawodowym”.

24 lutego 1992 r. telewizja polska w II programie emitowała program Alicji Czerniakowskiej poświęcony gen. Emilowi Fiedorowi. Program był oparty o dokumenty, opowieść córki Generała, Marii Czarskiej i relacje współwięźniów Generała z obozów na Uralu, Tadeusza Bobrowskiego i Stefana Czarneckiego oraz współwięźnia z więzienia mokotowskiego, Włodzimierza Rzeczyckiego.

Sędziowie: Igor Andrejew i Maria Gurowska oraz prokurator Witold Gatner kategorycznie odmówili wystąpienia w tym programie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Andrzej M. KOBOS

Monachium, 10.07.92

Szanowny Panie Redaktorze,

Z mieszanymi uczuciami czytałem zamieszczoną w 100-nym numerze *Zeszytów Historycznych* recenzję mojej książki „Polska i świat w XX w.”, podpisaną przez panów Grzywacza i Mazura. Z mieszanymi bynajmniej nie dlatego, że recenzja jest krytyczna, lecz dlatego, iż Redakcja zaniechała pożytecznego — jak sądzę — obyczaju, przesłania autorowi recenzowanej książki tych uwag przed ich opublikowaniem — z propozycją repliki.

Recenzja jest obszerna, a jej pokazną część zajmuje wyliczanie błędów dostrzeżonych przez autorów. Nie będę się do tych uwag szczegółowo ustosunkowywał. Miałoby to sens, gdyby dał mi Pan Redaktor szansę równoczesnej w czasie obrony. Nie chcę zresztą przekonywać, że w książce mojej

nie ma błędów. Zapewne są. Wiele z nich zresztą dostrzegłem natychmiast po ukazaniu się. Wyniknęły z pośpiechu i nietypowej relacji między autorem a wydawnictwem, które było akurat w trakcie przeprowadzki z Paryża do Warszawy. W niczym to oczywiście ani książki, ani wydawnictwa, ani mnie jako autora nie usprawiedliwia. Dodam tylko, iż zapewne do czasu gdy pojawi się kolejny, 101 nr *Zeszytów Historycznych*, ukaże się też drugie wydanie recenzowanej książki — oczywiście poprawione.

Zwrócę tylko uwagę na dość szczególną manierę autorów recenzji, zarzucającą mi błędy tam, gdzie ich bynajmniej nie ma. Fakt, iż w dotychczasowej polskojęzycznej literaturze, dotyczącej zwłaszcza historii powszechnej, pewne daty, nazwiska czy miejscowości różnią się od przytoczonych przeze mnie, wcale nie musi świadczyć, że to ja popełniłem błąd. Widocznie opierałem się na innych źródłach i innej literaturze — w moim przekonaniu bardziej wiarygodnych.

Dziwi mnie natomiast coś innego. Recenzja ma wyraźną opcję polityczną. I jeśli ukazuje się w konkretnym piśmie, w tym wypadku *ZH*, to znaczy że pismo się z tą opcją identyfikuje.

Jaka zaś jest ta opcja polityczna, sugeruje już sam tytuł recenzji, „Polska i świat w krzywym zwierciadle”. „Krzywym” zaś zdaniem autorów recenzji dlatego, że książka moja ma rzekomo wydziwić antykomunistyczny. Myślę, że ma także „antyfaszystowski” lub szerzej „antytotalitarny” — bo taka jest po prostu wymowa wszystkich tragicznych zdarzeń, jakich mijający XX wiek był świadkiem. Autorzy piszą: „Problemem bowiem nie jest prezentowanie historii XX w., jako walki z doktryną i praktyką komunizmu; kwestią fundamentalną nie jest sam antykomunizm. Istotą zagadnienia jest, zwłaszcza dla książki mającej być uzupełnieniem podręcznika, na ile antykomunizm jest zgodny z polską racją stanu...”

Nie bardzo rozumiem, o co autorom chodzi. W każdym razie książka moja na pewno nie jest próbą prezentowania historii jako walki z doktryną i praktyką komunizmu. Szeroko natomiast prezentuje zło i zbrodniczość systemu komunistycznego. Być może nawet z naruszeniem proporcji, co wynikało z faktu, iż do niedawna w dostępnej młodym Polakom literaturze historycznej nie było na ten temat praktycznie, poza naturalnie wydawnictwami drugoobiegowymi — dosłownie nic. Co zaś oznaczać ma sugestia, by podręczniki zajmowały się problemem „na ile antykomunizm zgodny jest z polską racją stanu” — doprawdy trudno pojąć. Czy system, który w swojej praktyce miliony ludzi skazał na śmierć lub niewolniczą pracę, można w ogóle traktować w kategoriach racji stanu!!!!? Wydaje mi się wręcz przerażające, że takie sugestie znajdują miejsce w naukowym periodyku typu właśnie *ZH*. Nawet w przypadku, jeśli komunizm w swoich ostatnich latach uwiądnął nie przejawiał już tak skrajnie zbrodniczego charakteru. Choć zresztą i tu nie brakuje typowych wyjątków, że wspomnę choć ostatnie dni Ceausescu w Rumunii czy czerwcowe wydarzenia 1989 r., na centralnym placu Pekinu.

Natomiast zupełnie już kuriozalne wydaje mi się zdanie, które autorom recenzji udało się najwyraźniej przemycić na łamy *ZH*. Tym bardziej, że zdanie to określają jako swój (a tym samym chyba i pisma, które ich publikuje) wniosek z komunistycznych doświadczeń XX w. Nawet zresztą nie wniosek a... „fakt”. Piszą więc w zakończeniu swojej recenzji: „Trzeba zdać sobie sprawę z prawdy być może dla wielu osób niewygodnych, taką prawdą jest też ... fakt, iż system komunistyczny upadł nie dlatego, że był zły, ale dlatego, że nie realizował podstawowych interesów zarówno społeczeństwa, jak i poszczególnych ludzi. Okazał się on po prostu nieefektywny”.

Autorzy mają na myśli zapewne jego nieefektywność gospodarczą, ale ta przecież towarzyszyła państwowemu komunizmowi od początku, od chwili bolszewickiego przewrotu w roku 1917. Natomiast rzeczywiście mniej efektywny okazał się on w swej końcowej fazie, w konsekwentnym, zbrodnictwym terrorze — choć jak już wspomniałem — nie bez wyjątków! Ale przecież nie to autorzy Grzywacz i Mazur sugerują. A tymczasem to właśnie — i chyba nie jestem w tym przekoaniu osamotniony — jest głównym wnioskiem z historycznych faktów, jakie zarejestrował mijający XX w.

I na zakończenie. Autorzy recenzji uważają się podważać kompetencje pracowników Ministerstwa Edukacji Narodowej za zarekomendowanie mojej książki uczniom i nauczycielom jako lektury pomocniczej. Wiedzą chyba wszyscy obiektywnie na tę sprawę patrzący, łącznie z ogromną rzeszą nauczycieli historii w Polsce, że nadal brakuje podręcznika do nauczania i uczenia się historii, zwłaszcza powszechnej XX w., na poziomie szkoły średniej. Czyżby i ZH optowały za opinią, że należy wobec tego nauczać historii ze starych peerelowskich podręczników? Bo takie rozwiązanie najwyraźniej sugerują autorzy tej recenzji. O tym zaś, że decyzja ministerstwa okazała się słuszna, świadczy dotychczasowe nią zainteresowanie nauczycieli i uczniów: w przeciągu minionych kilkunastu miesięcy sprzedano jej ponad ćwierć miliona egzemplarzy. Czy więc się to panom Grzywaczowi i Mazurowi podoba czy nie, nauczyciele woła jednak moją wersję od narzucanej im do niedawna — jako jedynie słusznej — wersji podręczników peerelowskich. Dawniej nie mieli wyboru. Dzisiaj mają — i wcale nie muszą nauczać najnowszej historii z moją książką w ręku. Pozostaje więc tylko zachęcać, by powstały dalsze, z różnorodną najlepiej interpretacją, książki na ten sam temat. Młodzież zaś po ich lekturze niech sama szuka swojej oceny dwóch totalitarnych systemów, które zdominowały XX w.: faszyzmu i komunizmu. Choć nie sądzę, by znalazło się wielu, którzy oceniać je będą z perspektywy polskiej racji stanu. W każdym razie wołałbym, by tak nie było.

Z poważaniem

Witold PRONOBIS



Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W dziewięćdziesiątym dziewiątym numerze *Zeszytu Historycznego* w przypisach Pana prof. dr. Grzegorza Mazura do „Raportu Jerzego Rutkowskiego” (Dział „Dokumenty”) — pod poz. 136 (Str. 150 i część str. 151) — znajduje się przypis brzmiący: „na tym urywa się raport J. Rutkowskiego”, a następnie dopisany zostaje przez prof. G. Mazura dalszy przebieg wypadków po ucieczce Męża — bez podania źródła tych wiadomości.

Otóż, w rzeczywistości Mąż nie pisał tego „Raportu” sam, a jedynie dyktował wyłącznie mnie lub maszynistce płk. J. Rzepeckiego (Mąż był w bardzo złym stanie zdrowia). Raport był spisywany w jednym egzemplarzu, wszystkie zbędne strony czy powtórki były niszczone.

„Raport” pisany był na bibułce (tzw. japońskiej) — a po stosownej weryfikacji — oddany Mężowi. Po upadku Powstania Warszawskiego siostra Męża, sekretarka TWZW i WZW, Maria Rutkowska-Mierzejewska, ukryła wraz z innymi dokumentami „Raport” w podziemiach domku rodziny Mierzejewskich. Niestety, sącząca się woda zniszczyła dwie ostatnie strony. Treść

ich bardzo dobrze w całości zapamiętana przeze mnie stanowiła właśnie źródło wiadomości prof. G. Mazurek.

Tak więc wyglądają przyczyny „urwania się” „Raportu”, który zresztą jest w moim posiadaniu.

Jadwiga RUTKOWSKA

SPROSTOWANIE

Do mego artykułu pt. „Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku Sowieckim przed 1939 r.” (*Zeszyty Historyczne* nr 100) wkradły się następujące błędy:

Na str. 19 zdanie: „Chodzi bowiem nie o tysiące, lecz o przeszło milionową rzeszę niewinnie zabitych lub zamęczonych na śmierć ludzi i to *nie tylko* dlatego, że byli Polakami” powinno mieć brzmienie dokładnie odwrotne: „...zamęczonych na śmierć *tylko* dlatego, że byli Polakami”.

Na tejże str. 19 cudzysłów zamykający cytat powinien być zamieszczony po zdaniu „Okres 1936–1938 przyniósł Polonii niewymownie ciężkie, *nawet na miarę ówczesnych represji* (podkr. moje — E.M.) prześladowania”.

Na str. 5, 2-gi w. od góry, powinno być „Mikołaja Iwana”, a nie Iwanowa.

Na str. 9 powinno być „Wujostwo Aleksandra oraz Michał Kuszykowie”, a nie, jak błędnie widnieje, Koszykowie.

Edward MOŻEJKO

SPIS TREŚCI

Tomasz Kizny: <i>Martwa Droga</i>	3
Z.S. Siemaszko: <i>Problemy podziemia pod okupacją sowiecką (1939-1941)</i>	22
Tadeusz Wyrwa: <i>Stosunki rządu generała Sikorskiego z rządem Pétaina</i>	32
Hanna Świdarska: <i>Z dziejów polskiej prasy opozycyjnej w Londynie 1941-45</i>	56
Władysław Kijuć: <i>Rzeczywistość i mity polsko-litewskie ...</i>	83
<i>Nota biograficzna Władysława Kijucia</i>	90

WSPOMNIENIA

Andrzej M. Kobos (opr.): <i>Gen. Fieldorf „Nil” (wspomnienia żony)</i>	91
Rudolf S. Falkowski: <i>Polacy w Armii Czerwonej (1940-1945)</i>	115
Zygmunt Wenda: <i>Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia (dok.)</i>	143

SYLWETKI

Teresa Torańska: <i>Rozmowa z Wiktorem Kulerskim</i>	169
---	-----

OKRUCHY HISTORII

<i>Mowa króla JMCI Jana Kazimierza ostatnia przy abdykacji</i>	197
Władysław Bartoszewski: <i>Mowa dziękczynna po otrzymaniu obywatelstwa honorowego Izraela</i>	200
	239

Zygmunt Albert: <i>24-ta rocznica niepodległości Polski (11 listopada 1942 r. we Lwowie)</i>	205
Andrzej Bogusławski: <i>Jeszcze o „Cichociemnych” J. Tu-cholskiego</i>	212
Piotr Daszkiewicz: <i>Archiwum profesora Kopaczewskiego</i> .	217
Światowy Kongres Czechosłowackiego Towarzystwa Nauko-wego (SVU)	220
Kongres Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce	221

RECENZJE

Krzysztof Pomian: <i>Bizancjum i Słowianie</i>	223
Maria Danilewicz Zielińska: <i>Lekcja nawrotów historii</i> ...	227

LISTY DO REDAKCJI

Zdzisław Jagodziński: <i>Uwagi do artykułu E. Możejki pt. „Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku So-wieckim przed 1939 r.” (Zeszyty Historyczne nr 100)</i>	233
Andrzej M. Kobos: <i>Komentarz do wspomnień Janiny Fieldorfovej o Emilu Fieldorfie zamieszczonych w niniejszym numerze Zeszytów Historycznych</i>	234
Witold Pronobis: <i>Polemika z recenzją książki „Polska i świat w XX w.” (Zeszyty Historyczne nr 100)</i> ...	235
Jadwiga Rutkowska: <i>Wyjaśnienie genezy „Raportu” Jerze-go Rutkowskiego (Zeszyty Historyczne nr 99)</i>	237
Edward Możejko: <i>Sprostowanie błędów, które wkradły się do artykułu „Wierność i cierpienie: o Polakach w Związku Sowieckim przed 1939 r. (Zeszyty Histo-ryczne nr 100)</i>	238

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
48, rue de la Rochefoucauld, 75009 PARIS

Achevé d'imprimer le 28 août 1992
sur les presses de l'Imprimerie Nouvelle, 16-24, rue Soubise, 93400 Saint-Ouen
Dépôt légal : 3^e trimestre 1992
N° d'imprimeur : 590

